TRZYNASTY-SCHRON.NET

13

CZĘŚĆ 1

SPIS TREŚCI

PROLOG
Monika 'Monkizz' Feluś – **„Demolka”** 4

ROZDZIAŁ 1
Michał ‘Veron’ Tusz – **„Trzynastka, część 1”** 7

ROZDZIAŁ 2
Rafał Nieradzik 27

ROZDZIAŁ 3
Michał ‘Veron’ Tusz – **„Trzynastka, część 2”** 30

ROZDZIAŁ 4
Coyote – **„Bad decisions. The aftermath”** 42

ROZDZIAŁ 5
Michał ‘Veron’ Tusz – **„Trzynastka, część 3”** 57

ROZDZIAŁ 6
Polip – **„Trąba Kasandry”** 69

ROZDZIAŁ 7
Michał ‘Veron’ Tusz – **„Trzynastka, część 4”** 87

ROZDZIAŁ 8
Adam Bełda – **„Zobaczyć niebo”** 109

ROZDZIAŁ 9
Michał ‘Veron’ Tusz – **„Trzynastka, część 5”** 131

ROZDZIAŁ 10
Dariusz Sidor – **„Pewnego razu”** 156

ROZDZIAŁ 11
Michał ‘Veron’ Tusz – **„Trzynastka, część 6”** 173

ROZDZIAŁ 12
Marek Dryjer – **„Trzynasty schron”** 190

ROZDZIAŁ 13
Michał ‘Veron’ Tusz – **„Trzynastka, epilog”** 202

PROLOG

Monika 'Monkizz' Feluś – „Demolka”

Co to miało być? Moją głowę rozsadzał olbrzymi ból. W uszach słyszałem dzwonienie o denerwująco wysokiej częstotliwości. Było mi strasznie gorąco, jak w saunie. Do nosa wpychał się kurz i pył, tak że ciągle odczuwałem potrzebę kaszlu. Grunt pod nogami był niestabilny, ruszał się przy każdej próbie ruchu niczym pokład statku.

To, co się zdarzyło, było bezprecedensową sytuacją. Pierwszy raz w życiu spotkało mnie coś takiego. Miałem nadzieję, że już nigdy nie będę przeżywał tego ponownie.

Leżałem na podłodze, wciąż sucho kaszląc. Próbowałem otworzyć oczy, ale oślepiało mnie niesamowicie jasne światło. Zacisnąłem powieki i ponownie spróbowałem powoli otworzyć zmrużone oczy.

Jednocześnie ostrożnie przewróciłem się z boku na brzuch i opierając się na łokciach usiłowałem się podnieść. Podłoga znów zafalowała, więc na chwilę zamarłem.

Otworzyłem oczy, ale otaczająca mnie jasność nadal kłuła w oczy. Powoli przyzwyczajałem się do oślepiającego światła. Stopniowo zacząłem odróżniać kontury przedmiotów znajdujących się w pokoju.

Powoli stanąłem na nogach, z trudem utrzymując równowagę. Otrzepałem z siebie grubą warstwę pyłu.

Moją głowę ponownie rozsadził potworny ból. Kaszląc, obróciłem się i rozejrzałem.

Pokój był zdemolowany. Wielka szafa stojąca przy ścianie była rozbita na kilka części, z których smutno zwisały ubrania. Na podłodze leżały grube drzazgi. Od strony kuchni oświetlało ją jasne światło dnia.

– Jacek! – szepnąłem, szukając współlokatora. Spojrzałem na pokryty pyłem tapczan. Spod skołtunionej kołdry wystawała zakurzona głowa.

– Jacek! – Podszedłem do niego. Nadal spał. Uspokoiło mnie to. Przespał całe to zdarzenie. Szczęściarz.

Chciałem obejrzeć resztę mieszkania, ale kątem oka zobaczyłem pod łóżkiem Jacka mokrą ciemną plamę. Serce we mnie zamarło. Podszedłem jeszcze bliżej i wstrzymując oddech drżącą ręką uniosłem zwisający róg kołdry.

Krzyknąłem z przestrachem, gdy z ręki Jacka na podłogę wypadła butelka z końcówką taniego wina.

– Chłopie... nie tak głośno, błagam... – jęknął Jacek poruszając się w skołtunionej kołdrze, co uniosło w powietrze chmurę pyłu, od której zaczęliśmy kaszleć.

– Jacek, coś się stało! – powiedziałem z przestrachem.

Pokój wyglądał jak pobojowisko. Ponownie spojrzałem na szafę. Zaniepokoiło mnie intensywne światło padające z kuchni na zdemolowany mebel. Okno w kuchni nie było zbyt duże, a na noc je zasłanialiśmy, bo jakiś mądry inżynier wymyślił, żeby umieścić latarnię tuż przy oknie naszego mieszkania. Nigdy nie wpadało w nie dużo światła.

Stawiając kolejne kroki w kierunku kuchni usłyszałem za sobą zmęczony głos Jacka, który chyba podnosił się już z łóżka.

– Tomek, co dostałeś z kombinatoryki u Koniecznego?

– Czwórkę – odpowiedziałem machinalnie.

– Pieprzony kujon – jęknął Jacek i kaszląc spadł z łóżka w kokonie z kołdry.

Podłoga pod moimi nogami zachwiała się. Wydawało mi się, że jestem na tyle trzeźwy, że nie było to moim złudzeniem.

– Boże, co zrobiliśmy!? – zadałem cicho pytanie, widząc w jakim stanie jest nasze mieszkanie.

– Nie pamiętasz już wczorajszej balangi?

– Pamiętam... – westchnąłem – trzeba było oblać zaliczenie.

– Co tu się stało? – Jacek zmienił ton. Widocznie zauważył nieziemski bałagan w pokoju.

– Ty mi może odpowiesz?

– Chłopie... – Jacek złapał się za głowę. – Ktoś nam zdemolował mieszkanie!

– Wyobraź sobie, że zauważyłem – warknąłem.

– Ciekawe, jak wygląda reszta akademika.

Wszedłem do kuchni i zamarłem. Nogi się pode mną ugięły. Pospiesznie znalazłem ręką oparcie. Serce waliło mi jak młot, a mimo to brakowało mi oddechu i poczułem, że słabnę.

Nawet nie usłyszałem kroków Jacka. Usłyszałem tylko jego słaby drżący głos.

– Ja więcej z wami nie piję.

Przed nami rozciągał się panoramiczny widok na Ligotę i Piotrowice. Nie był to widok z okna. Okna już nie było. Nie było wcale ściany. W całej kuchni zalegał gruz, spod którego wyłaniały się fragmenty szafek, garnków i stołu.

– Myśmy to zmontowali? – Jacek pierwszy odzyskał głos.

Nie odpowiedziałem.

– Może nasi pobili się z polibudziakami?

Nadal milczałem.

– A Frędzel nie bawił się w swoim pokoju tymi swoimi wybuchowymi odczynnikami?

Byłem za bardzo przejęty tym zadziwiającym widokiem. Widać było zniszczone budynki wychylające się zza położonych płasko jak zapałki w pudełku drzew Parku Zadole, gdzie jeszcze wczoraj poszliśmy zrobić mały „wstęp" do imprezy. Na horyzoncie widać było osmalone, pozbawione dachów budynki Famuru, przypominające połamane zęby olbrzyma. Tuż za nimi, rozciągając się w nieskończoność, ziała czarna dziura. Nie było już Brynowa, Paderewy... Nie było Katowic! Nie było nic!

– Był chyba jakiś nalot, jakaś bomba, czy coś. – Usiadłem na kawałku gruzu chowając głowę w ręce. – Włącz radio, może coś mówią.

Jacek zniknął za ścianą nośną, w pokoju.

– Nie działa. Poczekaj, zobaczę w komórce.

Wrócił do kuchni, szukając w telefonie odpowiedniej funkcji. Podłoga lekko poruszyła się pod naszymi stopami, więc ostrożnie wróciliśmy do pokoju. Usiedliśmy na moim tapczanie.

Udało się uruchomić radio.

– … znajdujące się w domu powinny: ubrać się, zabrać dokumenty osobiste, zapas żywności, indywidualne środki ochrony przed skażeniami, środki opatrunkowe oraz w miarę potrzeb i możliwości latarkę elektryczną, koc, odbiornik radiowy z zakresem fal UKF, wyłączyć wszystkie urządzenia…

– Człowieku, masakra… wiedzieli, gdzie walić. Urwali Polsce ręce. Ciekawe, czy urwali też głowę – zastanowił się Jacek.

– No, chyba sygnał idzie z Warszawy. Tam może jeszcze się bronią. Cały Śląsk rozwaliło. Katowic już nie ma, nie wiadomo, czy w Gliwicach radiostacja jeszcze stoi… – pomyślałem na głos.

– Pieprznęli i wszystko zapadło się pod ziemię, do kopalni. Boże… moi rodzice… – Jackowi załamał się głos.

Westchnąłem i wygrzebałem spod swojego tapczanu plecak. Otrzepałem go z kurzu i otworzyłem najmniejszą kieszeń.

– Jacek, nie przejmuj się. Ciesz się, że zaliczyłeś kombinatorykę. I że już nie trzeba chodzić na uniwerek. Masz – podałem mu skręta – trzymałem na czarną godzinę. A chyba taka nadeszła.

Odpaliliśmy skręty, a Jacek włączył w telefonie odtwarzacz. Siedzieliśmy wyluzowani i niczym już niewzruszeni w oparach marihuany przy płynącej z głośnika komórki muzyce.

„We all live in our yellow submarine, yellow submarine, yellow submarine…”

ROZDZIAŁ 1
Michał ‘Veron’ Tusz – „Trzynastka, część 1”

Drzwi schronu zamknęły się. Ciężki mechanizm zachrobotał i w ogłuszającym rumorze zablokował wejście do wnętrza bezpiecznego bunkra. Kilka par potężnych, kilkutonowych, rozsuwanych w pionie i poziomie oraz półokrągłych wrót zasunęło się, pozostawiając spoglądającym nań ludziom jedyną możliwą drogę – ku wyjściu na świat zewnętrzny. Schron Numer Dziewięć – Dziewiątka – nie będzie odtąd stanowił pewnej przystani, bezpiecznej ostoi. Lecz na zawsze pozostanie domem. Domem, który trzeba ratować.

Było ich trzynaścioro. Paradoksalnie złożyło się, że ich liczba korespondowała z celem opuszczenia Dziewiątki. Musieli bowiem jak najszybciej odnaleźć Schron Numer Trzynaście. Tam, według słów Rady Schronu Numer Dziewięć, mieli wejść w posiadanie technologii, która umożliwi przetrwanie ich ojczystego bunkra. Narastające problemy z zasilaniem powodowały inne powikłania – z systemem hydraulicznym, filtracją powietrza, hodowaniem żywności, przechowywaniem zapasów, produkcją medykamentów. Konieczność wymogła na Radzie Schronu wydelegowania kolejnej ekspedycji ratunkowej.

Kolejnej, gdyż trzynaścioro, o których mowa, nie było pierwszą grupą śmiałków, gotowych stanąć w szranki z wymogami powojennego świata. Pierwsza ekspedycja ratunkowa wyruszyła w drogę z końcem października. Niestety przez prawie pięć miesięcy nie udało im się wrócić ani nawiązać kontaktu. Rada Schronu uznała, że nie podołali zaledwie po niecałym kwartale i już wówczas zaczęto przymierzać się do wyprawienia w bój następnych mieszkańców Dziewiątki. To było przyczyną buntu.

Część obywateli Schronu Numer Dziewięć, zwłaszcza z bloku południowego, zaprotestowała tak szybkiej rezygnacji ze swoich rodzin i przyjaciół. Ich mały przewrót miał doprowadzić do tego, żeby Rada Schronu wytypowała ekspedycję ratunkową, ale dla poprzedniej grupy. Radni nie wyrazili zgody, buntowników zaś spacyfikowano i odizolowano po kilku dniach małej rebelii. Przyczyną szybkiego i gwałtownego stłumienia buntu było przede wszystkich podszyte strachem milczenie pozostałych mieszkańców Dziewiątki, którzy nie chcieli opuszczać schronu – ani z wyboru, ani z polecenia. Mimo że cicho popierających rebelię wcale nie brakowało. Przez następne tygodnie Rada Schronu cwanie przekonywała niezdecydowanych, aż w końcu, w trakcie obrad z udziałem mieszkańców, pod koniec lutego powzięto decyzję o wysłaniu na zewnątrz buntowników.

Przywódcą drugiej ekspedycji ratunkowej został Rudy, nazywany tak ze względu na kolor włosów. Niewielu znało jego prawdziwe imię, które zresztą sam skrzętnie ukrywał. Rudy był głównym prowodyrem buntu w schronie, poparli go zaś inni. Pierwszą, która dołączyła do niego była Oliwia. Powodem jej decyzji był fakt, że w pierwszej ekspedycji wziął udział jej ukochany, Albert. Po postanowieniu Rady o

utworzeniu kolejnej grupy ratunkowej w tę delikatną, choć stanowczą dziewczynę wstąpiły drzemiące gdzieś głęboko siły. Jej upór i wytrwałość w buncie pociągnęły kolejnych.

Daniel był wyjątkowy z kilku względów. Miał posturę chodzącej góry, ważył ze sto dwadzieścia kilogramów i jednocześnie był łagodny jak baranek. Poprzysiągł jednak Albertowi, że zaopiekuje się Oliwią, toteż chronił ją i traktował jak oczko w głowie.

Kapłan i Dziadek byli schronowymi autsajderami. Pierwszy był tak nazywany z powodu gorliwego podejścia do wiary. Drugi zaś, jako jeden z nielicznych w Dziewiątce, pamiętał jeszcze czasy sprzed wojny. Obaj wstawili się za Rudym i Oliwią, kierowani różnymi powodami.

Ostatnimi, którzy dołączyli do buntu byli Ariel i David. Byli jednymi z pierwszych zwanych „Dziećmi Schronu". David przyszedł na świat tuż przed wybuchem III Wojny Światowej i był Uspolakiem – dzieckiem tak zwanych naturalizowanych Amerykanów, których w przedwojennej Polsce było bardzo wielu. Ariel zaś urodził się w nim kilka miesięcy po Dniu Załamania. Obaj mieli dość marazmu w schronie i niejasnych zagrań ze strony Rady.

Było ich trzynaścioro. Do siódemki z bloku południowego dołączyło bowiem sześciu rosłych osiłków z bloku wschodniego. Stali teraz i patrzyli na oświetlone kilkoma słabymi reflektorami, zamykające się wrota, świadomi i nieświadomi niebezpieczeństw, jakie czyhały na nich u wylotu około stumetrowego, wydrążonego w skałach sudeckiej góry Wolarz, korytarza. Spojrzeli się po sobie i odetchnęli, czując w płucach wilgotne, zimne powietrze, a w sercach i głowach strach i determinację. Nie bali się panicznie, świadomość bycia w grupie dodawała im otuchy. Buzowały w nich adrenalina z domieszką goryczy po wszystkim, co zafundowała im Rada Schronu. Nie chcieli i chcieli opuścić miejsce, w którym spędzili – jedynie poza Dziadkiem – praktycznie całe życie. Teraz już nie mieli wyjścia.

– Nie ma na co czekać. – Rudy przerwał ciszę, a jego nosowy głos odbił się echem po owalnej, nienaturalnie żłobionej jaskini. – Ruszamy.

– Uważam, że powinniśmy jakoś się ustawić – odezwał się jeden z osiłków z bloku wschodniego. Mówił szybko i niewyraźnie.

– Proponujesz marsz w szyku? – zapytał Dziadek.

– Tak. Myślę, że tak będzie bezpieczniej dla wszystkich. A że jak widać jesteśmy od was silniejsi – machnął ręką w kierunku swoich towarzyszy – pójdziemy przodem. Zgoda? Cieszę się.

Wypełniony niezdrową energią osiłek odwrócił się i ruszył w kierunku przeciwnym do wrót schronu, a za nim reszta jego umięśnionych kompanów. Rudy wymienił spojrzenie z pozostałymi, marszcząc brwi, co było znakiem, iż nieco zirytował go ów wygadany herkules. Dziadek uśmiechnął się drwiąco i wzruszył ramionami, po czym ruszył za grupą z bloku wschodniego. Kapłan klepnął Rudego w ramię, który głęboko odetchnął i ruszył za Dziadkiem. Za nim zaś reszta.

W oddali majaczyło słabe światło dnia, sztuczne za nimi wygasało. Im bliżej byli wyjścia, tym większy chłód odczuwali. Dostali co prawda odzież termiczną, ciężką jak diabli, ale ciepłą. Przynajmniej takie odnieśli wrażenie przymierzając ją w schronie. Wczesnowiosenna aura najwyraźniej weryfikowała zdatność jej ocieplania. Każdy z nich był też wyposażony w kilkunastokilogramowy plecak wypełniony przede wszystkim suchym prowiantem i menażkami z wodą, także bielizną i podstawowymi środkami higienicznymi oraz śpiworem.

Ostrożnie, nie spiesząc się, zbliżali się do wyjścia korytarzem o wyraźnym nachyleniu. Idąc pod górę, ślizgali się po wilgotnych kamieniach, raz po raz przytrzymując się, żeby nie upaść. Z odległości przypatrywali się grupie z bloku wschodniego, której każdy członek mrużył oczy przed ostrym światłem naturalnym. Niemal wszyscy odwracali wzrok w kierunku jaskini. Intensywna poświata dawała się we znaki także grupie Rudego. Po kilku chwilach zaczęły ich boleć oczy.

– Mamy na wyposażeniu gogle? – zapytał Ariel.

Kilka osób przeszukało swoje plecaki. Wszyscy pokręcili przecząco głowami.

– Pięknie nas wyprawili, nie ma co – skwitował Dziadek.

– Może uda nam się przyzwyczaić oczy? – zastanawiała się Oliwia, co Daniel potwierdził energicznym ruchem wielkiej łysej głowy.

– Nie ma wyjścia, trzeba to przezwyciężyć – rzekł Rudy i, obszedłszy grupę osiłków z bloku wschodniego, wyjrzał na zewnątrz, osłaniając oczy dłonią. Trzymając się mokrej ściany, ostrożnie dał krok przed siebie. Mrużył i intensywnie mrugał oczyma aż po kilku chwilach jego wzrok przywykł do nowych, wymagających warunków.

– Słuchajcie, da się zrobić – krzyknął w kierunku pozostałych. – Chwilę boli, ale szybko przestaje. Chodźcie, musicie to zobaczyć.

Jeden po drugim niepewnie opuszczali jaskinię, zasłaniając oczy i krzywiąc twarze w grymasach bólu i z niewygody. Dwóch osiłków z bloku wschodniego musiało nawet cofnąć się do pieczary z tego powodu. W końcu jednak i oni wyszli na zewnątrz.

Widok musiał choć na chwilę zaprzeć im dech w piersiach, mimo że kiedyś pogoda jaką zastał marcowy poranek tego dnia, mogła zostać uznana jedynie za fatalną i przygnębiającą. Z ciężkich, nisko zawieszonych chmur siąpił nieprzyjemny, zimny deszcz. Wilgotny wiatr przenikał ich grube ubrania. Kilka metrów nad ziemią unosiły się opary mgły.

A jednak... Las, którym pokryte było zbocze łagodnego wzgórza, paleta wyblakłych barw, jakich jeszcze nigdy nie dane było im zobaczyć, szum wiatru, wysoko w koronach rosłych świerków, orzeźwiający zapach drzew – to i wiele więcej spowodowało, że zapomnieli o przenikliwym chłodzie i w ciszy kontemplowali niezwykłość miejsca, które przez całe życie mieli na wyciągnięcie ręki. I choć nie tak znowu wiele miało ono wspólnego z pięknem, jakie definiowano onegdaj, dla nich – było jego kwintesencją. Stali i podziwiali krajobraz przez kilka długich minut.

– Aż trudno uwierzyć, że człowiek to wszystko zniszczył – odezwał się po raz pierwszy Kapłan.

Wówczas dostrzegli to, co na pierwszy rzut oka nie rzucało się w oczy tak bardzo. Po prawej stronie od wejścia do jaskini wiodącej do Schronu Numer Dziewięć zauważyli gros resztek powalonych drzew, przeorane grunty – całkowite zniszczenie, które natura sama zaczęła odbudowywać. Jak zawsze zresztą. Kiedy jednak uświadomili to sobie, nie dawało im to spokoju jeszcze przez długo. Efektem dewastacji olśniewającego czaru środowiska był bowiem ich dom, Dziewiątka. Nie potrafili sobie wyobrazić, jak wiele dramatów – nie tylko ludzkich – przyniosła wojna.

Zaczęli schodzić wydrążoną przed laty ścieżką wijącą się wokoło zbocza – osiłki z bloku wschodniego jako pierwsi – aż po pół godzinie dotarli do jego podstawy, gdzie rozciągały się połacie pól i łąk. W oddali dostrzegli budynki, niegdyś domostwa mieszkańców Sudetów. Rudy wyciągnął zza pazuchy prowizoryczną mapę.

– Musimy dotrzeć do miejscowości Szczytna i skierować się na południe, w stronę dawnej granicy polsko–czeskiej, drogą numer osiem – oznajmił.

– Ciekaw jestem, czy pozostały oznaczenia – rzekł Dziadek.

– Dlaczego akurat w stronę Czech? – zapytał David. – Schrony budowano też poza Polską?

– Z tego co wiem projekt „Przetrwanie" obejmował tylko nasz kraj – odparł Dziadek. – Ze względu na wkład finansowy Amerykanów. Dziwne, że każą nam iść za czeską granicę.

Zapadła cisza. Okazało się jak mało wiedzą o tym, czego szukają.

– Wiemy dokąd się udać. – Rudy przerwał wydłużającą się chwilę ciszy. – Idźmy tam. Być może dowiemy się czegoś więcej.

– Hej – krzyknął z odległości przywódca osiłków z bloku wschodniego – jazda, nie ma czasu. Lider, prowadź!

Rudy westchnął i potruchtał do grupy stojącej opodal. Ruszyli. Utwardzoną, wąską drogą już po godzinie marszu dotarli do Szczytnej. Mijali pozostawione domy i posesje, lecz dopiero widok miasteczka wprawił ich w szok i niedowierzanie. Całkowicie opustoszałe miasto–widmo, jakich jeszcze wiele mieli spotkać na swojej drodze, wzbudzało trwogę zabitymi deskami okiennicami w nienaruszonych budynkach, gdzieniegdzie powyłamywanymi, lecz w większości zaryglowanymi na amen drzwiami, ładem na ulicach, jaki bez niczyjej pomocy zaprowadził wiatr. Przejście przez miasto zrobiło na nich niemałe i niemiłe wrażenie. Przyspieszyli kroku.

Oznaczenia pozostały, w odpowiedzi na wątpliwości Dziadka, i drogą krajową numer osiem skierowali się na południowy zachód. Marsz trwał nieustannie i mimo narastającego zmęczenia nie pozwalali sobie na dłuższy odpoczynek, głównie za sprawą Rudego, którego niezwykła kondycja imponowała nawet osiłkom z bloku wschodniego. W końcu jednak musiał ustąpić i tuż przed miastem Kudową–Zdrój – jak pokazywał znak drogowy – zdecydowali się na nocleg. Powoli zapadał zmierzch, chłód doskwierał coraz mocniej. Zajęli opuszczone domostwo z szerokim obejściem i niskim, tynkowanym domem. Upewnili się, że dom zapewni im bezpieczne przenocowanie i zmordowani poszli spać. Rudy stanął na warcie.

Noc minęła nazbyt szybko. Wstawali otępiali, ich ruchy spowolnione były co najmniej dwukrotnie. Rudy, którego po kilku godzinach czuwania zmienił mający problemy ze spaniem Dziadek, popędzał. Po trzech kwadransach ruszyli dalej.

Poranny chłód daje się we znaki najbardziej. Przypomina koc z lodu, który ktoś wbrew woli owija wokół ciała lub kąpiel w kilkustopniowej wodzie z pływającymi wokoło krami lodu. Chcąc nie chcąc musieli iść dalej, stawiając czoła nieprzystępnej aurze. Dotarli w końcu do starego przejścia granicznego, oczywiście pustego i niszczejącego. Minęli je, dokładnie przedtem obejrzawszy, i przeszli na stronę czeską. Czechy nie różniło niemal nic – jedynie poza językiem napisów na szyldach dawnych sklepów i innych punktów usługowych. Poza tym – ten sam krajobraz. Pustka.

Według słów Rudego mieli przejść przez miasto Nachod i skierować się na południe drogą numer czternaście. Nachod położony był tuż przy granicy, skierowali się więc czym prędzej ku rzeczonej drodze. Miasto, choć opustoszałe i skąpane w beznadziei, podobnie do tych kilku miejscowości zobaczonych przez nich w Polsce, coś różniło od mieścin zza północno–wschodniej granicy. Polskie miasta wydawały się być opuszczone nagle, pozostawione w nieładzie powodowanym pośpiechem, wyraźnie porzucone. Tutaj zdawało się, jakby Nachod opuszczono w pełni świadomie, nie dopuszczając zapanowaniu paniki i nieporządku. Mimo iż schludniejsze, czeskie przygraniczne miasteczko budziło większą trwogę niż te zza miedzy.

Po przejściu kilku kilometrów obraz miasta raptownie zaczął się zmieniać. Tuż przy zakurzonym, rdzewiejącym znaku informacyjnym, oznajmiającym, iż do drogi numer czternaście pozostało mniej niż sto metrów, przestrzeń wypełniły zwały gruzu. Tony kamieni, odłamki rozkruszonego muru i cegieł, kawałki metalu, żelbetowe kloce, resztki dachówek, okiennic, drzwi. Gruzowisko wszystkiego, co niegdyś stanowiło budynki – mieszkalne, urzędowe, usługowe. Hałdy ze zgliszcz dawnego życia.

Obserwowali coraz wyższe góry utworzone z resztek cywilizacji w niemym zdumieniu, idąc kotliną między sztucznymi szczytami, stanowiącymi niemałą konkurencję do pobliskich Sudetów. Gdy wreszcie góry gruzów zaczęły maleć, weszli w las tak gęsty, że nie dostrzegali jego drugiego końca. Brnęli jednak do przodu, jeden za drugim wąską ścieżką. Po kilkunastu minutach marszu pas lasu zanikł – jak szybko nastał, tak rychło ustąpił. I kolejny krajobraz po czeskiej stronie wprawił ich w zdziwienie, zatrzymujące słowa w głowach.

Oto rozpościerał się przed nimi pas pustego terenu, obszar niegdyś niewątpliwie zabudowany, teraz zrównany z ziemią. W oddali, jakieś pięćset metrów przed nimi, dostrzegli zaś nad wyraz wysoki mur. Ciemnoszarą, uwieńczoną u szczytu drutem kolczastym niczym przeklętą koroną, ścianę ze strzelistymi wieżyczkami w regularnych odstępach. Co bystrzejsi zrazu pojęli, skąd gruz, z którego usypano hałdy przy wyjściu z miasta. Nie mogli jednak pojąć dlaczego.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał przywódca osiłków z bloku wschodniego.

Rudy przez dłuższą chwilę studiował mapę.

– Nie wiem – odrzekł w końcu. – Wygląda to tak, jakbyśmy już minęli tę drogę, ale przez te góry śmieci mapa stała się nieczytelna. Co tu się w ogóle stało?

Spojrzał na Dziadka, który wzruszył ramionami w bezradnej niewiedzy.

– Więc co robimy? – zapytał Ariel.

– Idziemy – odpowiedział mu przywódca osiłków. – Zostańcie z tyłu. My oczyścimy teren.

Ostatnia uwaga był tak niedorzeczna, że zanim ktokolwiek z siódemki z bloku południowego zdążył zareagować jakąś ripostą, grupa osiłków z bloku wschodniego już ruszyła dziarskim krokiem w stronę muru. Pozostali w milczeniu obserwowali śmiałków z dala.

Wówczas to usłyszeli. Zniekształcony głos, dobiegający od muru, najwyraźniej nadawany przez coś w rodzaju megafonu. Nie zrozumieli, co mówił. Grupa osiłków zatrzymała się. Spojrzeli po sobie. Przywódca odwrócił się do tyłu, wyciągając w górę kciuk, po czym ruszyli dalej. Ktoś nagle zrozumiał. Ariel.

– Stój...! – wrzasnął, lecz przerwała mu seria z broni automatycznej.

Grupa osiłków jak jeden mąż runęła na ziemię. Siódemka z tyłu odruchowo przykucnęła. Rozległy się kolejne strzały.

– Szybko do lasu! – krzyknął Rudy. – Głowy nisko!

Niemal na czworakach, przerażeni, czym prędzej jak spłoszone zwierzęta czmychnęli w stronę gęstwiny tuż za ich plecami. Nie oglądając się za siebie i nie zważając na kłujące krzewy i smagające ich po twarzach gałęzie, uciekali przed siebie, byle z dala od niebezpieczeństwa. Człowiek posiada jednak swój niemy głos, który odzywa się przeważnie wtedy, gdy tego sobie najmniej życzy. Sumienie. Właśnie przez nie Ariel zatrzymał się, gwałtownie kończąc swój szaleńczy bieg.

– Musimy zawrócić – wydyszał do Davida, przyjaciela. – A jeśli któryś przeżył?

David oddychał ciężko. Na jego twarzy malowały się kolejno strach przed śmiercią i wątpliwość, czy słusznie czynią.

– Masz rację – odrzekł po chwili – chodźmy...

– Rudy! – wrzasnął Ariel. – Rudy!!!

– Gdzie jesteś!? – odpowiedział mu głos z lewej strony.

– Wracamy po naszych!

– Co?!

– Wracamy po naszych!!! – powtórzył Ariel, a David zawtórował mu.

– Zaczekajcie!!!

Po kilku chwilach dał się usłyszeć hałas przedzierających się przez gęstwinę ludzi. Nie tylko ze strony, z której nawoływał Rudy, ale i z pozostałych – tam, gdzie uciekła reszta z siódemki.

– Chcecie wrócić? – wydyszał Rudy, gdy w końcu wszyscy się spotkali.

– Jeśli ktoś przeżył, nie możemy ich tam zostawić – odrzekł Ariel.

Rudy zastanowił się chwilę.

– Dobra, ale nie wszyscy. Oliwia, Daniel i Dziadek – zostajecie. A w ogóle, gdzie jest Kapłan?

– Chyba się domyślam – odparł Ariel.

Nie czekali dłużej. Otuleni strachem jak gęstymi chaszczami wokoło zaczęli na powrót przedzierać się przez las, tym razem w stronę pola bitwy – pola egzekucji. Dotarli tam po kilku chwilach, jak widać nie zdołali dotrzeć zbyt daleko. Zauważyli Kapłana po swojej prawej stronie, jakieś pięćdziesiąt metrów od nich.

– Kapłan! – krzyknął Rudy, ale ten zlekceważył go.

Maksymalnie pochylony niemal czołgał się w stronę pełznącego ku niemu, jednemu z osiłków, który taszczył na plecach kompana. Pozostali zastygli w bezruchu, z otwartymi ustami obserwując całą sytuację. Po trwającej kilka razy dłużej niż normalnie minucie, Kapłan wreszcie dotarł do osiłków.

Teraz już nie osiłków – teraz ludzi.

– Chodźmy – rzekł Ariel i nie odrywając wzroku od Kapłana i reszty, kucając ruszył skrajem lasu.

Rozległy się jeszcze dwie krótkie serie od strony muru, na szczęście pociski rozorały ziemię z dala od nich. W końcu połączyli się z Kapłanem i dwójką z bloku wschodniego. Niesiony przez kolegę obficie krwawił z brzucha. Niosący – cały był ubabrany we krwi. Ręce Kapłana były złowieszczo czerwone. Wyglądali na wyczerpanych.

Zaciągnęli rannego w las. Jęczał i krztusił się, trzymając się za brzuch. Spomiędzy palców ciekła brunatna krew. Wreszcie ostatkiem sił powiedział:

– Dalej, nie!...

Ułożyli go na posłaniu z leśnej ściółki. Osobliwe łoże śmierci.

– Dalej... nie chcę...

Kapłan położył zakrwawioną dłoń na jego czole. Ranny dygotał.

– Nie chcę... – powtórzył.

– Nic nie mów – przerwał mu Kapłan. – Nie trać sił.

Ranny oddychał coraz płyciej. Na jego bladej twarzy malowało się przerażenie.

– Kurwa... nie tak... miało...

Po czym wydał ostatnie tchnienie. Kapłan nakreślił mu na czole znak krzyża, na zawsze pozostawiając krwawy ślad.

Spoglądali na nich w milczeniu.

– Wynośmy się stąd – oznajmił Rudy po chwili.

– Nie możemy go tak zostawić! – histerycznie zawołał niosący rannego towarzysza. – Nie możemy ich tak zostawić! Trzeba go zakopać, albo... jak kiedyś robili?!

– Nie mamy czasu! – przerwał mu ostro Rudy. – Chcesz tam wrócić?! Wystawić się na cel?! Otrząśnij się, do cholery!

Ostatni z grupy z bloku wschodniego szybko oddychał, wciąż patrząc na zmarłego przed chwilą towarzysza. Kapłan podszedł do niego, chwycił okrągłą twarz w obie dłonie i skierował jego wzrok na siebie. Młodzieniec powoli uspokajał się. Kapłan zdjął z martwego plecak, po czym kiwnął głową w stronę Rudego.

Po kilku minutach nawoływań połączyli się z pozostałymi, pozostawionymi w lesie. Naradzili się i podjęli decyzję o powrocie do schronu. Nie mogli jednak wrócić drogą, którą przybyli, więc postanowili iść przez las na wschód.

Droga, przeważnie pod górę, okazała się bardzo wymagająca, jednak nie mieli odwagi skierować się ku – z pewnością wygodniejszym, ale zbyt ryzykownym – terenom na południowym–zachodzie. Nie mieli pojęcia czemu służyć ma czeski mur, domyślali się jedynie, że stanowi barierę obronną. Przed Polakami? Po co? Nie mówili im o tym w schronie.

Szybko szli przed siebie, nie wiele rozmawiając, wciąż pozostając w głębokim szoku, w jaki wpędziła ich śmierć pięciorga towarzyszy. Pięciu ludzi, których w nieco pogardliwy sposób określali mianem osiłków. A przecież mieli imiona, których nigdy nie poznali, życie, o którym nigdy nie opowiadali, osobowości i charaktery, których nie zdążyli ujawnić. Tylko jeden z szóstki przeżył. Bernard. Nie dane im było jednak poznać go lepiej.

Bernard opuścił ich którejś nocy. Miał wówczas wartę, pozostali pogrążeni byli w głębokim śnie po całodniowej tułaczce. Ruszył w stronę reflektorów osadzonych najpewniej na murze, które niekiedy przebijały przez gęste zarośla i dosięgały miejsc ich noclegów. Zostawił swój ekwipunek. Nie rozpaczali po nim, lecz żałowali go. Nie mogli pozwolić sobie na jego poszukiwania. Mógł być wszędzie, mógł być martwy.

Maszerowali przez wiele dni po lasach i łąkach. Siły opuszczały ich coraz częściej, zapasy skurczyły się już do połowy. Termiczna odzież nasiąkała zimnym deszczem, jaki nawiedzał ich regularnie prawie każdego dnia. Na domiar złego zgubili mapę. Rudy pewnego dnia po prostu zorientował się, że nie ma jej w kieszeni. Ku przerażeniu swojemu i pozostałych. Sytuacja stawała się beznadziejna, morale grupy spadło do zera. Pomału zaczynali panikować. I wtedy zdarzył się cud – w ich mniemaniu. Magiczne słowo na wytartym znaku. Bystrzyca.

Byli w Polsce. Nie mogli wiedzieć, że przebyli wzdłuż polsko–czeskiej granicy niemal sto kilometrów. Teraz byli już w domu.

W domu?...

Znów zastanawiali się, co robić. Nie wiedzieli, jak dotrzeć do Dziewiątki, nie mieli żadnego drogowskazu. Pusta Bystrzyca Kłodzka nie pomagała im, nie dawała żadnych wskazówek. Nie mieli innego wyjścia. Musieli ruszyć dalej. Ale dokąd?

– A może Śląsk? – rzekł Dziadek, gdy grzali się przy ognisku drugiego wieczora ich pobytu w mieście. – Konglomerat Górnośląski.

Pozostali skierowali na niego wzrok.

– To było kiedyś ogromne centrum przemysłowe. I górnicze, wydobywali tam węgiel. Może i tam znajduje się jakiś schron, gdzie znajdziemy odpowiednie wskazówki. Kto wie, może nawet ktoś tam jeszcze mieszka?...

Pozostali w ciszy przegryzali się z jego propozycją.

– Brzmi rozsądnie – odparł Rudy. – Wszyscy są za?

Przytaknęli.

– A więc idziemy na Śląsk.

– Ale jak tam dojdziemy? – Oliwia zmarszczyła brwi. – Przecież nie mamy mapy…

Myśleli w ciszy.

– Może zostały oznaczenia – Ariel powtórzył słowa Dziadka z początku ich wyprawy.

– Dokładnie – poparł go Rudy. – Pójdziemy na wschód, z dala od granicy z Czechami. W końcu coś nas pokieruje. Musimy w to wierzyć.

Płomyczek nadziei rozbłysnął w ich sercach. Wówczas permanentnie milczący dotąd Daniel, opiekun Oliwii, brutalnie go zagasił.

– A kiedy wrócimy do domu?

Na to pytanie już nikt nie znalazł odpowiedzi.

Następnego ranka ruszyli na wschód. Podróż stała się znacznie wygodniejsza. Szli teraz starymi drogami krajowymi, na których popękany asfalt jezdni wydawał się być po stokroć lepszą powierzchnią niż gęste i zdradliwe leśne poszycie. Mimo że teren był górzysty, pokonali wiele kilometrów. Aż dotarli do starego drogowskazu, który informował, że dalsza droga na wschód doprowadzi ich do Republiki Czeskiej. Zdecydowali więc na podróż na północ.

Pokonywali kolejne odległości, szmaty przestrzeni. Mijali miasta, każde inne, lecz wszystkie tak samo martwe, pozbawione duszy. Szli kilka dni, aż znaleźli to, czego szukali. Stary, pordzewiały, zniszczony, niemal nieczytelny, zielonkawy znak. A na nim napis: „Katowice 210".

Nie czekając, ruszyli. Siódemka z bloku południowego. Siedmioro z trzynaściorga. W poszukiwaniu Trzynastki.

*

W chwili, gdy dzień niszczy noc, noc rozdziela dni. Człowiek próbuje wówczas schować się, pozostać w ukryciu, być niedostępnym. Tydzień do tygodnia, dzień do dnia, godzina do godziny. Samotność, gonitwa myśli, szaleństwo. Zmaganie ze światem. Jak dobrze, że siedmioro wybranych, wskazanych do ratowania domu, wysłanych na samobójczą misję, kamikadze ze Schronu Numer Dziewięć, miało siebie. Wlekli za sobą cienie, a cienie wlokły ich. Kałuże po częstych deszczach lśniły im pod nogami. Udawało im się nie zwariować. Dzięki wzajemnemu, cichemu wsparciu.

Górzysty krajobraz pozostawili po swojej prawej stronie. Wędrówka odbywała się po starych trasach, asfaltowych drogach, otoczonych wyblakłymi łąkami i upstrzonych niczym paciorkami na naszyjniku niewielkimi miasteczkami. Martwymi jak powietrze, którym oddychali, pustymi niczym ich zmęczone głowy. Minęli dwa usytuowane w bliskiej odległości jeziora, które kiedyś zatrzymałyby każdego

przejeżdżającego, zaparłyby dech w piersiach, pozwalając jedynie na cichy jęk zachwytu. Nic takiego się nie stało. Niecodzienne krajobrazy gór, niegdyś wabiące tłumy spragnionych wrażeń turystów, szybko spowszedniały. Pozostali im oni sami.

I choć czuli się w swoim towarzystwie swobodnie i bez skrępowań mogliby rozmawiać o wszystkim, to jednak brakowało słów. Czy to ze względu na trudy podróży? Czy z uwagi na ostatnie wydarzenia, obok których nie sposób było przejść obojętnie? Pytania można było mnożyć, jednocześnie uzyskując na nie multum lub żadnej odpowiedzi. Sprawdzianem z umiejętności konwersacji mógł okazać się jedynie obcy rozmówca. Takiego spotkali po długich dniach posuchy na siedemdziesiąt kilometrów przed dotarciem do zachodnich miast Górnego Śląska. Nie mogli się jednak spodziewać, co wyniknie z tego spotkania.

Mijając kolejne opustoszałe miasteczko umiejscowione przy dawnej drodze krajowej numer czterdzieści, uwagę Dziadka zwrócił zniszczony kościół. Zatrzymał pochód.

– Co się dzieje? – zapytał Rudy.

– Spójrzcie na ten kościółek. – Wskazał ręką Dziadek.

– Co z nim?

– Różni się do tych, które do tej pory mijaliśmy – odparł Dziadek, mrużąc oczy i marszcząc czoło. Wyraźnie się zastanawiał.

– Czym się niby różni? – odrzekł Rudy. – Tak samo rozpieprzony jak i każdy jeden. Chodźmy…

– Dziadek ma rację – powiedział Kapłan. – Spójrz na obejście. Wszystko elegancko poukładane, skrócona trawa…

– Co?…

– Mają rację – rzekł Ariel i zbliżył się do wejścia do resztek niewielkiej świątyni, za nim ruszyli Dziadek i Kapłan. Reszta pozostała w tyle.

Nagle wszyscy stanęli jak wryci, z ust Oliwii wydobył się stłumiony okrzyk.

Oto w drzwiach wejściowych pojawił się człowiek. Niewysokiego wzrostu, w starych, butwiejących łachmanach i z obfitym, siwym zarostem za twarzy. Stał w połówce otwartych drzwi, które przytrzymywał ręką i z ciekawością wymieszaną z ostrożnością spoglądał na gapiących się nań szeroko otwartymi oczyma mieszkańców Schronu Numer Dziewięć.

– Dzień dobry – wyrzucił z siebie nieznajomy chropowatym głosem, przerywając przedłużającą się chwilę milczenia.

– Dzień dobry – odpowiedział mu Dziadek. – Wiedziałem, wiedziałem, że ktoś tutaj mieszka. Ha! – Odwrócił się w stronę stojących w bezruchu Rudego, Oliwii, Daniela i Davida.

– Witajcie, witajcie, to niesłychane!… – rzekł nieznajomy, który patrzył teraz na przybyszów zaszklonymi oczyma. – Moje modlitwy zostały wysłuchane… Zapraszam! – Wykonał zachęcający gest jedną ręką, drugą otwierając na oścież drzwi do kościoła. – Nazywam się Andrzej Niewolski, mieszkam tutaj. Proszę, wejdźcie, nie

spodziewałem się… Nie myślałem, że będzie mi dane zobaczyć jeszcze kogokolwiek za życia. Proszę…

Kapłan, Dziadek i Ariel wymienili spojrzenia i odwrócili się w stronę Rudego i reszty. Przywódca grupy miał sceptyczną minę. Andrzej Niewolski chyba to zauważył.

– Zapraszam, jestem niegroźny, będzie mi niezwykle miło was ugościć.

– Ja chętnie skorzystam – odparł Dziadek i z uśmiechem na ustach ruszył w kierunku autochtona. Kapłan dołączył do niego. Po chwili obaj ściskali dłoń brodatemu rezydentowi dawnej świątyni.

Ariel uśmiechnął się i również podszedł do Niewolskiego. Po krótkiej chwili dołączyli do nich pozostali z wyjątkiem Rudego.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł…

– Daj spokój – ofuknęła go Oliwia. – To niegrzeczne z twojej strony.

Podała rękę Niewolskiemu, którą ten błyskawicznie przytknął do ust. Zaskoczyło to dziewczynę, która zszokowana stała chwilę z niepewną miną, po czym zaśmiała się. To chyba przekonało Rudego. Po przywitaniu weszli do kościoła.

Była to klasyczna, niewielka świątynia, jakich wiele było w Polsce jeszcze na długo przed wojną. Zniszczona, częściowo wyburzona wewnątrz, była urządzona wyraźnie przez jej mieszkańca i sprawiała wrażenie całkiem przytulnego schronienia. Jak zauważyli, dewocjonalia zostały złożone w jednym miejscu, w rogu po lewej stronie.

– Bardzo proszę, siadajcie – rzekł Andrzej Niewolski, wskazując ręką, ustawioną równolegle do przejścia w kierunku miejsca, gdzie kiedyś usytuowany był ołtarz, starą ławę kościelną. Szybko przetarł ją dłonią, usuwając z niej nadmiar kurzu i pyłu. Mieszkańcy Dziewiątki ciekawie rozglądali się wokół siebie.

– Pozwólcie, że staropolskim zwyczajem ugoszczę was odrobiną tego, co posiadam.

Wszyscy oprócz Rudego zajęli miejsce na ławie. Przywódca grupy stanął obok siedzących i bacznie przypatrywał się Niewolskiemu.

– Powiedzcie, proszę – zagaił Andrzej Niewolski, grzebiąc w jednej ze skrzynek, których było tu pod dostatkiem – skąd przybywacie? Ostatnich gości miałem tu przed wieloma laty…

– Idziemy z zachodu – odrzekł Rudy. – Jesteśmy mieszkańcami schronu.

Niewolski wyprostował się i spojrzał na niego szeroko otwartymi oczyma.

– Słyszałem o nich… o schronach – wyszeptał z wyraźnym podziwem. – Nie miałem tego szczęścia, by zostać wybranym. To zaszczyt, wielki zaszczyt…

Schylił się i wziął w dłonie pordzewiałe kielichy i czary, które niegdyś były wykorzystywane przy odprawianiu mszy świętych. Podał każdemu jedną. Były wypełnione owocowym winem. Wszyscy – nawet Rudy – patrzyli z ogromną ciekawością na napitek.

– Na zdrowie. – Niewolski uniósł w górę prosty, metalowy kubek i sprawnie wychylił go do dna.

– Jak udało się panu je zdobyć? – zapytał Dziadek upiwszy łyk.

– Sam je zrobiłem – odparł. – Mam destylator, hoduję ziemniaki i owoce. Czysta natura.

– Niezwykłe – szepnęła Oliwia.

– Nie mam już siły wędrować. Osiadłem więc tutaj i tak sobie żyję. A dokąd wy podążacie?

– W zasadzie nie wiemy – odrzekł Dziadek. – Chcemy dotrzeć na Śląsk. Do Katowic lub innego miasta...

– Szukamy innego schronu, dzięki któremu uratujemy nasz dom – dodał Ariel. Rudy zmarszczył czoło, lecz zachował milczenie.

– Na Śląsk, powiadacie. – Siwe brwi Andrzeja Niewolskiego połączyły się w jedną linię. – Nie idźcie tam. Tam nie jest bezpiecznie.

Jego słowa zabrzmiały złowrogo. Zapadła cisza.

– Co pan przez to rozumie? – zapytał Dziadek.

– Proszę, nie mówcie do mnie „na pan" – machnął ręką – wystarczająco długo nie słyszałem, jak ktoś zwraca się do mnie moim imieniem. „Pan" jest zupełnie niepotrzebny. Andrzej...

– A więc, Andrzeju, co chcesz powiedzieć przez to, że na Śląsku nie jest bezpiecznie – dość brutalnie przerwał mu Rudy.

Niewolski zmieszał się.

– Tam... tam jest promieniowanie. Nie wiecie o tym? Nie wiecie, bo i skąd macie wiedzieć. W końcu żyliście w schronie... Działy się tam straszne rzeczy w czasie wojny. Bez skafandrów... kombinezonów ochronnych zginiecie w ciągu kilku dni.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał Rudy po chwili.

Niewolski drżącą ręką nalał sobie więcej wina i wypił je jednym duszkiem.

– Pochodzę stamtąd. Jestem z Zabrza. Wojna wygnała mnie w głąb kraju. Ale wróciłem. Obszedłem wokoło cały Śląsk. Tam nie można już żyć...

Mieszkańcy Dziewiątki spojrzeli po sobie. Czyżby ich wyprawa ponownie stawała w martwym punkcie?

– Ale... – zaczął nieśmiało Niewolski. – Proszę, dajcie mi się wami nacieszyć choć przez chwilę. Tak dawno nikogo...

– Niestety, musimy ruszać dalej. – Szurnął butami Rudy.

– Błagam! – krzyknął nagle Niewolski i padł na kolana, wprawiając swych gości w zdumienie. – Proszę, musicie mnie wysłuchać!...

Chwycił się nóg zaskoczonego Kapłana.

– Proszę was, posłuchajcie mnie!...

Kapłan pochylił się i dźwignął zapłakanego starca.

– Wstań, człowieku! Miej godność.

Ale Niewolski nie wstawał. Leżał u jego stóp, raz za razem wstrząsany przez silne szlochy. Pozostali wstali z ławki i odsunęli się na pewną odległość z szokiem wymalowanym na twarzach. Rudy był nieugięty.

– Dosyć tego! On kłamie! – krzyczał.

– Zamilcz! – zagrzmiał Kapłan.

– Skąd wiesz, że kłamie?! – huknął Dziadek. – Za kogo się uważasz?!

– Wiem to! Kapłan, zostaw go! Idziemy!

– Kapłan?... – wydyszał Niewolski, ale prawie nikt go nie dosłyszał. Zaczęli przekrzykiwać siebie.

– Uspokójcie się!... – prosiła Oliwia.

– Skoro nie chcecie, to idę sam!

– Zamknij się!

– Nie spodziewałem się tego po tobie!...

– Jesteś księdzem? – Niewolski ukląkł przed Kapłanem.

– Spokój!!! – wrzasnął Kapłan potężnie i zwrócił się do starca. – Nie jestem. Tak mnie zwą. Wstań.

Nastała nerwowa cisza. Niewolski powoli dźwignął się na nogi.

– Och... – Był wyraźnie zawiedziony. – Chciałem... wyspowiadać się, ale w tej sytuacji...

– Możesz – rzekł Kapłan. – Ludzi są po to, żeby wybaczali.

Niewolski zawahał się.

– Ale... nie przed wami zgrzeszyłem...

– To spowiedź, nie człowiek, daje rozgrzeszenie – powiedział Kapłan.

Niewolski jakby bił się z myślami.

– Tak... przecież tego chciałem... to odpowiedni ludzie... – mówił do siebie – spokojnie... nie ma na co czekać... tego chciałem...

Podszedł chwiejnym krokiem do drewnianego taboretu w kolorze wiśni. Ciężko usiadł. Kilka razy głęboko westchnął i zapatrzył się w punkt przed sobą. Mówił cicho i powoli, lecz wyraźnie.

– Przez lata zabijałem swój grzech w winie, które dziś ze mną wypiliście. Spełniło swoje prawdziwe przeznaczenie. W końcu dało radość. Było mi wstyd być sobą po tym, co zrobiłem. Każdego dnia napełniałem szklankę, żeby się upić. To była moja recepta na zapomnienie, lekarstwo na strach. Przegrałem życie. Ale to nic. To nic jeść ryby. I tak nie mają uczuć...

Odchrząknął i zamilkł na dłuższą chwilę. Westchnął.

– Tak... muszę to zrobić... – wymamrotał i kontynuował: – Miałem córkę. Moją cudowną Amelcię... I... Była taka kochana. Chciała przygarnąć wszystkie zwierzęta, które łapałem, by dać jej coś zjeść. I umarła. Udusiła się łykowatym mięsem ze starego dzika. Dziś nie ma tu zwierząt, wtedy już się kończyły. Często głodowaliśmy... Umarła. Miała tylko czternaście lat. A ja... rozpaczałem... i byłem taki głodny... nie potrafię...

Kielich trzymany przez Oliwię brzęknął o ziemię. Większość odruchowo cofnęła się o krok z wyrazami obrzydzenia lub szoku na bledniejących twarzach. Kapłan pochylił głowę i przymknął oczy. Andrzej Niewolski spojrzał na mieszkańców Schronu Numer Dziewięć. W jego oczach dojrzeli bezdenną otchłań.

– Przepraszam was. I dziękuję za to świadectwo.

Nagle sięgnął za siebie, wyprostował się, przyłożył sobie do skroni wydobyty znikąd pistolet i strzelił.

Huk wystrzału poniósł się echem po ruinie dawnej świątyni, strącając kurz spod dziurawego gdzieniegdzie stropu. Niemal wszyscy krzyknęli lub zaklęli ze strachu. Oliwia rozpłakała się i schowała w wielkich ramionach Daniela. Oczy Rudego prawie wyszły z orbit. David nie wytrzymał i wybiegł na zewnątrz budynku. Dziadek usiadł na ławie i zatopił rozedrgane ręce w coraz rzadszych włosach. Ariel przełknął ślinę i podszedł do stojącego Kapłana, który z zamkniętymi oczyma cicho się modlił. Napięcie powoli z nich uchodziło. Kto miał odwagę patrzył na bezwładne ciało Niewolskiego.

Rudy pierwszy przerwał ciszę.

– Szaleniec – wyszeptał.

– Ja bym powiedział: nieszczęśnik – odrzekł Kapłan.

– Zabierajmy się stąd – powiedział Dziadek, uciekając wzrokiem od ciała samobójcy. Wstał i skierował się ku drzwiom. – Nie mogę być tutaj dłużej.

– Ostrzegałem was, że to się źle skończy – rzekł Rudy.

– Sądzisz, że dla kogo źle się to zakończyło? – Kapłan zmierzył go wzrokiem.

– Jak to dla kogo? – prychnął Rudy. – A kto niby strzelił sobie w łeb? Swoją drogą… – powiedział do siebie i podszedł do ciała Niewolskiego. Sięgnął ponad nim po leżący tuż obok pistolet. Przyjrzał się broni. – Ciekawe skąd to miał? Może od innej, apetycznej ofiary…

– Zamilcz! – zagrzmiał Kapłan. – Cholerny egoisto!…

Rudy zaskoczony patrzył na Kapłana, dotąd ostoję spokoju, teraz wyraźnie wzburzonego.

– Nigdy tego nie zrozumiesz – rzekł po chwili Kapłan. – Szkoda mi słów.

Przeszedł obok przywódcy bez jednego spojrzenia i podszedł do drewnianego regału pod ścianą.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że mu uwierzyłeś?! – żachnął się Rudy. – Chciał nas tu zatrzymać tylko po to, żeby nas zabić i zeżreć, tak jak własne dziecko! Czy to takie trudne do pojęcia?!

Kapłan nawet nie odwrócił się w jego stronę.

– Jesteś płytkim człowiekiem – skwitował.

– Co?! – Rudy załamał ręce. – Czy moje wątpliwości się nie potwierdziły?! Jakiego dowodu chcesz więcej, żeby się przekonać, że wszystko, co powiedział było kłamstwem?

Kapłan wciąż był zajęty szukaniem czegoś sobie tylko znanego.

– Na przykład co? – zapytał kucając przed regałem.

– Skoro cały Śląsk jest tak napromieniowany, to dlaczego on wciąż żyje? Dlaczego tam nie zginął?

– Może dlatego? – Ariel zaskoczył go odpowiedzią, pokazując żółtawe urządzenie z okrągłą tarczą z podziałką i wskazówką.

– Co to niby jest?

– Licznik Geigera. Mierzy poziom promieniowania. Chyba nie uważałeś na lekcjach z potencjalnego survivalu…

Kapłan podszedł do Rudego i rzucił mu do stóp zdezelowane narzędzia – szpadel, haczkę, łopatę, grabie.

– Skoro nie wierzysz, wyjrzyj przez okno – powiedział. – Dowiesz się, skąd owoce, z których robił wino.

Pozostali spoglądali to na Rudego, to na Ariela i Kapłana. Dziadek i David stali w milczeniu przy wejściu. Oliwia wciąż wtulona była w Daniela, lecz obserwowała całą sytuację.

– Zniszczeń żąda ten, który w środku ma pustkę – powiedział Kapłan, patrząc prosto w oczy Rudemu. – Krzyk podnosi ten, który zapomniał mówić. Wyrokami szasta ten, który chce się przypodobać równie słabym jak on sam.

Sięgnął po szpadel, podszedł do złożonych w rogu krzyży i obrazów, wybrał jeden z krucyfiksów i wyszedł na zewnątrz. Po chwili, w zupełnej ciszy, jaka nastała, dał się słyszeć odgłos kopania. Do Kapłana dołączyli pozostali, pozostawiając Rudego z bronią w dłoni.

Wybaczyli Andrzejowi Niewolskiemu. Niewolnikowi powojennego świata. Za jego Amelcię.

Po pochowaniu nieszczęśliwego mieszkańca świątyni, postanowili skorzystać z jego zapasów i uzupełnić swoje. Nie było tego wiele, ale – jak to się kiedyś mówiło – lepszy rydz niż nic, mimo że rydza żaden z nich nie widział nigdy na oczy. Niewolski okazał się być także niezłym mechanikiem, gdyż znaleźli prowizoryczny, zbudowany ze starego roweru akumulator najwyraźniej jego konstrukcji. Napędzając koła siłą mięśni, naładowali do pełna baterię licznika Geigera.

Postanowili przenocować w pobliżu, lecz nie w kościółku – mimo wszystko nie chcieli spać w miejscu, w którym tak tragicznie zginął człowiek. I owo transcendentne przeczucie uratowało im życia, gdyż w samym środku nocy wyniszczała świątynia ni stąd ni zowąd zawaliła się. Zbudził ich rumor pękającego stropu, po chwili zaś kościół złożył się jak domek z kart.

Przed wyruszeniem w dalszą drogę, przy śniadaniu, Rudy położył przed nimi pistolet i dwa wypłowiałe woreczki wypełnione pociskami. Wpatrując się w nie powiedział cicho:

– Więcej nie udało mi się znaleźć. Niech zaopiekuje się tym ktoś odpowiedzialny.

Wszyscy zapatrzyli się w broń. Jedynie Kapłan spoglądał ponad ich głowami w kierunku wschodnim. I to on po chwili odezwał się:

– A więc ty.

Rudy spojrzał na niego. Kapłan odwrócił się w jego stronę.

– Jesteś naszym przywódcą. Nigdy nie powiedziałem, że źle nas prowadzisz.

– To znaczy… – zająknął się Rudy. – To znaczy, że…

– Pójdziemy za tobą – dokończył Kapłan.

Rudy spojrzał po pozostałych. Ci, którzy zrozumieli, uśmiechali się łagodnie.

– Dziękuję wam.

– A więc dokąd? – rzekł Ariel.

Rudy westchnął.

– Śląsk. Mamy aparaturę mierzącą promieniowanie. Jeśli będzie ono zbyt wysokie, zrezygnujemy. Ale musimy chociaż spróbować. Zgoda?

Przytaknęli. W ciągu kwadransa byli w drodze. Kapłan szedł ostatni, zostawszy dłużej przed ruiną dawnej świątyni i krzyżem wbitym w ziemię przy grobie Andrzeja Niewolskiego.

Po trzech dniach marszu w niemal nieustannym deszczu i przy silnym, niewygodnym, zachodnim wietrze, tuż po minięciu leniwie płynącej, mętnej Odry, dawnej autostrady i dwóch jezior, w chwili gdy niebo po raz pierwszy od dłuższego czasu wypogodziło się, dostrzegli to. To, co zmroziło im krew w żyłach i pohamowało zapał odwiedzenia dawnej aglomeracji. Złowroga łuna rozjaśniała niebo po ich prawej stronie. Lodowato srebrzysta, niczym ostrzegawczy znak, groziła palcem, nie mówiąc doń: „zapraszam". Mimo że licznik Geigera milczał, nie podjęli ryzyka. Sam widok okazał się wystarczająco przerażający.

Okrążyli zdewastowane, lecz czyste od radiacji Tarnowskie Góry i skierowali się na wschód. Miasta nie przypominały tych, które mijali w rejonach gór. Tamte były smutne, te – napawały strachem.

Długo rozmawiali, czy warto. Wymieniali argumenty i pomysły. Lecz i tak wszystko sprowadzało się do jednego. Trzynastka. Trzeba ją znaleźć za wszelką cenę. Byli w ślepym zaułku. Z niewiadomych przyczyn Rada Schronu wysłała ich do Czech. Tam z pewnością nie przeżyliby, nie mówiąc o odnalezieniu schronu. Prawdopodobnie Rada miała złe dane. Nie mogli wrócić do domu, gdyż nie wiedzieli tak naprawdę, gdzie jest. Postanowili więc poszukać czegokolwiek na własną rękę. Górny Śląsk, jedno z największych i najważniejszych przedwojennych centrów przemysłowych Europy, było dobrym początkiem.

Zdecydowali, gdy dotarli do rozstaju dawnych szlaków komunikacyjnych okalających długi zbiornik wodny. Dowiedzieli się, gdzie się znajdują z mapy, która jakimś cudem ocalała w wojennej pożodze. Umieszczona była na wysokiej ścianie jakiejś dawnej, w większej części zawalonej hali produkcyjnej. Wybrali wschodnią trasę, wiodącą do Dąbrowy Górniczej, przyrzekając sobie najwyższą ostrożność i natychmiastowy odwrót w razie zbyt wysokiego promieniowania.

Nie uszli jednak daleko. Licznik Geigera odezwał się po przejściu zaledwie kilku kilometrów tuż obok biało–niebieskiego znaku informacyjnego z napisem „Piekło" i strzałką skierowaną w prawą stronę. Uznali to za więcej niż znamienne i czym prędzej skierowali się na wschód. Biegli dopóki licznik nie uciszył się całkowicie. Mijali wtedy ruiny ogromnych zakładów przemysłowych. Ominąwszy zgliszcza dawnych fabryk przed ich oczyma ukazał się widok, który potwierdza tezę, iż niszczycielska moc człowieka może mieć w sobie pierwiastek piękna.

Stanęli przed opuszczoną kopalnią dolomitu. Ostrożnie weszli na jej teren, rozglądając się wokoło. Patrzyli na sztucznie wytworzone góry i doliny, przełęcze i kotliny, wzniesienia i depresje. Jasny kolor otoczenia oddziaływał na nich w dziwnie kojący sposób. Szli podziwiając niepowtarzalny urok dawnej kopalni.

Wtem coś przykuło wzrok kilkorga z grupy.

– Widzieliście to? – rzekł Rudy, wpatrując się w punkt po ich lewej stronie.

– Tak – odrzekł Ariel – jakiś ruch. Ktoś tam jest – wskazał dłonią na okrągłą dziurę w wysokiej ścianie po ich lewej stronie.

– Sprawdźmy to – odparł przywódca.

– Bądźmy ostrożni – powiedział Kapłan. – Niewiadomo kto to i jak jest nastawiony do obcych.

– Słusznie – odrzekł Rudy i wyciągnął zza pazuchy pistolet Andrzeja Niewolskiego.

Powoli podchodzili do owalnego otworu, na który – co zauważyli dopiero po zbliżeniu się do niego – rzucona była bardzo cienka, lecz wyraźnie odporna siatka z sztucznego tworzywa. Pistolet w dłoni Rudego zaczął niebezpiecznie drżeć, z każdym krokiem coraz bardziej.

– Wszystko okej? – zapytał Ariel.

– Może... będzie lepiej jak ty go weźmiesz. – Oddał broń.

Ariel spojrzał na niego z lekkim zdziwieniem, ale odebrał pistolet. Trzymał go pewnie.

Dziura w dolomitowej ścianie była coraz bliżej. Miała co najwyżej dwa metry średnicy. Okalająca ją metalowa siatka odbijała ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Nagle siatka poruszyła się. Siedmioro zatrzymało się w wyczekiwaniu. Ariel mocno ściskał skierowany do dołu pistolet w dłoni.

– Hej, podejdź, nie bój się – powiedział Rudy, dając krok

naprzód. Po chwili zza siatki wychylił się adresat tych słów.

Było to dziecko. Ale czy chłopiec, czy dziewczynka, tego nie potrafili rozstrzygnąć. Na oko dziesięcioletnie – było zdeformowane. Nieregularna głowa była niemal pozbawiona włosów. Nos wypełniał prawie połowę twarzy. Oczy osadzone były w dużej odległości, usta – nienaturalnie wykrzywione. Miało trzy paluszki u dłoni, trzymającej siatkę.

Patrzyli na nie głęboko zszokowani. Oliwia zakryła dłonią usta. Nie mogli uwierzyć w to, co widzą.

Rudy przełknął ślinę i kucnął. Dziecko drgnęło. Byli od siebie o kilka metrów. Rudy wyciągnął ku niemu rękę.

– No, podejdź – powiedział łagodnym głosem, uśmiechając się lekko. – Nic ci nie zrobię.

Dziecko patrzyło się na niego bojaźliwie. Gdy dał kolejny krok, schowało się, lecz dostrzegli, że nie uciekło w głąb pieczary. Po chwili wychyliło główkę, ale przy następnym kroku Rudego nie wytrzymało.

– Hej, czekaj!

Rudy dopadł do siatki i odgarnął ją.

– Cholera, zwiał...

Odwrócił się w stronę pozostałych i uniósł brwi.

Wtedy coś wielkiego z wrzaskiem pojawiło się w dziurze i chwyciło go w pasie. Rudy krzyknął i odruchowo złapał się siatki. Równie zdeformowany jak dziecko, które widzieli, z tym że dorosły człowiek, ciągnął go do środka sztucznej jaskini. Początkowy szok szybko ustąpił i pozostali rzucili się na ratunek. Rudy wrzeszczał, kurczowo trzymając się siatki. Zmutowany człowiek wył nieludzkim głosem. Ariel, Kapłan i pozostali dopadli Rudego. Siatka zaczynała odrywać się od mocowania u szczytu wejścia do pieczary.

– Ciągnijcie!

Próbowali, ale w sześcioro nie dawali rady jednemu!

– Ariel, strzelaj! – krzyknął nagle David.

Ariel zorientował się, że nie trzyma już broni w rękach. Gorączkowo rozejrzał się. Jest! Upuścił pistolet, biegnąc do Rudego. Dopadł go i odwrócił się. Siatka oderwała się od ściany. Reszta grupy ciągnęła za jeden koniec, mutant z jaskini – trzymając za drugi i nogi Rudego.

– Ariel!!!

Ariel podbiegł i wycelował. Ale spust nie chciał się wcisnąć. Próbował i próbował, ale nie przynosiło to żadnych skutków. Rudy wrzeszczał w niebogłosy.

Nagły huk! Lecz to nie pistolet. Z dziury w ścianie wydobywały się kłęby kurzu. Reszta grupy puściła siatkę, przytykając ręce do oczu i krztusząc się. Rudy zniknął w otchłani jaskini.

– Nie!!!

Ariel usłyszał jego głos po raz ostatni.

– Rudy! Rudy!!! – Nie mógł się dostać do wejścia do pieczary.

– Uciekajmy stąd!... – krzyknął Dziadek, odciągając go.

– Nie możemy go tam zostawić!

– Nic nie zrobimy...! – kaszel przerwał Kapłanowi, który przyszedł w sukurs Dziadkowi.

– Ariel, uciekamy! – usłyszał w uchu głos Davida.

– Nie możemy!...

– Widziałeś, jaki był silny! A jeśli jest ich więcej?!

– Ale Rudy!... Adam!

– Nie pomożemy mu!... – odrzekł Kapłan.

Ariel wreszcie dał się przekonać. Odwrócił się i razem dołączyli do uciekających już Daniela i Oliwii. Biegiem skierowali się ku wyjściu z kopalni. Następnie, prawie automatycznie, w prawo – na wschód. Biegli i biegli – nie wiedzieli jak długo. Nie wiedzieli jak daleko. Zatrzymali się dopiero, gdy zrobiło się na tyle ciemno, że dalsza ucieczka stała się niemożliwa. Wyczerpani padli na ziemię.

Dlaczego cyngiel był nieruchomy? Czemu pistolet nie strzelił? Odpowiedź okazała się trywialna – Rudy musiał go zabezpieczyć. Przez to Ariel nie mógł skorzystać z broni.

Gdy to odkryli, dopadła ich żałość. Cały następny dzień spędzili na leśnej polanie, pogrążając się w rozpaczy. Choć każdy z nich był inny, w ten jeden szczególny dzień myśleli o tym samym. Życie stało się krupierem. Bezstronnym, jedynie rozdającym karty, ale beztrosko szafującym radością i smutkiem, szczęściem i bólem, dobrym i złym. Karta wyraźnie nie szła. Przegrywali.

Tego dnia nie zamienili ze sobą choćby słowa. I nawet pogoda była przeciwko nim. Nagle bowiem zrobiło się pięknie – przejrzyście, jaskrawo. Powojenny świat nabrał kolorów, budził się do życia. Zbliżała się wiosna. Do tej pory, gdy mieli okazję być ze sobą w komplecie – grupa z bloku południowego – niebo wylewało strugi deszczu niczym kaskady łez. Czy płakało na zapas?

Rozpacz, choćby najbardziej kłująca serce i najdotkliwiej raniąca duszę, nie może jednak trwać wiecznie. Do niczego nie prowadzi. Kolejnego ranka – jak jeden mąż – zdali sobie sprawę, że muszą ruszyć dalej. Nie mieli już przywódcy, teraz stał się nim każdy z nich. I wszyscy razem.

Postanowili nie rezygnować z obranego szlaku i iść dalej na wschód. Śląsk nie wchodził już w grę. Brnęli przez lasy i łąki aż dotarli do bitumicznej drogi, która zmierzała nieco na północ. Dotąd bez mała permanentny deszcz został zastąpiony przez coraz silniejszy wiatr, który nagłymi porywami chwiał ich ciałami, jak śmierć Rudego zachwiała ich duszami.

Wędrówka szła opornie. Częściowo przez wiatr, częściowo przez przygnębienie, które opanowało każde z nich bez wyjątku. Przez cały dzień uszli zaledwie część w porównaniu do tego, co udawało im się pokonać wcześniej. Mimo iż okolica była z każdym kilometrem piękniejsza i osobliwsza, a w oddali malowały się majestatyczne ruiny starożytnego zamku, stracili cały impet. Zapał uleciał wraz z silnym wiatrem.

Następnego dnia doszli do miejscowości, w której okazały zamek miał swoją siedzibę. Niewielkie miasto Ogrodzieniec, opuszczone i smętne jak każde inne, które widzieli, miało stać się jednak początkiem ich nowej wędrówki.

Przeszedłszy przez miasteczko dotarli do Podzamcza – jak poinformował ich wyblakły znak. Ruiny zamku rosły w oczach. Prowadzeni bardziej przez zobojętniałą ciekawość niż faktyczną chęć zobaczenia z bliska siedziby królów sprzed wieków, dotarli do jego stóp. A tam...

Tego się nie spodziewali. Kilkanaście miniaturek zamków z zamierzchłych epok zdobiło wyjałowioną ziemię. Jak przetrwały Breakdown? Nad tym żadne z nich nawet się nie zastanowiło. Chłonęli piękno, które zachowało się, mimo upływu lat, mimo niszczycielskiej siły natury i – przede wszystkim – człowieka. Niemal namacalnie czuli, że dowartościowują się przebywaniem w miejscu bezsprzecznie niezwykłym, jedynym w swoim rodzaju. Miejscu, w którym wciąż tętniło życie. Wyczuwali jego

puls, spostrzegali unoszące się wokoło drobiny magii, jaką było ono wypełnione. Miejscu, które stanowiło o szacunku do człowieka. O miłości do kraju.

Zatopionych w zachwycie, przechadzających się między miniaturami polskich zamków, nagle zaskoczyło jeszcze coś. Śnieg, ostatni tego roku. Zobaczyli go po raz pierwszy w życiu. Wirował wokół nich, unosił się i opadał, sypiąc coraz obficiej. Z wolna pokrywał park miniatur, czyniąc go jeszcze piękniejszym. W ciszy spoglądali nań, tonącego w bieli. Czystego od powojennego brudu. Niewinnego. Patrzyli i niejednemu ze Schronu Numer Dziewięć popłynęły łzy.

Lecz nie były to łzy smutku. O, nie. To nadzieja na nowo wstępowała w ich głowy, rozgrzewała serca niczym gorący napój pity po powrocie z mroźnego dworu, koiła nerwy, dodawała sił. Nadzieja wyciskała z nich łzy, oczyszczała. To było ich ciche katharsis. Poczuli, że są w stanie dokończyć swoją misję. Znaleźć Trzynastkę. To był ich cel, ich przeznaczenie.

Po krótkiej naradzie postanowili opuścić Ogrodzieniec, gdy tylko się przejaśni i ruszyć dalej. Tym razem na północ, do centrum, tam, gdzie niegdyś Polska miała serce, które zatrzymała wojna.

W oczekiwaniu na lepszą warunki do marszu, Kapłan wyciągnął z kieszeni kilka pomiętych kartek. Oznajmił, iż znalazł je w domu Andrzeja Niewolskiego. Zaczął czytać.

ROZDZIAŁ 2
Rafał Nieradzik

Kiedy dziś rano obudziłem się w mrokach starego bunkra, wszystko zmieniło swój bieg. Codzienność, jaką pamiętam odkąd się urodziłem przestała istnieć. Mój ojciec umarł. Odkąd pamiętam miałem tylko jego, mawiał, że moja matka była aniołem na ziemi i dlatego musiała odejść. Później zrozumiałem, że odeszła razem z milionami innych, zabitych ofiar wojny, której początek i koniec nastąpił w roku 2044. To też opowiadania ojca. Ja miałem wtedy zaledwie trzy lata. Wczoraj ostatni raz rozmawialiśmy, wziął moją rękę i przytulił do serca.

– Synu, to chyba mój czas... Odkąd cały świat runął w otchłań ty byłeś moim jedynym szczęściem, moją nadzieją.

Patrzyłem mu w oczy, które nabierały łez, poczułem, ból w sercu, jakby ktoś lub coś miało mi je wyrwać i spuściłem głowę, nie chciałem by ojciec zobaczył, że płaczę.

– Tak... Stary świat... Ty nigdy go nie zobaczysz i pewnie nie wiesz, o czym mówię, ale jesteś nadzieją synu, nadzieją, aby nowy świat był inny, pozbawiony zła, jakie zgubiło całą ludzkość. Kiedy poznałem twoją matkę wiedziałem, że nigdy i nikogo nie pokocham tak jak ją. Kiedy przyszła wojna mieliśmy tylko siebie, wojska szybko posuwały się naprzód w tej całej agonii, ludzie ginęli w egzekucjach, rządy upadały tak jak stare gmachy cywilizacji. Myśleliśmy, że to koniec świata. I nie wiedzieć czemu, w tym całym piekle pojawiłeś się nagle ty. To tak jakby Bóg zesłał nam dar, a jednocześnie znak, że mamy się nie poddawać. Mama, Bożena, odeszła parę miesięcy przed wybuchem wojny i gdyby nie to, że byłeś to pewnie zabiłbym się nie wytrzymując życia bez jej uśmiechu... Pamiętasz, pamiętasz wybuchy? Chciałem, by nas zabrały, ale nie mogłem na to pozwolić. Musisz przeżyć to życie, nie ważne na jakim świecie jesteśmy, rozumiesz? Opuść schron, wyjdź na zewnątrz, minęły cztery lata, świat musi się odrodzić.

– Ale dokąd mam pójść? Przecież wszystko zostało zniszczone, tak mówił Kapitan.

– Oni kłamią, nie słuchaj ich, chcą takiego świata, jaki odszedł, budują swoje pierwsze oddane sobie społeczności, które potem przekształcą się w niewolników ich próżności. Kapitan to zły człowiek...ehe, eh... źle się czuję, czuję jakby, jakby... och synu! Kochaaa...

Zostałem sam, z twarzą mokrą od łez.

Nie przespałem prawie całej nocy lub dnia – w starym schronie nie było żadnego okna lub dziury, z których można by było zobaczyć świat na zewnątrz – dlatego nigdy do końca nie wiedziałem, czy słońce już wzeszło. Pamiętam jak tata mawiał, że schron pochodzi z odległych czasów „Zimnej wojny". „Zbudowali go, aby ratować władze Katowic, haha wyobrażasz sobie?" Śmiałem się wtedy razem z nim, choć nigdy do końca nie rozumiałem wszystkiego tak jak on. Podobno to był jedyny schron w okolicy i kiedy tylko ogłoszono alarm tylko kilkaset osób przybyło do niego, aby się schronić.

Tata wiedział o nim z książek, był historykiem przed wojną i pewnie dlatego ciągle opowiadał jakąś zupełnie inną od siebie anegdotę. Czasem wręcz kazał mi tego wszystkiego słuchać. „Ktoś musi pamiętać", dodawał. W każdym bądź razie nie wszyscy do niego weszli, wielu musiało zostać na zewnątrz, właściwie liczyła się siła łokci.

Teraz kiedy go nie ma pewnie potraktują mnie inaczej niż zwykle, bali się go. Był rosłym mężczyzną o donośnym męskim głosie. Szanowali go, choć Kapitan często uśmiechał się przez zęby, kiedy przemawiał do mieszkańców. Tak, mieszkańcy. Czy któryś z nich mnie obroni, jeżeli Kapitan obejmie dowództwo? Od dawna o tym mówił, pewnie teraz przekona ludzi. Ojciec był jego oponentem, chciał wolności wyborów, głosowania ważniejszych decyzji. Kapitan natomiast zawsze upierał się przy swoim i chciał, by inni myśleli tak jak on, jeżeli nie to krzyczał lub walił pięścią w stół. Słyszałem też, że zdarzało mu się używać tej pięści nie tylko do stołu.

No dobrze, pomyślałem, ale jak stąd wyjść? Do schronu prowadzą dwie windy oraz schody. Światło jest zasilane z starego generatora, zresztą kiedyś skończy się na pewno ogniwo, którym jest zasilany. Ale co z windami? Odkąd tu zjechaliśmy nikt ich nie używał. Skierowałem się więc w ich kierunku. Wcześniej spakowałem do plecaka to, co zostało po ojcu – jego niedziałający zegarek, parę dysków i książkę o historii. Mieliśmy też stary nóż kuchenny, który zabrałem. Tata dbał o niego toteż nie był nawet zardzewiały i można było go do czegoś użyć. Tak, wszystko świetnie, ale co z żywnością? Muszę jeszcze wstąpić do spiżarni i zabrać cokolwiek. Minąwszy korytarzem parę kwater trafiłem do pokoju z żywnością. Odkąd tu się dostaliśmy można pobierać jej ile się chce, zapasy jakie się znalazły w schronie zdumiałyby nie jednego. „To tak jakby oni od dawna się na to przygotowywali", przypomniałem sobie słowa ojca, po czym wszedłem do środka. Pokój był dosyć duży, specjalnie pozbawiono go grzejników, aby pożywienie nie psuło się, był też system wentylacji zapobiegający zapewne nadmiernej wilgotności. Zabrałem co trzeba i wyszedłem. Chyba jeszcze wcześnie, nikogo nie widać ani nie słychać. No cóż od... śmierci taty nie zmrużyłem oka. Nawet nikt nie wie jeszcze, że umarł. Ciekawe co zrobią z jego ciałem – zastanawiałem się póki nie doszedłem do elewatorów. Stare windy nie wyglądały na działające, zardzewiałe, sczerniałe drzwi, nad którymi widniał kiedyś podświetlany numer minus jedenaście. Nacisnąłem przycisk, lecz w tej głuchej ciszy nie dobiegł nawet szmer poruszanych mechanizmów. Impulsywnie wcisnąłem jeszcze parę razy zdenerwowany, ale nic z tego. Kopnąłem w drzwi windy i odwróciłem się w kierunku schodów i wtem dobiegł mnie dźwięk otwierany zasuw. Jest! A więc stała na naszym piętrze od ponad trzech lat. Dziwne, nikt nie przywołał jej z powrotem. Wskoczyłem do środka i wcisnąłem przycisk zero po czym usłyszałem łoskot i trzask twardniejącej liny wyciągowej. „Oby tylko nie pękła", szepnąłem sam do siebie i spojrzałem w sufit, na którym migotało białe, czyste światło. Ruszyłem. Winda sunęła dosyć powoli, a ja zastanawiałem się co zobaczę, gdy dojadę na górę.

Jaki jest teraz ten świat, nowy świat, na którym mam budować nowe i nieznane? Czy przeżyję, czy ludzie przetrwali? Z kieszeni wyciągnąłem ołówek i mały skórzany

zeszyt, w którym odkąd trafiliśmy do schronu ojciec kazał zapisywać datę. Zapisałem więc kolejną z nich: „23 czerwca 2065”. Nagle winda stanęła i otworzyła zasuwane drzwi. To był jakiś korytarz o czarno–czerwonych ścianach, odpadającym tynku i zapachu zupełnie nieprzypominającym te, które pamiętałem. Przypomniałem sobie, że kiedy zjeżdżaliśmy w dół, windy znajdowały się w jakimś budynku i żeby dostać się do nich trzeba było wejść do środka przez oszklone drzwi. Tak pamiętałem, podszedłem do balustrady na wprost elewatora, poniżej zobaczyłem światło słońca przedostające się przez roztrzaskane i powyginane konstrukcje byłych drzwi budynku. Odetchnąłem jak nigdy dotąd upajając się chwilą, uśmiechnąłem się, bo właśnie poczułem w sobie życie.

ROZDZIAŁ 3
Michał ‘Veron’ Tusz – „Trzynastka, część 2”

Przed wojną mówiło się, że gesty znaczą więcej niż słowa. Polityka i związane z nią wydarzenia na międzynarodowej arenie na bieżąco weryfikowały sens tej sentencji. Na krótko przed Dniem Załamania, Breakdown lub III Wojną Światową, jak przyjęło się na całym świecie, gesty przestały znaczyć cokolwiek, zastąpione kaskadami pustych, bezsensownych, pozbawionych treści wyrazów. Ludzie prześcigali się w ilości wypowiadanych słów, nie mówiąc przy tym praktycznie nic. Powiedzieć a mówić jak patrzeć a widzieć.

III Wojna Światowa była nieunikniona. Prędzej czy później musiało do niej dojść. Truizm, i co z tego. Wybuchła, stając się najkrótszym i jednocześnie najbardziej znamiennym w skutki konfliktem w dziejach świata. Ludzkość stała się zbyt pyszna, zbyt zachłanna, zbyt hedonistyczna. Największym krajom świata wciąż było mało, chociaż ich obywatelom żyło się bardziej dostatnio, niż miało to miejsce kiedykolwiek wcześniej. Wszystko na tym świecie ma sprawić człowiekowi przyjemność. Kolejna truistyczna prawda, a stała się mottem dla wielu. W tym dla najpotężniejszych.

Po wojnie gesty wróciły do łask, a słowa zyskały na wartości. Sześcioro ze Schronu Numer Dziewięć przekonało się o tym i miało tego doświadczyć jeszcze nie jeden raz. Podjęli decyzję i ruszyli na północ. Kilka słów, jeden gest. I miasto o znaczącej nazwie.

Gesty znaczą tyle, co słowa. Słowa równoważne gestom.

Dotarli do Koniecpola wczesnym popołudniem. Pogoda była męcząca. Było wyjątkowo ciepło, wysoka wilgotność powietrza, przy tym parno i duszno. Zero wiatru. Typowa cisza przed burzą.

Samo miasto nie różniło wiele od zrujnowanych miejscowości, których zobaczyli dotąd multum, okazało się jednak wyjątkowe. Przed usytuowanym po lewej stronie w pewnej odległości od szosy, ogrodzonym resztkami siatki stanowiącej niegdyś płot, piętrowym domem, który zachowany był we wcale niezgorszym stanie, radośnie biegało i krzyczało kilkoro dzieci. Mieszkańcy schronu zatrzymali się i spoglądali na bawiące się podlotki z dystansu. Nie były zdeformowane jak dziecko w kopalni w Dąbrowie Górniczej. Mimo nikłej postury, wyglądały na zdrowe.

Po kilku minutach jeden z chłopców zauważył przybyszów i zwołał pozostałe dzieci. Nagle znieruchomiały i zamilkły, patrząc na sześcioro ze Schronu Numer Dziewięć z wyraźną obawą, po czym pędem rzuciły się w kierunku budynku. Podróżnicy spojrzeli po sobie.

– Myślicie o tym, co ja? – zapytał Ariel.

– Są dzieci, ale czy są też rodzice? – odparł Kapłan. Ariel skinął głową.

– Nie dowiemy się, jeśli nie sprawdzimy – rzekła Oliwia.

Ruszyli w kierunku posesji. Nie uszli jednak daleko, gdy drzwi niskiego, murowanego domu po ich prawej stronie nagle otworzyły się z hukiem. Mieszkańcy schronu stanęli jak wryci, przestraszeni nagłym hałasem. Strach przeszedł w przerażenie, gdy zauważyli, że stojący w progu starszy człowiek z siwą brodą i pokrytym głęboki bruzdami czołem i rozoranymi bliznami policzkami bynajmniej nie zamierza zaprosić ich do środka – za to mierzy do nich z dubeltówki. I nawet gdyby nie zacięta mina, twarde spojrzenie i broń przyłożona do barku wycelowana w nich bez choćby jednego drgnienia, nie sprawiałby wrażenia spokojnego dziadka. Życie wyraźnie pulsowało w nim tętniącym rytmem.

– Kim jesteście i czego tu szukacie? – odezwał się szorstkim głosem. Mieszkańcy schronu milczeli onieśmieleni i wystraszeni.

– Pytam się?!

Ariel poczuł, jak stojąca obok niego Oliwia drży. Nikt jednak nie miał odwagi poruszyć się choćby o milimetr, nie mówiąc o wypowiedzeniu słowa.

– Dłużej nie będę czekać. – Pełen wigoru starzec zrobił krok naprzód.

– Jesteśmy!... – zaczął Ariel pospiesznie, – idziemy... ze Śląska...

– Ze Śląska? – przerwał mu starzec. – Uważasz, że w to uwierzę? Pytam się jeszcze raz, ostatni raz: kim jesteście i czego chcecie?

Ariel przełknął ślinę. Cisza ze strony pozostałych uświadomiła mu, że to jemu przypadła wątpliwa przyjemność konwersacji z uzbrojonym, nieustępliwym staruszkiem, z której z pewnością nie był rad.

– Jesteśmy mieszkańcami Schronu Numer Dziewięć – wyrzucił z siebie, – poszukujemy Schronu Numer Trzynaście... Nie chcemy żadnych kłopotów. Szukamy tylko miejsca na nocleg.

Dziadek ze strzelbą zmierzył wzrokiem jego, a później pozostałych. Nie opuścił broni.

– Ze schronu, powiadasz. Którego?

– Z Dziewiątki – powtórzył Ariel.

– Gdzie on jest?

– W górach.

– Nieprawda. W górach była Szóstka.

Ariel odruchowo zerknął na stojącego obok Dziadka.

– Nasz schron umieszczony jest w górze Wolarz, w górach... Sudetach – rzekł.

Starzec z bronią zmrużył oczy. Bruzdy na jego twarzy pogłębiły się.

– No tak, zapomniałem o Sudetach – powiedział do siebie. – Dlaczego skłamałeś, że jesteście ze Śląska?

– Nie powiedziałem, że jesteśmy ze Śląska, tylko że stamtąd idziemy – wyjaśnił Ariel.

– Nie przeżylibyście tam bez ochrony przeciwpromiennej.

– Doszliśmy tylko do obrzeży, do... – zatrzymał szukając w pamięci nazwy miasta.

– Dąbrowy Górniczej – przyszedł w sukurs Kapłan.

– Tak, do Dąbrowy – potwierdził Ariel. – Mamy licznik Geigera. Wiedzieliśmy jak daleko możemy zajść…

– Pokaż – rozkazał starzec.

– Co?…

– Waszego Geigera.

– Ach, no tak… Kto go niesie?

– Ja – odrzekł David i sięgnął do plecaka.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział ostrzegającym tonem starzec z bronią, niebezpiecznie drgając wąsami, – powolutku.

David powolnymi ruchami zdjął plecak z ramion i otworzył go, po czym wyciągnął na zewnątrz urządzenie. Starzec chwilę przypatrywał się aparaturze i skierował wzrok na Ariela.

– Straciliśmy tam naszego przyjaciela, Rudego – kontynuował Ariel. – Jakieś potwory zaciągnęły go w głąb starej kopalni. Wyglądali jak ludzie, ale byli… całkowicie zniszczeni… no… straszni… nie wiem, jak to określić.

– Górnicy… – szepnął starzec, opuszczając nieco strzelbę.

– Naprawdę nie chcemy sprawiać żadnych kłopotów – odezwał się Dziadek. – Jeśli nie chcecie nas tutaj, natychmiast się stąd wynosimy…

– W jaki sposób dotarliście aż tutaj? – przerwał mu starzec z bronią. – Z okolic Kłodzka to będzie jakieś dwieście kilometrów. Albo więcej.

– Wędrujemy już bardzo długo – odpowiedział Ariel. – Prawie miesiąc.

– I przeżyliście?

Ariel wzruszył ramionami.

– Jesteście uzbrojeni?

– Mamy tylko to. – Ariel wyjął z kieszeni pistolet Andrzeja Niewolskiego.

– No, no! – Starzec błyskawicznie podniósł swoją broń do zniszczonej twarzy.

– Przepraszam… – odparł Ariel, niezgrabnie wyciągając przed siebie pistolet, trzymając go dwoma palcami za lufę.

– Rzuć to!

Ariel wykonał polecenie. Broń z głuchym łoskotem upadła na żwirowane podłoże. Starzec przez dłuższą chwilę spoglądał na nich w milczeniu. Opuścił broń na wysokość łokci. Dostrzegli błysk jego przenikliwych oczu.

– Wygląda na to, że nie jesteście groźni – powiedział w końcu. – I z pewnością nie jesteście też Kibolami.

Nie wiedzieli, o czym mówił, ale żadne z nich nie śmiało się odezwać. Ariel nieśmiało pokiwał głową.

– To niewiarygodne, że przeżyliście tak długo z tak lichym uzbrojeniem. – Wskazał głową na leżący między nimi pistolet.

– On tak naprawdę nie jest nasz. Znaleźliśmy go… – odrzekł Ariel.

– Dlaczego opuściliście wasz schron?

– Rada Schronu wydelegowała nas do ekspedycji ratunkowej. Musimy odnaleźć Trzynastkę i uzyskać technologię, która umożliwi przetrwanie naszego domu.

– Tylko w sześć osób?

– W sumie było nas trzynaścioro, ale połowę straciliśmy w Czechach, a…

– W Czechach? – wszedł mu w słowo starzec. – Po cholerę… – przerwał mu daleki odgłos zbliżającej się burzy. Starzec obejrzał się wokół siebie. – No, dobrze, chyba można wam zaufać. Wejdźcie – skinął w stronę domu, w którego progu stał – zaraz będzie lało. Zabierz swoją broń. Tylko nie próbuj jej używać…

Ariel i pozostali wymienili niepewne spojrzenia.

– Nic wam nie zrobię – rzekł uspokajająco starzec. – Jeśli miałbym was ustrzelić, już dawno leżelibyście tutaj martwi.

Przez moment stali w bezruchu. Ariel pierwszy wyszedł z szeregu. Sięgnął po broń, szybko schował ją do kieszeni i spojrzał na starca, którego zniszczone oblicze nieco złagodniało, lecz bystre oczy wciąż bacznie obserwowały.

– W porządku – powiedział chłopak. – Chętnie skorzystamy z gościny.

Podszedł do starca i wyciągnął rękę. Ten uścisnął ją mocno i skinął głową.

– Ryszard Milowicz.

– Ja jestem Ariel. To jest Daniel – wskazywał kolejno podchodzących niepewnie mieszkańców Schronu Numer Dziewięć – Oliwia, David…

– David? – Milowicz powtórzył angielsko brzmiące imię. – Jesteś Uspolakiem?

– Tak, moi rodzice byli naturalizowanymi Amerykanami – odparł chłopak.

– Nie radzę ci chwalić się tym w tych okolicach – rzekł Ryszard Milowicz. – Jeśli dorwaliby cię Kibole nie daliby ci pożyć zbyt długo.

– Kim oni są? – zapytał Dziadek.

– To idioci – prychnął Milowicz z niesmakiem. – Cholerna hałastra. „Pierworodni Pustkowi", „Dzieci Wojny", tak siebie przedstawiają. A to zwykli bandyci, nic więcej. Napadają, rabują, niszczą. Jakby mało było zniszczeń po wojnie. Uważają się za panów powojennych ziem. Całe szczęście, że swoje przyczółki mają kawał drogi stąd. Ale i tak ich poznałem. Czasami zapuszczają się daleko.

– Zdaje się, że przed wojną „kibolami" nazywano kogoś innego? – rzekł Dziadek.

– Tak, kibiców sportu… chyba piłki nożnej? Nie pamiętam. Jeszcze na długo przed wojną była ich cała masa, później jeszcze więcej. Prali się po mordach w imię honoru swoich drużyn… bzdury… – Milowicz splunął z pogardą. – Potem zaprzestali wojen między sobą, a zaczęli z przyjezdnymi. Uspolakami, Chińczykami…

W oddali znowu zagrzmiało.

– Wchodźcie, nie będziemy tak gadać w progu.

– Mówią na mnie Dziadek, nie trudno domyślić się dlaczego. – Dziadek uśmiechnął się.

Milowicz skinął głową.

– A na mnie Kapłan – przedstawił się ostatni z sześciorga.

– Dziadek i Kapłan – powtórzył Ryszard Milowicz. – Niech i tak będzie.

Zamknął drzwi w momencie, gdy kolejny, silniejszy niż poprzednie, grzmot dobiegł ich uszu z zachodu.

W domu Ryszarda Milowicza było dość przestronnie, ale ciepło i przytulnie. Rozgościli się na porozstawianych fotelach i kanapie, które czasy świetności miały

dawno temu, ale okazały się bardzo wygodne. W niezgrabnie wykutej dziurze w ścianie buzował ogień. Była tu także elektryczność. Milowicz posiadał agregat prądotwórczy, który znalazł i własnoręcznie wyremontował.

Gospodarz ugościł ich naparem z mięty, którą – jak się dowiedzieli – zbierał z pobliskich łąk i suszył. Miał także własną pasiekę, skąd czerpał miód. Kojący zapach i smak słodzonego wywaru był najlepszym, co spotkało ich od dawien dawna.

– Wracając do Kiboli. – Milowicz spojrzał na Davida. – Jeśli ich spotkacie i zapytają cię o imię, wymyśl jakieś polskie. Wszystko jedno jakie: Janusz, Krzysztof, byleco. Albo chociaż spolszcz własne, żebyś nie wymawiał go po angielsku.

– Czyli: Dawid? – chłopak wypowiedział imię po polsku.

– Tak już lepiej. Ale i tak dość niebezpiecznie. Twój wybór – odparł Milowicz. – Miejmy nadzieję, że nie będzie wam dane ich spotkać – westchnął. – A więc poszukujecie jednego ze schronów, tak?

– Tak, Schronu Numer Trzynaście – odpowiedział Ariel. – Trzynastki.

– Cóż, nie pomogę wam. Nie mam pojęcia, gdzie on jest. Ale możecie spróbować odwiedzić schron kielecki. A w zasadzie świętokrzyski. Numer Cztery.

Mieszkańcy Dziewiątki ożywili się.

– Czy to daleko? – zapytała Oliwia.

– Dzień drogi żwawym marszem. Ale nie odległość jest tutaj problemem.

– Co takiego? – zapytał Ariel.

– Chińczyki – odparł Milowicz. – Na południowy–wschód od Kielc wciąż jest ich od cholery. Nie wiedzieć czemu bomby ominęły to ich siedlisko w Ostrowcu, jakie otrzymali po „Zasiedleniach". Przeżyli wojnę i zaczęli pieprzoną ekspansję. Z tego co wiem dotarli do Rzeszowa, a niektórzy mówią, że wzdłuż Sanu nawet pod granicę z Ukrainą. Cóż, w mnożeniu się zawsze przodowali... W góry się nie zapuszczają przez Górali. Z tego, co wiem próbowali też dotrzeć do Krakowa, ale im nie poszło. Promieniowanie. Co prawda nie takie jak na Śląsku, ale jednak. Zajęli już Rzeszowszczyznę. I obawiam się, że ich kolejnym celem może być Ukraina albo zachód, czyli my. Nie da się z nimi dogadać. Nie wpuszczają na swój teren prawie nikogo, tylko handlarzy. Mam nadzieję, że wiecie, o czym mówię? – dodał po chwili.

Skinęli głowami, pamiętali jeszcze lekcje historii przedwojennej. Tuż przed fuzją z NATO Organizacja Narodów Zjednoczonych podjęła decyzję o tak zwanych „Zasiedleniach", czyli masowym przesiedlaniu ludzi z obszarów przeludnionych do krajów wysoko rozwiniętych, ale o niskim przyroście naturalnym. Polska była wówczas w kryzysie – niż demograficzny nigdy nie był tak głęboki, więc została wybrana jako jeden z krajów „przyjmujących" przymusowych imigrantów. ONZ postanowiła, że stale rosnąca w liczbę ludność chińska zostanie przesiedlona do Europy, w tym – w dużej mierze – do Polski. Jako że wcześniej Chiny otrzymały w Polsce ogromne połacie ziemi, głównie świętokrzyskiej i Rzeszowszczyzny, pod umowy wieczyste – w ramach rekompensaty za pomoc finansową w sprawie ratowania budżetu Unii Europejskiej – miejsce na zasiedlenia znalazło się niejako

automatycznie. Ostrów Świętokrzyski i znaczna część Kielecczyzny zostały dosłownie „schińszczone" w gigantycznym, wieloetapowym przedsięwzięciu. Po wojnie zaś, którą jak już wiadomo Chińczycy przetrwali, rozpoczęli oni zajmowanie kolejnych terenów na własną rękę.

„Zasiedlenia" miały – między innymi – ogromny wpływ na decyzję o wystąpieniu Polski z Unii, co wkrótce nastąpiło przy aktywnym wsparciu USA. Była to także przyczyna kolejnej fali ogólnopolskich protestów i zjednoczenia „kiboli" do walki z Chińczykami, ale także Amerykanami. Po przejęciu kontroli w ONZ Stany Zjednoczone zbliżyły się do Polski jeszcze bardziej, głównie za sprawą polskiego premiera Ricky'ego Millera, nieformalnie nazywając Rzeczpospolitą pięćdziesiątym drugim stanem. Wówczas powstał termin Uspolaka – „US–Polish", Amerykanina „naturalizowanego" na Polaka, czyli z błyskawicznie, niemal „z miejsca" nadanym obywatelstwem. Wielu polskich obywateli odczytywało spolegliwość rządu jako poddawanie autonomiczności, a nawet suwerenności Polski. To także stało się jedną z przyczyn późniejszego upadku Millera.

Ryszard Milowicz kontynuował:

– Chińczyki, a wcześniej cała zgraja tych cholernych nierobów, studentów. A po reformach gospodarczych Amerykańce. Rozgrabili nasz kraj. Kompletnie. Politycy w milczeniu patrzyli na gospodarczy rozbiór Polski. Pieniądze leżały na ziemi. Ludzie sami do tego doprowadzili. Własną głupotą.

Milowicz westchnął głęboko i zamilkł, mieszkańcy schronu zaś niemal namacalnie czuli trawiącą go od wewnątrz gorycz. Otrząsnął go kolejny, głuchy odgłos zbliżającej się burzy.

– Po co poszliście do Czech?

– Rada Schronu poleciła nam rozpocząć poszukiwania właśnie tam – odparł Ariel. – Nie wiemy dlaczego. Ale musieliśmy od czegoś zacząć, więc tam poszliśmy...

– Dziwne – wszedł mu w słowo Milowicz – dlaczego schron z „Przetrwania" miałby znajdować się na terytorium Czech? Choć akurat o Trzynastym nigdy nie słyszałem... W każdym razie Rada waszego schronu powinna wiedzieć, że z Czechami trzeba uważać.

– Dlaczego?

– No jak to? – zdziwił się Milowicz. – Przecież Czesi zachorowali na nas na krótko przed wojną, nie wiecie o tym?

Pokręcili głowami. Jedynie Dziadek odezwał się:

– Coś mi się kojarzy, ale byłem wówczas dwudziestolatkiem. Nie miałem głowy do polityki, prędzej do zabawy, dziewcząt... pierwsza praca...

– Ile masz lat? – zapytał Milowicz.

– Pięćdziesiąt jeden.

– Jaki tam z ciebie dziadek. – Gospodarz machnął ręką. – Mógłbyś być moim synem. Ja mam siedemdziesiąt trzy.

Mieszkańcy Dziewiątki nie mogli uwierzyć, jak wiele życia buzuje w tak wiekowej osobie.

– Co do Czechów – mówił dalej Milowicz – w głowach im się poprzewracało od kiedy zalegalizowali u siebie narkotyki, zdaje się jakoś na początku wieku. W latach trzydziestych było u nich najwięcej ćpających w całej Europie. Nie słyszeliście o skandalu, kiedy w telewizji pokazywali naćpanego polityka, co to wariował w ich parlamencie? Czego oni was uczyli w tym schronie? To było jedno z najbardziej znanych wydarzeń w swoim czasie. Każdy znał jego nazwisko – Létatik. No a później wpadli na pomysł tego muru...

– No właśnie, o co chodzi z tym murem? – rzekł David. – Gdy tam weszliśmy od razu zaczęli do nas strzelać. Zamordowali... – przełknął ślinę – piątkę ludzi. Ot, tak...

– Podobno ubzdurali sobie, że Polacy, tak silnie wspierani przez USA, będą chcieli ponownie do nich wkroczyć jak w 1968 roku. – Wzruszył ramionami Milowicz. – No i zaczęli budować swój „Czeski Mur".

Westchnął.

– To zawsze było osobliwe państwo. Przez lata nie angażowali się w żadne działania zbrojne. Żyli sobie spokojnie. A jak już zaczęli spadać, to na łeb na szyję. Chociaż nigdy nie słyszałem o polskich ofiarach po czeskiej stronie... A nie, przepraszam – były ofiary. Zaraz po igrzyskach. To też było głośne...

– Powiedz nam coś więcej o schronie, o którym wspomniałeś – rzekł Ariel.

Milowicz usadowił się wygodniej w fotelu.

– Podejrzewam, że nie różni się wiele od reszty z projektu „Przetrwanie". Wszystkie były budowane według jednego planu. Ludzie opuścili go już dawno temu. W tym ja. Nie zagrażało nam promieniowanie, więc postanowiliśmy zobaczyć świat po wojnie. Próbowaliśmy dotrzeć do Warszawy, ale natrafiliśmy na Kiboli. W drodze do Krakowa przepędzili nas Chińczycy. Na Śląsku... wiadomo. Dotarliśmy tutaj. Do Koniecpola. I chyba faktycznie to jest koniec dawnej Polski.

Chwilę ciszy wypełnił kolejny daleki grzmot. Milowicz kontynuował:

– Górnicy na obrzeżach Śląska to już nie ludzie. Zresztą, sami o tym wiecie. Podobnie Górale. Słuchałem opowieści ludzi, którzy jakimś cudem zdołali dotrzeć w Tatry, do Zakopanego. Górale uciekli w góry, ale opad radioaktywny znad Kog–u doleciał. Zmienił ich jak Ślązaków, choć nie w takim stopniu. Większy wpływ wywarł na zwierzęta. Zmutowane zwierzęta wielkości ciężarówki, ogromne ptaki i inne ustrojstwo. Wątpię, żeby gdziekolwiek dalej stąd istnieli jeszcze prawdziwi Polacy. Brakuje jedynie, żebyśmy zaczęli się nawzajem pożerać...

Obywatele Schronu Numer Dziewięć spojrzeli po sobie. Milowicz zauważył.

– Co? – zapytał.

– Obawiam się, że to już się dzieje – rzekł Ariel.

– Co się dzieje? – Milowicz zmarszczył brwi.

Ariel wyciągnął z kieszeni pistolet Andrzeja Niewolskiego. Ryszard Milowicz znieruchomiał, lecz Ariel uspokoił go, kładąc broń na stoliku przed sobą.

– Kanibalizm – powiedział. – Historia tego pistoletu to potwierdza.

I wspólnymi siłami opowiedzieli o tragicznym życiu Andrzeja Niewolskiego. Milowicz sprawiał wrażenie wściekłego. Gdy jednak odezwał się, wyczuli, że był

wyraźnie poruszony. Najwyraźniej jego twarz tak właśnie wyrażała wzruszenie i niedowierzanie. Powiedział po długiej chwili milczenia:

– Wojna nie zniszczyła wszystkich miast, ale ludzi. Dosłownie i w przenośni.

Przerwał i w skupieniu upił łyk swego wywaru z mięty. Chwila ciszy trwała jeszcze dłużej. Nie zagrzmiało.

– „Miejsce na mapie, gdzie kończy się papier, gdzie farba się zmywa – Polska się nazywa". O, tak... Polaczki przez lata nie chcieli przyznać się przed sobą do tej oczywistej prawdy. Łgali sami sobie przez lata. Byli wrzodem na tyłku Europy, Rosji i jej Paktu, a później Cesarstwa. Kombinowali, oczywiście, jak zawsze, dlatego sporo ugrywali. Gdy po wyjściu z Unii Ameryka znowu zaczęła pompować w nas swoje dolary, myśleliśmy, że złapaliśmy Boga za nogi. Co za obłuda!...

Milowicz oddychał ciężko. Otarł zniszczone czoło i podrapał się jasnej brodzie.

– Przepraszam was. Uniosłem się. Zżera mnie złość. Na siebie, o swoją głupotę. I że muszę tu żyć z ludźmi przesiąkniętymi do szpiku kości tą „świetnością", jak mówią o przedwojennej Polsce. Do czego doprowadziła ta „świetność"? Że teraz ich wnuki nie mają rodziców? Że muszą tu gnić? Że nie mają żadnej przyszłości? W imię czego?! Cholerne, stare graty... – dodał.

Sześcioro ze Schronu Numer Dziewięć spoglądało na niego w milczeniu. Milowicz głęboko westchnął.

– Jeżeli chcecie, ryzykujcie. Do Czwórki nie jest daleko, ale musicie być bardzo ostrożni. Chińczyki mogli tam dotrzeć już dawno, nie mówiąc o zajęciu go. Dam wam mapę, żebyście wiedzieli, gdzie szukać.

Dźwignął się i podszedł do niszczejącej komody. W czasie, gdy przeszukiwał kolejne szuflady, odezwał się Dziadek:

– Wspomniał pan o dzieciach. To te, które widzieliśmy pod domem naprzeciwko?

– Te same – odparł Milowicz, pochylając się ku ostatniej szufladzie.

– Co się stało z ich rodzicami?

– Kibole – odrzekł Milowicz, prostując się. – W tym, niestety, są skuteczni. W zabijaniu Bogu ducha winnych. Swoją drogą, nasi mogli zostać z dupą na miejscu i nie pchać się do walki z tymi idiotami. No, i okazali się nie mniejszymi od nich. Staruchów nie chcieli brać ze sobą. Poszli sami i ślad po nich zaginął. A my nie możemy nawet zacząć ich szukać.

– Dlaczego? – zapytała Oliwia.

– Bo jesteśmy starymi prykami. – Milowicz usiadł ciężko w fotelu. – Ot, i cała prawda. Ale przenieść się i tak musimy, a te stare, uparte graty nie chcą. Tkwią w swoich idiotycznych przekonaniach.

– Czemu musicie się przenieść? – rzekł Ariel.

– Mój Geiger wykrył, że woda zawiera coraz większe dawki promieniowania. Podejrzewam, że skażenie ze Śląska przedostało się w końcu do podziemnych źródeł. Długo było w miarę dobrze, ale... musiało do tego dojść. Ci idioci chcą tu jednak pozostać. Twierdzą, że nie chcą się ruszać, że starość na nich weszła. Cholera... Każdy z nich jest co najmniej piętnaście lat młodszy ode mnie. Mają wspólnego wroga, a

walczą ze sobą. W ogóle nie myślą o młodych. Ach... – przerwał nagle coś sobie przypominając – no tak, dzisiaj mamy naradę. Dobrze, że jesteście, może razem uda nam się ich przekonać. Możecie zostać u mnie na noc. Jutro ruszycie w dalszą drogę.

Mieszkańcy Dziewiątki spojrzeli po sobie. Kolejny grzmot przypomniał o zbliżającej się powoli burzy. Uznali, że nie ma co walczyć z naturą.

– Dziękujemy – rzekł Ariel.

– I dobrze – odparł Milowicz i wychylił się do niego, wręczając mu mapę. – Proszę, to dla was. Jest podniszczona, ale czytelna. Mnie się już nie przyda.

– Będziecie wiedzieć, dokąd się udać?

– Tak, znam te tereny.

– W takim razie dziękuję.

– Narada jest dopiero wieczorem. Zaraz mają przyjść dzieci, poznacie ich. Inteligentne, mądre dzieciaki, naprawdę mi ich szkoda...

I jakby na zawołanie rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę! – krzyknął Milowicz i szybko zgarnął broń ze stołu, podając ją Arielowi. – Schowaj.

Drzwi się otwarły i do wewnątrz wpadło czworo maluchów.

Trzech chłopców mniej więcej w jednym wieku i starsza od nich dziewczynka tylko na pierwszy rzut oka – i to z daleka – sprawiali wrażenie w pełni zdrowych. Owszem, nie zostali poddani okrutnej mutacji jak Ślązacy, ale też nie byli okazami pierwszorzędnego zdrowia. Ziemista cera, niski wzrost, drobna postura – te cechy mówiły o nich wiele. Zgodnym chórem powiedzieli: „dzień dobry, dziadku Ryśku", a teraz stali w szeregu przy drzwiach ze strachem wymieszanym z zaciekawieniem spoglądając na sześcioro z Dziewiątki.

– Witajcie, dzieci – rzekł Milowicz, wstając. – Wchodźcie, nie bójcie się. Ci państwo to moi przyjaciele, nie zrobią wam krzywdy.

Dzieci niepewnie, jedno za drugim podchodziły do Milowicza, nie spuszczając jednak wzroku z nieznajomych.

– Usiądźcie tutaj. – Milowicz rozłożył na podłodze wypłowiały koc. – Co dzisiaj porabiałyście?

– Bawiliśmy się – odrzekł jeden z chłopców, wykręcając szyję, by dostrzec siedzącego za nim Daniela, którego ramię miało większy obwód niż całe ciało malucha.

– W co się bawiliście?

– Najpierw w „rodzinę w schronie", a potem w berka – odparł chłopiec o jasnych włosach.

– Justynko, przeczytałaś coś swoim braciom?

– Tak, dziadku – powiedziała dziewczynka, odwracając wzrok z Kapłana na Milowicza. – Czytaliśmy wiersze.

– Jakie?

– O kaczce, i złotej rybce, i... o rzepce?

– Tak, o rzepce – przytaknął Milowicz. – A czego się dowiedzieliście z wiersza o rzepce? Mateusz?

– Że żeby wyrwać coś z ziemi trzeba wielu ludzi? – odrzekł milczący dotąd, piegowaty chłopiec.

– Jeżeli jest to coś dużego i wymaga siły, to tak, masz rację. Ale czego jeszcze uczy ten wiersz?

– Tego, że żeby coś osiągnąć trzeba sobie pomagać – odparła Justynka. – Tak jak dziadek pomógł babci…

– A wnuczek Mruczkowi!… – krzyknął najdrobniejszy z chłopców.

– Jasiek, nie wchodź w słowo siostrze – strofował go Milowicz.

– Przepraszam…

– Poza tym to nie wnuczek ciągnął Mruczka, tylko…

– Mruczek wnuczka! – chórem dopowiedziały dzieci.

– Dokładnie – potwierdził Milowicz. – Justynka ma rację i wy zawsze o tym pamiętajcie. Wspólnymi siłami zawsze osiągniemy więcej niż w pojedynkę.

– Nawet jak wszyscy na koniec wywrócą się? – zapytał piegowaty chłopiec.

– Tak, Łukaszu, nawet wtedy. Bo wspólna praca, nawet okupiona pewnym wysiłkiem czy poświęceniem, czy nawet upadkiem, ale wykonywana razem, zawsze przyniesie wam więcej pożytku niż zmaganie się z czymś trudnym i wymagającym samemu. Zawsze o tym pamiętajcie. Razem możecie więcej. Razem przetrwacie wszystko.

Milowicz zrobił chwilę przerwy, żeby dzieci poukładały sobie wszystko i pomyślały przez moment nad jego słowami. Ale nie tylko dzieci miały nad czym rozważać.

– No dobrze. Posłuchajcie tej opowieści: plastikowy żołnierzyk został wysłany na front zabawkowej wojny. Szedł wiele dni, pokonał wielką odległość. W końcu był bardzo malutki i miał króciutkie nóżki. Dlatego szedł bardzo długo. Gdy wreszcie dotarł na pole bitwy i rozejrzał się wokół siebie przestraszył się tak bardzo, że zawrócił i uciekł z powrotem do domu. Kiedy dotarł do domu zamknął się w swoim pokoju i myślał. Nie mógł pogodzić się ze swoim tchórzostwem. Z tym, że zostawił swoich przyjaciół na pastwę losu. Siedział i myślał tak długo aż stał się dorosły. Jak myślicie, co go dręczyło?

– Wyrzuty sumienia? – zapytała Justynka.

– Dokładnie tak. Wyrzuty sumienia męczyły go tak bardzo, że postanowił wrócić i pomóc swoim przyjaciołom. Gdy znowu dotarł na pole bitwy zobaczył, że wojna już się skończyła i nikogo już tam nie było. I odtąd wyrzuty sumienia dręczyły go jeszcze mocniej, bo nie wiedział, co stało się z jego przyjaciółmi. Jak myślicie, co wtedy czuł?

– Był smutny – powiedział mały Jasiek.

– Co jeszcze?

– Był zły – dodał Mateusz.

– Tak?

– Był zły na siebie – powiedziała Justynka. – Mógł pomóc swoim przyjaciołom, ale uciekł.

– I przez niego przegrali bitwę – dodał Jasiek.

– Nikt nie powiedział, że przegrali bitwę – odparł Milowicz. – Ale to możliwe. A kto na pewno przegrał swoją bitwę?

Pytanie okazało się zbyt trudne.

– To plastikowy żołnierzyk, który stchórzył i uciekł do domu przegrał swoją bitwę. Bitwę ze strachem, ze swoimi słabościami. Zawsze pamiętajcie – musicie być odważni, ale mądrze odważni. Nie bójcie się stanąć do walki, jeśli to konieczne. Wasz honor, wasza godność to wszystko, co macie. Pamiętajcie – nigdy nie zaczynajcie walki, zawsze ją kończcie.

Milowicz spojrzał po siedzących w skupieniu dzieciach.

– No dobrze, posłuchajcie takiej opowieści: była sobie żabka, która szła powoli alejką w parku. Alejka jednak była nowa i beton, którym została wylana jeszcze nie zdążył wystygnąć. Żabka była zamyślona i nawet nie spostrzegła, że wpadła w kłopoty. O czym mogła myśleć?

– O tym, co zje na śniadanie? – podsunął Łukasz.

– Tak, o czym jeszcze?

– O swoich braciszkach… – rzekł Mateusz.

– … i siostrze! – dodał mały Jasiek.

– Tak. Mogła myśleć o tym wszystkim. I tak myślała, i myślała, i w tym zamyśleniu spostrzegła, że jej małe łapki ugrzęzły w betonie, który zdążył już stwardnieć. I nie mogła się ruszyć, bo była malutka, a betonu było bardzo dużo. I tylko jej główka została na wierzchu.

Milowicz zrobił chwilę przerwy.

– Czy wydostała się z betonu? – zapytał Łukasz.

– Tak, wydostała się. A wiecie jak? Pewien królewicz, który szukał ukochanej, zauważył uwięzioną żabkę. Wiedział, że musi całować każdą żabę jaką spotka, bo tylko wtedy żabka zmieni się w księżniczkę z jego snów. Więc pocałował ją w główkę i…
żabka zmieniła się w królewnę. I wówczas beton nie był już dla nich żadną przeszkodą. Odkuli się z niego i razem ruszyli w świat.

– Jak żabka zmieniła się w królewnę? – zapytał Jasiek.

– Dzięki magii. Magii miłości…

– To ludzie umieją… „magikować"? – zastanowił się jasnowłosy Mateusz.

– „Magikować" może i nie. Ale czarować – jak najbardziej…

– My też to potrafimy?

– Każdy człowiek, jeśli tylko chce, może mieć magiczną siłę. Pamiętacie magiczne słowa?

– „Proszę, dziękuję, przepraszam"! – chórem odrzekły dzieci.

– Właśnie. Nigdy o nich nie zapominajcie. Dawno temu znaczyły więcej, później nie znaczyły nic. Teraz… nie można o nich zapomnieć.

– W co jeszcze ludzie potrafili się zmieniać? – rzekła Justynka.

– W różne zwierzęta. Ale najczęściej był to osioł.

Mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć zaśmiali się. Dzieci spojrzały na nich, nie rozumiejąc. Na zewnątrz zagrzmiało. Milowicz nieco spochmurniał.

– Na koniec opowiem jeszcze jedną, krótką historyjkę – powiedział. – Byli sobie chłopiec i dziewczynka. Znali się już tyle czasu, że kiedy przyszła wojna… – zatrzymał się. Przetarł dłonią czoło. – Przepraszam… kochali się bardzo. I całą swoją miłość postanowili zamknąć w drewnianej skrzyneczce. Lecz miłość, jeśli jest prawdziwa, jest gorąca i płonie. A ta była prawdziwa, więc drewniana skrzyneczka nie była dobrym pomysłem… nie sprawdziła się…

Ponownie przerwał. Nie tylko dzieci patrzyły na niego ze zdziwieniem. Milowicz patrzył w jeden punkt na podłodze z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Dziadku… – Justynka ciągnęła go za nogawkę. – Dziadku…

Milowicz ocknął się.

– Przepraszam was, kochani… – odetchnął głęboko. – Zmykajcie już do domu. Zbliża się burza. Jutro dokończę wam tę historyjkę…

Dzieci wstały, a każde z nich Milowicz przytulił mocno do piersi. Później zgodnym chórem rzekły: „do widzenia" i opuściły dom.

Mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć byli odrobinę skonsternowani nagłą zmianą nastroju o Milowicza, z której po chwili sam się wytłumaczył:

– Nie wiem co powiedzieć – zaczął – głupio mi teraz. Czasem wracają wspomnienia. Stare dzieje. Ale bywają bolesne. Wybaczcie.

– Nie mamy ci nic za złe – rzekł milczący dotąd Kapłan. – Tym maluchom jesteś winien przeprosiny, nie nam.

Milowicz skinął głową.

– To prawda. Biedne dzieciaki. Nie zasługują na takie życie.

Westchnął.

– Jest jeszcze trochę czasu aż przyjdą te cholerne pryki. Pozwólcie, że coś wam odtworzę.

Wstał i podszedł do szuflady, z której wcześniej wyjął mapę. Wyciągnął srebrne, niewielkie urządzenie.

– To dyktafon – wyjaśnił Milowicz. – Jest na nim relacja z tego, co działo się na Śląsku zaraz po wojnie. Ach, bym zapomniał – znacie angielski? Głupie pytanie, wiem, ale nagranie jest po angielsku.

– Tak, uczyli nas w schronie – odparł Ariel.

– To dobrze, bo nie mam siły tłumaczyć. Posłuchajcie.

Ryszard Milowicz wcisnął przycisk na dyktafonie, który jakimś cudem ocalał w wojennej pożodze. Przymknął oczy. A oni wsłuchiwali się w dźwięczny głos młodego żołnierza, świadka tragedii. Innej i tej samej ofiary wojny.

ROZDZIAŁ 4
Coyote – „Bad decisions. The aftermath”

“You gotta be shitting me!”, that was the first thought that came to my mind when Major Rucinski ordered me to enter the radiation zone.

“I know this mission puts you soldiers at great risk. But this is the only way to see if any of our man are still alive out there.”

“Sir you understand that…”

Major interrupted me at once: „Yes, I do understand that the radiation there is about 20.000 Radians but we’ve got the equipment which will keep you safe from this. Beside, the explosion took place about 7 days ago and the wind changed the course of the radiation cloud to the south.”

I still couldn’t believe that Rucinski was asking me to enter the radiation zone – the place which was probably totally destroyed by the nuclear weapon used against – what government called – terrorism. There hasn’t been any message or sign of life from there since the explosion. And the radiation was so high, that if I got my anti–radiation suite ripped just a bit, I would die from leukemia within next 3 days.

“Are you listening corporal?”, asked the major – sounding angry.

“Sir, yes sir. Where exactly are we going?”

“Well, the place that used to be Katowice. You will land in the city centre right next to the roundabout. If there’s still such a place as the roundabout. Our station was about 10 km from that point.”

“So why don’t we land right there?”, I asked having a strong feeling that the answer will depict some kind of extreme obstacle on the way between our landing point and the destination.

“There were lots of brigdes and underground excavations there. Basicly, the whole city is one big coal mine – and the explosion could destroy it all – the helicopter cannot land on a ground that may fall down right after. You will land on the closest safe place to your destination point.“

When I was listening to him, I thought about all the people that suffered from this government’s decisions. Yeah, installing those American anti–nuclear shields was the best idea but… well… who could think that one day Americans will just use them. I mean, it’s obvious that some afro–american guy would care about some Poland place in the middle of Europe. And yet, they did not like having Russian atomic bomb kicking their asses. I guess people have just stopped caring about each other 7 days ago.

“I’ll give you five men, corporal. You won’t need more cause, let’s face it – nobody’s gonna attack you there. There’s one more thing…”

Yeah, I love those “one more thing” speeches. It’s like you wake up in the hospital and the doctor’s saying “The dog attacked you – you’ve got no arms and no legs. Oh and there’s one more thing – it ripped your balls off”.

“What thing?”, I asked not caring anymore about “sirring” the guy again.

“The helicopter that will transport you there, will not be waiting for you. The pilots will be wearing the suits as well, but the machine has no anti–radiation shield whatsoever. You’ll call another one by the radio. And if you don’t, it will come to get you anyway from the same landing point about 10 hours later. It will wait for you for about 1 hour. If you don’t show up, we consider you dead. The machine will be burned right after it leaves the radiation zone.”

“Oh yeah, that makes me feel like I’m coming there to visit my grandparents”, I thought. But instead of saying that, I told the stupidest thing I could think about: ”I’ll do it, sir.”

“Private Slowinski is going with you. Yeah, I know he’s annoying but he’s the best radio operator we have now. If something goes wrong, he’ll tell some idiotic joke but then will be able to call immediate evac”.

Slowinski was one of those guys, which can be funny and rude at the same time. Nobody really liked him and that’s because of his way of joking around. He could tell you that your mother is being fucked by the dog as we speak but in a way that you would laugh and then add something like: “I never thought my father–in–law would have a tail and react to the name Fluffy.” But he was good at what he was doing. He saved some asses in Korea and Israel and although nobody likes his company, everybody DOES respect the guy.

Major stood up, shook my hand like I just won the Noble prize and said: “Good luck, corporal. I hope you bring are guys safe and sound. But not at all costs. Remember that your suits are able to stand the radiation up to 30.000 radians. If the Geiger counter shows even one point higher – you won’t be coming home for dinner, soldier. So this counter is now your best friend.”

“Yeah”, I thought, “that really sounds like winning the Noble prize. Only the difference is that right after receiving this golden shit I’d be throwing up, twitching and then vomiting again till I drop dead.”

When I left and closed the door, I overheard a conversation between Major and some authority guy. Actually, I could hear only this: “No, sir. I don’t think they’ll be coming back. But we have to take that chance.”

*

I’ve always hated flying. Being about 20 meters above the ground makes me dizzy and now I have to be 2 kilometers above the surface. But today I wasn’t really paying much attention at this. 7 days ago my country was bombed by the splinters of Russian nuclear weapon and has to suffer from the radiation. And it’s just the matter of time when the radiation will spread throughout Poland. We watched the news before the flight and pictures I saw there were like a very good Hollywood production. There was no such city as Warsaw anymore. There were only streets covered with

soot, people screaming to the heaven before they died. And now I have to go there, and search for some people who, if miracles happen, had survived this catastrophe. There were 3 explosions. I was lucky, Gdansk was not even touched by any of those but whole Silesia and Middle Poland were actual graveyards.

It is the time when I was ashamed of being one of the human race. I was wondering, how people responsible for that can sleep at all – being responsible for every person who's choking to death because of the disease or whose entire family was wiped out from the face of the earth within 10 seconds. Still, those motherfuckers get up every morning, put on their fancy shmancy suites and look in the mirror without a single blink. And yet, we are the same animals – same heart beats, same brains, same needs. I had a fever – suffering from stress and anger… and from the fact that I realized how small I was. I opened my wallet with a picture of my girlfriend and my dog – before the next question – my daughter asked me to keep a photo of our dog in a wallet so I protect him by thinking of him. Its silly but who could say no to 6 year old child?

"Whooo, your girlfriend sure needs a barber", said Smolinski, "and who's this pretty girl on the other photo?"

I decided to play his game: "It's your matter 15 years ago – she told me to keep it so that I remember how good humpin' her was."

"No it's not her. Even now, when she's 55, she's way out of your league, man", Smolinski said and wasn't even hiding the fact that this conversation was entertaining him like hell.

"Hey guys, look! If God exists, he must be on a break now", said Bujas with eyes glued to the window. We all joined him in watching the outside world.

It was a view we never wanted to see. Something that used to be a small city of Tarnowskie Gory. The sky was grey – everything down there was like taken from black and white movie. Hundreds of bodies on cracked streets – rottening, some twitching. Some people still running around with tissues covering their mouths – like it would help somehow. The pilot was now flying closer to the ground so we could see what are we going to deal with there. Windows were broken in all the buildings that stood their ground. But most of constructions collapsed as if they were built out of sand. Then we saw this little girl pointing at our helicopter, screaming – or rather trying to scream something. Her face was pale and her eyes were bleeding severely. Tens of people walking around like zombies, throwing up every 15 seconds, looking for God knows what – or just waiting to die. The explosion took place in Bytom – about 8 kilometers from the centre of Tarnowskie Gory. The radiation there must have been like 15.000 Radians. In that case, the strongest organisms could survive for about 10 days. And they were – 8 days after the end of the world and we were watching last men there standing.

"How this little girl survived so long?", I asked almost proud of that child with eyes bleed.

“Must have been very healthy before this happened. Maybe she had access to food, maybe she was in some kind of deep basement or something. But this is not doing her any good. The longer she lives, the more she suffers“, Bujas said.

“I’m surprised so many people are still alive – provided that this can be called living”, added Komarninski – our medic.

“Being so close to the explosion, probably most of them have gone blind. Those choking are simply havin’ lung or larynx cancer.”

“So fast?”, asked Smolinski.

“Radiation causes severe forms of cancers or leukemia. This process can do the man even in 2, 3 days. In normal circumstances I would say those people are lucky to have been living for such a long time. But now I just pray for their quick and as painless death as possible. Remember gentleman, you get one scratch or you expose an inch of your body in the radiation zone and this is what you’ll be looking like after few days”, added Komarninski. Our medic was shaking like a jelly and couldn’t stop sweating.

“We’re about 10 kilometers from the landing point. Hope everyone’s wearing the suit”, said the pilot.

Smolinski didn’t loose his sick sense of humor even after what we had seen.

“So guys, after this lovely trip, what would you choose to grow out of your body – third leg, hand or second head? Komarninski – you might want a second head – and hope that that will be good looking for a change”, Smolinski was laughing like a baby. Komarninski didn’t even move.

“You know there’s a new song by Rolling Stones!”, he shouted out of nowhere. “What song?“, asked Komarninski.

“It’s called Go and fuck yourself, Smolinski”, replied Komarninski.

“Yeah, I heard that one – it’s good”, I added at once. Smolinski was still laughing. Apparently, nothing could stop his sick mind.

Only one soldier was sitting quietly all the time. Actually, he was only whispering something to himself. He looked scared.

“What’s with him?”, asked Smolinski.

“Nothing, sir. I was… I was just wondering… if there’s even a small chance we’re coming back from this mission.”

Kowalski added: “Yeah, I mean, how do we know that anybody’s alive out there? Why would they send us on a mission like that? They saw the TV news, they know the risk and they know the damage. And yet…”

“Enough!”, I screamed. I just couldn’t stand this whining any longer. “They gave us an order so we do it, okay?”

“Sir, yes sir”, he replied at once, but I kept talking:

“I have no idea if anybody survived this shit. But that’s why they call us soldiers. We do all the dirty work which a regular shit eater wouldn’t even touch. They pay us for it, so we do it. If you were looking for a nice job without getting your hands dirty, you should’ve learned to sing and go to Las Vegas or Azow City. But for now, shut the fuck up and concentrate.”

Kowalski and Janiak turned white. They looked like the radiation sickness already got them and they're about to pass out. I decided that I should say something more. All in all, if we all don't stay calm, we'll all die.

"Listen, both of you. I know how scary the whole idea is. And can't lie to you – the risk is absolutely great. But we're wearing our suits, and we have each other. We've been trained to do shit like this. You know what your job is and if we all stick to our duties, we'll turn out fine, ok?"

"Yes, sir", the radiation sickness faded away from their faces.

"Yeah, and if something goes wrong, I'll give you the chance to call your folks and tell them that you are engaged and her name is leukemia", said Smolinski laughing again.

"Shut the fuck up", I shouted. Smolinski shut his mouth like he just got punched in the face.

"I don't fuckin' care if you like to joke around in a situation like this. And I don't care why are you such a sick fuck and nothing stops you from going. And if you say something like that one more time, I'll blast your balls off, understood?"

"Yes, sir", Smolinski replied like trying to avoid trouble. And for the first time since getting on the helicopter he stopped smiling.

"We'll reach the destination in two and a half minutes. Get ready", said the pilot.

"Okay guys, let's roll. Watch your suits – one scratch and you're history", I said.
I couldn't worry about their morale anymore. I was too interested and too much afraid of what I was going to see.

*

The helicopter landed softly, which appeared to be a good sign. I took one more look at my team. Smolinski seemed ok, Komarninski was a little scared and the remaining two looked terrified.

"It's gonna be ok, people. Let's move!", I pushed the door. And what I saw behind that door was the last thing I would expect. And the thing I saw was...
absolutely nothing. Thick fog was covering everything. I wasn't sure that if I took one step ahead, I wouldn't fall in a crater or something. But I took it. Surprisingly, nothing happened. I looked down and saw something looking like grass. But it was black, and when I touched it with my shoe, I wiped the black thing and all there was left was a piece of dead grass. The rest of the team got out of the machine.

"Sweet chesus", whispered Komarninski. We came to him. "What?"

"Well, look around...", Komarninski pointed ahead. We couldn't see much, but that was about enough. We saw a piece of concrete, and a dirt road leading to this concrete street. And this whole road was filled with dead birds, flies, bees and dogs.

"Dogs died with their mouths open", Komarninski approached one of the dead animals and looked into their mouth. "They have some kind of green liquid coming out of their mouths. Now I have no idea what that means."

“That by taking this dog home rather than a healthy one will save you hundreds of dollars of dog food?”, Slowinski couldn’t help it. He was silent almost 20 minutes and that was killing him. But this joke was not a dig at anyone of the team saw I just ignored it.

The helicopter left the place and headed for the base.

“Ok I didn’t tell you that earlier but the pilot got scratched while landing”, said Kowalski.

“How?“

“He got scratched by some sharp thing attached to the window.”

Kowalski was now more than steady. He gave us the news like it was happening on a planet far, far away.

“The man is dead“, Slowinski said without joking this time. “He’ll be dead by next week.”

“No, he won’t”, Komarninski stood up and looked at us. “They will shoot him before he gets out of the helicopter… oh, come on… you know this shit. We all know that we will not be able to come back if we’re contaminated.“

The last sentence hit everybody like they heard it for the first time. But they all knew that the risk of infection is too great to even think about treating the poisoned.

“Shut up, can you hear this?“, Slowinski asked “It’s comin’ from those bushes.”

After few seconds everybody could hear some noise coming from the grey bushes. The bushes started to move faster and faster. Me and my squad took our weapons and pointed them at the grey plant.

Out of the sudden, some man came out of the bushes. He was bleeding severely from his eyes and nose and mouth. He had his clothes torn apart. And he was screaming or trying to scream but was coughing the whole time.

“Sir, stop… don’t move”, Smolinski said and loaded his machine gun.

“Hee… hee… me…”, the man tried to say something but he was choking…

“Sir, don’t come any closer or I’ll be forced to shoot you”, Slowinski had his gun pointed right at the man. But the man did not stopped. He was trying to run or walk very fast. He spread his arms like he was going to give Slowinski a hug.

“Sir, this is the last warning, don’t come any closer.”

The man did not react. He was about to touch Slowinski when he shot him. The man collapsed like a dead tree and hit the ground with his head. And when that happened, a stream of blood mixed with a green liquid came out of his mouth.

“Shit, oh shit, oh my fuckin’ God”, Kowalski was screaming and walking around like he was chasing his own tale. “We just killed a man that needed help. What the fuck did he do to you!”, Kowalski was screaming like a mad man.

“Nothing, man. But he could rip my suit and then ask for help. And then we both wouldn’t be comin’ home, would we?”

Bujas was silent during the whole situation. He got scared more and more because of the whole surrounding. Slowly but surely the fog was coming down and

soldiers could see more and more. And what they saw, stopped the argument and every other thought that was in or was about to be in their heads.

"Chesus fuckin' christ", thought Bujas while looking at what seemed to be Katowice.

There in fact was a roundabout. But now it was like 5 floors down in the tunnel that was under the roundabout. Tens of cars were still on the street with their doors open, some of them crushed by a concrete elements of the tunnel. Some bodies were lying on the street, many of them in their own vomits. The whole area was covered in a soot and dust. All the buildings had broken windows, shops were wide open. Few police cars were parked right in front of some shops. It looked like a frozen moments from some police operation.

We couldn't resist the feeling that the time stopped here many, many years ago. And all this happened just 8 days ago. In a range of about 300 meters we could see some silhouettes but we all agreed not to approach them anymore. Still in a light fog, we could see those people collapsing; we could hear their awful cough. Some of them were already crawling on the ground trying to get God knows where. I had this terrible feeling that I could do nothing about it. Here I am in my anti–radiation suit, walking around like it was some kind of a museum. Nothing could happen to me. And yet, I watch some people coughing their lungs out, vomiting, choking and being strangled by polluted air.

One man saw us and shouted: "Oh Good, soldiers! We're safe!" And started to run towards us. He looked silly. He was running like a shot duck, falling each 10 meters. He had vomit all over he's face and clothes, and yet he looked happy. He was convinced that the salvation is here and the moment he shakes our hands, this whole sickness and nuclear madness just takes its stuff and walks away. And I knew how much his world is going to collapse as soon as he is close enough to point our guns at him.

"Sir... sir... thank God... I... I thought...", he was now walking, but Slowinski and Komarninski were holding their guns like that guy was a 1939 Nazi soldier.

"Sir, stop walking in our direction", Slowinski ordered.

"What? I mean, you came to save us, right?"

"Look around, man. Does it look like there's anybody to safe?", Slowinski was just using his nicest voice.

"Slowinski, shut the fuck up."

I took 3 steps forward, stopped.

"Sir, the whole area is contaminated. The only people who could have survived are soldiers and we're here to check if they're ok", I hated myself for things i had to say.

"What about us? My whole family died, I'm alone but I'm still alive. I mean, You can help me right?", he's eyes were full of hope. Now I'd rather disappear or die than say anything more. But I didn't have a much of a choice.

“Sir, I’m afraid there’s nothing we can do. This area is so contaminated that nobody here will stay alive.”

“You mean, you let me die down here?”, he was about to cry. But instead of tears, little drops of blood were coming from behind his eyelashes.

“Yes, you’re gonna die”, Slowinski said since I couldn’t say a word now. “You’re suffering from a severe leukemia. In about 24 hours your organism will not have any red blood cells at all and you will die from internal bleeding.”

The man looked at him like he was looking at Satan coming for him in this man’s lowest.

“No! You can’t leave me here! It all happened because of you! You motherfuckers!”

All of a sudden, the guy was started running towards Slowinski. He took his gun immediately but it was jammed and there was no way he could shoot the guy. Komarninski just did not shoot. And we couldn’t quite figure out, why.

“You take me out form here you shitheads!”, the man was shaking Slownski, started punching him. Slowinski was so afraid of his suit that he let the guy do whatever he wanted and decided not to make any sudden moves. And then one shot stopped it all.

“He’s down, sir”, said Bujas still holding his finger on the trigger. I thought the silence that came right after the shot, would smash my ears. The man fell on the ground without a life inside already. Slowinski was standing like he became salt.

“Ok guys, let’s move”, I ordered. But it sounded so stupid and so unconfident that nobody really registered this message.

“So anybody wanna tell what the fuck we are here for? To shoot those still living here? To watch this and then write a diary or something?”, Kowalski was pissed off now. He looked at the sky, then on the body. Maybe he was saying some kind of prayer or something, but I couldn’t tell for sure.

“Well, this will happen a lot down here, people”, Komarninski added.

“But this doesn’t make sense. Why would soldiers…”, Bujas could not finish his thought.

“Because they had suits in the base. That’s why”, Komarninski seemed untouched by the course of events.

Bujas looked at him: “Then what the hell we’re supposed to do now? I don’t think I can…”

“Well, who wants to hear something funny?”, asked Slowinski keeping his hands on his suit.

“Would you just stop…”, I momentarily stopped talking and we all stopped thinking. We just stared at Slowinski. He was looking on his suit and keeping his one hand… on a hole in the suit that so far had been saving his life…

*

A light wind was coming from the south. The sky got a bit darker. This wind lifted some soot and now it looked like a white curtain was about to cover this destroyed world. From time to time there was a sound of a piece of a window breaking on the pavement, or a tree branch falling on the black grass, which did not react to wind at all. There were some doors opening and closing every time the wind wanted them too. With the city now so quiet, that was an extremely loud sound – and the only sign of a movement. There were some people in their cars – but not willing to go anywhere anymore. Some of them were still holding their wheels as if even after they had died, they still had a hope to get somewhere on time. There were lots of cars on the main street of Katowice. Most of them completely covered with soot. Some of them crashed with other, some of them completely smashed by the heavier ones. The sky decided that it was the time to cry upon this silent city. Little drops started to come down from the sky. Little, black, dirty drops were hitting roofs, broken windows, pavement, dead bodies…

And there were 5 soldiers staring at one of them. They did not notice the black rain or the wind. They were just staring at one of them. The one they were staring at was still holding his hand on his suite which did not protect him from the outside world anymore. Little black drops were falling on their helmets, their masks and suits…

“Well, I tell ya, I did not see that coming”, Said Slowinski.

“I’m sorry, man… I don’t know why I did not shoot him. I just could not shoot other human being. But I know I should have.”

“What difference does it make now? I’m dead.”

“Maybe we could call the helicopter and get help before it’s too late?”, Bujas looked at me full of hope.

“They won’t help him and you know it. They will not let any infected people out of the zone”, I said. I was surprised how steady I was about this. I was boiling inside but none of this made it through my lips.”

“OK, guys, let’s not make this situation worse. I don’t wanna hear this bullshit anymore. This is just a small crack and it didn’t even reach me. So let’s roll”, Slowinski started to walk in a direction of the base.

“But sir…”

“Don’t”, Komarninski interrupted him at once. “He knows what’s going to happen. He just does not want to believe it. Don’t waste time on convincing him about the inevitable. He wants to make himself useful while he still can.”

We all started walking.

“Shit, it’s a black rain”, Komarninski finaly noticed the phenomenon. “We must hurry!”

“Why is this shit black?”, Bujas asked.

“Did they teach you anything?”, Komarninski was angered by constant, silly questions. “It’s black because the stratosphere is cleaning up from the acids, sots and dust from the explosion. And this black shit is as radioactive as the air around. And

that means if somehow the explosion or the radiation did not kill our people, this certainly will. Enough of this bullshit. Let's roll", Komarninski walked faster now, passing Slowinski and shouting something about how fast we ought to move now.

We were walking very fast now. We were passing the city which now looked like a construction yard, where something had gone wrong. There was a piece of a poster with a child missing on it.

"Yeah, everybody's gone cause they're lookin' for the kid I'm sure", Slowinski said. Bujas looked at him like that was the first cruel joke Slowinski told. But it did not surprise me. There was absolutely no situation so untactful that Slowinski would keep his mouth shut. The difference was that now nobody had said anything about it. Everybody just thought "let him go" and moved on.

We were walkin along Korfantego street, which must have been a pretty busy place. Now it was just a place with two wrecked buses and tens of bodies inside those machines. Some passengers were already half–rotten. I thought that nothing is worse than having no choice – no way to escape, no time to decide and they only could meet what was coming to them.

I looked at the Geiger counter. It read 10 degrees – which is 10.000 Radians. The radiation was decreasing but we knew that it will not disappear in many, many years. We saw a marketplace, billboards which were about to fall apart or already did. Tons of fruits and vegetable lying on the street, police cars with doors open.

"Fuck!", Slowinski shouted and started taking off his helmet.

"What the fuck do you think you're doing?", Bujas was approaching him.

"I'm dying you shithead! So if you don't mind…", Slowinski took off his helmet and took a deep breathe. The scene scared us all. We could not believe he did it.

"OK guys, it smells like a hamper in here. And this wind does not feel very good. Hey wouldn't it be funny if this gave me cancer? Oh… right."

We were staring at him like if he was dying already. And yet, he was making all those jokes without caring. Then he went down on his knees and threw up so badly, we thought he was pulling his lungs through his mouth.

"How much time do I have Komarninski?", Slowinski asked in a cold manner.

"Depends on your system. It may be week, it may be 48 hours. But it's been 3 hours and you're already having some symptoms so I guess the contamination is spreading really fast in your body."

Komarninski served him all those facts like he was talking about some kid in Africa. But he was talking about his mate, about his brother in arms.

"Well then everybody listen! Don't take your helmets off. If you do, I'll be able to see your faces – ergo, I'll be vomitting twice more often so before you do it – think about me – This radiation is killing me. But do not support it."

Bujas couldn't help it. He started laughing. Then we all did. This whole situation scared the shit out of us but we could not stop laughing. Slowinski was telling those jokes while dying and we were still laughing. I guess, everybody was happy that they're not Slowinski. They were not going to make any jokes – but if he did, and he's

the one dying, then let him enjoy himself. But first and foremost, we were all glad we were not him.

"Thank you", said Slowinski. "You were a wonderful audience. But it's now time for me to find some soldiers and suffer from internal bleedings! Good night New York!", and he started moving.

We all got used to the situation. Slowinski was throwing up every hour, he walked slower and slower. But he was still funny like he did not care about what was happening to him. We all knew he's not coming back with us. And we knew that the moment would come, when somebody would have to do him.

*

The structure seemed intact more or less. Military buildings were built to survive such catastrophes. It looked like this base was built there day after the end of the world. It was facing destroyed streets, broken windows, rotting corpse, raw sewage, dead trees and plants.

Slowinski fell on the ground and threw up again. We looked at each other. We knew the moment is coming. The Geiger counter showed now 12.000 Radians. The Radiation was much higher here.

"Is he dead?", Bujas looked at Slowinski.

"You wish, bitch…", Slowinski mumbled through his vomit. "OK, gentlemen, it doesn't seem like I'm going to make it any longer."

We suddenly all felt like in a clumsy American movie.

Slowinski took out his gun. "The radio is perfectly ok. You've got 3,5 hours to check for our people and get back to the landing area. And for the record, You're all assholes".

Then he just pointed his gun at his head and pulled the trigger. His head blew like a bomb, he collapsed immediately and twitched for about a minute. His blood was on the ground in a range of about 50 meters.

"What the fuck!", Bujas screamed and started to shoot in the air. "What the fuck was wrong with the guy! Why now? We could do something!"

Komarninski looked at Bujas: "Yeah? Like what? The guy did not have a family, and now he was dying. You sure you would wait till the very end?"

Bujas looked at him and decided to say no more.

"Let's roll", I said. I was shocked like hell but we had about 3 hours to complete the mission and I knew I could not afford a time to be spared on mourning.

We entered the building. The outside stairs were cracked in half. We had to be extremely easy not to damage our suits. The door were open – actually burned and open. There were bodies, there were some clothes loose on the floor before the door. There was a woman's body hanging from the window.

"Well, I certainly did not expect to see this. Why would…", Bujas could not finish his sentence.

“Because people were seeking help. And there were like half a million people living here, so the door would not fit all of them coming inside.”

“Let’s get in. They don’t pay us per hour”, I said and pushed the burned door.

I walked inside. There was a long corridor going straight forward and a couple of doors on left and right. We kept our guns loaded. And that was another stupid thing to me – that I was doing this, without even thinking. Why? Because we were ready to shoot someone. We learned our lesson and now… we would shoot anyone who would try to ask us for help. We learned our lesson as soldiers – and as people who came here to safe some lives. And basing on this lesson, we would have to take a life of a person who seeks help to have his/her life saved.

“I check the room one, Bujas – you take number two, Komarninski – three and Kowalski number four.”

The corridor looked awful. There were some paintings lying on the floor, there was an actual human hand ripped from the body. There were lots of papers which just 8 days ago meant something in this place. I opened the first room. It was a small office. A nice carpet, some pictures, many books about how good is it to kill people who are not Polish. There was a nice wooden desk with a pile of paper work on it. There was a picture of a smiling man, woman and two children – and there were some trees and some picnic blankets behind those smiling people. And there were some birds flying in the sky behind those smiling people. And there was a dead man with his head on the desk behind the picture of those smiling people. I did not know where the smiling woman and kids were but this man was not coming home to smile for the picture anymore. He had a white–black liquid coming out of his mouth and he was holding a probe in his dead hand. I guess, just like Slowinski, he would not wait till the every end of this nonsense. I checked Geiger counter. It read about 9.000 radians. That meant that the building was thick enough to keep some of the radiation outside. But did people know about that? Or maybe they just considered army people to be their last ray of hope?

“Sir! Here! Number three”, came to my ears. I left immediately and entered the room Komarninski was supposed to check. And he was there with a woman. The woman’s head was on his knees. She was choking, her eyes were covered with blood. She was trying to blink just if she woke up in the morning. But blood cloths surrounding her eyelashes made it impossible. She was spitting some soot out, coughing heavily. I took some water out of my backpack – I did not know why I took it since I could never use it for myself. At least, that did something good to someone else. She was swallowing water like it was gonna save her life. She started to move her lips and hiss. I went down on my knees and put my ear against her lips.

“Hoooo… Hyyyy… Why… why you… help us… why didn’t help…”

Me and Komarninski looked at each other but I could not say a word.

“Easy, don’t try to speak right now. Everything’s gonna be okay. Just try to breathe.”

“I’m… shhooo… soo… afraid…”, the girl was trying to cry but her eyes were not able to produce anything but blood. She couldn’t see us, she probably hardly heard us. So I just took her hand and kept holding it for another 30 seconds… After that, the girl took a very deep breathe, hissed one more time. Then her hand became so light and ran out of life.

Komarninski looked at me and said: “There’s no time to answer that question, sir. It just happened and we gotta keep moving.”

I felt like a lightning hit me right in the heart. All I could think about was the girl who needed help. And she wanted help from men, who were more or less responsible for the fact that she needed help. And the help did not come. And the world just let her die because she was not a soldier and because it was better for this world.

“Fuuuck!”, I screamed as loud as I could. Could not control myself – I started to shoot at everything in that place. Komarninski took me from behind and held my hands so I could not hold a gun.

“You think I don’t care? You think I want to see this? That we all do? No but the reality is that we are still alive and they are not. And if there’s anybody we can help, we gotta keep the cold blood and keep moving so shut the fuck up and stay with us… sir.”

Those words did not affect me at all. But I stopped.

“Rooms two and four clear, sir”, Bujas entered the room. He left right after the report. He did not want to see anymore of this.

There were steps at the end of the corridor. And about 10–15 bodies were on the stairs. We now pushed them like heavy sacks. They stopped meaning anything – or they meant so much we could not hold such thoughts.

“Let’s go, let’s go. No time to waist!”, Komarninski was screaming all the time, trying to make things as quick as possible. But all I was thinking about was that one girl with bloody eyes.

We reached the first floor. The corridor here was very dark. We were moving slowly, feeling hands, heads and legs below our feet. I thought I saw someone at the end of the hall but after seeing so many dead people, I did not believe it at all. But those person was real, was alive, and… was shooting…

*

I opened my eyes. I felt like somebody had been kicking me in my shoulder for 5 hours. I blinked a few times to get a clear vision. I was lying on the floor in the dark corridor. There were three men staring at me.

“Sir, are you all right?”, one of the men asked. I did not know that voice.

“Sir, I’m so sorry – lots of people… there were lots of people coming here, shooting, I thought no help was coming… I’m so sorry sir.”

I did not get what he meant. All I could think about was this awful pain in my shoulder. But I put myself together and looked at the three man. Bujas was terrified,

Kowalski looked like death coming for me, and the last man was just shaking. He was wearing a suit as well.

"Where's Komarninski?", I asked very much afraid of the answer.

Bujas did not reply – he just pointed on my left. Komarninski was lying on the floor just like me. But he was not going to wake up. His mask was covered in blood and there was a bullet hole on the back of his head.

"What the fuck happened?", I asked, trying to get up but my shoulder was now killing me.

"Sir, I thought that there were some dying people trying to get something or trying to take my suit", the third man told.

"I did not think. I just reacted. I thought nobody but me was alive and I thought that nobody was coming to get me out of here. So I defended myself."

"And you shot my man? You fuckin'...", I stopped and then looked at my shoulder. A stream of blood was coming from inside the suit. There was a huge crack in it.

"I'm so sorry sir. But we can help you. We'll take you on the chopper and

then..." "Drop it, Bujas", I said. I wanted to think for a moment.

And then I thought about the time I was safe – and was about to save some people. And then I thought about the girl, who were asking for help. I realized, that I was now really looking for the answers to my questions. Now, being a victim of nuclear weapon use. I no longer belonged to a healthy world. I was now a product of what my authorities had decided to do. Then, I recalled Slowinski's last moments. And suddenly I understood his way of talking and behaving. He must have been so afraid of dying, of the next day, that this was the only way for him to stay focused. I now had a strong need to do things the way he did.

"Well, anyone knows any new jokes about Jewss, Germans and Black people?", I asked and I really did not know what came over me.

"Sir?", Bujas thought I was crazed.

I stood up and then took my helmet off. The air was kinda clear, but smelled bad and I could almost feel the radiation coming through my nose, ears and lips.

"Are you the only one here?", I asked.

"Yes, sir. My people were either shot or died from the poisoning", the man looked at me like at a mad man.

"Okay, you've got an hour left. Bujas and Kowalski, you'll take this man back – don't stop even for one second. Oh and tell the major, he's a piece of shit", those words were coming out of me like a river.

There were some opened door. Inside the room there were some hot–dogs, some cookers, and a bottle of Jack Daniels.

"Oh yeah. Even in the time like this, God will not leave you empty–handed" I thought and took a bottle.

"What are you waiting for? Till I drop dead? Move!", I shouted.

"But sir...", Bujas did not know what to do at all. Kowalski left his brain somewhere else and just stared at me with his mouth open.

“But what? But the fuck what? I’m not coming back, it’s kinda obvious isn’t it? Move the fuck out and be careful!“

“Sir, yes sir. It was an honor to…”

“Yeah, yeah, I know. Now move!”, I did not let Bujas finish the sentence. I just wanted to be alone.

I sat on the stairs, opened the old Jack and started drinking. I looked in the window and watched the three soldiers coming home. And then I thought that it would not make much sense for me. I could not stand this world any longer – so maybe that was the way for me to understand?

I finished my whiskey, and broke the bottle on the floor. I heard a thunder outside.

“Yeah, yeah, I’m coming”, I thought. Then I looked at my gun…

ROZDZIAŁ 5
Michał ‘Veron’ Tusz – „Trzynastka, część 3”

Do chwili aż ciżba wiekowych mieszkańców Koniecpola wypełniła mieszkanie Ryszarda Milowicza na zewnątrz porządnie się rozpadało. Deszcz siekł intensywnie, przemywając drogę dla kroczącej coraz szybciej i większymi krokami nawałnicy. Zachodni wiatr dął nieustępliwie, wyjąc ostrzegawczo i łomocząc w drzwi i okna domu Milowicza. Kilka razy z każdą chwilą groźniejsza aura za pomocą narastającej wichury zadudniła rupieciami na strychu, wprawiając je w drgania – graty na poddaszu bały się i oznajmiały swój strach ludziom zebranym pod nimi.

A tych przybyło jedenaścioro. Siedmiu mężczyzn i cztery kobiety. Dziadkowie i babcie. Staruszkowie. Starcy. I choć wedle słów Milowicza każde z nich było od niego sporo młodsze, to co niektórzy wyglądali nawet na starszych. Tak też się zachowywali – potykali się o siebie, ciężko siadali, sapali przy każdym ruchu. Milowicz spoglądał na nich spod nisko opuszczonych brwi.

Obecność przybyszów z zewnątrz wyraźnie zdziwiła miejscowych. Mieszkańcy Dziewiątki musieli zdać relację z tego, w jaki sposób dotarli do ich miasta. Starcy słuchali w większości z rozdziawionymi ustami, chłonąc każde słowo. Sześcioro ze Schronu Numer Dziewięć odniosło wrażenie, że są oni uziemieni tu już bardzo długo. Sami staruszkowie okazali się bardzo mili, spokojni – idealnie mieścili się w wyobrażeniu o babci i dziadku.

Ryszard Milowicz odczekał wystarczającą ilość czasu aż jego pobratymcy wygadają się do woli. Gdy jednak spotęgowana z silnym grzmotem jaskrawa błyskawica rozdarła niebo, bez ceregieli wykorzystał nagłą przerwę w paplaniu staruszków i przeszedł do celu spotkania:

– Na ostatniej naradzie poprosiłem was, byście przemyśleli wszystko jeszcze raz. Przedstawiłem wam swoje argumenty, poparłem je pomiarami z Geigera. Pytam się zatem: jaka jest wasza decyzja? Kiedy wyruszamy?

Staruszkowie spojrzeli po sobie. Odezwał się jeden z nich, w kraciastej koszuli, siedzący pośrodku kanapy, z której wcześniej zeszli mieszkańcy Dziewiątki, ustępując miejsca starszym:

– Nigdy. Postanowiliśmy, że nie wyruszamy.

Ariel i pozostali z sześciorga dostrzegli, jak Milowicz silnie zaciska zęby.

– To ja się pytam po raz wtóry: dlaczego? Przecież czeka nas tu śmierć.

– Tak czy siak czeka nas śmierć – odparł starzec w kraciastej koszuli. – Co za różnica, czy tu, czy gdzie indziej?

– Nie mówiłem o was, stare graty! – wybuchnął Milowicz tak nagle, że co niektórzy starcy – a także mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć – podskoczyli na swoich miejscach. – Mówiłem o dzieciach! Pytam się raz jeszcze: dlaczego chcecie zabić te dzieci?!

Staruszkowie wzburzyli się. Zaczęli jeden przez drugiego przekrzykiwać się:

– Nikogo nie chcemy zabijać!...

– Jak możesz tak mówić!...

– Chcemy dla dzieci jak najlepiej!...

– Dzieci są najważniejsze!...

– Spokój! – zagrzmiał Milowicz w jednym momencie z wyładowaniem na dworze. Starcy uciszyli się, choć niejeden coś jeszcze mruczał cicho pod nosem. – Czy naprawdę jesteście tak głupi, czy to ja czegoś nie rozumiem? – kontynuował. – Skoro dzieci są najważniejsze, jak sami mówicie, czemu chcecie im zgotować los, jaki spotkał ich rodziców? Jeśli promieniowanie w wodzie się zwiększy – a zwiększy się – zginą. A wy razem z nimi!...

– Może się nie zwiększy... – zaczęła któraś babcia, ale Milowicz uciszył ją taksującym spojrzeniem.

– Nic nie jest pewne – rzekł dziadek w kraciastej koszuli. – Z naszych obliczeń wynika, że...

– Z waszych obliczeń?! – Milowicz grzmotnął pięścią w stół. – O czym ty, kurwa, mówisz?! Nie potraficie nawet podetrzeć sobie nosa, a ty mi mówisz o jakichś waszych obliczeniach?

– Sądzimy, że nie zagraża nam niebezpieczeństwo.

Ryszard Milowicz przymknął oczy. Ariel spoglądał na niego, czując wzbierające współczucie.

– Proszę państwa, zagraża wam niebezpieczeństwo – powiedział spokojnie. – Bo nawet jeśli nie umrzecie, może spotkać was oraz wasze dzieci to, co mieszkańców Śląska...

– Że niby będziemy zmutowani, czy coś? – prychnął milczący dotąd starzec w podziurawionej, popielatej czapce z postrzępionym daszkiem. – Nikt ich nigdy nie widział. To wszystko bujdy tego starego łgarza... – wskazał na Ryszarda.

– To nieprawda – wszedł mu w słowo Ariel. – My ich widzieliśmy. – Wskazał na współtowarzyszy ze schronu. – Te potwory zabiły naszego przyjaciela.

Starcy wpatrywali się w niego i pozostałych w niemym zdumieniu.

– To co mówi pan Ryszard jest prawdą i możemy to potwierdzić – rzekł Ariel. – I on ma rację. Uciekajcie, jeśli tylko możecie i jeśli nie jest za późno.

– „Budujcie arkę przed potopem" – dodał Kapłan.

Milowicz podniósł wzrok.

– A jeśli wam nie wierzymy? – powiedział starzec w zniszczonej czapce z daszkiem.

– Nie macie powodu, żeby nam nie wierzyć – odrzekł Dziadek. – Nie znaliśmy się wcześniej.

– Tak, nie mielibyśmy czasu, żeby na cokolwiek się umawiać – przytaknął Ariel.

– Przecież chodzi o te słodkie, mądre dzieciaki – dodała Oliwia. – Musicie je ratować.

Starcy spoglądali na nich w milczeniu.

– Ale to przecież nasz dom – rzekła któraś staruszka. – Już tyle lat tu mieszkamy...

Milowicz pokręcił głową.

– To przestaje być nasz dom – powiedział cicho. – Dom, który zagraża życiu, to nie dom.

Silny grzmot rozległ się za oknem. Milowicz kontynuował:

– Nie będziemy młodsi. Nie będziemy piękni jak dawniej. Nie będziemy sprawniejsi. Ale oni mogą być. – Wskazał palcem na budynek naprzeciw jego domu. – Musimy im to umożliwić. W miarę naszych możliwości.

Wyglądało to tak, jakby coś zaczynało docierać do starców. Jeden wciąż jeden pozostawał nieugięty. Ten w zniszczonej czapeczce.

– Pięknie to mówisz, tak pięknie – rzekł, kiwając kpiąco głową. – Zupełnie jakbym słyszał naszego premiera tuz przed wojną. Cholernego Uspolaka...

– Bagnet przymarzł ci do dłoni, skoro sięgasz po taki argument – skwitował Milowicz.

– Doprawdy? Chyba nie zaprzeczysz temu, że to Ricky Miller zrujnował Polskę? Że tak chytrze zapewnił sobie zwiększenie i wydłużenie władzy? Że wprowadził stan wyjątkowy na tak długo, bo bał się utraty stołka?!

– Co to ma do rzeczy?...

– Tak samo mydlisz oczy jak i on!

– Uspokój się, Grzegorzu...

– Nie uspokoję się! – Mężczyzna w zniszczonej czapeczce nazwany Grzegorzem wstał z kanapy. – A właśnie, że nie!...

– Dlaczego podnosisz głos w moim domu? – zapytał spokojnie Milowicz.

Starzec Grzegorz dyszał wściekle, piorunując Milowicza wzrokiem.

– Bo chcę, żeby wszyscy usłyszeli, że to ty chcesz nas zabić, tak jak zrobił to wspaniały Ricky Miller! – wycedził Grzegorz przez zęby.

Brwi Ryszarda Milowicza ponownie ściągnęły się w jedną linię.

– Tak właśnie jest – mówił dalej starzec Grzegorz. – Tak jak Miller zaczniesz stawiać elektrownie, które okażą się silosami z bronią atomową!...

– Słucham?

– Tak bardzo lubisz te głupie metafory, więc mówię jak ty, żebyś zrozumiał! Tak jak Miller będziesz budował bunkry dla wybranych w tajemnicy przed wszystkimi!...

– Sam w takim bunkrze przeżyłeś wojnę! – przerwał mu Milowicz.

– Bo sam do niego wtargnąłem! – wrzasnął Grzegorz. – Gdyby nie to, że ktoś się wygadał i że postawiliśmy się władzom, zginęlibyśmy jak miliony innych!

– A więc ciesz się życiem! – huknął Milowicz do społu z szalejącą na zewnątrz nawałnicą. – I daj się cieszyć innym!

– Tak jak Miller będziesz patrzył jak młodzi ludzie umierają!...

– Grzegorzu, ostrzegam!...

– I umrzesz jak on! I to prędzej niż ci się zdaje...

– Zamilcz!

Kolejny potężny grzmot sprawił, że dom Ryszarda Milowicza zadrżał w posadach. Światło na moment ściemniało. Gospodarz i gość mierzyli się wzrokiem, ciężko oddychając. Ulewa bębniła w okno i blaszany parapet.

– Prawdziwy patriota broni swojego domu – powiedział cicho Grzegorz. – Nie ucieka przed wrogiem, ale walczy z nim. Widzisz to? – Starzec zagrzebał w wewnętrznej kieszeni znoszonej marynarki i wyciągnął kawałek biało–czerwonej tkaniny. – Zawsze to mam przy sobie. Flaga. Polska flaga. Oto prawdziwy patriotyzm. Co ty możesz o tym wiedzieć...

Ryszard Milowicz spoglądał na niego z politowaniem.

– Patrioto... – zaczął. – Powiedz mi wpierw, czym jest ojczyzna... Czym innym jak nie twoimi braćmi i siostrami? Jak nie twoimi dziećmi?! Jeśli tego nie rozumiesz nie jesteś niczym innym jak „patridiotą”... Patridioci, oto czym jesteście!... – krzyknął do pozostałych starców.

W tej chwili drzwi wejściowe otwarły się i do domu Milowicza wpadły przemoczone dzieci, które mieszkańcy schronu poznali wcześniej.

– Dziadku, dziadku! Wiatr zrywa dach!

Milowicz bez chwili zwłoki wypadł z mieszkania i czym prędzej skierował się do budynku naprzeciw jego domu. Za nim wybiegli pozostali mieszkańcy Koniecpola, a także sześcioro ze Schronu Numer Dziewięć. Nie ubiegli jednak zbyt daleko. Wiatr dął niemiłosiernie. Aż dziw, że dom Milowicza tak dzielnie mu się opierał. Pioruny waliły jeden za drugim w pobliskie drzewa. Grzmoty ogłuszały intensywnością hałasu. Na Koniecpol zstąpiła prawdziwa trąba powietrzna. Palec Boży.

W kilkoro dobiegli do murowanego domu niemal na kuckach. Resztki dachówek przelatywały niebezpiecznie nisko nad ich głowami. Większość starców przestraszyła się do tego stopnia, że zawróciła do mieszkania Milowicza. Podobnie David i Olivia, a z nią Daniel. Ryszard Milowicz spoglądał zaś wysoko ponad siebie, patrząc na nieustannie szarpane wichurą resztki konstrukcji dachu. Był bezradny.

– Panie Ryszardzie, musimy się schować! – wrzasnął mu Ariel do ucha, przekrzykując huk nawałnicy.

– Wiatr wszystko zniszczy!... – Milowicz rozkładał ręce na boki.

– Nic nie damy rady teraz zrobić! Odbudujemy go razem później!

– Nie mogę go tak zostawić!...

– Nie ma pan wyjścia! Uciekajmy!...

– Rysiek, cholera, idziemy! – krzyknął Grzegorz. – Ruszaj się! Bez gadania!...

– Ale!... – zaczął, lecz Ariel i Grzegorz pociągnęli go w stronę jego mieszkania. W tym momencie błyskawica rozcięła złowrogo granatowe niebo i piorun z ogłuszającym hukiem uderzył w budynek. Ariel, stary Grzegorz i Milowicz oszołomieni upadli na ziemię. Wiatr z głuchym łoskotem oderwał resztkę dawnego piorunochronu od ściany budynku, który – nie wiedzieć kiedy – z zawrotną prędkością pofrunął akurat w stronę leżących w błocie mężczyzn. I nim zdołali się zorientować, kawał druta rozorał tors wstającego w tym momencie Ryszarda Milowicza. Starzec jęknął i upadł na plecy. Ariel odruchowo otarł twarz, brudząc się

przy tym błotem, i z niedowierzaniem patrzył na starca. Stary Grzegorz złapał się za głowę. Z boku Milowicza sączyła się krew, pozostawiając na ziemi niknącą w brudnej wodzie plamę.

Dziadek i Kapłan, widząc co się dzieje, ruszyli tamtym na pomoc.

– Nie ruszaj się – powiedział Kapłan do Milowicza. – Masz głęboką ranę pod żebrami. Dajcie mi kawałek materiału! Trzeba zatamować krwotok...

Dziadek przeszukał kieszenie, Ariel podobnie. Nic. Wówczas stary Grzegorz wyjął zza pazuchy swoją flagę. Wręczył ją Kapłanowi, który bezzwłocznie przyłożył materiał do rany Milowicza. Stary Ryszard jęknął z bólu.

Ariel i Dziadek spoglądali na Grzegorza, który spuścił wzrok.

– To patriotyzm – rzekł cicho Dziadek.

Burza powoli uspokajała się i oddalała.

Zanieśli rannego Ryszarda Milowicza do jego domu i położyli w pokoiku w drugiej jego części, tak, by dzieci nie musiały go oglądać i męczyć. Kapłan w miarę swoich możliwości opatrzył ranę. Szeptem poinformował resztę z Dziewiątki oraz pozostałych starców, z których kilkoro poszło obejrzeć zniszczenia, jakich dokonał wiatr, że rana jest bardzo głęboka i jeśli Milowicz wygrzebie się z tego, to będzie zaiste cud. Siedzieli więc w ciszy, pozostawiając gospodarza w spokoju, jak sam sobie zażyczył. Nawet pogoda posłuchała, grzmoty bowiem dawno zamilkły.

Ariel chyba najmocniej z sześciorga ze Schronu Numer Dziewięć przeżywał dramat Ryszarda Milowicza. Jemu przypadła pierwsza rozmowa z gospodarzem, do niego głównie zwracał się Milowicz. Arielowi wydawało się, że go rozumiał, że nadają na tych samych falach, jakby powiedziano dawno temu. Czuł, że gdyby znali się dłużej, mógłby się od niego wiele nauczyć. Dlatego też czuwał przy drzwiach, obracając w dłoniach mały, srebrny dyktafon, z którego popłynęła opowieść o katowickim żołnierzu.

Nagle usłyszał zza drzwi słaby głos Milowicza. Wetknął głowę do środka.

– Czego potrzebujesz?

– Daj mi wody – szepnął starzec.

Ariel podszedł do ustawionego obok starej kozetki, małego, odrapanego stolika, na którym ustawiono metalowy garnczek z wodą, nalał nieco do blaszanego kubka i podał Milowiczowi. Ten jednak nie miał siły go chwycić. Ariel nachylił więc kubek do jego ust, gasząc pragnienie starca. Zerknął na miejsce, które uciskał Milowicz. Rana krwawiła. Gospodarz oddychał ciężko.

Ariel usiadł na krawędzi ustawionej blisko łóżka, wyszorowanej z farby, drewnianej komody. Przez chwilę spoglądał na krople potu na czole Milowicza. Ni stąd ni zowąd zapytał:

– Co u ciebie? – sam nie wiedział, skąd takie pytanie przyszło mu w ogóle do głowy.

– Gorzej – odparł Milowicz z trudem przełykając ślinę.

Ariel westchnął. Przypomniał sobie o dyktafonie, który wciąż trzymał w dłoni.

– Skąd to wziąłeś?

Milowicz łypnął okiem na niewielkie urządzenie.

– Słyszałeś przecież. Z Katowic.

Ariel zmarszczył czoło.

– Byłem tam – dodał Milowicz.

Ariel poczuł coś dziwnego. Zrozumiał, jak mało wiedział o tym człowieku, ale i o czasach jakie nastąpiły po wojnie. Wciąż nie rozumiał tragedii ludzi, którzy ją przeżyli.

– Grzegorz ma rację – powiedział Milowicz.

– Z czym?

– Z Millerem. To był naprawdę zły człowiek. Oj, naprawdę zły...

Ariel pamiętał co nieco z lekcji historii. Ricky Miller został premierem rządu w 2031 roku. Jedną z jego pierwszych decyzji i przyjętych ustaw była nowelizacja konstytucji. Skutkiem tego było przedłużenie kadencji sejmu do pięciu lat oraz zwiększenie faktycznej władzy premiera. Od tego czasu prezes Rady Ministrów miał wpływ praktycznie na wszystko, nawet na wojsko. Jego suwerenność i autorytet były niepodważalne.

Miller zasłynął jako niezwykle zaradny przedsiębiorca. Młody, niespełna trzydziestoletni, amerykański biznesmen o polskich korzeniach, stał się głównym negocjatorem ze... Stanami Zjednoczonymi o ich pieniężny wkład w polską gospodarkę. Dzięki temu stał się swego rodzaju prototypem przyszłych Uspolaków – otrzymał obywatelstwo w nagrodę za zaangażowanie po stronie polskiej i wypracowanie gigantycznych kontraktów. Dzięki niemu powstały w Polsce między innymi trzy ogromne fabryki, w których rozpoczęto produkcję grafenu na skalę międzynarodową. Grafen stał się naszym głównym produktem eksportowym, a raczej sprzęt, jaki z niego wytwarzano. Najwydajniejsze procesory i podzespoły elektroniczne były odtąd „Made in Poland" – nie tajwańskie, malezyjskie, chińskie czy amerykańskie.

Wkład finansowy Amerykanów, produkcja grafenu, wydobycie i sprzedaż gazu łupkowego oraz sprzedaż ogromnych ilości prądu do Niemiec i Czech z elektrowni w Legnicy, gdzie zastosowano innowacyjną metodę spalania świeżo odkrytych, ogromnych złóż węgla brunatnego – pod ziemią – rozruszały polską gospodarkę. Poprawiły też nastroje społeczne po fatalnych decyzjach zdymisjonowanego prawicowego rządu, który, jak wiadomo, wprowadził w życie nader kontrowersyjną ustawę o „poborze podatków" z początkiem 2027 roku. Polska stawała się coraz mniej zależna od Unii Europejskiej, a także Rosji. Co więcej, awaria Gazociągu Północnego spowodowała, iż Rosja zmuszona była do przesyłania na Zachód większej ilości gazu przez Polskę, co także skrzętnie wykorzystaliśmy, znacznie zbijając jego cenę dla siebie.

Oficjalny doradca gospodarczy centrolewicowego premiera o jakże wymownym nazwisku – Jerzego Witosa – Ricky Miller stawał się coraz jaśniejszą gwiazdą na politycznym firmamencie Polski i Europy. Sielankowy nastrój popsuła odgórna decyzja o „Zasiedleniach" oraz jej konsekwencje, co zostało wspomniane już wcześniej. Witos i Miller robili co mogli, żeby przekonać Polaków, że po pierwsze – to

nie ich wina, a danego ONZ i – przede wszystkim – Unii Europejskiej, a po drugie – że da się żyć z Chińczykami we wspólnocie. Rząd skutecznie kontrolował wydzielone jeszcze za wspomnianych rządów prawicowych – jednych z najgorszych w całej historii Rzeczpospolitej – „chińskie osiedla" na Kielecczyźnie. Po protestach w wielu miejscach w Polsce i zjednoczeniu kibiców, sytuacja w Polsce ustabilizowała się.

Kolejne wybory wygrała ponownie partia centrolewicowa, tym razem z prawie sześćdziesięcioprocentowym poparciem, a Ricky Miller został premierem. Wspomniane wcześniej, pierwsze dość kontrowersyjne decyzje nieco skonsternowały opinię publiczną. Jednak decyzja o wystąpieniu z Unii i błyskawiczna tego realizacja – cała procedura trwała osiemnaście miesięcy – przy dużym wsparciu politycznym USA, ponownie wywindowały w górę sondażowe słupki poparcia dla rządu Millera. Opuszczenie UE nastąpiło na skutek niejasnych zagrań Brukseli wobec Polski, gdy ta zawarła umowy gospodarcze z Amerykanami. Przeciągane w nieskończoność negocjacje, blokowanie transakcji i cała masa innych ekonomicznych przyczyn rozsierdziły stronę polską i zaowocowały wyjściem z Unii.

Miller był na szczycie, jednak kłopoty miały dopiero nadejść. Na razie święcił triumfy projektem „Atom" – gigantycznym przedsięwzięciem wybudowania w jednym czasie szesnastu elektrowni atomowych w całej Polsce – i najlepszym od lat stanem polskiej gospodarki. Nieco ponad rok później zaczęły się schody.

W 2019 roku ujawnił się nieznany dotąd, niebezpieczny wirus grypy. Okazał się zabójczy zwłaszcza dla dzieci i nastolatków. Polacy jeszcze nigdy nie byli zmuszeni do organizowania tylu pogrzebów ludzi w wieku przedprodukcyjnym, co w owym czasie. Rząd musiał działać. Opracowano szczepionkę, która miała się okazać cudem. I tak się stało, chore dzieci zdrowiały. Jednak po latach lek zaczął przynosić skutek uboczny. Ni stąd ni zowąd młodzi ludzie masowo dostawali zapaści. Umierało ich jeszcze więcej niż przed laty. Rząd Millera zlecił zaprojektowanie nowego leku. Udało się, lecz liczba ludności zmniejszyła się do dramatycznego poziomu nieco ponad trzydziestu milionów polskich obywateli. Nastąpił kolejny przypływ Amerykanów. Rząd zaczął nadawać błyskawiczne obywatelstwa na niespotykaną skalę. Tak Polska zaroiła się od Uspolaków, którzy wygrali dla partii Millera wybory w 2036 roku. Ricky Miller powoli przestawał być najbardziej lubianym i godnym zaufania politykiem w kraju, Polskę zaś nieoficjalnie zaczęto nazywać stanem USA.

Sytuacja w kraju stawała się coraz bardziej napięta. Wybór na głowę Kościoła katolickiego czarnoskórego Johna Mu'ambo z Kenii nie pomógł w uspokojeniu nastrojów w Polsce, podobnie jak rozpoczęcie budowy „Czeskiego muru". Niektórzy odczytywali to wręcz jako zapowiedź końca świata! Ricky Miller robił co mógł, żeby odzyskać zaufanie społeczeństwa, jednak poparcie dlań – wśród rdzennych Polaków rzecz jasna – spadało z zawrotną prędkością. Postanowił więc nieco wycofać się z mediów, w których do tej pory było go pełno, a twarzą rządu uczynił człowieka o swojsko brzmiącym nazwisku, Krzysztofa Kowalskiego. Kowalski zasłynął przydomkiem „Millera drugiego".

Na krótko po Igrzyskach Olimpijskich w Warszawie w 2040 roku, które jakimś cudem Miller zdołał wynegocjować dla naszego kraju po niespodziewanej rezygnacji Moskwy i które miały być kartą przetargową w odbudowaniu do niego zaufania, Polacy dowiedzieli się o drugiej twarzy premiera. Okazało się, że równolegle do projektu „Atom" realizowany był projekt „Przetrwanie". W całej Polsce w tajemnicy budowane były podziemne schrony zdolne przetrwać wojnę nuklearną. Sytuacja na świecie nie była stabilna, toteż Polacy przestraszyli się, że stanąć mogą w obliczu wojny. Byli także rozwścieczeni niewiedzą o wielkiej inwestycji Millera. Jego wrogowie, których w międzyczasie przybyło wielu, wytoczyli najcięższe działa, podburzając lud do zamieszek. Rozruchy objęły niemal cały kraj. Do pacyfikacji musiało wkroczyć wojsko. Na początku grudnia 2040 roku Ricky Miller zmuszony był do wprowadzenia stanu wyjątkowego, który zamienił się w stan wojenny na początku następnego roku.

Zgodnie ze znowelizowaną konstytucją premier autorytarnie stał na czele państwa do chwili zniesienia stanu wojennego. Wrogowie Millera – pragnąc go obalić – nieopatrznie sprowadzili na siebie jego dominację. Premier bowiem ani myślał oddać władzy, zwłaszcza w roku wyborów. Mało tego, coraz dobitniej zaznaczał swoją władzę, a apogeum swej zachłanności osiągnął przywracając karę śmierci. Zaowocowało to odwróceniem się od Polski wielu państw, także Watykanu. Krótko po tym Polacy dowiedzieli się o pierwszych ofiarach po czeskiej stronie, o czym wspominał Ryszard Milowicz. Jak widać, ze sporym opóźnieniem.

Błyskawiczna i błyskotliwa kariera Ricky'ego Millera nie runęła nagle, lecz tak się zakończyła. Zginął w katastrofie lotniczej pod Krakowem, krótko po decyzji odłożenia wyborów na rok, dopóki sytuacja w kraju nie uspokoi się na dobre. Urządzono mu niezwykle uroczysty pogrzeb. Stanowisko prezesa Rady Ministrów przejął Krzysztof Kowalski.

Co było później – przyjdzie jeszcze czas, by o tym wspomnieć.

Milowicz ciężko oddychał, wpatrując się przez zmrużone oczy w jakiś punkt przed sobą. Milczał. Ariel spoglądał na niego ze współczuciem.

– Dlaczego wspominasz o Millerze?

Milowicz przełknął ślinę.

– Bo chociaż to zły człowiek, to zasługiwał na odrobinę zrozumienia. Nigdy nie dane mu było, by ktoś do końca go wysłuchał. Wciąż tylko nagonka. „Peacemongering stał się warmongering!". „Zdrajca narodu!". „Pieprzony Uspolak!". A przecież sami go wybrali...

Westchnął głęboko.

– Zawsze znajdą się ludzie gotowi zgnoić innego człowieka w imię określonych i tradycyjnych wartości.

Ariel nie do końca zrozumiał te słowa. Nim jednak zdążył zapytać, co Milowicz miał na myśli, ten rzekł.

– Odwróć się, proszę. Widzisz przed sobą zielonkawy radioodbiornik?

– Tak.

– Wciśnij guzik ze strzałką w lewo… „play". Posłuchaj, to mój imiennik…

Ariel wykonał polecenie i zamarł, choć serce w nim tłukło się niemiłosiernie.

Z niewielkich głośników popłynęła prawdziwa muzyka. W schronie nie dane im było słuchać przedwojennych piosenek. Jeśli już, to tylko syntetyczne, powtarzalne, ciągle te same i na stworzone na jedną modłę industrialne pseudoutwory, od których można było zwariować.

Teraz Ariel wsłuchiwał się w radosne, melodyjne dźwięki nieznanej mu piosenki. Gdy wokalista zaczął śpiewać, przeszedł go dreszcz. Matowy głos wyraźnie kontrastował z energicznym podkładem. Śpiewający wyraźnie był smutny. Opowiadał o dzieciństwie, ciekawości świata, na pierwszy rzut ucha – czymś z gruntu rzeczy wesołym. Jednak do Ariela dotarł faktyczny sens tych słów. I to go poraziło.

Imiennik Milowicza śpiewał o śmierci, chciał się o niej dowiedzieć już jako mały chłopiec. A tym, co spotęgowało znaczenie zgrabnej metafory, był refren. Refren, w którym łamiącym, lecz jakby wołającym o życie głosem, piosenkarz błagał o sens dla siebie. „W życiu piękne są tylko chwile". To przygniatało.

Ariel słuchał piosenki ze ściśniętym gardłem. Jeszcze nigdy nie obcował z czymś tak pięknym i smutnym zarazem. W międzyczasie w pokoju pojawili się pozostali ze Schronu Numer Dziewięć, zwabieni dźwiękami ekspresyjnego bluesa.

Ostatnia zwrotka była kopem między oczy. Iskrząca się gdzieś między wersami nadzieja została zmiażdżona, brutalnie i bezwzględnie. „Czasem warto żyć. Czasem warto żyć!" Piosenka na czasy, w których przyszło im egzystować. Codziennie walczyć o przetrwanie z samym sobą. Ariel miał nigdy nie zapomnieć tego doświadczenia.

Utwór skończył się. Ariel siedział w stuporze, z którego wyrwał go Ryszard Milowicz, prosząc o łyk wody. Ariel podał mu.

– Dziękuję ci, chłopcze…

– Kim on był? – zapytał Ariel wskazując głową na radioodbiornik.

– Rysiek… mój imiennik… wielki, wielki człowiek. – Milowicz zwiesił głos na moment.

– Znałeś go?

– Nie… Żył długo przede mną. Ale przetrwał… dzięki swojemu geniuszowi. W czasie wojen muzy milczą, trzeba posiłkować się klasyką… A ta jest bezcenna…

Milowicz odkaszlnął i skrzywił się z bólu, chwytając się za bok.

– Rysiek powiedział kiedyś, że trzeba marzyć, bo gdy człowiek nie marzy – umiera. Tak, to prawda…

Jego oblicze złagodniało. Blizny na czole wygładziły się.

– Ale z drugiej strony… życie bywa okrutne. Zawsze powtarzałem: strzeżmy się marzeń, bogowie mogą je spełnić. Strzegłem się marzeń, a gdy pierwszy raz zamarzyłem – spełniło się. I to było najgorsze, co mnie spotkało…

Ariel patrzył na przymknięte oczy Ryszarda Milowicza w głowie mając zupełną pustkę. Wokoło było kompletnie cicho.

– Jeśli nie powiedzie wam się z Czwórką, idźcie na zachód. Wrocław... – kaszel przerwał mu.

– Dobrze, tak zrobimy – rzekł Ariel.

– Niech najlepsze co was spotkało będzie najgorszym co was spotka. Tego wam życzę. Prowadź ich dobrze...

Odwrócił głowę w stronę ściany. Ariel spojrzał na pozostałych z Dziewiątki. Opuszczali pokój. Wstał. Ale Milowicz powstrzymał go:

– Usiądź jeszcze na moment...

Spojrzał na niego swymi bystrymi oczyma.

– Pamiętaj – nikt nie zapomina, czym jest prawda, tylko staje się lepszy w kłamaniu.

Ariel zmarszczył brwi.

– Co masz na myśli?

– Ja jestem Richard Miller. Ricky Miller.

Ariel długo na niego patrzył.

– Ale... jak to? Przecież Miller nie...

– Wiem – przerwał mu Milowicz. – Ale to ja. Przeżyłem katastrofę pod Krakowem. Byłem połamany, miałem zmasakrowaną twarz, ale odratowali mnie. Później zaszyłem się jak tchórz – westchnął pełen pogardy do samego siebie. – Dzięki Kowalskiemu udało się umieścić mnie w schronie. Dyrygowałem nim aż do samej wojny. On – kierował Novac. Dopiero potem stracił nad nią kontrolę. Ale to ja to zapoczątkowałem. Wszystko, co stało się przed wybuchem wojny było moją winą. Każda decyzja wychodziła ode mnie. Tak byłem chciwy potęgi i władzy...

Ariel miał świadomość, że te słowa nie robią na nim takiego wrażenia, jakie zrobiłyby na kimś, kto przeżył Breakdown. Ale mimo wszystko – z całą wiedzą, jaką posiadał z lekcji historii – czuł się nieswojo.

– Dlaczego mi to mówisz? – zapytał chrypiącym głosem.

– Musiałem w końcu komuś powiedzieć. Powiedziałem Grzegorzowi, mówię i tobie. Właśnie teraz.

– Ale... dlaczego?...

– Wiesz o czym marzę? – Milowicz spojrzał Arielowi w oczy, nie odpowiadając na jego pytanie.

Chłopak pokręcił głową.

– Wiesz... – Milowicz uśmiechnął się.

Ariel zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy widzi uśmiech na twarzy starca. I wówczas zrozumiał. Milowicz dostrzegł to i uśmiechnął się jeszcze szerzej. A w jego oczach Ariel zobaczył tę iskierkę oczekiwania, jaką człowiek ma tylko wtedy, gdy wie, że jego marzenie właśnie się spełnia.

Milowicz odjął od rany zakrwawioną flagę Grzegorza i przycisnął do piersi. Skrzywił się przy tym lekko, ale nie przestał się uśmiechać.

– W piekle sam nie będę... – szepnął pocieszającym głosem.

To były ostatnie słowa Ryszarda Milowicza. Ricky'ego Millera, premiera polskiego rządu.

Ariel wyszedł z pokoju. Jego wyraz twarzy przyciągnął wzrok wszystkich osób w salonie. Pojęli. Mężczyźni pospuszczali głowy. Kobiety zapłakały. Ariel czuł, że powinien coś powiedzieć, odezwać się, pocieszyć, może nawet nastraszyć, mając w pamięci dzisiejszą rozmowę z nimi Milowicza. Wiedział, że mógłby powiedzieć wszystko, a oni słuchaliby go. Ale nie powiedział ani słowa.

Następnego dnia – słonecznego i bezwietrznego – pochowali Ryszarda Milowicza na pobliskiej łące. Stary Grzegorz nałożył na jego tors swoją flagę, poplamioną krwią dotychczasowego przywódcy. Usypali grób i resztę dnia w ciszy spędzili przy prowizorycznej mogile.

Wieczorem Ariel i pozostali ze Schronu Numer Dziewięć postanowili wyruszyć w drogę kolejnego dnia rano. O świcie byli gotowi do drogi. Stary Grzegorz żegnał ich w drzwiach. Ariel spojrzał mu w oczy i rzekł:

– Wiem, co Ryszard ci powiedział. Zrób z tym, co chcesz, ale nie zapomnij.

Grzegorz nieznacznie skinął głową i spuścił wzrok.

Ruszyli. Szli wzdłuż starej trakcji kolejowej. Musieli dotrzeć nie do samych Kielc, lecz w okolice miasteczka Małogoszcz. Tam w jednym ze wzgórz umieszczony był Schron Numer Cztery z projektu Przetrwanie. Ryszard Milowicz dokładnie zaznaczył na mapie jego lokalizację.

Dotarli do Małogoszczy wczesnym wieczorem następnego dnia, po całodziennych, intensywnych marszach. Szli w milczeniu, choć zapewne mieliby o czym rozmawiać, gdyby chcieli. Spotkanie z Milowiczem uruchomiło w nich potoki myśli, kaskady rozważań i morza refleksji. I choć Ariel wiedział więcej od swoich współtowarzyszy, to i oni pogrążeni w zadumie i rozmyślaniach. Niezwykłym był to człowiek.

Na nocleg obrali sobie odosobniony, opuszczony budynek na skraju miasta – jeszcze przed tablicą informującą o początku jego granic terytorialnych. Rozlokowali się weń i już mieli oddać się w objęcia Morfeusza, gdy ktoś niespodziewanie załomotał w drzwi.

Mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć zerwali się na równe nogi. Nikt nawet nie pomyślał o absurdalności tego zjawiska – na nieprzyjaznym pustkowiu ktoś puka do drzwi? Stali w ciszy i napięciu. Człowiek – a może ludzie? – za drzwiami ponownie z impetem uderzył w nie pięścią. Dziadek szepnął do Ariela:

– Wyjmij broń…

Ariel chwycił w dłoń pistolet, przełknął ślinę i drobnymi krokami zbliżył się do drzwi.

– Jesteście tam? – odezwał się głęboki męski głos z zewnątrz. – Widziałem was, jak wchodzicie do środka. Nie bójcie się mnie. Przybywam z południa.

– Odejdź! – krzyknął Ariel. – Mamy broń!…

– Nie boję się śmierci – odparł głos po chwili. – Jeśli zapisane jest, że umrę tej nocy, niechże tak się stanie. Chcę tylko, żebyście mnie wysłuchali.

Mieszkańcy schronu spojrzeli po sobie. Wtem Kapłan podszedł do drzwi i otworzył je.

Przez próg przeszedł wysoki, ubrany w sięgający ziemi płaszcz, mężczyzna. Jedynym odsłoniętym fragmentem jego ciała była głowa. Był raczej młody, choć wyraźnie po przejściach. Zmęczonym wzrokiem powiódł po mieszkańcach Dziewiątki. Zatrzymał wzrok na wyciągniętej w jego stronę broni, którą trzymał Ariel.

– Nie chcę waszej krzywdy, a jedynie uwagi – powiedział cicho, po czym podszedł do zniszczonego krzesełka z wyłamanym oparciem i usiadł na nim.

Jeszcze raz spojrzał wszystkim w oczy i rzekł:

– Wierzycie w legendy?

Odpowiedziała mu cisza.

– A w przypowieści?

Ponownie nikt się nie odezwał. Kapłan przymknął drzwi i podszedł do pozostałych.

Nieznajomy zerknął na broń Ariela i uśmiechnął się słabo.

– Bo sam nie wiem, jak traktować tę historię.

I zaczął mówić, a oni odtąd nie wiedzieli już, co było prawdą.

ROZDZIAŁ 6
Polip – „Trąba Kasandry”

Poznań

Zimne powietrze rozrywało mu płuca. Biegł najszybciej, jak tylko potrafił. Stopy przy każdym kroku zapadały się w śnieg zmieszany z błotem.

Nagle potknął się i wylądował twarzą w biało–brunatnej mazi.

Kilka uderzeń serca leżał. Zamknął oczy. Wtem usłyszał w oddali krzyki.

Zmusił swe ciało do jeszcze jednego wysiłku, poderwał się i ruszył dalej.

Uciekał.

Przy każdym oddechu jakby setki lodowatych igiełek wbijały się mu gardło i płuca, ale Jan cały spływał potem. W ciepłym odzieniu sapał jak jedna z maszyn Tamtych, dodatkowo ciężkie skóry krępowały ruchy. Był już potwornie zmęczony.

„Lepiej umrzeć, niż tak dalej biec", przemknęło mu przez głowę. Ale dalej sunął wielkimi skokami, niczym przerażone zwierzę, nie wiedząc, co ma zrobić. Był na wyspie, drogę ucieczki odgradzały mu rzeki – z prawej strony Warta, z lewej Cybina. Niegdyś Ostrów Tumski spajały z dawnym miastem mosty. Dziś tylko betonowe szkielety przypominały o utraconych osiągnięciach inżynierii. Nie miał żadnych szans wymknąć się Sługusom Tamtych.

Ale mimo braku nadziei biegł, skłonność do ucieczki, tak jak wszyscy pozostali przy życiu ludzie (oczywiście prawdziwi ludzie, a nie Sługusi), wyssał z mlekiem matki. Zostawiał ślady w błocie i śniegu, a dodatkowo wyspa była niewielka. Prześladowcy łatwo go znajdą, jak tylko skończą z pozostałymi uczestnikami Nabożeństwa, zresztą może już go ścigają.

Gdyby wciąż istniał most... Ale na pewno by go obstawili, przecież pierwszą rzeczą, jaką zrobili Sługusi, było zagarnięcie łodzi.

Gdyby była Pora Lodu! Wtedy dałoby się bez przeszkód przebiec przez zamarzniętą Wartę... Lecz w Porze Błota rzeka nie zamarzała w całości.

Gdyby była noc... Mógłby próbować ukryć się gdzieś w ruinach. Krążyły opowieści, że złodzieje wykorzystują je czasami jako kryjówkę. Było jednak zbyt wcześnie, wciąż panował półmrok dnia Zimy, łatwo go schwytają.

„Złodzieje!", olśniło go, „może złodzieje zostawili od strony Warty łódź!"

Natychmiast skręcił w lewo. Jest duża szansa, że o tym Sługusi nie pomyśleli. Jeśli szybko znajdzie łódź, może zdoła odpłynąć, zanim go dopadną.

„Szybciej!", ponaglał się w myślach. Jeszcze nie wszystko stracone. Biegł nierówno, potykając się, nie miał siły. Przewrócił się jeszcze parę razy, śnieg w butach, śnieg w rękawach, śnieg za szyją. Gdyby nie myśl o łodzi, już by się poddał.

Nie wiedział, co kiedyś znajdowało się w ruinach nad brzegiem Warty, przypuszczał, że miało to jakiś związek z katedrą. Myślał: „kiedyś nie ukrywano się w ruinach, tylko wznoszono Bogu potężne świątynie. A dziś kryjemy się jak szczury w

podziemiach, a dawny przybytek Pana służy złodziejom!" Ale Jan zaraz pomyślał, że złodzieje też służą Panu, bo działają na szkodę Tamtych i ich Sługusów. A jeśli znajdzie łódź...

To była raczej tratwa. Ale wystarczy, by przedostać się na drugą stronę!

„Trzeba zmówić modlitwę dziękczynną! Nie, potem, teraz muszę uciekać!"

Obie rzeki były dziś dużo szersze niż w czasach, gdy powstała zabudowa Ostrowa Tumskiego, dlatego niektóre domy znajdowały się częściowo pod lodem. Przy brzegu Warta nie rozmarzała nawet w Porze Błota.

Jan usłyszał gardłowe nawoływanie, gdzieś blisko. Sługusi prawie go mają. Z wiosłem pod pachą, bezpiecznie dotarł do granicy rzeki po wystającym nad taflę lodu murku, to ciągnąc, to pchając tratwę obok siebie. Gdy spuszczał ją na wodę, usłyszał za sobą krzyk. Dwóch Sługusów biegło ku niemu, byli nie dalej niż kilkadziesiąt łokci!

Ale nie mogli go dopaść. Płynął już na drugą stronę, zanim oni się przeprawią, zdąży ukryć się w osadzie, nie rozpoznają go.

Wtem ze zgrozą ujrzał, jak jeden ze Sługusów wyciąga kuszę!

Drugi zatrzymał go. Tamci, chociaż zwykle nie zwracali uwagi na okrucieństwa Sługusów, użycie broni wobec swoich poddanych dopuszczali tylko w ostateczności, w obronie własnej. Jan, uciekający uczestnik Nabożeństwa, nie stanowił żadnego zagrożenia.

Na drugim brzegu! Chłopak czuł się potwornie, był pewien, że za szaleńczą ucieczkę zapłaci ciężką chorobą. Z trudem wspiął się na przyrzeczny wał. Ale uratował się!

Niewiele zostało z miasta rozciągającego się po obu stronach Warty. Dziś skromne chatynki osady dziedziczącej starą nazwę, były rozsiane bez żadnego planu wśród ruin dumnych budowli niegdysiejszego Starego Rynku. Sługusi gnieździli się w zachowanych dolnych piętrach dawnego Ratusza, któremu seria eksplozji rozbiła wieżę. Znad rzeki do chat Jan miał blisko. Mimo bólu w płucach, uśmiechał się. Już niedaleko. Koszmar się skończył.

Pomylił się. Koszmar dopiero miał się zacząć.

Tamten!

Stwór jakby czekał po drugiej stronie wału. Kilka razy większy od człowieka zmutowana istota, uosobienie zła nękającego resztki ludzkości. Macka była groźnie uniesiona w górę, choć masywne cielsko barwy szarego granitu stało spokojnie, wspierając się na czterech nogach jak na słupach. Jan dotychczas bardzo rzadko widywał przeklętych ciemięzców i tylko z daleka. W Poznaniu wszystkim zajmowali się Sługusi. Teraz pierwszy raz stanął twarzą w twarz z nieprzyjacielem.

Jan padł nieprzytomny na ziemię twarzą w błoto.

„Tak, od tego się wszystko zaczęło...", pomyślał Jan. Siedział w ogrodzie, na ławce pod owocowym drzewem. Wspominał.

Dzisiaj miał dokonać wyboru.

Marsz

Szli w dwóch kolumnach, skrępowani łańcuchami, z ciężkimi kajdanami na nogach. Dano im ciepłą odzież i nowe buty, ale i tak marsz po mieszaninie mokrego śniegu i błotnistej mazi, wśród kałuży i strumieni roztopów, był bardzo ciężki. Eskortowało ich kilku uzbrojonych Sługusów, nieszczędzących razów tym więźniom, którzy się ociągali.

Drogę z Poznania do Warszawy podzielono na kilkanaście etapów. Każdego dnia wieczorem docierali do drewnianych bud, gdzie spali i w których wydzielano im racje żywnościowe. Na mapie trasa marszu przypominałaby zygzakowate pełzanie węża – musieli omijać niebezpieczne miejsca: strefy radioaktywne, skażone jezioro wydzielające trujące wyziewy, rozlewiska rzek, nad którymi nie było już mostów.

Jan paskudnie się rozchorował po wydarzeniach owego pamiętnego dnia. Nie wiedział nawet, ile dni leżał w gorączce. Wspomnienia z tego czasu rozpadały się na szalony kołowrót majaków, wśród nich przebijał się obraz potwora, dotykającego chłopaka swoją macką. Od współwięźniów usłyszał, że gdyby nie leki Tamtych, pewnie nie przeżyłby, zapalenie płuc zabierało wielu mieszkańców Poznania, obojętnie na porę Zimy (Zima dzieliła się na dwie pory: lodową i błotnistą, tak mierzyli czas). Jana postawiono na nogi wyjątkowo szybko, ale i tak marsz w konwoju, w ciężkich żelaznych kajdanach, zdawał się być ponad jego siły. Pomagała mu tylko modlitwa. Za każdym razem, gdy uderzał go knut Sługusa, gdy się przewracał, gdy myślał, że już nie może iść dalej, kierował myśli ku Bogu:

Miej nas na wodzy, niech nas nie rozpycha
Doczesna rozkosz licha!
Niechaj na Cię pomniemy
Przynamniej w kaźni, gdy w łasce nie chcemy.
Ale ojcowskim nas karz obyczajem,
Boć przed Twym gniewem stajem
Tak, jako śnieg niszczeje,
Kiedy mu słońce niebieskie dogrzeje.
Wielkie przed Tobą są występy moje,
Lecz miłosierdzie Twoje
Przewyższa wszytki złości.
Użyj dziś, Panie, nade mną litości!

Choć to właśnie przynależność do Kościoła Siódmej Trąby i udział w Nabożeństwie sprowadziły na Jana karę, chłopak postrzegał to jako próbę, na którą wystawia go Pan. Matka Jana (ojca nie pamiętał, zmarł on na chorobę nazywaną gorączkę hiroszimową, gdy chłopiec był jeszcze mały), wpoiła mu religijność. Chłopiec był inny niż reszta dzieci w osadzie – bardzo bystry (nauczył się nawet czytać), ale jednocześnie cichy i spokojny. Matka marzyła, że kiedyś będzie kapłanem. Zmarła, gdy miał dziesięć lat, także na gorączkę hiroszimową. Chłopaka przygarnęli wtedy

członkowie Kościoła. Religia i wspólnota stanowiły dla Jana wszystko. Czuł, że musi istnieć coś ponad ten paskudny świat gruzów, trujących wyziewów i terroru Tamtych – coś świetlistego, jasnego.

Kościół Siódmej Trąby był oficjalnie zakazany, ale w Poznaniu Sługusi patrzyli na niego przez palce. To była taka niepisana umowa – dopóki wierni dobrze pracują, nie kontaktują się ze złodziejami i nie afiszują się ze swoimi poglądami, Sługusi nie będą ich prześladować. Dlatego wierni nie wchodzili nikomu w paradę. Modlili się w tajemnicy w swoich chatach. Nie powtarzali głośno swoich nauk: legendy o Schronie gdzieś na Południu, gdzie pod ziemią wyznawcy Pana wciąż żyją jak ongiś, oczekując na nadejście Anioła Siódmej Trąby i ostateczną Katastrofę, podczas której zginą wszyscy Sługusi, a Tamci zostaną wrzuceni do ognistego jeziora i zakończy się Zima. Byli cisi i potulni. Jedynie raz na jakiś czas przeprawiali się na Ostrów Tumski, by w ruinach katedry odprawić nabożeństwo. I właśnie podczas ostatniego nabożeństwa napadnięto ich. Sługusi, sami z siebie albo na polecenie Tamtych, najwidoczniej postanowili skończyć z pobłażliwością. Członków sekty rozdzielono i w konwojach z innymi przestępcami wysłano do obozów pracy.

Szli przez błotnistą równinę, w półmroku dnia Zimy. Z tej niegdyś ludnej krainy kolejne Katastrofy wymiotły większość śladów życia. Kraina była pusta, brudna i otwarta, jak zgotowana do pisania karta, na której jednak nic nie zapisano, a wyrzucono i wala się brudna po błocie i śniegu. W świecie po Katastrofach ludzie jęczeli w więzach Tamtych. Sługusi, ci którzy zdradzili i wkupili się w łaski nieprzyjaciół, choć też byli niewolnikami, chełpili się jednak, że mogą okładać knutem słabszych od siebie.

Jan modlił się i tylko modlitwa pozwalała mu iść dalej. Ale gdzieś głęboko, przytłoczona warstwami strachu, wycieńczenia i rozpaczy tlił się żar radości. Bo to jest wreszcie czas próby! Teraz może pokazać swoją wiarę. Jan był młodzieńcem bystrym i ciekawym świata. W ostatnich miesiącach coraz częściej pojawiały się wątpliwości, proste prawdy religii przestawały mu wystarczać. Męczyły go pytania. Czy naprawdę zbliża się godzina, w której zabrzmi Siódma Trąba? A może świat po prostu zgaśnie w mrokach Zimy? Dlaczego wszechmogący i dobry Bóg stworzył świat, w którym jest miejsce na zło? Dlaczego, mimo miłosierdzia, karze za grzechy zsyłając Katastrofy i terror Tamtych? Paradoksalnie, nieszczęście i nowe cierpienia dały Janowi siłę, by rozwiać wątpliwości, przynajmniej na razie. Tak jak każe Objawienie, przed nadejściem Anioła Siódmej Trąby owładnięci wściekłością Tamci i ich Sługusi podniosę jeszcze raz rękę na wyznawców Pana. Jan i inni wierni są teraz poddani kolejnej próbie, może już ostatniej.

Na etapie, leżąc na twardych drewnianych deskach, Jan nie mógł zasnąć, choć był wycieńczony po całym dniu ciężkiego marszu. Przez rozgorączkowaną głowę przelatywały mu setki myśli, prowadził niekończące się, bezładne dialogi z samym sobą. Uspokojenia szukał, po raz tysięczny powtarzając sobie fragmenty Objawienia, najważniejszej księgi Kościoła Siódmej Trąby, starając się zrozumieć to, co się dokonało i to, co go czeka.

I ujrzałem siedmiu aniołów,
którzy stoją przed Bogiem, a dano im siedem trąb.

I pierwszy zatrąbił.
i powstał wielki gorąc i topiły się
lody, i wielka woda zalała ziemię.
i nastał głód.

I drugi anioł zatrąbił:
i złe duchy skaziły powietrze, wodę i pokarm.
Od tych plag została zabita trzecia część ludzi.

I trzeci anioł zatrąbił:
i usłyszałem jeden głos od czterech rogów złotego ołtarza,
mówiący do trzeciego anioła, który miał trąbę:
„Uwolnij aniołów zagłady,
związanych nad wielką rzeką Indusem!"
I zostali uwolnieni aniołowie,
by pozabijać trzecią część ludzi.
I spadły z nieba wielkie gwiazdy, płonące jak pochodnia,
a spadły na trzecią część rzek i na źródła wód.
i zginęła trzecia część ludzi.

I czwarty anioł zatrąbił:
i została rażona trzecia część słońca ,
i dzień nie jaśniał w trzeciej swej części,
i zaczęła się Zima.
I ludzie zapomnieli, czym są ich maszyny
Stali się jak wilki
I nastał wielki głód, i wielki strach.

I piąty anioł zatrąbił:
i ujrzałem gwiazdę, która z nieba spadła na
ziemię, i dano jej klucz od studni Czeluści.
a dym się uniósł ze studni jak dym z wielkiego pieca, i
od dymu studni zaćmiło się słońce i powietrze.
A z dymu wyszli Tamci.

I szósty anioł zatrąbił:
I ujrzałem w widzeniu Tamtych,
mających pancerze barwy granitu.
a z macek ich wychodzi ogień, dym i siarka. I
dano im władzę szkodzenia ludziom.

A gdy siódmy anioł zatrąbi,
w niebie rozlegną się donośne głosy mówiące:
„Nastało nad światem królowanie Pana naszego i Jego
Pomazańca i będzie królować na wieki wieków".
Potem Świątynia Boga w niebie otworzy się,
i Arka Jego Przymierza ukaże się w Jego Świątyni,
I pochwyceni będą Tamci, a z nimi ich Sługusi,
Żywcem wrzuceni zostaną do ognistego jeziora, gorejącego siarką.
I nadejdzie nowe niebo i ziemia nowa,
bo pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły.

Warszawa

Jan leżał na pryczy w baraku dla robotników. Cały dzień pracy na podziemnej farmie dawał mu się we znaki. Ale był tak szczęśliwy, że niemal gwizdał z radości.

Wreszcie wydarzyło się coś, co rozbiło szarą rutynę niewolniczej pracy. A dzień zaczął się jak każdy inny. Pobudka, posiłek, wymarsz na farmę. Tam nudna robota, cały dzień spędzali pod ziemią. Rolnicze zaplecze Warszawy nie przypominała niczego, co Jan widział wcześniej. Teraz dowiedział się, skąd pochodziła żywność dostarczana do ich osady (na powierzchni nic już nie rosło). Krążyło wiele opowieści o zaawansowanej technice Tamtych, spychającej w cień nawet osiągnięcia ludzi sprzed Katastrof, Jan kilka razy widział już ich maszyny, lecz na farmie pierwszy raz obcował z tymi tajemnicami na co dzień. Owoce, warzywa i zboża rosły w tunelach pod Warszawą, w sztucznym świetle, wisząc w powietrzu. Korzenie każdej rośliny były podłączone do rurek, dostarczających substancje odżywcze. Kilku Tamtych (widząc ich codziennie, Jan przynajmniej w części pozbył się atawistycznego lęku) kierowało systemem przy pomocy specjalnych automatów. Jednak mimo całej tej wspaniałej maszynerii, w ogromnej sieci tuneli było dużo fizycznej pracy do wykonania. Tym zajmowali się oni – więźniowie. Na szczęście, nadzorujący ich Sługusi byli stosunkowo łagodni. Robotników trzymano w ryzach, ale nie gnębiono. Działo się tak pewnie dlatego, że Tamci wymagali od swoich popleczników, by więźniowie pracowali efektywnie. Zresztą kilku ludzi, którzy jako nadzorcy posunęli się za daleko wobec skazańców, teraz razem z dawnymi ofiarami pchało taczki i nosiło pakunki.

Chociaż praca nie była trudna, Jan czuł się fatalnie. Został wyrwany ze swojej wspólnoty, tu był najmłodszy, często więźniowie na nim wyładowywali swoje rozgoryczenie. Stracił zupełnie rachubę czasu, każdy dzień wyglądał tak samo. Powiew radości i nadziei odczuwany w konwoju zniknął. Modlił się jednak żarliwie, prosząc Boga o znak. I właśnie dzisiaj został mu on dany.

Wraz z innymi robotnikami wracał do baraków. Krótki, szary dzień Zimy miał się ku końcowi, lecz mogli maszerować spokojnie – w Warszawie w niektórych miejscach na ulicy wisiały dziwaczne szklane urządzenia wytwarzające sztuczne

światło. Eskortowało ich kilku strażników, niezwracających jednak przesadnej uwagi na więźniów. Nikt nie wierzył, by ktoś ośmielił się uciec w Warszawie, zamieszkanej przez wielu Tamtych (mieli tu swój Pałac). Dlatego Sługusi w najlepsze flirtowali z jedną z robotnic, Zofią. Kobietę otaczała powszechna pogarda, szeptano o niej najgorsze rzeczy. Teraz szła ramię w ramię z dwoma mężczyznami, śmiali się, szeptali, znaki sobie dawali, oczami mrugali.

I korzystając z rozprężonej atmosfery, w pewnym momencie jeden z maszerujących obok Jana więźniów zaczął coś rysować czubkiem buta w błocie. Ryba!

Chłopak z Poznania oczywiście zrozumiał ten znak. Zgodnie z kanonem rzucił do mężczyzny:

– Dokąd idziesz?

– Za dwa dni, barak piąty, gdy wszyscy będą spali.

Teraz, leżąc na wąskiej, twardej pryczy, Jan pierwszy raz nie czuł jej niewygody. Tak, dzisiaj Bóg dał mu znak. Nie jest tutaj sam. Żarliwie odmawiał dziękczynne modły.

Pewnego dnia wieczorem strażnicy powiedzieli im, że jutro nie idą do pracy i mogą dłużej pospać. Dostali też lepszy posiłek, pojawiła się nawet „liściówa" (uważany za przysmak aromatyczny wywar z liści i grzybów). W baraku zapanowało podniecenie. Starsi więźniowie tłumaczyli, że jutro Tamci obchodzą święto. Dla więźniów jest to dzień wolny od pracy, ale zostaną zmuszeni do uczestniczenia w uroczystościach.

Po raz pierwszy od wielu dni Jan porządnie się wyspał i po raz pierwszy mógł obejrzeć Warszawę (konwój, w którym szedł z Poznania, dotarł na miejsce, gdy już było ciemno).

Ogród kikutów. W półmroku dnia pozostałości niegdyś wysokich wież tego miasta wciąż robiły wrażenie. Jakie wspaniałe musiało ono być przed Katastrofą! Teraz pozostało jedno ogromne rumowisko z wystającymi szkieletami budowli. Pomiędzy stosami gruzów topniejący śnieg zmieszany z popiołem utworzył czarne jeziora. Wśród odłamków budowli gnieździły się trujące stworzydła, nazywane „kolczatkami" – szczątki dawnego królestwa przyrody, które przeżyły na powierzchni, zmieniły się drastycznie. Na skutek promieniowania i skażenia chemicznego doszło do wielkiej liczby mutacji, co doprowadziło, wspólnie z trudami walki o byt w ciężkich warunkach, do powstania dziwacznych, symbiotycznych organizmów, ni to zwierząt, ni to grzybów, ni to roślin. Kolczatki pączkowały jak grzyby, miały kolce i szczątkowe liście, a także możliwość poruszania się (choć bardzo ograniczoną). Strasznie trudno było je wyplenić, w końcu Tamci uznali, że wygodniej będzie skromnie karmić stworzydła, by siedziały w miejscu i przestały wędrować po całym mieście.

Jana najbardziej cieszyło rozbicie monotonii. Krótko po euforii, wywołanej odnalezieniem wiernych Kościoła pośród więźniów, znów popadł w przygnębienie. Warszawscy wyznawcy Siódmej Trąby różnili się od tych z Poznania. Ośmioosobowa gmina dzieliła się na dwie frakcje – jedni nazywali siebie grekami (mówili, że grek w dawnym języku oznaczało prawdziwy), a drudzy papistami (choć nie umieli dokładnie

objaśnić, co to znaczy, przyznawali temu słowu wielkie znaczenie). Czasami nawet ostro kłócili się podczas spotkań. Jan widział już konflikty między wiernymi w Poznaniu, ale tu było dużo gorzej. Obie grupy starały się urobić chłopaka na swoją modłę, posuwając się nawet do szykanowania. I grecy i papiści twierdzili, że tam w Poznaniu nie ma prawej wiary, kazali mu się modlić inaczej, a wyśmiali go, gdy na określenie pokarmu wspomnianego w Piśmie użył słowa „pyra". Mimo wszystko Jan trzymał się z nimi. A co miał innego zrobić? Jednak przy tym wszystkim nawet święto Tamtych, sług złego ducha, była pożądaną odmianą.

Cieszył się zwłaszcza, że zobaczy Pałac. Słyszał o nim już jako dziecko. Wprawdzie dziś budowla ta funkcjonowała wyłącznie dzięki mocy Tamtych, którzy obrali go sobie za siedzibę, ale wybudowano go w czasach przed Katastrofami. Legendy dotyczące jego powstania nie były ze sobą zgodne – według niektórych, za jego powstanie odpowiadali bliżej nieokreśleni nieprzyjaciele (których jednak nie utożsamiono z Tamtymi). Wszyscy zgadzali się jednak co do jednego – o Schronie tak naprawdę nic nie wiadomo, może to tylko bajdurzenie marzycieli. Natomiast Pałac, choć zbrukany przez Tamtych, naprawdę stanowił kawałek dawnego świata, dowód potęgi ludzkości.

Już idąc, Jan patrzył na niego, jak piął się nad Warszawą – wspomnienie, symbol, niebo. W koło gruzy i zwaliska, a nad wszystkim goreje on, piękniejszy niż pałace z baśni o zaklętych księżniczkach, wieńcząca go iglica niknęła gdzieś w chmurach, niedosiężna dla ludzkich oczu. Jarzył się tysiącem okien, płonął niczym znicz. Ale to nie był ogień, to było to cudowne światło, od którego rosły też rośliny na ich farmie. Sięgająca chmur budowla, rozświetlona blaskiem jaśniejszym niż słońce – właśnie tak Jan wyobrażał sobie splendor starego świata.

Wokół pałacu stało kilkudziesięciu Tamtych. Ich olbrzymie, czworonogie cielska błyszczały w świetle lamp pałacu. Ale nawet to nie mogło Janowi zepsuć tej wielkiej chwili. Wspaniałość Pałacu udowadniała, że nie zawsze człowiek jęczał pod jarzmem Tamtych i że nawet czarne technologie prześladowców nie mogą się równać z utraconą wielkością ludzi. Przecież przed Katastrofami, przed Piątą Trąbą, Tamci, mimo swych ogromnych rozmiarów i siły, byli jak zwierzęta. Gdy zabrzmi Siódma Trąba, Bóg oczyści ziemię z tego plugastwa i nadejdzie Nowe Jeruzalem!

I gdy tak stał zachwycony, usłyszał za plecami kobiecy głos.

– Pierwszy raz widzisz Pałac.

Odwrócił się zaskoczony. Zofia.

Kobieta cieszyła się złą sławą miedzy więźniami, więc Jan nic nie odpowiedział. Ona jednak nie rezygnowała:

– Nie chcesz ze mną rozmawiać. Twoi współwyznawcy pewnie mnie obgadywali!

Jan rozszerzył oczy. Jednak byli za mało ostrożni! A jeśli ona wyda ich Sługusom... Dopiero po dłuższej chwili wydukał, chcąc grać niewiniątko:

– Jacy współwyznawcy?

Ale jego zdziwienie było bardzo dobrze widoczne. Zofia roześmiała się.

– Myślisz, że nie wiem, że należysz do Kościoła Siódmej Trąby? Ale widzę, że dziś nie trzymasz się ze swoimi.

– Mówisz głupoty. – Chciał odejść, ale chwyciła go za ramię.

– Chyba nie chcesz być jak Piotr? Nie bój się, nie wydam was.

– Czego chcesz?

– Po prostu mi cię żal. Modlisz się do demona kłamstwa. – I spojrzała mu w oczy. Ludzie Zimy byli brzydcy. Skażenie, choroby i głód odbijały się w pokracznych sylwetkach, pokiereszowanych twarzach, niezdrowej skórze. Zofia też była brzydka, miała szkaradną bliznę na policzku, brakowało jej kilku zębów. Ale obcisła szata uwidaczniała kobiece kształty, rysy jej twarzy cechowała regularność, a oczy miała zielone jak... Jan przypomniał sobie słowa z nadpalonej stronicy, odnalezionej kiedyś w jednej z piwnic – „Oczy jak chryzolit". Zielony kamień, o którym mowa też w Piśmie, stanowił dla Jana symbol czegoś pięknego, czego nie umiał nazwać. I właśnie takie były oczy Zofii. Gdy kobieta patrzyła na niego, czuł chęć rozmowy, choć wiedział, że powinien zostawić ladacznicę Sługusów.

– O czym ty mówisz?! – niemal krzyknął. Zakłopotanie instynktownie przykrywał agresją.

– Obserwowałam cię. Nie jesteś tak tępy jak inni więźniowie i posiadasz łaskę wiary. Żal, że czcisz demona. Czy nie zastanawiałeś się nigdy, dlaczego twój bóg stworzył świat, w którym ludzie jęczą pod brzemieniem Tamtych?

– Ale to kara za nasze grzechy! I nadejdzie czas odkupienia!

– Naprawdę sam w to wierzysz, czy kazali ci w to wierzyć rodzice i przyjaciele? Dlaczego twój bóg karze za grzechy właśnie wiernych, a nie Tamtych i Sługusów? I jeśli jest najczystszą miłością, to dlaczego zesłał Katastrofy? Chrystus uczył przebaczenia, a według waszej wiary plagi sześciu trąb sześciu aniołów skazały świat na los Sodomy i Gomory! Czy naprawdę myślisz, że ten sam bóg, który posłał Zbawiciela, mógł przekląć ludzi? Czy Pan Baranka może być stwórcą Tamtych?

– O czym ty mówisz? W Piśmie jest napisane...

– Co to jest Pismo. Kto jest autorem Pisma?!

– Ludzie natchnieni przez Boga!

– Ty naprawdę w to wierzysz? To dlaczego twoi współwyznawcy w Warszawie mają inne Pismo?

– Nie mogę cię słuchać, to grzech!

– Ty możesz mnie zrozumieć. Czy nigdy nie miałeś uczucia, że jest w tobie iskra czegoś jaśniejszego, wyższego? Czy nigdy nie pomyślałeś, że wrzucono cię w ten mroczny świat Zimy, ale twoja prawdziwa ojczyzna jest gdzie indziej?

Wtedy podszedł Paweł, jeden z członków Kościoła Siódmej Trąby. Odepchnął Zofię.

– Zostaw go, suko!

Kobieta ze spokojnym uśmiechem powiedziała:

– Jan, mam nadzieję, że jeszcze porozmawiamy. – A Pawła obrzuciła pogardliwym spojrzeniem, wydymając wargi.

Ten zaklął i rzucił do Jana:

– Tylko się z nią nie zadawaj. Ona tak każdego młodszego.

Jan był nerwowy przez najbliższych kilka dni. Wzruszenie widokiem Pałacu, nieprzyjemna sytuacja wśród wyznawców, słowa Zofii – wszystko to nie dawało mu spokoju. Bardzo chciał porozmawiać z kobietą, pokazać jej, że nie ma racji. Ale zasiane ziarno wątpliwości kiełkowało, zresztą sam wcześniej miał podobne myśli – słuchając docinków wiernych, gdy patrzył na spasione cielska Tamtych wśród ruin Warszawy, gdy wyzywali go Sługusi. A nocami, pod powiekami, pojawiała się Zofia, jej oczy, szyja, piersi...

Wreszcie, gdy wracali z farmy, Zofia szepnęła mu:

– Przyjdę po ciebie w nocy, czekaj przed barakiem.

Kobieta była w dobrych układach z Sługusami, dlatego wartownik pozwolił im oddalić się od baraków. Siedzieli na zwalonej kolumnie i milczeli. Jan nie wiedział, jak zacząć rozmowę. Zofia odezwała się pierwsza:

– Przemyślałeś to, o czym mówiłam?

– Dlaczego nazywasz Boga kłamliwym demonem?

– Bo prawdziwy Bóg nie jest budowniczym okrutnego świata. Przecież wiem, że i ty czujesz, że tak naprawdę nie należysz do Ziemi. Opowiem ci o prawdziwym Bogu. Od zawsze istnieją dwie zasady. Mówimy dobro i zło, pokój i wojna, światło i ciemność, doskonałość i ułomność. Światłość jest niezmienna i trwa, kontemplując samą siebie. Ciemność jest jak wściekły pies, gryzący własny ogon. To tylko symbole, lecz tu, na Ziemi, w świecie materii, nie możemy tego pojąć inaczej. Ale nie zawsze byliśmy zanurzeni w tym gnoju. – Zofia spojrzała w niebo. – Jeszcze przed powstaniem świata i czasu, ciemność rozszarpywana wewnętrzną walką wtargnęła w granice dobra. Ze światłości wyłonili się archaniołowie i wyruszyli na wojnę przeciwko mrokowi. Pokonali Zło, ale niektórzy stali się jego ofiarą. Najpotężniejszy z demonów ciemności, Szatan, nazywany też Jahwe, zapragnąwszy uwięzić pokonane cząstki światłości, stworzył świat – więzienie.

– Nie wierzę w ani jedno Twoje słowo!

– To spójrz na zło i zepsucie, które cię otaczają. Materia jest skażona. Wszystko w świecie nosi piętno niedoskonałości. Czy dobry i wszechmogący Bóg stworzyłby świat śmierci, w którym każde stworzenie może żyć tylko zabijając i pożerając inne stworzenia? Pomyśl o odorze rozkładających się ciał, smrodzie odchodów, o zgniliźnie i zepsuciu. Czy to ma być dzieło światłości? A sam, czy nigdy nie wstydziłeś się, że śmierdzisz, że sikasz, nie upokarzał cię głód i choroba? – Nie czekała na odpowiedź, jej oczy błyszczały, gdy mówiła. – Tu, na ziemi, jesteśmy uwięzieni w materii, ale każdy z nas nosi w sobie iskrę nieśmiertelnej duszy. Ten świat to pułapka! I ty modlisz się do jego stwórcy!

Jan chciał się zdecydowanie sprzeciwić, ale od słów Zofii kręciło mu się w głowie. Było coś jeszcze – bliskość jej ciała, już niemal przytulała się do niego. Czuł się jakby podłączony do jednej z wielkich maszyn na farmie, nerwowo zaciskał spocone dłonie. W końcu wyszeptał:

– Nie, nie! Zło to kara za grzechy przeciw Bożemu prawu!

– Zło to właśnie twój bóg i jego prawo. Nasze dusze są przykute do materii i nawet śmierć oznacza pozostanie w kręgu wcieleń. Ale ten zły stwórca jest ułomny,

jego pułapka na światłość też jest niedoskonała. Chrystus, posłaniec światłości, wskazał drogę odkupienia.

– To dlaczego nazywasz mój kościół fałszywym?

– Bo nauka Chrystusa i innych posłańców została zbrukana. Dotarły do nas tylko strzępki. Ja też kiedyś byłam wierną jednej z sekt fałszywej religii. Pewnego dnia przybył do nas nauczyciel, i odsłonił nam prawdziwą drogę wiary. Ale dość na dzisiaj. Przemyśl to, co ci powiedziałam…

Cały czas, podczas rozmowy przybliżała się do niego. I gdy wypowiadała ostatnie słowa, Jan czuł jej brzuch na swoim brzuchu, jej ręce oplatające jego szyje. Zaczęli się całować.

– Tak, Warszawa. Wtedy dowiedziałem się o Kasandrze… – pomyślał Jan. Siedział w ogrodzie, na ławce pod owocowym drzewem. Wspominał.

Dzisiaj miał dokonać wyboru.

Tatry

Padał śnieg. Jan, choć myślał, że dobrze się przygotował na pogodę w górach, czuł, że długo już nie wytrzyma. Tatry okazały się być czymś zupełnie innym niż myślał, słuchając opowiadań w Nowej Hucie. W osadzie, znajdującej się w ruinach dawnego miasta, współwyznawcy Zofii dali mu ekwipunek potrzebny na wyprawę w góry i przestrzegli go przed największymi niebezpieczeństwami. Ale nikt nie chciał iść z nim.

Do nauki Zofii, kasandryzmu, choć na początku wydała mu się odrażająca, przekonał się szybko. Dawała odpowiedź na wszystkie wątpliwości, które wcześniej nosił w głębi duszy. A przecież pierwsza kobieta jego życia uczyła go nie tylko o iskrze uwięzionej w materii oraz dobrym Bogu i złym stwórcy. Według doktryny wyznawanej przez Zofię, materia sama w sobie jest zepsuciem całkowicie obcym światłości. Obojętnie, co dzieje się z ludzkim ciałem, jest to zło, ale nie może ono skazić duszy, iskry z innego świata. Nie ma więc grzechu cielesnego, nie ma różnicy między uleganiem żądzom a ascezą, bo grzeszy ciało, które i tak jest potępione, a dusza i tak pozostaje czysta. Nie trzeba więc powstrzymywać pragnienia. Dlatego Zofia bezwstydnie oddawała się Sługusom, w zamian za przywileje. I dlatego jej spotkania z Janem nie były tylko wykładami wiary.

Na wspomnienie Zofii jakby sopel lodu przebijał mu serce. Zabili ją!

Wcześniej jednak zdążyli przygotować ucieczkę. Na południu, w ruinach Krakowa, istniała wioska kasandrystów, współwyznawców Zofii, a teraz też i Jana. W okolicy nie było żadnych osad kontrolowanych przez Tamtych, dlatego Nowa Huta stanowiła prawdziwą oazę wolności. Zofia wiedziała, że sama nie zdoła dostać się tam z Warszawy, ale liczyli, że we dwoje się uda. Jednak gdy spotkali się noc przed ucieczką, jeden z wyznawców Kościoła Siódmej Trąby nakrył ich i dźgnął Zofię nożem. Wyrwawszy broń mężczyźnie, Jan w furii pochlastał mu gardło. Chciał zostać z Zofią,

ale ta, brocząc krwią, kazała mu uciekać, zanim go schwytają, zaklinając się na światłość.

Jan nie wiedział, czy ocalenie zawdzięcza szczęściu, dobremu planowi czy temu, że w obozie bardziej przejęto się śmiercią dwóch więźniów niż ucieczką trzeciego. Po ośmiu dniach kluczenia dotarł do Nowej Huty (Jan nie wiedział, co znaczy Huta, i skąd słowo Nowa, powiedziano mu, że to po prostu tradycja związana z tym starożytnym miejscem), gdzie w majestatycznych ruinach fabryk żyli kasandryści. Dzięki wcześniejszym naukom Zofii, został przyjęty do ich wspólnoty.

A teraz Jan był sam, otoczony nieprzyjazną ciszą gór. Szedł korytem zastygłego potoku. Z obu stron otaczały go kikuty drzew, sterczące czarne kształty, widmowa puszcza. Wszystko było nieruchome, półżywe. Najgorsze, że Jan nie znał drogi. Wiedział tylko, że legendarny Schron naprawdę ukryty jest gdzieś w tych górach. W Nowej Hucie dowiedział się, że schron krakowski uznawany jest za zniszczony i zasypany, więc tylko tam czekać może na niego Trąba Kasandry, prawdziwa nadzieje na odkupienia, a nie miraż w rodzaju Siódmej Trąby.

Chłopak nie mógł już maszerować dalej, zresztą powoli szarość dnia zastępowała nieprzenikniona ciemność nocy. Wokół pustka, jakby Ziemia była niezamieszkana. Uznał, że nadszedł czas na postój. Kilkadziesiąt kroków dalej znalazł dobre miejsce na odpoczynek – skalną wnękę. Choć był potwornie zmęczony, zmusił się, by wyszukać wśród martwych drzew kawałki nadające się na ognisko. Wtem rozległo się wycie. W Krakowie przestrzegano go, że w górach żyją niebezpieczne stworzydła i ludzie, ale według kasandrystów, raczej nie odważą się zaatakować człowieka. Mimo wszystko Jan najeżył się, usłyszawszy przeciągły skowyt.

Udało mu się rozpalić ognisko. Wreszcie mógł ogrzać się i odpocząć. Patrzył w ogień. Płomień był żywiołem oczyszczenia. Kasandryści wierzyli, że po śmierci człowiek ostaje we władzy złego demona, odradza się w kolejnej materialnej formie. Ale dla Wiedzących istnieje droga zbawienia, objawiona przez Chrystusa. Pierwszym stopniem ku wolności jest świadomość boskiej natury duszy człowieka, więzionej w ciele. Drugi stopień to nagła śmierć, taka, by demon stróż nie zdołał przygotować się na przejęcie duszy (nie mogło to być więc przygotowywane samobójstwo czy zabójstwo). Trzecim jest obrzęd całopalenia, przeprowadzony w zgodzie z rytuałem. Ogień przynosił wyrwanie ze świata materii i powrót do światłości. Ale ile wieków mogło trwać, zanim wszyscy ludzie pokonają te trzy stopnie?

Odkupienie światłości miała przynieść Trąba Kasandry.

Ciesząc się ciepłem i podgryzając suszone mięso, Jan rozmyślał. Ile jeszcze będzie w stanie tak iść? Bracia z Nowej Huty wyposażyli go w namiot, śpiwór oraz specjalne ciepłe ubranie z dziwnego, śliskiego w dotyku tworzywa, a także zapas żywności. Jednak trudy wędrówki po górach przekraczały jego siły. Wszyscy kasandryści pobłogosławili jego zamiar, ale brakowało im religijnego żaru, musiał iść w góry sam. Trochę go rozczarowali. Choć posiadali Wiedzę, byli jednak normalnymi ludźmi, w słowach pogardzali upodloną kondycją światłości skażonej materią, ale bali się zaryzykować wygodne życie. Nowa Huta był dobrym miejscem do życia. Ale Jan nie chciał się tym cieszyć, obrzydło mu wszystko.

Wyruszył w Tatry na poszukiwanie Schronu.

Tam Wiedzący sprzed Katastrof ukryli swój największy skarb – Kasandrę. Nauka kasandrystów zmieniła poglądy Jana na przeszłość – także przed Katastrofami ludzie byli niewolnikami demona, tyle że nieświadomymi, teraz zaś wydano ich na pastwę Tamtych – pół–zwierząt, pół–demonów powołanych przez spadającą gwiazdę (tu Kościół Siódmej Trąby i kasandryści byli zgodni). Na szczęście, Wiedzący sprzed Katastrof, potrafili wykorzystać niedoskonałość Stwórcy i obrócić jego dzieło przeciwko niemu. Technikę, ten wytwór materii, jeszcze bardziej wiążący człowieka z Ziemią, zamienili w narzędzie Zbawienia. Tym był projekt Kasandra. Słudzy władcy tego świata, Tamci, szukali Schronu, chcąc go zniszczyć, lecz nie byli w stanie. Do Schronu mógł dotrzeć tylko przez współczucie wiedziony prawdziwy Wiedzący. I on będzie mógł uruchomić program, a wtedy zabrzmi Trąba Kasandry, co będzie sygnałem do eksplozji kilkuset potężnych bomb wodorowych, rozmieszczonych w różnych miejscach świata. Ziemia spłonie w ogniu, i poprzez płomień iskry wrócą do światłości.

Ognisko dogasało. Korzystając z resztek światła, Jan rozbił namiot. Pora na sen. Wśród kikutów widmowego lasu wyły stworzydła.

Minęło pięć dni. Zapasy żywności Jana kurczyły się niebezpiecznie szybko. Codzienny marsz wśród gór, po śniegu pozbawiał go wszystkich sił. Nocami stworzydła dochodziły coraz bliżej. Żadnych śladów Schronu. Dziś niemal cały dzień maszerował pod górę, czuł się gorzej niż podczas najcięższych dni na farmie w Warszawie. Od pewnego czasu wydawało mu się, że dostrzega ogniki między drzewami, ale spisał to na karb wyczerpania.

Nie wiedział nawet, jak się modlić. Skoro ten świat jest domeną złego – skąd miała nadejść pomoc? Brnąc przez zaśnieżone góry, pod pustym, szarym niebem, Jan tęsknił do życia w Poznaniu, gdy wszystko było jeszcze jasne.

Zbliżała się noc. Zaczął rozglądać się za miejscem, w którym mógłby rozbić namiot. Ile jeszcze nocy przetrwa w górach. A może to wszystko nie ma sensu i lepiej zawrócić do Nowej Huty?

Kątem oka dostrzegł z prawej strony jakiś ruch i błyski. Stanął, wpatrując się w ciemność. To były trzy stworzydła! Powoli podchodziły coraz bliżej. Ich cielska porośnięte były fosforyzującym futrem. Poruszały się bezszelestnie, nie zapadając się w śnieg. Choć stworzydła były niewielkie i wychudzone, to mimo półmroku Jan widział ich wielkie, pełne zębów paszcze, co dawało do zrozumienia, że nie przyszły się łasić. Muszą być bardzo głodne, inaczej nie zaatakowałyby człowieka.

Zdjął plecak, chciał wyciągnąć coś do jedzenia, mając nadzieję, że zostawią go w spokoju, jeśli da im jakieś żarcie. Ale gdy zaczęły biec, wpadł w panikę i rzucił się do ucieczki.

Kilkadziesiąt kroków dalej opanował się. Stworzydła zajęły się jego plecakiem. Co on zrobi bez ekwipunku?

Zastygł nieruchomy. Wtem stworzydła znowu ruszyły w jego stronę!

Biegł, zmuszając wycieńczone ciało do wielkiego wysiłku. Zapadał się po kolana w śnieg, bolały go wszystkie mięśnie, mroźne powietrze Tatr piekło przy każdym wdechu. Strach wyzwolił w nim szaleńczą siłę, ale na dłuższą metę nie mógł pokonać wielkiego zmęczenia. Nogi plątały się, wreszcie Jan runął jak długi w biały puch, zahaczywszy o coś.

To się nie może tak skończyć! A może lepiej niech wreszcie będzie pod wszystkim?... Stworzydła jednak nie nadchodziły. Ale on nie miał siły się podnieść. Chciał chociaż chwilę odpocząć. Śnieg wcale nie był taki zimny, otulał go jak ciepła kołdra. Wiedział, że to najgorsze, co może zrobić, zasnąć zmęczony na śniegu, gdy w okolicy kręcą się drapieżniki, lecz przymknięcie oczu choćby na moment mogło być jak dotyk światłości. Zaraz wstanie i znajdzie jakieś lepsze schronienie. Teraz chce choć chwilę odpocząć.

Wokół zapadała górska noc. Rozległo się wycie. Nastała ciemność.

Wybór

Jest taki moment chwilę po przebudzeniu, gdy wraca świadomość. Człowiek znajduje się jeszcze we władzy snu, ale już zapomina, o czym śnił, albo dostrzega, jakie to było nierealne. Powoli zaczyna ogarniać jawę, podporządkowuje się jej. I już za moment ta chwila zawieszenia między dwoma światami będzie tak samo nieuchwytna jak sen.

Ale Jan długo nie mógł dojść do siebie. Realność była dziwniejsza od snu.

Z obrzydzeniem zdał sobie sprawę, że jest w wodzie. Od szyi w dół ciało miał zanurzone w zbiorniku. Nie, to nie była woda, tylko dziwna ciecz. Poruszył palcami i poczuł jej dużą gęstość. Czuł, że coś ma na głowie, ale nie mógł sprawdzić co, kątem oka widział białą powierzchnie i wystające kable. Na suficie kolejne dziwadło – ruchome obrazy. Czasami rozpoznawał niektóre spośród kolorowych, zmieniających się kształtów, ale nie mógł nic z tego zrozumieć. Bolała go głowa i był otępiały.

Ale mimo strasznego położenia, miejsce miało w sobie coś zachwycającego. Białe ściany pokoju błyszczały; unosiła się w nim delikatna, słodka woń. Jan, przyzwyczajony do brudnego śniegu, błota i ciemności, odczuwał instynktowną radość w tym czyściutkim, jasnym pomieszczeniu.

Czyżby dotarł do celu? Doskonałość pokoju odpowiadała jego wyobrażeniom o Schronie. Tu znajduje się Trąba Kasandry! Tylko według podania miał przejść próby, a ostatnie, co pamiętał, to napad stworzydeł i potworne zmęczenie. Ale może właśnie jego dziwaczne położenie jest przygotowaniem do prób? Próbował się skupić, ale jego myśli były zmącone i niejasne.

Chociaż znajdował się nie wiadomo gdzie, uwięziony w zagadkowym zbiorniku, to miał wrażenie, jakby zapach miejsca przynosił mu słodycz i spokój. Odczuwał wielką senność, ale po raz pierwszy od wielu dni nie był zmęczony.

Nie wiedział, jak długo tak leżał między jawą i snem, to zapadając w nieświadomość, to budząc się. W końcu jednak jego zaczęła mu wracać jasność

umysłu, ustąpiła senność. Leżał, zastanawiając się, co robić. Wtedy fragment jednej ze ścian zaczął się odchylać. Na mgnienie oka Jan zastygł. Teraz pozna mieszkańców Schronu, ludzi, którzy zachowali wielkość świata sprzed Katastrof.

Jednak do pokoju wszedł Tamten!

Był duży, nawet jak na nich, prawie wypełniał całe pomieszczenie. Potężny kawał mięsa barwy granitu, wysoki jak niemal dwóch ludzi. Jan z przerażeniem patrzył na pochylającą się nad nim upiorną głowę potwora, z wielkimi uszami, które mogły wręcz służyć jako wachlarz. Z przodu twarzy, między dwoma kłami, wyrastała długa macka, jakby połączenie górnej wargi i nosa. Jan trochę przyzwyczaił się do Tamtych w Warszawie, ale teraz było to jak nocna mara. Chciał zamknąć powieki, ale stwór hipnotyzował go spojrzeniem swoich wielgachnych oczu.

Tamten zaczął mówić. Dla Jana był to kolejny szok. Ze Sługusami i pozostałymi poddanymi Tamci komunikowali się, pisząc (większość Sługusów potrafiła czytać). Sami rozumieli ludzi, to człowiek nie potrafił pojąć ich języka. Powiadano, że w mowie tych monstrów wszystko znaczy, każdy ruch macki i uszu oraz każde drgnięcie głosu, którego człowiek nie może uchwycić, niesie ze sobą informację. Podobno Tamtym dla opowiedzenia skomplikowanego wydarzenia wystarczało kilka dźwięków, tak gęsty był ich język. Ale teraz, choć to niemożliwe, Jan wszystko rozumiał, mimo że trudno było mu ogarnąć tyle faktów w tak krótkim czasie.

– Nie bój się. Nie zrobimy ci krzywdy. Nie po to cię uratowaliśmy. Witamy w naszej bazie. Zapewne dziwisz się, dlaczego nas rozumiesz. Jesteś teraz podłączony do specjalnych przyrządów, dających ci możliwość pojąć nasze znaki, jeśli mówimy bardzo wolno. Instalacje monitorujące odnotowały twoje krążenie w tej okolicy. Widząc, że jesteś u kresu sił, uratowaliśmy cię przed mutantami i śmiercią z wyziębienia.

– Gdzie jestem? – Pierwszy raz w życiu własny głos wydał się Janowi taki powolny

– Uprzedzamy cię, że nasze narzędzia pozwoliły nam zbadać twoją pamięć. Posiadamy informację, że szukałeś miejsca zwanego w opowieściach ludzi Schronem. Można powiedzieć, że udało ci się. To miejsce jest źródłem mitów o Schronie, jakkolwiek już choćby sama nasza obecność sprawiła, że już wiesz, iż te legendy mają niewiele wspólnego z realnym stanem rzeczy. Mamy świadomość, że boisz się i pogardzasz Tamtymi, jak ich nazywasz. Nie jestem jednym z nich, aczkolwiek mam takie ciało.

– To kim jesteś? – zapytał Jan.

– Mówisz „jesteś", aliści nas jest wielość, zawsze działamy i myślimy razem. Tego twój gatunek wszelako nie może sobie uzmysłowić. Wiemy, że w twoim umyśle funkcjonuje dziwaczna religia, w której kluczową rolę odgrywa pojęcie światłości z innego świata. Możesz nazwać nas wysłannikami światłości.

– Jestem zbawiony? Czy Schron jest światem światłości?

– Nasze badanie wykazało, że wyróżniasz się wysoką inteligencją na tle współcześnie żyjących homo sapiens (tymi słowami, zgodnie waszą utraconą wiedzą, nazywamy was, ludzi). Dlatego, nie bacząc na pewne przeciwwskazania, wyjaśnimy ci

wszystko. Wszelako dziś byłby to dla ciebie zbyt wielki szok. W chwili obecnej najlepiej, byś odpoczywał. Jutro powinniśmy zakończyć leczenie, uwolnimy cię ze zbiornika. Wtedy wszystko zostanie ci wyłożone. Bądź przygotowany, że rzeczywisty stan spraw różni się od twoich wierzeń. A teraz śpij.

Machnął macką. Jan zasnął błyskawicznie.

Tym razem obudził się na leżance w ogrodzie.

„Czy to jest Raj? Naprawdę jestem w świecie światłości?!"

Dopiero po chwili dotarło do niego, że wciąż znajduje się w zamkniętym pomieszczeniu, tylko trochę większym, gdzie rosły drzewka i kwiaty. Konstrukcje przypominały farmę, na której pracował w Warszawie, ale tu było czyściej i ładniej. Nic nie krępowało jego ruchów, ale wciąż miał na głowie hełm.

Wszedł Tamten. Tym razem Jan był spokojny. Chciał poznać prawdę. Prawda go wyzwoli.

Stwór zaczął mówić. Ruchy trąby, falowaniu uszu, wysokość i głośność dźwięków – wszystko to w głowie Jana splatało się w niesamowicie intensywny przekaz informacji.

– Wysłuchaj nas spokojnie. Czytniki pokazują, że czujesz się dobrze, a twoja inteligencja i otwartość powinny pomóc ci zrozumieć wszystko. Skoro szybko z wyznawcy Kościoła Siódmej Trąby stałeś się kasandrystą, zdołasz przyjąć realny stan rzeczy. Twój potencjał sprawia, że mamy związane z tobą pewne plany, do których będziemy potrzebowali twojej wolnej decyzji. Dlatego wyleczyliśmy tylko twoje ciało, atoli nie zmienialiśmy umysłu. Wysłuchaj nas uważnie i sam dokonaj wyboru.

– Powiedzieliśmy, że możesz nas nazwać wysłannikami światłości, ale nie myśl o nas jak bóstwach, choć nasze możliwości przekraczają te przypisywane przez twoich przodków istotom nadprzyrodzonym. Najlepiej, byś zaczął myśleć o ideach religijnych jako o symbolach wyrażających problemy egzystencjalne istoty rozumnej. Zapewne chcesz wiedzieć, kim jesteśmy i skąd przybywamy. Ty nigdy nie widziałeś na własne oczy słońca i gwiazd, jednakże nasze badania pokazują, iż spotkałeś się z ich wyobrażeniami. Gwiazdy to słońca, i tak jak Ziemia powiązana jest z waszym Słońcem, tak przy innych gwiazdach krążą inne światy. Między nimi znajdują się niewyobrażalnie rozległe obszary pustki, odległości między gwiazdami nie sposób sobie uzmysłowić, przykładając ziemską miarę. My pochodzimy z jednego z tych odległych miejsc. Przybyliśmy na Ziemię, by ją uratować. W czasach, gdy twoi przodkowie wstąpili w końcu na ścieżkę rozwoju technologicznego, uruchomili tak zwany program SETI, poszukując wśród gwiazd obcych istot. Bezskutecznie. Wspominam to, gdyż my również realizujemy podobny projekt poszukiwań, wykorzystujący jednak dużo bardziej zaawansowane technologie. Dowiedzieliśmy się o Ziemi, a przekazane obrazy dały nam do zrozumienia, że znajdujecie się na drodze do samozagłady. Posiadamy technologię umożliwiającą podróżowanie przez przestrzeń między gwiazdami, obchodząc gigantyczną pustkę. Wysłaliśmy więc niewielką misję na Ziemię, by ocalić was i życie tutaj, a raczej to, co z niego zostało. Powinieneś docenić to, gdyż to z naszej strony wielka ofiara – znajdujemy się daleko

od macierzystego świata, nasz kontakt z nim jest bardzo ograniczony. Choć w porównaniu z wami posiadamy i tutaj gigantyczne możliwości, są one jedynie cieniem naszego potencjału tam. Miejsce, w którym się teraz znajdujemy, w waszych legendach znane jako Schron, to jedna z naszych baz. Zapewne chciałbyś wiedzieć, dlaczego przyjęliśmy formę Tamtych. Znów nie mogę dać ci pełnego wyjaśnienia, gdyż nie masz odpowiedniej wiedzy. Nasza technologia pozwoliła nam przenieść się na Ziemię stosunkowo szybko, wszelako ma swoje ograniczenia. Możemy dokonać transferu tylko niewielkich cząstek, przybyliśmy więc w formie małej chmury maszyn wielokrotnie mniejszych niż ziarenko piasku. Dają nam one możliwość manipulowania materią i przenoszą informację. Jednak ta ilość, którą mogliśmy przetransferować na Ziemię, była zbyt mała, pojawiła się konieczność uzyskania większych możliwości fizycznego działania. Ponadto nasze świadomości, zapisane w maszynach, potrzebowały fizycznych nosicieli. Wybraliśmy ocalałe egzemplarze zwierząt nazywanych przez twoich przodków Loxodonta Africana. One były najbardziej zbliżone do naszych macierzystych form. Jednocześnie, zaczynając realizować naszą misję, uznaliśmy, że odbudowana przez nas cywilizacja Ziemi będzie miała innego gospodarza niż człowiek. Wybraliśmy do tej roli tak wygodne dla nas ciała Loxodonta Africana, przez szereg modyfikacji tworząc istoty nazywane przez was Tamtymi. Możesz myśleć, że to kara dla waszej rasy, jednakowoż tak nie jest. Jakkolwiek niszcząc planetę zasłużyliście na straszliwy los, jakkolwiek ewolucja uczyniła z was drapieżne i egoistyczne istoty, uznaliśmy, że należy wam dać drugą szansę. Chcemy jednakże, by ludzkość współżyła z inną rasą rozumną, co pozwoli wam na szybszy, a jednocześnie bardziej zrównoważony rozwój. Dzięki temu być może unikniecie pułapek, w jakie może was wpędzić wasza natura.

– Wiemy, że nasze słowa są dla ciebie szokiem. Mogliśmy wyposażyć cię w tę wiedzę, po prostu manipulując twoim mózgiem. Wszelako ze względu na czekającą cię decyzję, pragnęliśmy zachować twoją niezawisłość. A teraz zostawimy cię, byś mógł w spokoju...

– Poczekaj!

Tamten wpatrywał się w Jana. Zapadła cisza. Chłopakowi na usta cisnęły się setki pytań. Ale po chwili milczenia rzucił tylko:

– Co ze mną zrobicie?

– Dobrze, powiemy ci, chociaż chcieliśmy z tym jeszcze poczekać. Jesteś jednym z potencjalnie najbardziej inteligentnych homo sapiens, z jakimi się spotkaliśmy. Dlatego mamy dla ciebie trzy propozycje. Ty sam wybierzesz jedną z dróg.

– Pierwsza – wiemy, że nasze dzieci, zwane przez was Tamtymi, na drodze ku realizacji lepszej przyszłości Ziemi nie zawsze wdrażają te wartości, które chcieliśmy im przekazać. Wszakże nie zapomnieli, że wasi przodkowie polowali na ich przodków. Mimo wszystkich trudności, nie chcemy rezygnować z idei dwóch ras rozumnych na Ziemi. Musimy jednakże sprawić, by ludzie dorównali naszym dzieciom. Wykorzystalibyśmy twój potencjał i po przeprowadzeniu przez nas operacji na twoim ciele i umyśle, stałbyś się jednym z przygotowywanych przez nas nadludzi.

Uprzedzamy, że stracisz tak swoją osobowość, aliści twoje nowe ja byłoby jednym z przywódców ludzkości.

– Druga – przetworzymy twoje ciało na informację, zakodujemy w maszynach i wyślemy do naszego świata. Tam zrekonstruujemy ciebie w formie jak najbardziej zbliżonej do pierwotnej, byś w ramach niewielkiej kolonii osobników twojego gatunku był przykładem homo sapiens. Nasze badania wykazują, że zetknąłeś się kiedyś z ideą nazywaną przez waszych przodków ZOO. Wiedz, że choć nasz projekt może wydawać się ci podobny, zapewnimy wam warunki, o jakich zwierzęta w ZOO nie mogły nawet marzyć.

– Trzecia – wymażemy z twojej pamięci część wspomnień i podrzucimy w pobliże jednej z ludzkich osad. Zaczniesz swoje życia od nowa, bez świadomości tego, co przeżyłeś i czego się dowiedziałeś oraz bez nadziei na lepszy los.

– Aparatura wykazuje, że przeżywasz głęboki wstrząs. Wiedz, że nie musisz decyzji podejmować od razu. Damy ci odpowiednią ilość czasu na rozważenie tych zagadnień. Oczywiście moglibyśmy sprawić, byś z radością, myśląc, że to twoja własna decyzja, przyjął pierwszą, drugą lub trzecią możliwość, jednakże zależy nam na twoim wolnym wyborze, wyborze przedstawiciela homo sapiens.

Jan klęczał w białym pokoju o ścianach wykonanych z błyszczącego, białego materiału, w dotyku przypominającego dywan. Chciałby móc się modlić, ale na próżno, przez gruby pancerz budowli pozaziemskiej cywilizacji myśli nie płynęły do Boga, a zresztą on sam czuł, że jego wiara jest jałowa tak jak to miejsce.

Płakał. Wtedy przeklął dzień swoich urodzin. Krzyknął:

– Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił?

Potem dokonał wyboru.

W utworze wykorzystano fragmenty Biblii oraz tekstów Marka Barańskiego, Charlesa Baudelaire'a, Samuela Becketta, Jan Brzechwy, Jana Kochanowskiego, Jacka Londona, Adama Mickiewicza, Ferenca Pakozdy, Adama Nowaka i innych.

ROZDZIAŁ 7
Michał ‘Veron’ Tusz – „Trzynastka, część 4”

Ariel w końcu podzielił się z pozostałymi wiedzą dotyczącą Ryszarda Milowicza. I tak jak przypuszczał – nie doznali szoku. Może za wyjątkiem Dziadka, który premiera Ricky'ego Millera mógł oglądać w akcji na własne oczy.

Był to symboliczny obrazek. Nastały nowe czasy, przeszłość napiętnowała współczesność, ale już dawno przestała znaczyć wiele. Niespełna trzydzieści lat od wybuchu najkrótszej, ale najbardziej krwawej wojny w historii świata, ludzie nie mogli dłużej rozpamiętywać, co było kiedyś. Rzeczywistość stawiała przed nimi nowe wyzwania, niemożebnie bardziej wymagające niźli miało to miejsce dawno temu. Nie mieli czasu na oglądanie się za siebie.

„Każda epoka ma swe własne cele i zapomina o wczorajszych snach.”

Po osobliwym spotkaniu z człowiekiem z gór, Ariel i pozostali ze Schronu Numer Dziewięć, posiłkując się dokładnie rozrysowanym przez Ryszarda Milowicza planem, udali się do Schronu Numer Cztery. Według mapy mieli do pokonania ledwie kilka kilometrów. Czuli narastające podniecenie – oto po kilku tygodniach bezowocnych poszukiwań i niepotrzebnych śmierci dostali realną możliwość znalezienia wreszcie czegoś konkretnego, jakiejś wskazówki, sygnału, naprowadzenia na właściwy tor. Niestety, ich marzenia rozwiał wiatr niosący odór rozkładających się ciał.

Gdy już spoglądali na niewielkie wzgórze, w którym z pewnością zainstalowany był Schron Numer Cztery – zaledwie na chwilę przed dotarciem do jego podstawy – poczuli zatykający dech smród. Zatykając nosy, przeszli jeszcze tylko kilkadziesiąt metrów, po czym ich oczom ukazał się makabryczny widok. Na wysokich, grubych palach, wbitych pionowo w ziemię, sterczały zwłoki. Kilkanaście ogromnych, drewnianych słupów, a na nich ludzkie szczątki w groteskowych pozach. Chmara ptactwa łapczywie dobierała się do butwiejącego mięsa, ogryzając je do kości. Fetor zatykał nosy i wyciskał łzy. Pobyt tam dłużej nie wchodził w grę.

Czym prędzej zabrali się stamtąd, uciekając w kierunku, z którego przybyli. Zatrzymali się dopiero w chwili, gdy mogli swobodnie oddychać. David i Daniel nie wytrzymali i zwymiotowali.

– Co to w ogóle było?... – wydyszał David, krztusząc się i plując.

– Chińczycy – odparł Kapłan.

– Skąd to wiesz? – zapytał Ariel.

– Nie zauważyliście znaków na palach? To były chińskie litery. Na każdym palu wyżłobiony był taki symbol, jakiś metr nad ziemią.

– Prawdę powiedziawszy interesowało mnie to, co było na samej górze... – rzekł David, siadając ciężko na trawie i oddychając głęboko.

– Tylko po co mieliby robić coś takiego? – powiedziała cicho blada jak ściana Oliwia.

– Wydaje mi się, że to było ostrzeżenie – odrzekł Ariel, a Kapłan przytaknął skinieniem głowy. – Pamiętacie, jak Milowicz wspominał o nich? Że są nieprzyjaźnie nastawieni do wszystkich z wyjątkiem handlarzy? Pewnie w ten sposób chcą przegonić swoich wrogów.

– No tak, tyle że my nie możemy teraz wejść do schronu – skwitował David.

Ariel westchnął. Po chwili milczenia powiedział:

– No cóż, ten nie jest ostatni. Oprócz naszego i tego tutaj jest jeszcze dziesięć z projektu Przetrwanie. No, jedenaście, wliczając w to Trzynastkę – poprawił się. – Odliczamy śląski ze względu na promieniowanie.

– I krakowski – dodał Dziadek. – Pamiętacie, jak ten dziwak wczoraj wspomniał, że schron pod Krakowem jest kompletnie zawalony? Z całej jego opowieści to akurat może być prawda.

Przytaknęli.

– To daje dziewięć – mówił dalej Ariel. – Teraz pytanie – czy idziemy w góry? Nastała chwila milczenia, zastanawiali się.

– Myślę, że nie mamy na to czasu – odparł Kapłan.

Spojrzeli na niego.

– Po pierwsze – droga będzie trudna i długa...

– Bo pod górkę – wtrącił Dziadek.

– Dokładnie – kontynuował Kapłan – po drugie: po opowieści tego człowieka w nocy... wątpię, żeby to był w ogóle dobry pomysł. Bóg wie, kto tam tak naprawdę żyje.

Ariel skinął głową.

– Po trzecie – mówił dalej Kapłan – Milowicz mówił o promieniowaniu. I najważniejsze – zasugerował, żebyśmy poszli w stronę Wrocławia. Musiał mieć na myśli coś więcej oprócz schronu.

– Uważasz, że chodziło mu także o... – zaczął Ariel.

– ...o cywilizację – dokończył Kapłan.

Ariel ponownie pokiwał głową.

– To ma sens.

– Poza tym, umówmy się – wędrówka w Tatry i poszukiwanie tam schronu zajęłaby nam mnóstwo czasu – dodał Kapłan.

– Nie mówiąc o mutantach, które tam żyją – rzekł Dziadek. Wszyscy dobrze pamiętali słowa Ryszarda Milowicza.

– A nasi bliscy czekają – dodała Oliwia.

– Macie rację – rzekł Ariel po chwili. – Ustalone?

– Idziemy do Wrocławia – powiedział Dziadek, a reszta przytaknęła mu.

Chodźmy wraz z nimi.

W ciągu następnych kilku dni pogoda na powrót się popsuła. Ciężkie chmury nisko wisiały nad głowami sześciorga ze Schronu Numer Dziewięć, co jakiś czas karki zraszał im chłodny deszcz. W nielicznych chwilach, gdy zza chmur nieśmiało wyglądało słońce, mieli za to okazję podziwiać nietknięte wojenną pożogą wapienne

krajobrazy jury krakowsko–częstochowskiej, o której uczyli się w schronie. Nie spotkali jednak ani jednego człowieka.

Po czterech dniach podróży ich oczom ukazał się jeszcze jeden, zgoła odmienny widok. Zbliżali się do Częstochowy, niegdysiejszej religijnej kolebki Polaków, miejsca kultu i pielgrzymek. To, co przez setki lat było wizytówką miasta i całego regionu, nawet kraju, celem podróży niestrudzonych rzeszy wiernych, pięknem samym w sobie – monumentalna wieża klasztoru na Jasnej Górze – teraz widniała jako smutna pozostałość dawnego świata. Niegdyś symbolicznie chowająca się za pagórkami wieża klasztoru została brutalnie skrócona, dosłownie złamana w połowie. Rozpaczliwie wskazywała w niebo, jakby tam właśnie pragnęła się udać, nie chcąc już dłużej oglądać resztek cywilizacji. Nawet dla mieszkańców Dziewiątki, którzy nigdy nie mieli okazji oglądać Jasnej Góry w pełnej krasie, widok ten był przygnębiający.

Postanowili, że następnego dnia udadzą się do Częstochowy, choćby po to, żeby zobaczyć zgliszcza świątyni, w skupieniu oddać jej hołd. Przyswoili sobie mądrości Ryszarda Milowicza, poznali dramat Andrzeja Niewolskiego – uczyli się szacunku, życia. Na nocleg zatrzymali się w miejscowości Kruszyna przy dawnej drodze krajowej numer jeden. Tej nocy Oliwia nie spała dobrze – źle się czuła, męczyły ją torsje. Przez następny dzień odpoczywali więc, co dobrze zrobiło nie tylko dziewczynie. Ruszyli dopiero popołudniu trzeciego dnia, chociaż także Ariel zaczął odczuwać przykre dolegliwości. Nie uszli jednak daleko, docierając do niewielkiego miasteczka, Kościelca.

Kościelec, spośród szeregu miejscowości, które spotkali dotąd na swej drodze, wyróżniało wysokie ogrodzenie z gęstej siatki, którym był ogrodzony i które nie pozwalało na choćby pobieżne zlustrowanie, co się za nim kryje. Okrążyli miasteczko od zachodu i znaleźli wejście. Jakież było ich zdumienie, gdy przy wąskiej bramie dostrzegli dwóch mężczyzn, z pewnością nie ułomków, uzbrojonych w ostro zakończone kije, przypominające starożytne włócznie.

Mieszkańcy Dziewiątki ostrożnie zbliżyli się do wejścia do miasteczka. Strażnicy spojrzeli na nich szeroko otwartymi oczyma, zastygając na chwilę w bezruchu, nie zapomnieli jednakże o swoich obowiązkach.

– Stójcie! – rzekł jeden z nich, nieco niższy i z przerzedzonymi włosami, gdy znaleźli się kilkanaście metrów od bramy. – Kim jesteście?

Ariel odchrząknął, czując nieprzyjemny ból w brzuchu.

– Jesteśmy wędrowcami, szukamy miejsca na nocleg – powiedział.

– Tutaj? – zaskrzeczał piskliwym głosem wyższy strażnik z ciemnymi wąsami.

Ariel zawahał się. Rzucił okiem na Kapłana, który odwzajemnił spojrzenie i wzruszył ramionami. Dziwne pytanie.

– Jeśli to wam nie przeszkadza – odparł Ariel. – Już zmierzcha, nie chcemy wędrować po nocy.

Strażnicy spojrzeli po sobie, naradzali się szeptem. Chyba rzadko mieli okazję wpuszczać kogoś za bramę. Nagle ten wyższy zniknął w wejściu, a niższy powiedział:

– Poczekajcie, sprowadzimy naszego przywódcę.

Lider miasteczka nie zwlekał długo i wraz z wyższym strażnikiem pojawił się w bramie zaledwie po kilku minutach. Zaskoczył ich jego wygląd – odznaczał go wysoki wzrost, wyraźna tusza, nalana twarz i rzadkie, upstrzone gdzieniegdzie siwizną, ciemne włosy, z których jeden kosmyk spadał na spocone czoło. Jednak najbardziej rzucał się w oczy ubiór – odziany był bowiem w sutannę. Najwyraźniej był księdzem. Ariel ponownie zerknął na Kapłana, który niemal niezauważalnie ściągnął mięśnie twarzy.

– Witajcie, moi drodzy – rzekł niskim, tubalnym głosem. – Wybaczcie brak ogłady moim braciom, którym dziś wypadła warta przy wejściu do miasta. Jestem brat Sergiusz, opiekun Kościelca, zapraszam w nasze skromne progi.

Mieszkańcy Dziewiątki podeszli do brata Sergiusza. Z bliska wydawał się naprawdę potężny – od każdego z nich wyższy był co najmniej o głowę, nawet od Daniela.

– Dziękujemy – powiedział Ariel, ściskając mu dłoń, po czym przedstawił wszystkich. Brat Sergiusz skłonił się nisko każdemu, najniżej – podając rękę Oliwii, uśmiechnął się też szeroko, gdy usłyszał przydomek ostatniego wymienionego.

– Kapłan? Czyżby brat w wierze?

– W wierze owszem, nie w posłudze – odparł Kapłan.

– W zamian za gościnę liczę na intelektualną dysputę o Panu. – Brat Sergiusz uśmiechnął się jeszcze szerzej, fałdując skórę po bokach twarzy.

Kapłan zmrużył oczy.

– Nie przedłużajmy i nie marznijmy. – Brat Sergiusz rozłożył szeroko ramiona. – Zapraszam was wszystkich na kolację, właśnie mieliśmy zasiąść do posiłku. Żywię nadzieję, że weźmiecie także udział w mszy, którą mam zaszczyt celebrować dla naszej społeczności. Wieczorem, w świątyni.

– Z miłą chęcią – odparł Ariel.

Brat Sergiusz przeszedł przez bramę, strażnicy skinęli mu głowami i przepuścili także mieszkańców Dziewiątki.

Miasteczko było uporządkowane. Ten epitet chyba najlepiej oddawał to, co za bramą ukazało się oczom mieszkańców Schronu Numer Dziewięć. Równo, jeden obok drugiego ustawione budynki tworzyły alejkę, której zwieńczeniem był dość rozległy jak na ograniczony teren Kościelca – gdzie się nie spojrzeć widzieli okalające go ogrodzenie – plac, z umiejscowioną w centralnym miejscu murowaną świątynią. Zaintrygowane pary oczu co rusz pojawiały się w oknach i towarzyszyły im przez całą, około dwustumetrową drogę na rynek.

Udali się za bratem Sergiuszem na prawo od kościoła i po chwili weszli do solidnego, świeżo postawionego budynku, który – jak się dowiedzieli od samego duchownego – był miejscem rozmów i spożywania wspólnych posiłków.

Zostali usadowieni w wyjątkowo długiej sali przy równie długim stole, który już nakryto kilkoma podniszczałymi, lecz schludnie prezentującymi się, jasnymi obrusami. Wypełniona apetycznym zapachem sala powoli napełniała się

mieszkańcami Kościelca, którzy zajmowali miejsca przy stole, rzucając niepewne, czasem zdziwione, zawsze zaciekawione spojrzenia w stronę przybyszów.

Kiedy sala była już pełna ludzi, wszedł do niej brat Sergiusz. Wszyscy powstali, więc i mieszkańcy Dziewiątki poszli za przykładem pozostałych. Brat Sergiusz zajął miejsce u szczytu stołu, po chwili po jego obu stronach zjawili się mężczyźni w białych fartuchach i takich czapkach – kucharze. Duchowny pochylił głowę, co uczynili i pozostali. Nastała cisza. Ariel ukradkiem spoglądał na boki. Stojący obok niego Kapłan patrzył na brata Sergiusza, który nagle podniósł wzrok, rzucił okiem w stronę mieszkańców Schronu Numer Dziewięć i powiedział:

– Dziękujmy panu naszemu za posiłek, który będziemy razem spożywać. Niech jego łaska nigdy nas nie odstąpi.

– Dziękujemy ci, panie, za twą łaskę i hojność – zagrzmiała sala.

– Usiądźcie – rzekł brat Sergiusz, po czym zajął miejsce, a za jego przykładem pozostali.

Kucharze zniknęli w drzwiach po lewej stronie od pokaźnego fotelu brata Sergiusza, po chwili coś zachrobotało i żaluzja, którą początkowo wzięli za malunek jakiegoś krajobrazu, zwinęła się ukazując niewielki otwór w ścianie. Wszyscy powstali – łącznie z naszymi bohaterami – i gęsiego podchodzili do miejsca, z którego wydawane były posiłki w metalowych naczyniach, takież kubki z cieczą przypominającą herbatę oraz sztućce. Mieszkańcy Dziewiątki, otrzymawszy swoje porcje, wrócili na miejsca, nie zaczęli jednak jeść, czekając – podobnie jak reszta obywateli Kościelca – aż wszyscy zajmą z powrotem swoje miejsca. Po kilku minutach brat Sergiusz – jako ostatni – otrzymał posiłek, życzył „smacznego" i zaczęli jeść.

Jedzenie nie wyglądało zachęcająco. Była to papka przypominająca schronową owsiankę, z której niczego konkretnego na temat ingredientów w niej użytych nie dało się wyczytać. Nie smakowała jednak najgorzej i mieszkańcy Dziewiątki dość szybko opróżnili swoje półmiski. Tylko Oliwia, która nie czuła się jeszcze najlepiej, Kapłan, wciąż bacznie obserwujący zajadającego się brata Sergiusza, i Ariel, niemający apetytu i odczuwający coraz wyraźniejsze perturbacje żołądkowe, jedynie spróbowali posiłku przyrządzonego przez kościeleckich kucharzy.

Gdy wszyscy skończyli jeść, kilka wydelegowanych osób pozbierało czym prędzej naczynia i odniosło je do kuchni. Siedząc w ciszy, zebrani przy wspólnym stole mieszkańcy Kościelca wpatrywali się w brata Sergiusza, który szeptem wymieniał uwagi z pozostałym przy nim kucharzem. Nagle duchowny spojrzał po obecnych z uśmiechem, a kucharz zniknął w drzwiach po swojej lewej stronie.

– Moi drodzy – zaczął – powitajmy pośród nas gości, którzy zaszczycili nas swoją obecnością, strudzonych wędrowców, których los pchnął w nasze skromne progi, przybyszów z daleka, którzy byli na tyle mili, by odwiedzić nasze miasteczko i spożyć z nami posiłek.

Po czym zaczął klaskać, a pozostali zawtórowali mu. Ariel poczuł, że powinien coś odrzec, ale ból brzucha uniemożliwił mu to, toteż tylko skinął głową. Zresztą brat

Sergiusz wcale nie zachęcał nikogo z przybyłych do zabrania głosu i z szerokim uśmiechem na ustach mówił dalej:

– Udajcie się teraz do swych domów i przygotujcie się do modlitwy. Spotykamy się o stałej porze w świątyni, by podziękować za kolejny dzień dany nam od pana.

Wszyscy powstali, skłonili się bratu Sergiuszowi i udali się do wyjścia. Duchowny rzekł w stronę stojących przy swoich miejscach mieszkańców Dziewiątki:

– Za chwilę ktoś przyjdzie po was i wskaże wam miejsce, w którym będziecie mogli przenocować.

– Dziękujemy – odrzekł Ariel słabym głosem.

– Wszystko w porządku? – zapytał brat Sergiusz, z teatralną troską marszcząc brwi. – Nie wyglądasz zbyt zdrowo.

– Nic mi nie jest, to tylko mała niestrawność – odparł Ariel.

Brat Sergiusz w swoim zwyczaju uśmiechnął się szeroko i wyszedł z jadalni przez drzwi do kuchni. Ariel zgiął się lekko.

– Chyba przejąłem od ciebie to choróbsko – powiedział do Oliwii.

Dziewczyna uśmiechnęła się blado.

– Co poradzisz?... Poleżysz dzień i ci przejdzie.

– Ale swoje wycierpię... – skwitował Ariel.

– Wolałbym nie zostawać tu dłużej niż to potrzebne – rzekł nagle Kapłan.

Pozostali spojrzeli na niego.

– Co jest? – zapytał Ariel, prostując się.

– Nie podoba mi się ten braciszek – stwierdził Kapłan.

– A co konkretnie?

Kapłan zamilkł.

– Daj spokój. – Dziadek machnął ręką. – Jest tu najważniejszy to i zadziera nosa, normalne. A że jest nieco irytujący – cóż... każdy ma swoje wady.

Kapłan, wyraźnie nieprzekonany, tylko dezaprobująco westchnął. Po chwili zjawiła się – może jedenastoletnia – w każdym razie nie mniej bledsza od Ariela dziewczynka, która piskliwym, wystraszonym głosem poprosiła mieszkańców Dziewiątki, by udali się za nią. Niemal biegła, co chwila oglądając się za siebie. Zaprowadziła ich do budynku ustawionego vis a vis jadalni, oznajmiając, że to plebania. Z trudem otworzyła drzwi – pomogła jej Oliwia, którą dziewczynka obrzuciła przerażonym spojrzeniem – i przemierzywszy obszerny, jasno pomalowany, lecz zadziwiająco pusty korytarz wskazała drzwi, mówiąc:

– Tutaj będziecie spali. Msza odbędzie się za niecałe dwie godziny.

Po czym nie oglądając się za siebie uciekła w głąb plebani, chowając się za najbliższym węgłem. Stojący najbliżej drzwi David otworzył je i ostrożnie wkroczyli do rozświetlonego, przestronnego pokoju. Na podłodze rozłożono materace, pod ścianą ustawiono misy z parującą wodą, na stole pod oknem naprzeciw wejścia dostrzegli zaś sześć kubków – takich samych jak na jadalni – i dzbanek wypełniony napojem, który mieli okazję pić do kolacji.

– No, no, postarali się – rzekł Dziadek, zdjął plecak i z uśmiechem rzucił się na materac. – Och, cywilizacja...

David poszedł za jego przykładem, Oliwia i Daniel z wyrazami ulgi na twarzach także usiedli na prowizorycznych łóżkach. Ariel blady jak ściana usiadł na stojącym obok stolika krzesełku. Kapłan rozejrzał się wokół, podszedł do jednego z czterech okien i wyjrzał na zewnątrz.

– Jak się czujesz? – zapytała Oliwia, podchodząc do Ariela.

– A jak wyglądam?

Oliwia skrzywiła się.

– No, to masz odpowiedź…

– Połóż się, to niedługo minie – odparła dziewczyna. – Chcesz się napić?

Ariel pokręcił głową i wstał.

– Chyba złapaliśmy jakiegoś wirusa – powiedziała Oliwia, podając mu rękę. Odprowadziła go do najbliższego materaca i pomogła się położyć. – Poleż trochę. Zaraz będzie ci lepiej.

– Dzięki…

Przez najbliższe minuty chciał zasnąć, ale nie mógł. Nie było to jednak winą przyjaciół, którzy wymieniali się wrażeniami, jakie wywarli na nich mieszkańcy Kościelca – po prostu ból brzucha był zbyt silny. Przysłuchiwał się więc rozmowom mieszkańców Dziewiątki. Niektórzy skorzystali z okazji i obmyli się w misach z ciepłą wodą.

– Ale co ci tu nie gra? – dociekał Dziadek, szorując twarz i kierując swe słowa do Kapłana. – To po prostu poukładana społeczność.

Kapłan jedynie kręcił głową, wciąż patrząc przez okno.

– Tak to wygląda – dodał David, upiwszy łyk napoju z dzbanka na stoliku. – W końcu Kościół zaczął spełniać swoją powinność. Przed wojną stracił przecież swoją pozycję niemal całkowicie.

– Nadrabiają. I słusznie – rzekł Dziadek, wycierając klatkę piersiową ręcznikiem wziętym z taboretu obok misek z wodą.

– A widzieliście, żeby gdziekolwiek były tu krzyże? – odezwał się w końcu Kapłan, odwracając się w ich stronę. – Pomijam to, że nie ma go w żadnym miejscu na plebani ani w sali, w której jedliśmy, ale żeby nie było go na świątyni? Na szczycie albo chociaż frontowej ścianie? Co to za wiara? Nie przetłumaczycie mi, że wszystko tu jest na swoim miejscu.

– A więc co sugerujesz? – zapytał David. – Że braciszek stworzył sobie sektę, czy coś?

Dziadek parsknął śmiechem. Kapłan milczał.

– Tutaj mieszka na oko prawie setka ludzi, zlinczowaliby go, jakby zaczął wciskać im jakąś ciemnotę – kontynuował David. – Niemożliwe jest kontrolowanie takiej ilości…

– Wszystko jest możliwe – przerwał mu Kapłan.

David spojrzał na niego z niechęcią i pokręcił głową.

– Tobie zawsze coś nie pasuje – stwierdził. – To samo było z Rudym. Wszystko widzisz w czarnych barwach, ciągle szukasz dziury w…

– Niby czego? – przerwał mu Kapłan lodowatym tonem. – Czego szukam? Pomyliłem się z Rudym? Albo z Niewolskim? No, powiedz – pomyliłem się?

David patrzył na niego, mrużąc oczy.

– Spokojnie, panowie. – Ariel dźwignął się na łokciach i odchrząknął. – Nie macie o co się kłócić?

Kapłan ponownie zapatrzył się w okno. David podniósł obie dłonie w geście, mówiącym, że nie zamierza dalej brać udziału w konwersacji.

– Pójdziemy na tę ich mszę i posłuchamy, co ma do powiedzenia. Liczył w końcu na intelektualne dyskusje, dlaczego mamy nie wziąć w nich udziału...

Położył się raz i jeszcze usłyszał cichy głos Kapłana:

– Powinien mówić: msza święta.

Ta sama dziewczynka, która przyprowadziła ich od pokoju na plebani, tym razem nie trupioblada, lecz pąsowo czerwona po nieco ponad półtorej godzinie zapukała do drzwi i zaprosiła mieszkańców Dziewiątki do świątyni. Udali się za nią – Ariel nieco odsapnął i polepszyło mu się – i po chwili zajęli miejsca na ławie, ustawionej w końcu wypełnionej po brzegi nawy kościoła. Rozglądali się ciekawie po niezwykle przestronnej świątyni – z zewnątrz wydawała się o wiele mniejsza. Nieskazitelnie białe ściany rozświetlone mnóstwem żarówek dodatkowo potęgowały wrażenie przestrzeni. Ariel uważnie rozejrzał się wokół. Nie zauważył żadnego krzyża, mało tego – nawet jednego standardowego dewocjonalia. Zmarszczył czoło. Rzucił okiem na Kapłana – z nieodgadnionym, znieruchomiałym wyrazem twarzy zapatrzony był w punkt przed sobą. Panowała całkowita cisza.

Nagle rozległ się dźwięczny odgłos dzwonka gdzieś z przodu. Zebrani w świątyni powstali. Za ołtarzem mieszkańcy Dziewiątki dostrzegli potężną sylwetkę brata Sergiusza, ubranego w białą szatę.

– Módlcie się – zaczął – aby pan nasz zechciał łaskawie wysłuchać naszych modlitw!

Tłum wiernych zafalował i niepewnie – tak przynajmniej zdawało się Arielowi – odpowiedział:

– Panie nasz, zechciej spojrzeć na nas łaskawym okiem, zechciej w swym majestacie wysłuchać naszych pokornych błagań, zechciej przyjąć nas do swego serca.

– Módlcie się – zagrzmiał brat Sergiusz – aby pan nasz zechciał obdarzyć nas swoją nieskończoną łaską!

– Panie nasz, zechciej tchnąć w nas ducha swego, abyśmy z godnością przyjęli wszelkie dary, które w swojej nieskończonej szczodrobliwości przekazujesz nam każdego dnia!

Cisza, jaka następowała po każdej frazie modlitwy, nie była zakłócana absolutnie niczym.

– Módlcie się – brat Sergiusz rozłożył ręce na boki – aby pan nasz zechciał udzielić nam rozgrzeszenia za wszystkie grzechy, jakie popełniliśmy!

– Panie nasz – odpowiedział chór – przebacz nam niegodnym stawać przed twoim obliczem, przepuść nasze grzechy i zapomnij przewinienia, jakich się dopuściliśmy!

– Ukorzcie się przed panem, aby wspaniałomyślnie zesłał na was swoje dobro! – Brat Sergiusz jeszcze bardziej podniósł głos i spojrzał w górę. Zebrani uklękli. Nie chcąc się wyróżniać, a raczej dostosować mieszkańcy Dziewiątki również padli na kolana.

– Twoją jesteśmy własnością i do ciebie należeć chcemy! Twoją jesteśmy własnością i do ciebie należeć chcemy! – powtarzali zebrani.

Ariel czuł się dziwnie. Klęcząc na wzór kościeleckich wiernych, spoglądał na ich pochylone głowy i jak w transie powtarzane wersety. Nagle usłyszał mamroczącego pod nosem Dziadka, który klęczał na lewo od niego:

– Twoją jesteśmy własnością...

Szturchnął go łokciem. Dziadek spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Co?...

– Co ty gadasz?

Dziadek zmieszał się i zamilkł. Mieszkańcy Kościelca dalej powtarzali mantrę, zapodaną przez brata Sergiusza. Przestali dopiero po kilku minutach, gdy ten wreszcie opuścił ręce i spojrzał na nich. Wystąpił przed ołtarz, klęknął tyłem do zebranych i powiedział:

– Prośmy pana naszego o łaskę kolejnego dnia życia w zniszczonym, grzesznym świecie. Panie, zbaw nas od wojennej pożogi i ocal przed złem tego świata!

– Panie, zbaw nas od wojennej pożogi i ocal przed złem tego świata! – powtórzył za nim chór zebranych.

– Proście pana naszego! – rzekł brat Sergiusz.

– Panie, zbaw nas od wojennej pożogi i ocal przed złem tego świata! – odparła ciżba wiernych.

– Proście pana naszego! – powtórzył brat Sergiusz, wzmagając głos.

– Panie, zbaw nas od wojennej pożogi i ocal przed złem tego świata!

– Proście pana naszego! – jeszcze mocniej powtórzył duchowny.

– Panie, zbaw nas od wojennej pożogi i ocal przed złem tego świata!

– Proście pana naszego!...

Po pięciu minutach monotonnego powtarzania Arielowi zaczął doskwierać ból głowy. Raz po raz szturchał to Dziadka, to Davida, którzy jakby nie mogli się powstrzymać przed dołączeniem do śpiewów wiernych. Czuł, że Kapłan miał rację – z chrześcijańską wiarą chyba niewiele miało to wspólnego. Spojrzał na niego. Dostrzegł, że i on coś mruczy pod nosem. Kucając, minął klęczącego z jego prawej strony Davida, obszedł za plecami Kapłana i klęknął obok niego. Kapłan z zamkniętymi oczyma i dłońmi przyłożonymi do czoła modlił się:

– Panie, zbaw mnie od nienawiści i ocal od pogardy...

Ariel – nie wiedzieć dlaczego – poczuł strach. Rozglądał się niespokojnie. Zauważył, że Dziadek i David dołączyli do chóru zebranych w świątyni. Oliwia

zasłoniła uszy swymi drobnymi dłońmi. Daniel z uchylonymi ustami i nieprzytomnym wzrokiem spod mrużonych powiek patrzył na sufit.

– Dosyć tego – mruknął i wstał.

Chór momentalnie zamilkł. Ariel obejrzał się wokół. Mieszkańcy Kościelca spoglądali na niego pustymi oczyma. W oddali dostrzegł niewyraźną sylwetkę brata Sergiusza. Zmrużył oczy, postać duchownego wyostrzyła się. Uderzył go wyraz jego twarzy – nienawistny i pełen wściekłości. Chwila milczenia trwała zaledwie kilka sekund. Nagle oblicze brata Sergiusza rozjaśniło się i wyległ nań promienny uśmiech.

– Dziękuję wam wszystkim – rzekł, rozkładając ręce. Zebrani momentalnie skierowali wzrok w jego stronę. – To było piękne nabożeństwo. Niech pan będzie z wami. Do zobaczenia jutro!

Mieszkańcy Kościelca zaczęli w ciszy opuszczać świątynię. Pozostali z sześciorga ze Schronu Numer Dziewięć powstali z klęczek i dołączyli do Ariela, który nie odrywał wzroku od brata Sergiusza do chwili aż ten odwrócił się twarzą do ołtarza.

– Ariel – usłyszał głos Oliwii.

Spojrzał na nią.

– W ogóle mi się to nie podobało – powiedziała, patrząc na niego szeroko otwartymi oczyma.

Ariel skinął nieznacznie głową i zerknął na Kapłana.

– Muszę z nim porozmawiać – rzekł Kapłan.

– Pójdziemy razem – szepnął Ariel. – Musimy być ostrożni. A wam co odbiło? – zwrócił się do Dziadka i Davida.

– Z czym? – zdziwił się David.

– Myślałem, że zaraz padniecie przed nim krzyżem…

– Dobrze powiedziane – wtrącił Kapłan – przed nim. Panie, zbaw mnie od nienawiści i ocal od pogardy… – usłyszał jeszcze Ariel, po czym wspólnie podeszli do wciąż modlącego się brata Sergiusza. Duchowny odwrócił się i uśmiechnął się promiennie.

– Przepiękne nabożeństwo, nieprawdaż? – zapytał przyjaźnie. – Codzienna modlitwa wzmacnia nas w wierze, pomaga przetrwać każdy kolejny dzień w powojennym świecie.

– Chcę zapytać – zaczął Kapłan – skąd pomysł na takie prowadzenie nabożeństwa? Dlaczego nie celebrujesz mszy świętej w tradycyjny sposób?

Brat Sergiusz westchnął.

– Po wojnie wiele się zmieniło. Musieliśmy dostosować wiarę do nowych czasów…

– A może do nowych ludzi? – wszedł mu w słowo Kapłan.

Uśmiech na twarzy brata Sergiusza pobladł.

– Co masz na myśli?

– Dlaczego w tej świątyni nie ma krzyży? Gdzie jest obraz choćby jednego świętego?

– Gdy tu przybyliśmy, świątynia była opustoszała i splądrowana – odparł brat Sergiusz, niemal niezauważalnie podnosząc głos. – To, co udało nam się wspólnie

osiągnąć i tak musi robić wrażenie. I jestem naprawdę szczęśliwy i wdzięczny za to co mam. Co mamy.

– Z jakiego zakonu się wywodzisz? – pytał dalej kapłan.

– Z paulinów, rzecz jasna – odparł dumnie brat Sergiusz. – Służyłem w sanktuarium na Jasnej Górze, ale niestety nie jest to dalej możliwe. Chyba domyślacie się dlaczego…

– A co się stało z twoimi braćmi z zakonu?

– Zostali… – zaczął brat Sergiusz, lecz nagle zakasłał, przerywając. Ariel miał nieodparte wrażenie, że zrobił to celowo. – Przepraszam… zginęli w trakcie wojny. Miałem to szczęście w nieszczęściu, że byłem wówczas w podróży. Byłem młody, ledwo wstąpiłem do zakonu. To była moja pierwsza poważna posługa – rekolekcje w parafii w jednej z wiosek niedaleko Zielonej Góry. Tak się stało, że tam bomby nie spadły. Kiedy wróciłem do Częstochowy… no cóż, nie było już do czego wracać.

– I osiedliłeś się tutaj? – zapytał Ariel.

– Tak, ja oraz mój, nieżyjący już niestety, przyjaciel z zakonu, brat Eustachy, który jakimś cudem przetrwał wojnę, założyliśmy wspólnotę w Kościelcu. Okrążyliśmy Częstochowę, przeszukaliśmy tyle wiosek, ile zdołaliśmy, zebraliśmy ludzi pozbawionych domów i rodzin. Żyjemy tak już prawie dwadzieścia pięć lat. Odradzamy pustkowia…

– Dlaczego nie zamieszkacie w mieście? – zapytał Kapłan. – Przecież to ledwie kilka kilometrów.

Brat Sergiusz westchnął.

– Zbyt wiele wspomnień, które teraz za bardzo bolą – odparł cichym głosem, spuszczając wzrok.

Zamilkli. Cisza pełna była dziwacznego napięcia. Ariel usłyszał szept stojącego tuż przy nim Kapłana:

– Panie, obroń mnie od nienawiści i zachowaj od pogardy…

Brat Sergiusz podniósł wzrok, uśmiechając się. Kapłan odezwał się głośno:

– Myślę, że twój własny krzyk cię ogłusza.

Uśmiech na twarzy brata Sergiusza zniknął tak szybko, jak się pojawił. Ariela oblał zimny pot.

– Słucham?

– Twoje modlitwy – do kogo są skierowane?

Duchowny wyglądał na zaskoczonego, choć wyraźnie wzbierał w nim także gniew. Nie mniej od niego zestresowani byli pozostali z sześciorga ze Schronu Numer Dziewięć.

– I ty masz czelność nazywać siebie „kapłanem”? – parsknął brat Sergiusz.

Kapłan jedynie kręcił głową.

– Z tej mąki chleba nie będzie – powiedział. – Bo z tej świątyni nie widać nieba.

Brat Sergiusz zacisnął zęby.

– Twoje modlitwy to antylitanie – mówił dalej Kapłan. – Uznałeś, że masz prawo gromadzić ludzi, tylko dlatego, że los dał ci taką możliwość. Szczęściem nazywasz zadowolenie z siebie…

– Wszystko ma drugie dno – przerwał mu brat Sergiusz. – Żałuję, że tego nie dostrzegasz...

– Nie żałuj mnie. – Tym razem Kapłan wszedł w słowo duchownemu. – Nie potrzebuję twojego żalu, który i tak nie jest szczery. Wszystko może mieć drugie, trzecie, czwarte, a nawet piąte dno. Jeśli tylko na siłę dokopujesz się znaczeń, których nie ma.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – wysyczał brat Sergiusz.

Pozostali niemal dostrzegali błyskawice, jakie wędrowały między oczyma tych dwojga.

– Że nie wierzysz w Boga – wyszeptał Kapłan. – Przestałeś, a może i nigdy nie wierzyłeś.

Twarz brata Sergiusza przybrała kolor dojrzałego buraka. Ariel już myślał, że przyjdzie im zabierać się z Kościelca, gdy nagle brat Sergiusz uśmiechnął się swoim szerokim, nalanym uśmiechem.

– No – rzekł zadowolony, odetchnąwszy głęboko – liczyłem na dyskusję o wierze i nie przeliczyłem się. Dziękuję wam, moi kochani. Ufam, że spotkamy się jutro na wspólnym porannym posiłku. Dobrej nocy!

Mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć zastygli w stuporze, patrząc jak duchowny odchodzi, łopocząc za sobą białą szatą. Przez chwilę stali w milczeniu, które przerwał David:

– Czego chciałeś dowieść swoją gadaniną? – Słowa skierowane były do Kapłana. – Co chciałeś osiągnąć? Żeby nas wyrzucili na zbity pysk? Albo i gorzej?

– Zamilcz – odparł cicho Kapłan. – Wiem, czego chciałem dowieść i dowiodłem tego.

– Taki jesteś mądry? – sarknął David. – No to uświadom nas, mędrcu!

Kapłan milczał. Odwrócił się w stronę wyjścia i zaczął iść.

– Mówię do ciebie! Kapłan

odwrócił się i rzekł:

– Do kogo tak żarliwie modliłeś się w trakcie tej pseudomszy? Do kogo, odpowiedz?

– Ty nie wiesz?

– Wiem. Dałeś się omamić, jak dziesiątki tych biednych ludzi, z którymi powtarzałeś mantry na cześć tego oszusta.

David zamilkł.

– Co ty mówisz? – wychrypiał Dziadek.

– Modliliście się do niego, głupcy – odparł Kapłan. – Do braciszka, nie Boga.

Ariel obejrzał się niespokojnie.

– Chodźmy do naszego pokoju – powiedział.

– Ale... – zaczął Dziadek.

– Bez dyskusji.

Gdy wyszli z świątyni, znajoma dziewczynka – ponownie blada jak kreda – już na nich czekała.

W ciszy udali się do przeznaczonego im pokoju. Dziewczynka poczekała aż wejdą do środka po czym zniknęła. Ariel zauważył, jak Kapłan wychylił głowę na korytarz, odprowadzając ją wzrokiem. Gdy wszedł do pomieszczenia, wszyscy już wbijali w niego wzrok. Nie ugiął się pod ich spojrzeniami, tylko spokojnie wyminął i usiadł na stołku pod oknem.

– Bezczelny… – szepnął David, lecz na tyle głośno, żeby Kapłan dosłyszał.

I dosłyszał, ale jedyną jego reakcją było ciche prychnięcie.

– Uspokój się. – Ariel skierował słowa do Davida. Spojrzał na Kapłana. – Nawet jeśli jest coś w tym, co mówiłeś nie możesz tak się afiszować ze swoimi poglądami. Kto wie do czego zdolni są ci ludzie?

– Przyznajesz mu rację?! – zaskrzeczał David. – Czy wy na łeb upadliście…?!

– Uspokój się… – powtórzył Ariel i chwycił za brzuch w okolicach żołądka. Ból powrócił.

– Nie wierzę – pokręcił głową David – po prostu nie wierzę, że dajesz wiarę jego wymysłom.

– „Twoją jesteśmy własnością" – pod nosem zacytował modlitwę mieszkańców Kapłan. – Ładnie ich omotał.

Ariel położył się na materacu. David przez dłuższą chwilę przyglądał się Kapłanowi z wyrazem niesmaku na twarzy.

– Wiesz co ja myślę? – zapytał w końcu.

– Nie wiem i nie obchodzi mnie to – odparł Kapłan.

– I tak ci powiem. Myślę, że mu zazdrościsz.

Kapłan ściągnął brwi.

– Zazdrościsz mu jego wiary. Prawdziwej i szczerej, której w tobie nie ma. – David wskazał na niego palcem.

– Masz rację. – Kapłan odwrócił się w jego stronę. – Nie ma we mnie samouwielbienia, którym przepełniony jest twój nowy ulubieniec. – W podobny sposób tym razem Kapłan wycelował palec w stronę Davida.

– Skończcie już – warknął Ariel.

Atmosfera zgęstniała.

– Gdybym tylko był w stanie już dzisiaj ruszylibyśmy w dalszą drogę – dodał.

David ostentacyjnie westchnął i pokręcił głową. Nagle ktoś zapukał do drzwi. Skierowali wzrok w tę stronę. Ariela oblała fala gorąca – drzwi nie były zamknięte, a w wejściu do pokoju stał brat Sergiusz.

– Nie przeszkadzam? – zaczął ze swoim firmowym uśmiechem na ogromnej twarzy. – Bardzo wam dziękuję w imieniu naszej społeczności, że zechcieliście tak wspaniałomyślnie wziąć udział w modlitwie.

– To dla nas zaszczyt – odparł Ariel, wstając z trudem z posłania.

– Niech pan będzie z wami. Dobrej nocy.

– Dobranoc – odpowiedzieli.

Brat Sergiusz wychodząc pociągnął drzwi za sobą, pozostawił je jednak uchylone – przypadkiem, zamek nie załapał. Ariel zerknął na Kapłana. Ile usłyszał?

Po chwili ich uszu dobiegł odgłos drobnych kroków na korytarzu. Kapłan najciszej jak mógł doskoczył do drzwi. Wyjrzał na zewnątrz.

– To ta dziewczynka – szepnął.

Ariel już nie odczuwał bólu brzucha. Poczuł nagły przepływ adrenaliny.

– Chodźmy – rzekł i zwrócił się do pozostałych – wy zostańcie. W razie czego... – zastanowił się chwilę – naróbcie hałasu.

– Co wy... – zaczęła Oliwia, ale Ariel i Kapłan już opuścili pokój.

Najciszej i najlżej jak potrafili, pochylając się tuż przy ścianie dotarli do węgła. Korytarz zakręcał tu w prawo. Kapłan wyjrzał za róg. Droga musiała być wolna, bo kiwnął Arielowi, po czym obaj chyłkiem skradali się długim, rozświetlonym, upstrzonym pozamykanymi pokojami holem. W milczeniu podchodzili od drzwi do drzwi, nasłuchiwali. W końcu przy ostatnich, ustawionych u szczytu korytarza, usłyszeli przytłumiony głos brata Sergiusza. Wytężyli słuch.

– ...tak, tak... na pewno nie będzie zawiedziony... nie wydaje mi się, nie widziałem... ale pospieszcie się, mogą zacząć... oczywiście, możecie być spokojni... kończy się, dowieźcie... dwie... no, nie, przepraszam – trzy... czekam...

– O czym on gada? – szepnął Ariel.

– Jakby rozmawiał przez interkom – odrzekł Kapłan.

– Jak to się kiedyś nazywało? Tele...

– Cii... – Kapłan uciszył go. Zza drzwi dobiegł ich ponownie głos brata Sergiusza:

– Chodź tu, Amelciu, przypomnij mi, kiedy kończy się twoja służba?

– Pojutrze – odpowiedział cichy, dziewczęcy głosik. Z pewnością należał do dziewczynki, która zaprowadziła ich wcześniej do pokoju.

– Ach, szkoda, jesteś naprawdę bardzo sprawna. Kto cię zastąpi?

Ani Ariel, ani Kapłan nie dosłyszeli, co odrzekła Amelcia.

– Aha, no dobrze. – Brat Sergiusz głośno westchnął. Ariel był pewny, że na jego twarzy pojawił się firmowy uśmiech. – Nie przedłużajmy więc, moje dziecko. Wiesz co robić, prawda?

– Tak, panie – odparła.

Za drzwiami zapadła cisza. Ariel i Kapłan wymienili spojrzenia. Nie zdążyli jednak zamienić choćby słowa, gdy usłyszeli pisk Oliwii. Zamarli na moment, lecz nie stracili zimnej krwi. Czym prędzej pobiegli wzdłuż korytarza, chowając się za rogiem akurat w chwili, gdy drzwi do pokoju brata Sergiusza otwarły się. Wychynęli zza węgła. Oliwia stała na korytarzu i darła się w niebogłosy.

– Co jest?! – wydyszał Ariel, dobiegłszy do dziewczyny.

Drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i do środka wpadł kucharz z jadalni. W tej samej chwili na przeciwległym krańcu korytarza pojawiła się ogromna sylwetka brata Sergiusza.

– Co się dzieje? Skąd te wrzaski?

– Szczur! – wrzeszczała Oliwia.

– Szczur? – zawtórował jej brat Sergiusz.

– Szczur!!! – powtórzyła Oliwia. – Nienawidzę szczurów! Ohydztwo!

– Gdzie?

– Tam, wlazł do dziury. – Oliwia wskazała w bliżej nieokreślonym kierunku na ścianę przed sobą.

– Szczur… – Brat Sergiusz już się uśmiechał, spoglądając na mieszkańców schronu i na zdezorientowanego kucharza. – Myślałem, że to coś poważnego…

– Ale to jest poważne! – obruszyła się Oliwia. – Brzydzę się tego…

– Och, z pewnością na tyle go przestraszyłaś, że już się nie pojawi. – Brat Sergiusz wybuchł śmiechem. Kucharz mu zawtórował, nerwowo uśmiechali się też pozostali z sześciorga. Oprócz Kapłana.

– Przepraszam za moją koleżankę – powiedział Ariel. – Nie będziemy już niepokoić. Dobrej nocy.

– Śpijcie dobrze – odparł brat Sergiusz.

Mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć powoli wchodzili do pokoju. Brat Sergiusz cierpliwie czekał aż zamkną drzwi za sobą. Ostatni wchodził Ariel, ale w związku z tym, że braciszek wciąż był blisko nie próbował żadnych sztuczek z uchyleniem drzwi. Chcąc, nie chcąc musiał je zatrzasnąć. Odwrócił się w stronę Oliwii i uśmiechnął się słabo.

– Dobra robota – powiedział cicho.

Oliwia machnęła ręką.

– Co odkryliście?

Ariel spojrzał na Kapłana, który miał nieodgadniony wyraz twarzy.

– Czuję nieodpartą chęć zabicia tego człowieka – rzekł lodowatym, mocnym i wyraźnym szeptem.

Arielowi dreszcz przebiegł po plecach. Wiedział, że Kapłan nie żartuje. Poczuł niemiły skurcz w żołądku, który z pewnością nie był powiązany z jego wcześniejszymi dolegliwościami.

– Jutro się stąd zabieramy – oznajmił. – Jak najwcześniej.

David bez słowa pokręcił głową i położył się w kącie na materacu, odwracając się plecami do reszty. Kapłan usiadł na stołku przy oknie i przymknął oczy. Ariel usiadł na swoim posłaniu, obok niego Dziadek, Oliwia i Daniel. Po cichu zdał relację z tego, co usłyszeli pod drzwiami gabinetu brata Sergiusza.

– Niewiele z tego rozumiem – podsumowała jego wywód Oliwia. – To może znaczyć wszystko i nic. Możemy sobie dopowiedzieć resztę do każdego słowa.

Dziadek odchylił się i oparł plecami o ścianę, pogrążył się w myślach. Kapłan spoglądał przez okno w mrok. Ariel patrzył sobie pod nogi.

– Mam złe przeczucia – rzekł Kapłan.

Ariel spojrzał na niego i westchnął.

– Bądźmy dobrej myśli.

Dojmujące uczucie niepokoju i powracające, niezbyt intensywne bóle brzucha nie dały mu jednak się wyspać do samego rana.

Ranek zaś okazał się gorzej niż fatalny. Z płytkiego snu Ariela wyrwał hałas na korytarzu. Uchylił powieki i rozejrzał się. Jedynie Kapłan stał przy oknie, pozostali

leżeli na materacach. Harmider na zewnątrz pokoju nasilał się. Ariel dźwignął się na łokciach. Kapłan podszedł do drzwi.

– Zaczekaj… – stęknął Ariel, wstając.

– Nie miałem zamiaru otwierać – odparł Kapłan.

– Co się dzieje? – zapytała Oliwia. – Kto tak hałasuje?

Ariel i Kapłan stali przy drzwiach i nasłuchiwali. Po chwili podeszli do nich Dziadek oraz David. W milczeniu wsłuchiwali się w odgłosy kroków na zewnątrz. Tylko kroków – żadnych głosów, nikt nic do siebie nie mówił.

– Która jest godzina? – rzekł Ariel.

– Już świta – odparł Dziadek – będzie koło szóstej.

– Zbieramy się. Nie wiem, co oni tam wyprawiają, ale może dzięki temu nie zwrócą na nas specjalnej uwagi.

Oliwia, Daniel i Dziadek bez słowa wrócili do swoich materacy i zaczęli czym prędzej zbierać swoje rzeczy. Ariel spojrzał na Kapłana, Kapłan na Ariela – był już gotowy.

– Na co czekasz? – zwrócił się Ariel do Davida.

– Ja zostaję – odrzekł tamten.

Prawie wszyscy zamarli w bezruchu, spoglądając na niego ze zdumieniem. Kapłan podszedł do swojego „łóżka" i sięgnął po plecak.

– Co?

– Powiedziałem: zostaję. – David odwrócił się do Ariela plecami i powoli zaczął kroczyć do rogu pokoju, gdzie przespał noc.

– Nie gadaj bzdur – zbył go Ariel. – Nie mamy czasu. Spadamy stąd…

– Czy ty nie rozumiesz?! – wybuchł David. – Nie chcę iść dalej z wami. Chcę tu zostać. Takie jest moje życzenie i tak zrobię.

Ariel nie wiedział, co odpowiedzieć. Usłyszał ciche prychnięcie Kapłana.

– Braciszek go przekabacił.

David milczał, ale wyraźnie drżał. Ariel był pewien, że ze złości.

– David, daj spokój… Nie wiesz, co to są za ludzie. Nie wiesz, czy nie przyjdzie im do głowy coś dziwnego…

– Na przykład co? – David odwrócił się.

– Zrobić ci krzywdę albo…

– Jaką krzywdę? – prychnął z pogardą. – Wiesz, szkoda mi ciebie. Was wszystkich. Przykro mi, że nie odkryliście w nich tego, co ja. Że nie zaufaliście bratu Sergiuszowi, tylko jemu – wskazał głową Kapłana.

– Twoja strata – odparł wywołany.

– Och, zamknij się już! – krzyknął David. – Nie chce mi się ciebie słuchać.

Kapłan uśmiechnął się drwiąco. David dygotał z wściekłości. Zanim Ariel pomyślał, że David za chwilę rzuci się na Kapłana, ten uczynił to. Doskoczył do zaskoczonego Kapłana i zamachnął się. Kapłan popisał się niezłym refleksem, lecz nie zdołał całkiem się uchylić i cios Davida wylądował na jego plecach. Był na tyle silny, że padł na kolana. David z furią okładał Kapłana. Ariel, Daniel i Dziadek rzucili się, aby ich rozdzielić. Zrobiło się zamieszanie, które przerwała seria z broni automatycznej.

Oliwia krzyknęła, podobnie jak Dziadek i Ariel, którzy przy tym odruchowo padli na podłogę. Daniel zasłonił ogromnym cielskiem dziewczynę. Oczy Kapłana nabrały niespotykanej dotąd wielkości. David zakrył rękoma głowę. W ferworze walki między sobą nie zauważyli, jak do pokoju weszło kilku potężnie zbudowanych, uzbrojonych mężczyzn w znoszonych, niechlujnych skórzanych kurtkach i dziurawych, jeansowych spodniach. Spoglądali na mieszkańców schronu z nieukrywaną ciekawością, celując w nich bronią.

Do pokoju wpadł brat Sergiusz.

– Och, prosiłem przecież… – jęknął. – Nie strzelajcie w domu.

– Naprawią ci… twoi poddani – odrzekł mężczyzna z czarną chustką na głowie, nawet na niego nie spojrzawszy. Z krzywym uśmieszkiem przyglądał się znieruchomiałym lokatorom pokoju.

Brat Sergiusz westchnął głęboko i opuścił pokój.

– No, ładnie, ładnie – rzekł mężczyzna w czarnej chustce przenosząc wzrok z jednego mieszkańca Schronu Numer Dziewięć na kolejnego. – Świeże mięsko… brać wszystko ze sobą, wyłazić przed budynek – rozkazał.

Sześcioro przerażonych bohaterów naszej opowieści nie ruszyło się jednak z miejsca. Strach ich sparaliżował. Bandyta z chustką energicznie przeładował swój karabin.

– No dalej!

To wyrwało mieszkańców schronu ze stuporu. Ostrożnie i powoli dźwigali się na nogi i sięgali po plecaki z ekwipunkiem. Pozostali dwaj mężczyźni w skórach unieśli lufy pistoletów w górę i rozstąpili się nieznacznie, odsłaniając wyjście z pokoju.

Pierwszy ruszył Kapłan, następnie David, Dziadek i Ariel, za nim zaś Oliwia. Bandyta z chustką przyglądał jej się pożądliwym wzrokiem. Daniel trzymał się tuż za dziewczyną, mierząc wzrokiem kolejnych zbirów. Chyba tylko dlatego żaden z antagonistów nie odważył się na jakikolwiek gest w jej stronę.

Na zewnątrz czekało kolejnych sześciu – może więcej – uzbrojonych gości. Nie wszyscy mieli na sobie kurtki ze skóry, tak jak ci, którzy wtargnęli do pokoju na plebani, ale łączyło ich jedno – odrażające niechlujstwo i broń w ręce. Brat Sergiusz stał oparty o ścianę, obserwując swoje paznokcie.

Sześcioro ze Schronu Numer Dziewięć ustawiło się pośrodku szerokiego okręgu, jaki utworzyli bandyci. Ten z chustką na głowie wyszedł z budynku i stanął przed zbitymi w kupkę mieszkańcami schronu. Opuścił karabin. Spokojnie zapalił papierosa i głęboko się nim zaciągnął.

– Opróżniać torby, po kolei – zakomenderował. – Najpierw ty – wskazał na Kapłana.

Ten bez słowa otworzył swój plecak, przechylił i wysypał całą zawartość. Bandyta z chustką na głowie przyjrzał się zawartości jego plecaka.

– Śmieci – stwierdził i spojrzał na Dziadka. – Teraz ty.

Dziadek postąpił podobnie. Bandyta skrzywił się z niesmakiem.

– Następny – skierował słowa do Ariela.

Gdy ten opróżnił plecak, bandyta pochylił się, po chwili wyprostował z woreczkami z nabojami do pistoletu. Ariela oblał zimny pot. Mężczyzna zajrzał do woreczka, po czym szybko podniósł broń.

– Mówiłeś, że są nieuzbrojeni – powiedział głośno.

– Powiedziałem, że nie widziałem, żeby mieli broń – odrzekł brat Sergiusz.

– A co to za różnica? – powiedział do siebie. – Kto ma broń?

– Ja – odparł słabo Ariel.

– No to dawaj ją. Tylko spokojnie.

Ariel sięgnął do kieszeni i powoli wyciągnął pistolet.

– Rzuć.

Ariel wykonał polecenie.

– Jeszcze jakieś niespodzianki?

Milczeli. Bandyta podniósł pistolet Andrzeja Niewolskiego i schował do tylnej kieszeni spodni.

– Teraz panienka – rzekł z lubieżnym uśmiechem. – Zobaczmy, czy masz jakieś ładne majteczki, najlepiej wczorajsze…

Oliwia nie mogła się powstrzymać – zanim zaczęła rozwiązywać torbę, posłała mu spojrzenie do cna wypełnione pogardą.

– Hej, co ty sobie myślisz? – powiedział bandyta z chustką, zbliżając się do dziewczyny. – Żadna dziwka nie będzie się tak na mnie patrzeć, jasne?!

Daniel wystąpił przed Oliwię i pochylił się lekko. Był gotowy do walki. Bandyta chyba poczuł przed nim respekt, ale nie stracił zimnej krwi i wymierzył w niego z broni.

– Cofnij się, grubasie – wycedził.

Daniel wykrzywił twarz w okropnym grymasie.

– Powiedziałem: cofnij się! – Dźgnął go lufą w okolicach pępka.

Nim bandyta zdążył się zorientować, Daniel wyrwał mu z rąk karabin, dosłownie złamał na pół o kolano i odrzucił. Pozostali błyskawicznie podnieśli broń.

– Spokój! – huknął bandyta w chustce, spoglądając z mieszaniną zdumienia i podziwu na Daniela. – O, tak, Kajetan będzie zadowolony z takiego narybku.

Zerknął na resztki automatycznego pistoletu.

– Skąd ty masz tyle siły, co? Niezłego sobie obrońcę znalazłaś, paniusiu…

– Przepraszam…

Bandyta odwrócił się w stronę Davida, który odezwał się cichym głosem.

– Czy panowie są… to wy jesteście Kibole?

Mężczyzna w chustce podszedł i stanął naprzeciw niego. Przypatrywał mu się dłuższą chwilę.

– Skoro już musisz wiedzieć, to tak.

– Bo… – zająknął się – jeśli można spytać… co zamierzacie z nami zrobić?

Bandyta parsknął śmiechem. Kilku z jego bandy zawtórowało mu.

– Przekonasz się. Cierpliwości. Cierpliwość jest cnotą, nieprawdaż, braciszku?

– Nawet nie zdajesz sobie sprawy, że masz rację – odparł półgłosem brat Sergiusz.

– Bo… – zaczął ponownie David – czy ja mógłbym cię… mógłbym pana prosić o pozostawienie mnie tutaj? Odnalazłem tu dom. Pragnę tu zostać.

Ariel nerwowo zaciskał zęby. Nawet, gdyby miał odwagę teraz się odezwać, nie wiedziałby, co powiedzieć przyjacielowi. Nie był pewien nawet, czy chciałby rzec cokolwiek. Co się z nim stało?

Bandyta popatrzył na niego ze zdziwieniem, które szybko przeszło w politowanie.

– Widzisz, braciszku? – powiedział, nie odrywając wzroku od Davida. – Znalazłeś kolejnego wyznawcę.

Brat Sergiusz milczał. Mężczyzna w chustce rzucił mu szybkie spojrzenie.

– Ups, chyba twój bóg cię nie wysłucha…

David z twarzą skierowaną w stronę brata Sergiusza padł na kolana.

– Błagam, ojcze, przyjmij mnie do swojej wspólnoty! – zapłakał. – Błagam, ojcze Sergiuszu!…

David złączył dłonie na piersi. Szlochał. Kompletnie się rozkleił. Bandyta patrzył na niego z niesmakiem. Nagle pochylił się, próbując pomóc mu wstać.

– No już, wstawaj, nie becz jak baba. No…

David wciąż płakał.

– Hej, słyszysz mnie?

Chłopak kiwnął głową.

– No już… Jak masz na imię? Chodź, pomogę ci…

– David…

Bandyta znieruchomiał.

– Słucham?

– David, tak mam na imię – powtórzył.

Chwila milczenia.

– Jesteś Uspolakiem?

Wtedy David zrozumiał. Momentalnie zbladł.

– No to przykro mi… – rzekł facet w chustce, po czym szybko wyjął zza siebie pistolet Ariela i wycelował w głowę Davida.

– Nie… – stęknął chłopak, ale bandyta już pociągnął za spust.

Ariel zamknął powieki. Usłyszał zduszony krzyk Oliwii i osuwające się na ziemię ciało przyjaciela.

– Jeszcze jakieś niespodzianki? – powtórzył Kibol, podszedł do Dziadka i wycelował w niego pistolet. – Przedstaw się.

Dziadek zaczął się trząść jak osika na wietrze. Ale pamiętał słowa Ryszarda Milowicza.

– Andrzej – wydyszał.

Skierował lufę na Kapłana.

– Ryszard – odparł cicho.

– Gruby?

– Jan… i Katarzyna – odparła za niego Oliwia.

– A ty? – zwrócił się do Ariela.

– Grz… Grzegorz – wydyszał Ariel, przypominając sobie w ostatniej chwili imię jednego z obywateli Koniecpola. Poszedł za przykładem pozostałych. Jego nie wydawało mu się odpowiednio mocno polskie.

Kibol w chustce spojrzał po nich z wściekłością.

– Zabierać ich na pakę – rozkazał. – I przynieście specyfik.

Pozostali z bandy Kiboli poruszyli się i zaczęli popędzać – już pięcioro – mieszkańców Schronu Numer Dziewięć ku bramie wyjściowej z miasta. Ariel rzucił ostatnie spojrzenie na ciało Davida, które leżało w groteskowej pozie, w powiększającej się kałuży krwi. Łzy stanęły mu w oczach. Kibol w chustce przeszukiwał pozostałe bagaże. Brat Sergiusz odprowadzał ich wzrokiem z obojętnym wyrazem twarzy. Okna w domach wzdłuż alejki były puste.

Po kilku minutach opuścili mury Koscielca i zostali zapakowani do – kiedyś jasnego koloru, teraz niemal kompletnie odrapanego i zniszczonego – dostawczego samochodu. W środku siedzieli już jacyś ludzie. Przed wejściem do furgonetki Ariel dostrzegł, że banda Kiboli dysponuje jeszcze jednym, mniejszym pojazdem na czterech i dwoma na dwóch kołach.

Siedzieli w milczeniu i ciemności. Ogłupiali, wystraszeni, przybici. Żadne z nich nie myślało o niczym innym, jak o zabitym Davidzie. Mieli świadomość, że swoim pytaniem o tożsamość bandytów i spowodowanym przerażeniem błędem – rozpaczliwą chęcią przeżycia – uratował im życia. Wyzwolił w nich odruch. Przedstawili się podając tradycyjne, polskie imiona. I to ich ocaliło. David ich ocalił. Bo nie pamiętał.

Kilka, a może kilkanaście minut później drzwi do auta otwarły się i weszły – a raczej zostały wepchnięte – dwie młode dziewczyny. Chwilę później usłyszeli warkot maszyn na zewnątrz. Pojazd, w którym siedzieli szarpnął i zaczął lekko drżeć. Silniki zostały odpalone. Ruszyli. W nieznane. Po raz kolejny.

W samochodzie, oprócz pięciorga mieszkańców Schronu Numer Dziewięć i dwóch dziewcząt z Kościelca, siedziało jeszcze dwóch mężczyzn i trzy kobiety – a w zasadzie dziewczyny w podobnym wieku do tych zabranych z podczęstochowskiej miejscowości. Wszystkie wystraszone skuliły się po prawej stronie wozu w jakiejś trudnej do zrozumienia solidarności.

Mężczyźni różnili się wiekiem – jeden z nich wyglądał na starszego nawet od Dziadka, miał bujną, siwą brodę i bystre oczy, które sprawiały wrażenie, jakby bez przerwy się uśmiechał. Siedział „po turecku” i przyglądał się ciekawie nowym pasażerom ciężarówki Kiboli. Drugi zdawał się być nieco tylko starszym od Ariela i Kapłana. Siedział w kącie obok starszego, trzymając ręce oparte na kolanach i obserwując swoje kręcące młynki palce. Obaj usadowili się naprzeciw dziewcząt.

Po kilkunastu minutach jazdy i siedzeniu w totalnej bezczynności, z niewesołymi, jak się domyślał Ariel, perspektywami, niepisany lider ekspedycji ze Schronu Numer Dziewięć poczuł przemożną potrzebę zorientowania się w sytuacji.

– Przepraszam – zwrócił się w stronę mężczyzn, dziewczyny były tak przerażone, że jednocześnie wszystkie zadrżały; zresztą prawdopodobnie nie wydobyłyby z siebie nawet słowa. – Czy wiecie dokąd oni nas wiozą?

– Wiemy – odparł starszy – do bazy pod Wieluniem.

– A po co?

– Ha, ha! – Starszy gość z siwą brodą niespodziewanie wybuchnął śmiechem. Trącił łokciem towarzysza. – Rozumiesz to, Krzysiu? Oni naprawdę nie zdają sobie sprawy, w co wpadli...

– Podejrzewam, że w kłopoty – rzekł cicho Kapłan.

– I to nie lada, powiadam ci – potwierdził facet z brodą, energicznie kiwając głową – nie lada...

– Co z nami zrobią? – zapytała Oliwia.

– Och, skarbeńku, was – zatoczył ręką łuk, wskazując na dziewczęta po prawej stronie samochodu, a skończył na Oliwii – wykorzystają jako... hm, jak to powiedzieć, żeby nie zabrzmiało niestosownie... Krzysiu, pomożesz?

– Materiał rozpłodowy – rzucił mężczyzna zwany Krzysiem.

– Och, prosiłem cię przecież, prosiłem, no!...

– Że co?! – powiedział Ariel nienaturalnie wysokim głosem. Piątka dziewczyn skuliła się i zbiła na ścianie wozu jeszcze bardziej.

– Kajetan, najważniejszy z gangu Kiboli, jest... jakby to powiedzieć... kolekcjonerem – wyjaśnił starzec z brodą. – Lubi kobiety i, no cóż, ma ich dużo. Mówi się, że jedną na każdy dzień roku...

Mieszkańcy schronu słuchali osłupiali.

– Jak... o czym... – zaczął Ariel, ale mężczyzna zwany Krzysiem wszedł mu w słowo:

– To pierdolony erotoman, megaloman i namiastka człowieka. I skurwiel. Oto czym jest. I przykro mi, drogie panny, że jestem ostatnim chamem i wyrażam się w ten sposób, ale taka jest brutalna prawda: zostaniecie jego kurtyzanami. By owoc jego aryjskiego nasienia odradzał pustkowia...

– Krzysztofie... – skarcił go starzec.

Zapadła ciężka cisza. Oliwia z otwartymi ustami słuchała tyrady Krzysztofa. Nagle zerwała się na nogi i zaczęła wrzeszczeć i uderzać w drzwi rękoma i nogami.

– Wpuśćcie mnie stąd! Nie chcę! Nie chcę!... Nie!

Ariel czym prędzej wstał, złapał ją za ręce i mocno przycisnął do siebie.

– Spokojnie, spokojnie...

– Cisza tam, darmozjady! – usłyszeli stłumiony głos któregoś z siedzących w szoferce Kiboli.

Oliwia płakała. Ariel tulił ją z całych sił.

– Nie damy zrobić ci krzywdy – szeptał jej do ucha.

Daniel, który również zerwał się na nogi, gdy Oliwią wstrząsnął atak bezradnej paniki, pochylał się nad obojgiem – jako że był po prostu za wysoki na rozmiary auta

– i wpatrywał się z przejęciem w dziewczynę. Nagle obwinął ich swymi długimi, umięśnionymi ramionami i uścisnął. Ariel aż stęknął.

– Widzisz?... – wyjęczał, próbując złapać oddech.

Oliwia uspokajała się. Otarła twarz i uśmiechnęła się słabo.

– Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

– Ja też... obiecuję – dodał Daniel. – Będzie dobrze...

Oliwia potrząsnęła lekko głową i usiadła między Kapłanem a Danielem, wtulając się w ramię tego drugiego. Ariel zajął swoje miejsce obok dziewcząt po lewej stronie wozu. Starzec z brodą patrzył na niego przenikliwym wzrokiem.

– Miło obserwować taką przyjaźń – stwierdził.

Ariel nie odpowiedział.

– Swoją drogą – to jest Krzysztof – wskazał dłonią mężczyznę w rogu. – A ja mam na imię... no, kto zgadnie? – zagadnął wesoło.

Ariel przeniósł wzrok na Dziadka i Kapłana. Beztroska starca z brodą zaczęła go irytować. Spojrzenia przyjaciół utwierdziły go w przekonaniu, że ich także.

– Nikt? Ojej... – zmartwił się starzec. – To nie takie trudne. Jestem Mikołaj. Ha! Rozumiecie? Mikołaj! Bo mam brodę! Ha, ha!

Ariel głęboko westchnął. Pomyślał, że to będzie długa podróż. Nie miał pojęcia jak daleko jest wspomniany przez starca Mikołaja Wieluń, nie wspomniawszy o tym, co może ich czekać, gdy wreszcie się tam zjawią.

– Słyszeliście kiedyś o Arletcie Novac? – wypalił nagle stary Mikołaj.

Tylko Dziadek i Ariel skierowali na niego wzrok. Kapłan miał głowę pochyloną, Oliwia z przymkniętymi oczyma opierała się o ramię Daniela, który swoim zwyczajem sprawiał wrażenie nieobecnego. Dziewczęta obok Ariela spoglądały wokół siebie pustym wzrokiem. Ariel zauważył, że poruszył się za to Krzysztof.

– To ta minister z ostatniego rządu przed wojną? – na poły stwierdził i zapytał Dziadek.

– Tak. Minister do Spraw Interwencji Natychmiastowej.

Mikołaj wyraźnie czekał, aż ktoś zapyta o ciąg dalszy.

– No i... co z nią? – rzekł Dziadek.

– Hm, czy zdajecie sobie sprawę, że oto macie do czynienia z jej zięciem?...

– Och, zamknij się już!... – przerwał mu Krzysztof.

– Dlaczego? – obruszył się Mikołaj.

– Bo to nieprawda. Nie kłam.

– Nie bądź taki skromny.

Krzysztof chciał powiedzieć coś jeszcze, ale odpuścił. Machnął lekko ręką, wiedząc, że jego protesty nie odniosą skutku.

– Mamy jeszcze mnóstwo drogi do Wielunia i czasu na pogaduchy, pozwólcie, że opowiem wam historię małej dziewczynki, której przekleństwem okazała się być jej własna matka...

ROZDZIAŁ 8
Adam Bełda – „Zobaczyć niebo”

Eliza wiedziała, że postępuje źle. Była przygotowana na to, że jeżeli tylko nie uda jej się niepostrzeżenie wrócić do domu, mama będzie zła. Dziewczynka nie lubiła, kiedy mama była zła – wiedziała, że inne dzieci słuchały swoich rodziców – oczywiście jeśli miały szczęście ich mieć – tylko dlatego, żeby nie dostać kary, jednak ona była posłuszna wyłącznie ze względu na samopoczucie swojej matki. Po prostu bardzo nie lubiła, kiedy ta, i tak obdarzona chyba najsmutniejszymi oczami na świecie, kobieta załamywała ręce i z rezygnacją kręciła głową, pozwalając dodatkowym kaskadom smutku wylewać się z tęczówek.

Ale musiała postąpić wbrew nakazom i bardzo surowym zakazom obowiązującym wszystkich mieszkańców schronu, w szczególności takie dzieci jak ona. Nie wiedziała, jak długo jeszcze potrwa oczyszczanie się atmosfery i te wszystkie bzdury, o których dorośli nie mówili młodszym, a które – sądząc po ich minach, kiedy szeptali do siebie – były najważniejszymi rzeczami na świecie. A dopiero kiedy proces się zakończy, dziewczynka będzie mogła zupełnie legalnie wyjść spomiędzy dodatkowo wzmacnianych, groteskowo grubych ścian i zobaczyć niebo.

Niebo. Eliza słyszała o nim więcej bajek niż o czymkolwiek innym, co istniało na zewnątrz. Po części dlatego, że na zewnątrz nie było poza tym nic interesującego – i przekonała się o tym sama, godzinami wpatrując się w jedyne dostępne jej okno, które niestety ustawione było pod takim kątem, że choćby patrzyła na nie ze wszystkich stron, nie dała rady dostrzec tego, co kryje się za wielkim, wciśniętym obok schronu budynkiem. I to było właściwie wszystko, co miał do zaoferowania świat poza schronem – walące się, czarne od jakiegoś dziwnego, prawdopodobnie trującego osadu szkielety budynków chaotycznie rozrzucone pomiędzy karłowatymi, powykręcanymi w dziwaczny sposób drzewami, zupełnie niepodobnymi do tych majestatycznych, zielonych, uginających się od jabłek, jakie widuje się na obrazkach książek.

Pozostawała tylko jedna warta obejrzenia rzecz. Właśnie niebo. Było wielkie, błękitne, być może nieskończone, choć dziewczynka nie była sobie w stanie wyobrazić, czym właściwie jest ta nieskończoność. Pływały po nim podobne do baranków – te widziała tylko raz, na bardzo starym, zdjęciu, ale niesamowicie się jej spodobały – chmury, w które podobno godzinami można się było wpatrywać, wyobrażając sobie co właściwie przypominają.

Eliza musiała to zobaczyć. To było w tej chwili najważniejsze postanowienie w jej życiu i niedotrzymanie go z tak błahego powodu jak fakt, że dorośli nie pozwalają opuścić schronu byłoby karygodne. Zwłaszcza, że na zewnątrz już było bezpiecznie – sama przecież widziała jak na zewnątrz wychodzili ludzie bez kombinezonów, trzymający w rękach śmieszne latarki i małe, wyposażone w sprzęt pozwalający na nagrywanie w doskonałej jakości trójwymiarowych filmów, komputerki do zbierania

danych. Owszem, kiedy wracali, zachowywali się dziwnie, szeptali coś nerwowo i w żadnym wypadku nie wspominali o swojej wędrówce ani słowa dzieciom, ale przecież, skoro zdecydowali się na opuszczenie wentylowanego i wolnego od promieniowania bunkra, powietrze nie może już zrobić Elizie krzywdy.

A wszystko poza powietrzem było nieważne – przed dzikimi bestiami i wszystkim innym bez problemu ucieknie, czyż nie?

– I co, wyjaśniliście już te wszystkie dziwne zjawiska? – rozległ się nagle całkiem blisko męski głos. Głos, którego właściciel na pewno nie pozwoliłby małej dziewczynce opuścić schronu.

Eliza, niewiele myśląc, szarpnęła za klamkę szafki, która stała obok. Znajdowała się właśnie w ostatnim przystanku przed śluzą pozwalającą wyjść na powierzchnię, wcześniej bez problemu minęła strażników – niezbyt przykładali się do swojej pracy, w końcu kto chciałby opuszczać bezpieczny, dobrze chroniony bunkier tylko po to, żeby zobaczyć ohydny, zniszczony wojną świat? Myślała, że teraz wystarczy tylko wcisnąć przycisk i wyjść, w życiu nie wpadłaby na to, że teraz coś może jej przeszkodzić.

– Ciągle nad tym pracujemy. Najpopularniejsza hipoteza mówi, że w powietrzu nadal coś jest. Coś, co miesza ludziom w głowach. Sam rozumiesz, halucynacje i wszystkie podobne bzdury. – Głosy rozmawiających znajdowały się coraz bliżej.

Szafka, którą przed chwilą otworzyła dziewczynka, okazała się być prawie pusta. Na samym dnie leżał złożony z idealną dokładnością kombinezon, ponad nim zaś rozpościerała się niezbyt duża, ale całkowicie wystarczająca przestrzeń. Eliza, mając nadzieję, że rusza się dostatecznie szybko, schyliła się i położyła dłonie na podłodze. Raczkując jak małe dziecko wpełzła do plastikowego schowka, po czym niezdarnie odwróciła się i chwyciła za drzwiczki. Nie miały od wewnątrz żadnej klamki, więc po prostu pociągnęła je, po czym, gdy nadała im stosunkowo dużą prędkość, puściła, mając nadzieję, że to wystarczy, żeby je zatrzasnąć. I że ów trzask nikogo nie zaalarmuje.

– Nie wydajesz się tym zbyt przekonany – odezwał się drugi z rozmawiających mężczyzn.

– Wszystko brzmi bardzo ładnie, problem w tym, że żadne analizy nie wykryły kompletnie niczego w powietrzu. A ten cały syf, który pokrywa ziemię, owszem, ma w sobie całkiem sporo trucizn i onkogenów, ale niczego, co mogłoby wywołać omamy – wyjaśnił pierwszy z nich dokładnie w momencie, w którym szafka się zamknęła. Szczęśliwie, nie zrobiła tego na tyle głośno, by ktokolwiek zwrócił na to uwagę, choć Elizie dźwięk plastikowych drzwiczek uderzających w zamek wydał się hukiem nie mniejszym niż eksplozja bomby atomowej.

– Ale używamy starego sprzętu laboratoryjnego, jeszcze sprzed wojny. Mógł coś pominąć.

– Zgoda, zwłaszcza że to może być pozostałość po jakiejś tajnej broni. Wiesz, jak te taktyczne głowice neutronowe – stwierdził jeden z mówiących.

Słowom towarzyszył już doskonale słyszalny odgłos kroków. Dziewczynka, mimo iż nie mogła zobaczyć prowadzących dyskusję mężczyzn – półmrok panujący w szafce

dało się łatwo przebić wzrokiem, ale zgniła zieleń drzwiczek okazała się znacznie odporniejszym optycznie materiałem – była pewna, że właśnie weszli w korytarz, w którym jeszcze przed chwilą stała.

– Więc w czym problem? – Rozmowa ciągnęła się dalej.

– Trudno to opisać. Ty możesz się śmiać, ale ja po prostu tam byłem. Czułem to. To nie był zwykły haj, wierz mi. Czasem zdarzało mi się przyćpać, zwłaszcza przed wojną, wtedy trzeba się było czasem uspokoić, jeśli wiesz co mam na myśli. Jedni wybierali alkohol, inni rzucali się w wir pracy, a tacy frajerzy jak ja sięgali po narkotyki. Od kokainy aż po kwas. Trudno to wyjaśnić, po prostu uwierz, że potrafię odróżnić wizję narkotyczną od czegokolwiek innego. I to nie była ona. – Na chwilę wszystko, łącznie z tupaniem, ucichło, a po chwili poirytowany głos pierwszego z mężczyzn dorzucił:

– Jaki był kod do tych drzwi? Zawsze zapominam.

– 7445 – zaraportował drugi – to głupie zabezpieczenie. Tak jakby ktoś chciał stąd uciekać.

– To przecież logiczne. Każdy by chciał wyjść z ciepłego, przytulnego schronu na radioaktywne ruiny – plunął ironią jeden z rozmówców.

„Może nie każdy" – pomyślała Eliza – „ale ja na pewno". W dodatku los jej sprzyjał. W życiu nie wpadłaby na to, że drzwi mogą być chronione szyfrem, wydawało jej się, że dwójka leniwych, oglądających przedwojenne broszurki z paniami w strojach kąpielowych strażników w zupełności wystarczy. Bo przecież, jak zauważyli ci dyskutujący faceci, mało kto ma ochotę wyjść. A nawet gdyby – to przecież jego sprawa, nikogo nie trzyma się tu wbrew woli. A przynajmniej tak się jej wydawało.

Po krótkiej sekwencji tonów klawiszy szyfrowego zamka rozbrzmiała symfonia mechanizmów otwierających ogromny właz. Dziewczynka słyszała ją po raz pierwszy i wrażenie to zupełnie rozminęło się z jej wyobrażeniami – myślała, że to będzie ogłuszające buczenie, jak ryk odkurzacza, który zepsuł się tydzień temu mamie. Tymczasem do jej uszu doszedł melodyjny i niezbyt głośny szum, podobny trochę do dźwięku, jaki wydaje gąbka zmazująca w przedszkolu tablicę.

Mężczyźni wyszli. Eliza musiała odczekać jakiś czas, żeby się na nich nie natknąć. Nie mogła jednak siedzieć w tej szafce zbyt długo – a nuż komuś przyjdzie do głowy wyjąć kombinezon, na którym siedziała? Zresztą, mimo iż nie wiedziała, ile dokładnie trwają wyprawy na zewnątrz, wydawało jej się, iż nie są aż tak rozciągnięte w czasie, by zbytnio zwlekając nie narażała się na spotkanie powracających ze swojej eskapady dyskutantów. Potrzebne więc było wyczucie.

Siedziała więc, usadowiwszy się wygodnie na grubym, szorstkim kombinezonie, myśląc o tym jak to będzie po raz pierwszy zobaczyć niebo. Nie liczyła na to, że ujrzy jakąś inną ciekawą rzecz, to prawdopodobnie nie mogło mieć miejsca – wszystko, co kiedyś było piękne na zewnątrz, zostało dawno zniszczone, pochłonięte przez bombardowania i wyrwaną spod kontroli broń biologiczną i chemiczną. Nie wiedziała dlaczego tak się stało, nie znała też dokładnego mechanizmu dokonywania zniszczeń – dzieciom w jej wieku oszczędzało się jeszcze zarówno nudnych lekcji historii o

polityce i podłożu społeczno–ekonomicznym wojny jak i zbyt szokujących czy brutalnych faktów. Mówiło się im tylko, że schron jest dobrym miejscem, a świat zewnętrzny dawno temu został zamieniony w niebezpieczną ruinę. I pod żadnym pozorem nie wolno się tam zapuszczać. Nawet dorośli nie mogli wychodzić, tylko czasem, w specjalnych skafandrach, i to na bardzo krótki czas.

Od dwóch czy trzech lat jednak te zasady stawały się coraz bardziej przestarzałe. Przecierały się, nie mogąc wytrzymać próby czasu i niesamowitych wręcz zdolności natury do samooczyszczania. Powietrze stawało się coraz bardziej przejrzyste – i to Eliza mogła dostrzec patrząc przez okno – zanieczyszczenia coraz mniej groźne, a promieniowanie powoli zbliżało się do względnie bezpiecznego poziomu. Oczywiście, miną jeszcze długie dekady zanim świat wróci do swojej dawnej, olśniewającej majestatycznym pięknem postaci i zanim będzie się dało na nowo na nim osiedlić, ale powoli zaczęto opuszczać schron i urządzać sobie dłuższe, czysto odkrywcze, wędrówki.

Ludzie chcieli wiedzieć co się zmieniło, jak wielkie były zniszczenia dokonane w okolicy przez wojnę. Niektórzy jeszcze nawet pamiętali jak to było przed całym tym zamieszaniem, trudno im się więc dziwić że, zwłaszcza jeśli byli już zbyt starzy, by mieć szansę na oddelegowanie do ekipy wyruszającej na oględziny śmiertelnie ranionego świata, potrzebowali informacji, których tylko grupy opuszczające bunkier mogły dostarczyć. Tych z każdym dniem było coraz więcej – zmieniało się też ich wyposażenie, kombinezony zaczynały odchodzić do lamusa, a ciężka broń, jaką początkowo ze sobą taszczyli, powoli wracała tam gdzie jej miejsce – do najgłębszych, najrzadziej sprawdzanych zakątków magazynów. I choć nadal to, co nie mieściło się w ścianach schronu, uważane było za zatrutą ruinę, widać było wyraźnie, że ludzie powoli – bardzo powoli – zabierają się do odbudowy dawnego ładu.

Ale zanim do końca go odbudują może minąć wiele czasu. Zbyt wiele, a ciekawość, jaką w umyśle Elizy wytworzyły enigmatyczne opowieści o nieskończonym, bezkresnym błękicie nad głowami nie mogła długo czekać. Była jak wygłodniała bestia, bez przerwy szarpiąca delikatny mózg dziewczynki i domagająca się pożywienia. Karmy zbudowanej z upstrzonej chmurami nieogarnionej wielkości.

Eliza pchnęła drzwiczki, te zaś, posłusznie słuchając komendy, otworzyły się szeroko nie wydając z siebie najmniejszego nawet dźwięku. „Dziwne, w takich chwilach wszystkie zawiasy skrzypią” – myśl prześlizgnęła się bocznie do uwagi małej podróżniczki. Dziewczynka delikatnie, starając się nie narobić hałasu, który mógłby przywołać do niej cały personel schronu, wygramoliła się ze swojej kryjówki, po czym, znacznie już swobodniejszym ruchem, wyprostowała się i spojrzała na drzwi.

Faktycznie, obok wielkiej, niewiele pewnie cieńszej niż ściana bunkra, płyty oddzielającej ją od świata zewnętrznego – i nieba – znajdował się mały metalowy prostokąt. Widniały na nim cztery rządy odpowiednio ponumerowanych przycisków, w których kryła się jedyna możliwość podziwiania świata zewnętrznego. Może z wyjątkiem tego małego, zakurzonego okna, ale przez nie i tak nie dało się zobaczyć nic interesującego ani tym bardziej nieskończonego.

Dziewczynka ruszyła w stronę wolności. Tak naprawdę nie chodziło wcale o czysty błękit czy fantazyjnie uformowane chmury – chciała po prostu wreszcie zobaczyć coś wielkiego, rozpiętego nad jej głową i ciągnącego się od jednej strony świata aż do przeciwnej. Urodziła się i przeżyła całe swoje krótkie życie w małych, klaustrofobicznych wręcz pomieszczeniach, przeciskając się przez ciasne korytarze, zasypiając w niewielkim, przydzielony odgórnie pokoiku i bawiąc się na względnie przestronnym, ale i tak niedorównującym powierzchni nawet jednego boiska piłkarskiego, placu zabaw. Nie znała pojęcia przestrzeni – wszystko, co do tej pory widziała, ograniczało się do czterech ścian wojskowo skumulowanego pomieszczenia.

Wciskając klawisze szyfru i wsłuchując się w ich melodyjne tony dziewczynka próbowała przygotować się na to niezwykłe wrażenie. Wyobrażała sobie, że właśnie pękają wszystkie okoliczne ściany, a kiedy ostatnia cyfra zagra swoją melodie, cały schron rozpryśnie się na drobne kawałki, zwracając ludzkości najcenniejszą w jej mniemaniu rzecz, którą odebrała jej wojna – bezkresną, pozbawioną granic przestrzeń.

Bunkier, oczywiście, nie runął, lecz do uszu Elizy wpłynął cichy, szeleszczący dźwięk poruszających się drzwi. Ogromna metalowa płyta zaczęła odsuwać się na bok – tempo nie było zbyt duże – idealnie zgrało się z powoli wzrastającym napięciem, które kumulowało się w zakończeniach nerwowych. Przez stopniowo powiększającą się szczelinę wdzierał się obraz ruiny – ziemia pokryta pożółkłą, chorą trawą, ubraną w jakąś oleistą, powstałą prawdopodobnie na skutek zmieszania pyłu z wilgocią z powietrza, substancję, z pewnością trującą i bardzo groźną. Nieopodal biegła popękana droga – spośród bruzd w asfalcie wytryskały kępki tej samej anemicznej, pozbawionej zieleni roślinności. W pewnym miejscu nawet wytyczoną przez człowieka, pozbawioną opieki trasę potrzaskało wyrastające na lewym pasie ruchu drzewo. Oczywiście, nie przypominało już w najmniejszym nawet stopniu tego, co Eliza widziała w książkach przyrodniczych – było beczułkowate, niskie i w dziwny sposób powyginane. Pień znaczyły nieregularne zgrubienie, być może objaw jakiejś choroby, a może tylko dziwne przystosowanie do środowiska, desperacka próba przeżycia w trudnych warunkach. Liści nie było wiele i podobnie jak w przypadku trawy, prezentowały się raczej niezbyt imponująco. Jak małe kawałki zużytego papieru toaletowego przyczepione do gałęzi.

„Faktycznie paskudnie tu” – pomyślała dziewczynka – „wygląda jeszcze gorzej niż ten dom przed oknem”. Po chwili oglądania zrujnowanego, pokrytego toksyczną sadzą otoczenia, zrobiła krok przed siebie i zadarła głowę w górę. Jej oczom ukazały się ciemne, ołowiane chmury, próbujące przepchnąć po niebie swoje tłuste, wydęte brzuchy. Poruszały się szybko – najwidoczniej w górnych warstwach atmosfery nadal bardzo mocno wiało, chociaż na powierzchni nie było to odczuwalne – i tłoczyły się, zajmując każdy fragment wolnej przestrzeni i nie pozwalając ani na moment dostrzec tego, co znajduje się ponad nimi.

Były ogromne. Dużo większe niż sobie wyobrażała, dużo większe niż te z książkowych obrazków, prawdopodobnie dużo większe niż cokolwiek na świecie. Eliza obracała głową i jak urzeczona wpatrywała się w chmurne, ciemnoszare niebo. Nie

przejmowała się tym, że do jej źrenic nie trafiły czyste, nasycone niebiańskim błękitem promienie słońca ani tym, że nie widziała podobnych do baranków obłoczków. Te przypominały raczej jakieś ponure morskie potwory, armię lewiatanów wędrujących po nieskończonym oceanie, poszukujących zdobyczy i wypatrujących statków, które mogłyby zatopić. I tak były piękne.

Niesłychanie ponure, ale w ten zwodniczy, przerażający sposób wzbudzające rozkosz. Całe wrażenie kryło się w ich ogromie. Dziewczynka wiedziała, że są tylko parą wodną i w tym właśnie momencie w jej umyśle goniła swój własny ogon tylko jedna, jedyna myśl.

– Skąd wzięło się tyle wody? – nieświadomie wypowiedziała ją na głos. Lekki, niemogący unieść z trawy błotnistego pyłu, wietrzyk porwał szept zanim ten dotarł do uszu Elizy. Miliony razy piła wodę. Widziała wielkie zbiorniki, w których trzymano oczyszczoną i zdatną do spożycia ciecz. Wiedziała, że zawsze kiedy odkręci kran, dostanie tyle przezroczystego, pachnącego nieco ściekami, płynu, ile tylko zechce. Była jednak pewna, że nawet cały schron – a według jej rachuby był to ogromny budynek – nie pomieściłby jej tyle, żeby po podgrzaniu wytworzyły się tak ogromne kłęby. Kłęby mogące zakryć całe niebo. Niebo…

Eliza po prostu stała i wpatrywała się w przesuwające się nad nią chmury. Nie wiedziała jak długo to trwało, nie czuła wprowadzającego się już powoli do jej karku, zawołanego przez zbyt długo zadzieraną głowę, bólu, ani nie słyszała tego, co działo się dookoła. Dźwięki wpełzały do wnętrza czaszki, ale tonęły bardzo szybko w morzu zachwytu, jakie zalało cały jej mózg. Wypełniło wszystkie bruzdy, pokryło wszystkie zakręty, wsączyło się do każdego z nerwów, sprawiając, że wszystko przestało istnieć. Liczył się tylko przerażająco wielki bezmiar pokrytego ponurymi obłokami nieba.

– Dziecko–potwór! – Słowa bez zostawienia w świadomości dziewczynki śladu, rozpuszczały się w otchłani bezmyślnego urzeczenia.

– Skąd wzięło się tyle wody? – zapytała znów samą siebie, zupełnie nie wiedząc, że w ogóle otwiera usta.

Nagle jednak, gdzieś na dnie oceanu płynnego zachwytu, powstała ogromna dziura. Dziura, jak odpływ w kranie powoli kradnąca cały ten ogrom emocji. Tworząca wiry i zaburzająca strukturę, przywracająca władzę nerwom i korze mózgowej, oddająca dziewczynce zdrowy rozsądek. Jeśli można mówić o zdrowym rozsądku w przypadku kogoś, kto bez opieki wychodzi z bezpiecznego schronu i naraża się na niebezpieczeństwa zrujnowanego wojną świata.

Dziurą tą okazało się lekkie szarpnięcie za rękaw ubrania Elizy połączone z pewną siebie, agresywną wręcz wypowiedzią.

– Dziecko–potwór!

– Co? – mruknęła, sama nie wiedząc do kogo i spojrzała w stronę, z której dochodził głos.

U jej stóp, wsparte na jednej ręce, drugą zawieszone o jej rękaw, leżało dziecko. Chłopiec, młodszy od mieszkanki schronu – mógł mieć najwyżej cztery lata. Różnił się od niej nie tylko wiekiem i płcią – nieco zbyt wielka główka w śmieszny sposób kiwała

się na beczułkowatym karku, skłaniając się to w stronę jednego, to drugiego ramienia. Skośne oczy oraz dziwna, wykrzywiona twarz sprawiały, że przypominało nieco niektórych kolegów Elizy. Tych mniej mądrych.

Co głupsze dzieci w przedszkolu nazywały ich „niedorozwojami" albo wymyślały jakieś inne, równie przykre przezwiska. Idiota, głupek, skośnooki, pękaty – wszystkie w jakiś sposób odnosiły się do niskiej inteligencji albo dziwnego, odrobinę karykaturalnego wyglądu. Eliza nigdy by czegoś takiego nie powiedziała. Nie tylko dlatego, że całkiem lubiła niektóre z tych osób, ale przede wszystkim ze względu na mamę. Wiedziała, że gdyby dołączyła się do grupy wyśmiewających się, mamie byłoby bardzo przykro. Dziewczynka wiele razy słyszała od niej, że te dzieci wcale nie są od nich gorsze. Co więcej, każdy mógł być taki – to, że ona miała odrobinę szczęścia i zanieczyszczenie nie przeszkodziło jej w rozwoju, nie znaczyło, że mogła stawiać się odrobinę wyżej.

Podobno to było piętno wojny – większość ciężarnych kobiet, których dzieci miały pecha zostać poczęte w trakcie lub niedługo przed pierwszymi walkami, rodziła upośledzone, a bardzo często martwe lub zupełnie nieprzystosowane do życia niemowlęta. Kończyły one swoją krótką ziemską egzystencję w inkubatorach, pośród lekarzy, którzy ograniczonymi przez wojnę środkami próbowały je uratować, lub w jakiś sposób przeżywały te najtrudniejsze chwile i dołączały do całkiem sporej społeczności dzieci. Jak wiadomo, po każdej szczególnie wyniszczającej wojnie przychodzi czas bardzo dużego przyrostu naturalnego. Najczęściej jednak nowi obywatele są zdrowymi, silnymi i gotowymi do podjęcia wyzwania odbudowy świata osobami. Z tym konfliktem było inaczej – pozabijał większość zdolnych do pracy osób, w zamian za to pozostawiając w powietrzu potworne teratogeny sprawiające, że upośledzenia i deformacje z ciasnych rubryk niewielkich odsetków przeprowadziły się do codzienności.

I bardzo niewiele dzieci rodziło się zdrowych. Eliza miała szczęście być wśród tej grupy i bardzo się z tego powodu cieszyła. Nie zapomniała jednak, że i ona mogła podzielić taki los – ta świadomość, wraz z chęcią zadowolenia mamy, sprawiły, że odnosiła się do swoich pokrzywdzonych jeszcze przed urodzeniem kolegów wyjątkowo przyjaźnie i starała się być maksymalnie łagodna.

– Czemu tu jesteś, powinieneś być w schronie – odezwała się z uśmiechem, wskazując na ogromny budynek stojący kilka kroków za nią. Drzwi były już zamknięte, gdyż automatyczny mechanizm chronił przed zbyt długim kontaktem utrzymywanego przez maszyny mikroklimatu bunkra z coraz czystszym, ale wciąż jeszcze niekorzystnym powietrzem świata zewnętrznego.

– Dziecko–potwór, powiedzieli. – Mały rozmówca Elizy zadarł głowę i z niejakim wyzwaniem popatrzył jej w oczy. Puścił już jej rękaw i zacisnął rączkę na małej, całej usmarowanej toksycznym pyłem zabawce, która na pierwszy rzut oka wydawała się starym samochodzikiem.

– Kto ci tak powiedział? – spytała dziewczynka, schylając się, by podnieść malca. Chłopak był ubrany jedynie w stare, podarte, zniszczone spodnie, także pokryte

rozmazaną warstwą wszechobecnego osadu. Na jego twarzy widniały sporej wielkości

czarne mazaje, czasem przedłużające się ku szyi i spełzające na klatkę piersiową. Przez te osobliwe barwy wojenne przypominał Elizie małego Indianina, który właśnie gotuje się na wyprawę mającą na celu zdobyć kilka skalpów bladych twarzy. Tylko że Indian już nie było, podobnie jak większości rzeczy, o których opowiadano jej w przedszkolu.

– Dziecko–potwór powiedzieli! – wrzasnął chłopiec, odskakując kiedy tylko Eliza się poruszyła.

Pełzł zadziwiająco szybko – odpychał się leżącymi na ziemi nogami, od czasu do czasu pomagając sobie dłońmi, chwytając za wystające z ziemi kamienie czy źdźbła trawy. Dziewczynka nie zdążyła jeszcze zbliżyć do niego rąk, a on już znalazł się kilka metrów od niej, płynąc pośród trującego błota jak płaszczka pomiędzy tworzącymi się na dnie morza wydmami. Przez cały czas wrzeszczał, informując cały świat o tym, że ktoś nazwał go dzieckiem–potworem.

– Nie uciekaj! – krzyknęła za nim Eliza, starając się przebić akustyczny mur zbudowany z jego własnych wrzasków. Miała nadzieję, że ściany bunkra są dźwiękoszczelne, bo w przeciwnym razie za chwilę zjawi się tutaj cały oddział mężczyzn, którzy najpierw zaprowadzą ją do domu, a potem solidnie ukarzą.

– Zły człowiek! – rzucił w jej kierunku chłopiec, jakby dla wzmocnienia wagi słów wyciągając w tę samą stronę palec. Znajdował się już dobre kilkanaście metrów od niej.

– Nie jestem zła! – odkrzyknęła oburzona dziewczynka. – To ci, którzy cię tak nazwali są źli, nie ja!

– Zły człowiek! – podtrzymywał swoje zdanie, pełznąc w stronę najbliższego budynku. Znajdował się już na progu, kurczowo go ściskając, co chwilę spoglądając w stronę mroku rozsypującego się pomieszczenia. Drzwi, oczywiście, już nie było, może leżały gdzieś obok, w kawałkach, przykryte grubą warstwą osadu. Okna też straszyły wybitymi szybami, w jednym z nich dało się nawet dostrzec sterczące z okaleczonych dziąseł, przeraźliwie brudne, szklane zęby.

– Nie możesz tam wejść, ten dom może się w każdej chwili zawalić! – wrzasnęła Eliza i rzuciła się w kierunku dzieciaka.

Nie wiedziała, kim był, ani skąd się tam wziął. Coraz bardziej jednak wątpiła w to, że tak jak ona uciekł ze schronu. Zachowywał się zbyt dziwnie, żeby pochodzić z tego cywilizowanego miejsca – nawet najbardziej chorzy z jej klasy nie uciekali, krzycząc na widok człowieka ani nie pełzali zamiast chodzić. Oczywiście, dorośli mówili, że poza bunkrem nie ma inteligentnego życia, że oprócz niego jest jeszcze tylko kilkanaście podobnych konstrukcji, ale zasadniczo na otwartych przestrzeniach ludzie już dawno wymarli. Egzystują tam tylko zdeformowane, poskręcane rośliny i kilka gatunków zwierząt, które przetrwały zagładę. Oczywiście, były też, szczególnie powtarzane przez starszych chłopców, plotki o ogromnych, krwiożerczych mutantach, ale odkąd dorośli zaczęli wychodzić na zewnątrz nieuzbrojeni, to nawet najbardziej zaangażowani w wymyślanie takich bzdur zrezygnowali. Niektórzy jeszcze próbowali chronić swoje teorie murami zbudowanymi z wątłych domysłów, że po prostu nikt nie zbliża się do legowisk tych dzikich bestii, albo że owszem, żyją, ale na tyle daleko od

schronu, że nie trzeba się przed nimi bronić, lecz w momencie, kiedy odsunęły one od mieszkańców straszliwe zagrożenie, przestały być nośnym tematem.

Teraz jednak Eliza nie dałaby sobie uciąć głowy, że gdzieś, w podziemnych norach nie kryją się ogromne, zmutowane drapieżniki. Skoro bowiem właśnie zobaczyła chłopca zupełnie nie pasującego do schronu, to równie dobrze mogłaby się za chwilę natknąć na sześciometrowego, pokrytego łuskami kota z mackami.

– Zły człowiek! Wszyscy z wielkiego bunkra to źli ludzie! – wrzasnął chłopiec, po czym szybko wpełzł do budynku.

Eliza momentalnie się zatrzymała. Ciemność, jaka panowała w środku zrujnowanego domu dokładnie ukryła małego oszczercę, więc nie było już sensu go gonić. Owszem, mogła wejść do jego kryjówki i próbować po omacku odkryć, co takiego się tam znajduje, że chłopiec uznał rozsypującą się ruinę za bezpieczne schronienie, ale za bardzo bała się tej myśli. Nie potrafiła wyobrazić sobie nawet jak można wejść do pokrytego czarnym szlamem pomieszczenia i stawić czoła nieznanemu, nawet jeśli to mają być inne, podobne do niego, dzieci.

„On może tam mieszkać" – uznała. To była całkiem prawdopodobna ewentualność – nieznane plemię, które w jakiś sposób przeżyło wojnę poza schronem, z pewnością nie sypiało pod gołym niebem. Zresztą, mimo iż budynek z zewnątrz wyglądał na zrujnowany, od środka mógł być w całkiem dobrym stanie. Odnowiony, udekorowany i wzmocniony rękami ludzi na tyle silnych, by nie potrzebowali metalowego bunkra. Ludzi na tyle zaradnych, że potrafili przetrwać najgorsze, w dodatku opiekując się swoimi, wymagającymi przecież o wiele więcej troski niż ktoś zdrowy jak Eliza, dziećmi. Ludzi, którzy uważają ich, mieszkańców schronu, za złych.

„Może to ci dwaj nazwali go dzieckiem–potworem?" – pomyślała dziewczynka, starając się zrozumieć, dlaczego ktoś mógłby traktować zupełnie obcą sobie społeczność jako wrogów. „Może to dlatego twierdzi, że są źli. A widział, że ja wyszłam przez te same drzwi, więc i mnie uznał za złą" – słowa obracały się w głowie, mając nadzieję znaleźć w końcu jakąś bezpieczną przystań. Zbyt dużo pojawiło się pytań, a przecież jest na zewnątrz dopiero kilkanaście minut. Co jeszcze może przynieść ta zwariowana wędrówka?!

Zdezorientowana dziewczynka rozejrzała się dookoła. Okolica, jak zauważyła już wcześniej, nie była zbyt ciekawa – pokryta czarnym, toksycznym szlamem, stanowiąca resztkę jakiegoś całkiem sporego osiedla. Ulica, popękana i poprzecinana żyłkami traw, niewielkie, poskręcane drzewa i zniszczone przez wojnę lub późniejsze lata budynki – czasem rozsadzone przez jakiś wybuch, czasem po prostu upadłe pod własnym ciężarem, o przegniłych ścianach i skorodowanych fundamentach. Wszystko, co wmawiali jej chcący zniechęcić dzieci do prób ucieczki rodzice okazało się prawdą – na świecie nie było już nic wartego zobaczenia. Oprócz nieba – a w nie mogła wpatrywać się godzinami.

Powiodła więc jeszcze ostatni raz wzrokiem po okolicy, mając nadzieję, że zauważy coś ciekawego, zanim zadrze głowę w górę. Nagle zamarła. Kilkanaście metrów od niej, przy drzwiach bloku, który przypominał teraz bardziej skalny, popękany w kilku miejscach blok, niż jakiekolwiek miejsce do zamieszkania, stał

mężczyzna. Tak jak w przypadku dziecka – w ogóle nie przypominał ludzi ze schronu. Wiszące na nim postrzępione, znoszone ubranie dawno już utraciło swój prawdziwy kolor – miało teraz szaroczarną, zapewne będącą mieszaniną zwykłego brudu i wszechobecnego szlamu, barwę – a samą twarz przykrywał bujny, krzaczasty zarost. O ile ten szczegół aparycji nieznajomego nie był szczególnie dziwny – choć w bunkrze więcej było ogolonych mężczyzn – to odzież przypominająca bardziej szmaty, jakich używało się do mycia podłóg, była dla dziewczynki bardzo istotnym alarmem, że znów ma do czynienia z obcym.

„Ale przecież poza schronami nie ma ludzi" – przekonywała samą siebie, starając się nadać temu co widzi chociaż odrobinę sensu. Z jakiegoś dziwnego, ukrytego w atawistycznym, pamiętającym jeszcze czasy przodków ludzkości ośrodku mózgu, powodu dużo łatwiej było jej wierzyć w kryjące się pod łóżkiem potwory czy małe wróżki, jakie – według opowiadanych jej przez mamę bajek – przychodziły do urodzonych po wojnie lub w jej trakcie dzieci i zsyłały im przyjemne sny, niż w to, co właśnie kwitło jej przed oczami. Łatwiej byłoby uwierzyć jej w duchy – o nich przynajmniej czasem opowiadano sobie, kiedy pani w przedszkolu nie słyszała – byłaby zła, że dzieci straszą się nawzajem – a na to, że poza bunkrem istnieją jakieś ludzkie osady nie wpadł jeszcze nikt. Dosłownie nikt.

Mężczyzna tymczasem wydawał się tak samo realny jak przed sekundą. Na jego twarzy pojawiło się nawet coś w rodzaju uśmiechu – smutnego, przykrytego przez ogromne wąsy uśmiechu, podobnego do miny ludzi widzących właśnie obraz budzący jednocześnie radość i współczucie.

– Kim pan jest? – odezwała się Eliza, w ostatniej chwili odrzucając od siebie to, co naprawdę chciała powiedzieć. „Czy jest pan duchem?". Nie to, żeby tak mocno stąpała po ziemi, by na wstępie odrzucić tę ewentualność, po prostu nie była przekonana, by pytanie kogoś o to czy nie żyje było szczególnie uprzejme. Bo przecież zapytanie czyjejś duszy o to czy faktycznie jest po drugiej stronie bicia serca jest bardzo podobne do zwrócenia uwagi otyłej kobiecie, że ostatnio przytyła.

– Ważniejsze jest to, kim ty jesteś – odezwał się nieznajomy, nieznacznie modyfikując swój wyraz twarzy.

Uśmiech, jaki na niej spoczywał pozbył się nieco ze swojego wcześniejszego smutku, zastępując go zachęcającym do dalszej rozmowy ciepłem.

– Jestem Eliza. Mieszkam w schronie, a pan? – nie ustępowała dziewczynka. Była zbyt ciekawa, by pozwoliła na wypytywanie się o nią, więc wolała sama skierować rozmowę na właściwy tor. Niestety, mężczyzna miał inne plany.

– Skąd się tu wzięłaś? Dzieciom przecież nie wolno wychodzić na zewnątrz – stwierdził, obrzucając ją badawczym spojrzeniem.

Z każdą sekundą coraz bardziej przypominał ducha. Ale nie tego strasznego, jednego z kryjących się w nawiedzonych domach poczwar, których jedyną zabawą jest straszenie żywych, ani nie kreskówkowego, zabawnego dobrego duszka. Jawił się bardziej jako zmarły, pojawiający się w nocnym widziadle, dziadek, jako jakiś starszy krewny, który – korzystając ze szczególnego stanu świadomości, jakim jest sen – spotyka się z członkiem swojej rodziny, by przekazać mu pozdrowienia ze świata, w

którym teraz mieszka. Eliza widziała kiedyś film, którego głównej bohaterce, także małej dziewczynce, groziło wielkie niebezpieczeństwo. Tak wielkie, że aż jej tata, który rok wcześniej zginął w wypadku, powrócił zza grobu, by pomóc jej przetrwać zagrożenie. To spotkanie wyglądało właśnie tak jak jedna ze scen – łzawe i wzruszające pożegnanie protagonistki ze swoim odchodzącym do wieczności po wypełnieniu misji ojcem.

Stojący naprzeciw niej mężczyzna wydawał się być równie niematerialny co tamten, a poza tym wzbudzał podobne uczucia. Spokój, coś w rodzaju nieśmiałej, trzepoczącej na dnie mózgu radości i pewien dziwny, niepoznany jeszcze przez dziewczynkę smutek, nostalgię za tym, co przeminęło, co już nigdy nie powróci, przysypane przez gruzy starego, zniszczonego przez czas świata.

– Jest pan duchem? – spytała wreszcie, nie mogąc się powstrzymać. Nieznajomy zupełnie nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem. Spoglądał na Elizę przez zmrużone, zaćmione bezmyślnym, wylewającym się z płuc rozbawieniem oczy, czekając aż uspokoi się na tyle, by mógł odpowiedzieć.

– Nie, nie jestem duchem – oznajmił, a zaraz potem, nie przestając chichotać, dodał: – ale miło że pytasz.

– Czemu? – Dziewczynka była zupełnie zdezorientowana.

Mężczyzna pojawił się znikąd, w świecie, w którym wymarły nawet rośliny, który oszczędził jedynie lichą, chorą trawę i te dziwne, beczułkowate drzewa. Na wypalonym pustkowiu, w którym nie miało istnieć nic prócz paru zniszczonych zabudowań i nieba, w którym w jednej chwili zginęły miliony ludzi, w którym – tego Eliza sobie nie uświadamiała, ale na jakimś obdartym z dosłowności poziomie rozumiała, co się stało – niemal nie da się postawić kroku, żeby nie nastąpić na czyjś grób. W takim, zamieszkałym już chyba tylko przez widma i strzępki wspomnień, kraju nagle zobaczyła człowieka. Człowieka, który nie ma prawa żyć. Czy to takie dziwne, że wzięła go za ducha?

– Chyba nikt nie chciałby iść na spacer z umarlakiem, co? – Uśmiechnął się nieznajomy. Na jego twarzy nadal widniał lekko rozbawiony uśmiech, ale wydawało się, że mężczyzna zapanował już nad śmiechem.

– Nie pójdę z panem na spacer, mama zabroniła mi chodzić z obcymi ludźmi – oznajmiła, a po chwili, na szybko przypomniawszy sobie resztę wkładanych jej do głowy przez całe krótkie życie rad, spuściła wzrok i dodała – właściwie to w ogóle nie powinnam z panem rozmawiać.

– Wychodzić ze schronu pewnie też – stwierdził mężczyzna, uśmiechając się przekornie.

Dziewczynka rzuciła w niego krótkim, poirytowanym spojrzeniem, ale nic nie powiedziała. Faktycznie – właśnie złamała jeden zakaz, więc czemu nie nakarmić żyjącej w jej umyśle ciekawości i nie wypytać nieznajomego o wszystko, co ją interesuje. Zresztą, jeśli dowie się czegoś ciekawego, jej wybryk może zostać zapomniany – dorośli na pewno dużo by dali za informację, że gdzieś tam, na wypalonych, pokrytych radioaktywnym szlamem pustkowiach, żyje jeszcze jakaś niewielka społeczność ludzi, która bardzo dobrze sobie radzi poza bunkrem. To

zmusiłoby mieszkańców schronu do gruntownej przebudowy swojej wizji świata zewnętrznego, byłoby informacją tak doniosłą jak wszystkie wielkie odkrycia, o których oglądała kiedyś film.

„Byłabym jak ci żeglarze opływający świat dookoła" – pomyślała, starając się nie pokazywać po sobie radości, którą ta możliwość w niej wywołała. A był to ogromny, wartki strumień, z każdą sekundą coraz bardziej podmywający grunt, na którym osiedliły się wątpliwości. Jako pierwsze, do wody runęło przekonanie, że nie wolno jej rozmawiać z nieznajomymi – dało się usunąć tak szybko, bo przecież już i tak zaczęła dyskusję z niewidzianym nigdy wcześniej mężczyzną, a jakoś nic się jej jeszcze nie stało. Sekundę później fragment lądu, na którym stał zakaz chodzenia za takimi osobami osunął się i również znalazł się pośród tłukących się o siebie nawzajem fal. Dalej proces potoczył się niezwykle dynamicznie – zahamowania padały całą lawiną, niezwykle szybko odsłaniając jaskrawy, odwracający uwagę klejnot, który wcześniej przykrywały. Kryształ zbudowany z ciekawości i chęci odkrycia czegoś nowego.

– Kim pan jest? – zapytała jeszcze raz, starając się nadać swojemu głosowi możliwe najostrzejszy i najbardziej nie znoszący lekceważenia ton.

– Ciężko to wytłumaczyć – stwierdził, uśmiechając się przyjaźnie – mogę ci pokazać, to z pewnością będzie dla ciebie ciekawsze niż jakaś nudna opowieść.

– Jak to? – Blask odbijany przez fascynację na moment zaćmił cień podejrzliwości.

– Zaprowadzę cię do miejsca, w którym mieszkam. Będzie tam dużo ludzi, których będziesz mogła o wszystko wypytać. Poza tym jest tam ktoś, kto na ciebie czeka.

– Co? – Dziewczynka nie była już zdziwiona czy zdezorientowana.

Była po prostu wstrząśnięta. Właśnie zupełnie nieznany jej człowiek, mieszkający w zewnętrznym, niemal wysterylizowanym świecie, zaprosił ją na swoje osiedle. Eliza nie zadawała sobie pytania jak to się stało, że wcześniej nie spotkało to żadnego dorosłego ani dlaczego właściwie odizolowana społeczność miałaby być dla niej tak miła i zupełnie pozbawiona nieufności. W tej chwili liczył się jedynie fakt, że właśnie stała na progu tajemnicy, która przewróciłaby do góry nogami postrzeganie rzeczywistości wszystkich mieszkańców schronu. Pukała do drzwi rewolucji.

– Wiesz, dlaczego przyszedłem się z tobą zobaczyć? – Mężczyzna, zamiast oczekiwanych wyjaśnień, wypluł z siebie kolejne pytanie. Dziewczynka była jednak zbyt zszokowana, by mieć siłę się z nim kłócić.

– Nie.

– Jeden z chłopców wybrał się na taką samą niekontrolowaną wędrówkę jak ty. Szybko jednak przybiegł, krzycząc, że spotkał jakieś dziecko. Ja poszedłem sprawdzić, czy to prawda. Okazało się, że tak, że zobaczył ciebie – oznajmił nieznajomy.

„A więc to właśnie mały chłopiec powiedział im, że wyszłam ze schronu" – myśl obijała się boleśnie o wewnętrzne powierzchnie ścian czaszki. Była jak orzech, którego słabe dłonie dziewczynki nie są w stanie otworzyć, a który więzi w swojej skorupie jakiś pozornie mało znaczący fakt, bez którego zrozumienie obecnej sytuacji nie jest możliwe. Coś tkwiło pomiędzy informacją, że malec, który nazwał ją złym człowiekiem

i mężczyzna, z którym teraz rozmawia, należeli do tej samej grupy. I że to właśnie ten dzieciak zaalarmował o przybyciu Elizy. Coś, czego nie potrafiła dostrzec.

– Kto na mnie czeka? – spytała, odsuwając na razie od siebie tę ukrytą we wnętrzu mentalnego orzecha zagadkę.

– Właśnie ten chłopak – nieznajomy uśmiechnął się, a po chwili dodał: – i jego opiekunowie. I koledzy. I wszyscy nasi znajomi. A najbardziej nasza pani prezydent.

– Prezydent? – powtórzyła mechanicznie, bezskutecznie starając się znaleźć w, obecnie niesłychanie zabałaganionej tą całą sytuacją, pamięci znaczenie tego słowa.

– To ktoś, kto nami rządzi. Wy pewnie też macie w schronie taką osobę – powiedział mężczyzna, a po chwili, kiedy zrozumiał, że dziewczynka nie odpowie, postanowił – chodźmy, szkoda tracić czas.

Nie czekając na odpowiedź Elizy odwrócił się i ruszył w stronę domu, koło którego stał. Dziewczynka, sama nie wiedząc co robi, zaczęła iść za nim. Nieznajomy pchnął przerdzewiałe niemal na wylot drzwi, które posłusznie i zupełnie bezdźwięcznie otworzyły się, ukazując oświetloną migoczącą, anemiczną żarówką klatkę schodową. Ściany pokryte były, choć w dużo mniejszym stopniu niż trawa, tym samym toksycznym pyłem, spod którego wyglądała całkiem sprawnie prosperująca kolonia grzybów. Eliza nie miała nigdy do czynienia z czymś takim – nie wiedziała, czemu gładką, zupełnie normalną powierzchnię szpeci ta dziwna i zapewne niezbyt przyjemna w dotyku narośl. „Może tak kiedyś budowano domy?" – myśl utonęła pośród morza innych równie szybko jak się pojawiła, nie zdążyła nawet zabawić w świadomości na tyle długo, aby do żyjącego co prawda w zupełnie innym świecie, ale całkiem inteligentnego i zdolnego kojarzyć fakty, dziecka dotarła jej śmieszność.

Dziewczynka przekroczyła próg, przyspieszając, by dotrzymać kroku swojemu przewodnikowi. Pierwszym, co uderzyło ją po wejściu do środka, był zapach. Nie zaatakował co prawda natychmiast, odbierając dech i wywołując odruch wymiotny, ale zaczął powoli kolonizować jej nos, delikatnie wsączając się w receptory i niosąc do mózgu informację o bardzo nieprzyjemnej woni. Eliza nie znała pleśni – wszystko, co znajdowało się w schronie, było – jakby w kontraście do świata zewnętrznego – utrzymywane w idealnej, pedantycznej wręcz czystości. Oczywiście, o ile można mówić o czystości w świecie pokrytym trującym pyłem. Żywność dostawała szczelnie, najczęściej próżniowo zapakowaną, zamrożoną lub świeżą, zebraną z umieszczonych poza mieszkalną częścią bunkra szklarni czy hodowli drobiu – nie było mowy o jakiejkolwiek możliwości zetknięcia się z zepsutym jedzeniem.

Zresztą, każdy mieszkaniec schronu otaczał pokarm ogromnym, graniczącym z zabobonnym lękiem, szacunkiem, gdyż mimo wspaniałego zaopatrzenia całej konstrukcji, zarówno mięso jak i owoce, warzywa czy słodycze trzeba było oszczędzać. Oczywiście nikt nie głodował, brak było też ludzi niedożywionych albo pozbawionych dostępu jakichś ważnych dla życia witamin czy makroelementów, ale sam fakt, że zapasy są ograniczone a tempo wytwarzania nowego pożywienia niezbyt wielkie – hodowle, ogródki i wszystkie urządzenia do obróbki żywności działały co prawda wydajnie, ale potrafiły zaspokoić jedynie pewną część potrzeb schronu – okazał się

doskonałym nawozem dla kiełkującego już kilka miesięcy po wybuchu wojny ziarna chomikowania wszystkiego co wpadło w ręce.

Nie do pomyślenia było więc nie tylko marnowanie jedzenia, ale też pochłanianie jego niewyobrażalnych ilości. Każdy dostawał tyle, żeby móc w stu procentach zaspokoić swój głód. Z początku kontrolę nad tym sprawował stres i lęk, bowiem przeciętny mieszkaniec nie wiedział, czy jeśli nie będzie oszczędzał, nie obudzi się pewnego dnia w bezwartościowym, może i dającym schronienie przed toksynami czy promieniowaniem, ale zupełnie pozbawionym czegoś, czym można by się pożywić. Potem zaś, kiedy wszyscy już przyzwyczaili się do nowych warunków, odruchowe odmawianie dokładki stało się czymś tak normalnym, że nie było potrzeby wprowadzać dziwnych reguł racjonowania czy jakichś nakreślonych na szybko kampanii społecznych uświadamiających jak źle jest się objadać.

W schronie wykorzystywane było wszystko. Pleśń, nie tylko ta gnieżdżąca się na resztkach posiłków, ale też pożerająca ściany, praktycznie nie istniała. Dlatego też jej dość intensywny, ale nie agresywnie atakujący nozdrza zapach, od razu dotarł do umysłu dziewczynki. A kiedy już tam się dostał, zaczął powoli uchylać drzwi, za którymi krył się, zamknięty dotąd na klucz przez dziecięcą ciekawość, lęk.

„To wszystko jest takie dziwne" – myślała Eliza – „nawet pachnie inaczej". Co też ją podkusiło, żeby iść za tym dziwnym, pewnie od dawna martwym, mężczyzną? Śledzenie duchów nigdy nie było dobrym pomysłem – może jeden raz, w tym filmie, który przypomniał się jej wcześniej, ale to wyjątek potwierdzający regułę. A teraz, przez zlekceważenie tej świętej zasady, zamiast do ciepłego, odgrodzonego od wszelkich zagrożeń schronu, wchodziła do przerażająco obcego, oświetlanego migoczącym, często wręcz przygasającym światłem przedpotopowych żarówek, śmierdzącego stęchlizną świata. „Prowadzi mnie do krainy zmarłych" – przemknęło jej przez głowę, gdy schodziła po schodach. Szybko, bezlitośnie rozdeptała tę myśl, ale strach i tak zdążył ją wywęszyć zanim zginęła pod podeszwą.

Potęgował go fakt, że właśnie zeszli ze schodów i znaleźli się w bardzo dziwnym, pogrążonym w budzącym grozę półmroku pomieszczeniu. Światło, jakie sączyło się z maleńkich lampek na suficie, wsiąkało w tkaninę wszechobecnej ciemności zanim zdążyło dotrzeć niżej, by ukazać jej oczom twarze bawiących się pośrodku dzieci. Tak, właśnie dzieci – dwójka nieco młodszych od niej szkrabów kucała kilka metrów dalej i zajmowała swój czas jakąś zabawką, zakrytą przez atramentową czerń lewitującą w powietrzu.

Nagle jeden z nich odwrócił głowę. Przez chwilę wpatrywał się w dziewczynkę i jej przewodnika, po czym z pokrywającej jego oblicze ciemności wypadło znane już Elizie określenie.

– Dziecko–potwór... – Po chwili ciszy, podczas której na twarzy nieznajomego zdążyło rozlać się całe może zażenowania, rozbrzmiały kolejne słowa: – Dziecko–potwór, mówili!

– Nie przejmuj się nim – mruknął mężczyzna, spoglądając z przepraszającym uśmiechem – nasze dzieci czasem opowiadają sobie jakieś niestworzone historie o

potworach ze schronu. Wy też na pewno wymyśliliście już milion historii, że na świecie poza bunkrem żyją ogromne bestie.

– Co? – spytała dziewczynka, właściwie tylko po to, żeby się odezwać. W rzeczywistości nie potrzebowała wyjaśnień, choć miała niewielką, tlącą się gdzieś w głowie, nadzieję, że źle zrozumiała to, co właśnie usłyszała.

– Nieważne. – Jej przewodnik machnął ręką przybierając wyraz twarzy sugerujący, że to co się właśnie dzieje jest najmniej istotną rzeczą na świecie.

Eliza była innego zdania. Przez cały czas myślała, że spotkany przez nią zaraz po wyjściu ze swojego betonowego więzienia chłopiec skarżył jej się, że jakiś członek jej społeczności go przezywa. To miałoby sens – w końcu znalazłoby się wielu takich, którzy widząc chore dziecko używali o wiele bardziej nieprzyjemnych określeń. W dodatku malec miałby wtedy powód do nazwania jej i wszystkich jej znajomych złymi ludźmi. W ogóle jednak nie przyszłoby jej do głowy, że wykrzykiwane przez niego słowa nie są wyrazem oburzenia a ekscytacji, jaka wiąże się z zobaczeniem na wpół legendarne istoty, przybysza z innego, sterylnego i nieśmierdzącego stęchlizną świata.

Myśl, że chłopiec nazwał ją dzieckiem–potworem eksplodowała tęczowym rozbłyskiem. Wybuch przeróżnych, niejednokrotnie sprzecznych, szarpiących się zacięcie emocji skutecznie zamaskował swoją wielobarwną kaskadą czający się z tyłu umysłu strach. Dziewczynka już się nie bała, a przynajmniej lęk nie sięgał do świadomości, krył się w półcieniu nieoświetlonym przez przytomny umysł, czekając na dogodny moment by zaatakować. Teraz liczyło się tylko to, że z zupełnie przeciętnego, może trochę wyjątkowego – w końcu była zupełnie zdrowa, a takie osoby, choć nie były rzadkością, nie były też tak liczne, by nie mieć czegoś w rodzaju statusu szczęściarza – dziecka stała się monstrum. Bestią wychodzącą z głębin schronu, dziwadłem, cudem – a może przekleństwem, kto by tam wiedział – natury.

Nie mniej dziwne było uczucie, które towarzyszyło jej, kiedy powoli uświadamiała sobie, że dla jej żyjących tu rówieśników – a może i całej społeczności – świat zamknięty w dokładnej, niezniszczonej w przeciwieństwie do tej piwnicy, bryle bunkra, wydawał się tak samo obcym i dziwnym miejscem jak dla niej pokryte radioaktywnym pyłem pozostałości miasta, w którym zbudowany został schron. Nie potrafiła po prostu zaakceptować faktu, że coś, co jest dla niej tak zwyczajne i oczywiste jak cztery upstrzone przeróżnymi rysunkami i plakatami ściany czy zdrowe, pieczołowicie przyrządzane przez techników żywności jedzenie dla innych może być równie abstrakcyjne, co do niedawna niebo.

„To okropne!” – pomyślała – „ich największym marzeniem jest pewnie zobaczyć czysty pokój”. Jak coś tak potrzebnego do życia może być w jakimkolwiek miejscu towarem deficytowym?

Jej rozmyślania przerwała kobieta. Powoli, z dumą, wychodząca z jednego z pomieszczeń przyległych do tego, w którym się znajdowali. Mijając niezbyt ładną, ale przynajmniej pozbawioną grzyba ścianę – Eliza dopiero teraz zorientowała się, że w tej części budynku ten dziwny, nieznany jej do tego czasu smród jest znacznie słabiej odczuwalny, jakby w ogóle nie istniał – uniosła rękę i musnęła włącznik. Otoczenie zalał ostry, kłujący przyzwyczajone już do półmroku oczy dziewczynki blask. Łzy

momentalnie pokryły gładką powierzchnię rogówki, przez co nie dało się zobaczyć wszystkich szczegółów fizjonomii nowoprzybyłej.

– Czyli to prawda? – rozległ się zimny, zdecydowanie nieprzyjemny głos. Przypominał trochę to, co towarzyszy słowom kogoś zmęczonego i zmuszonego do wykonywania pracy, której nienawidzi, tyle samo było w nim niechęci co zniecierpliwienia.

– Tak, Alek faktycznie spotkał dziecko ze schronu – odparł mężczyzna, zaś wciąż kucający pośrodku pomieszczenia chłopiec, jakby dla potwierdzenia słów dorosłego, powiedział tonem, którym wyraźnie chciał zwrócić na siebie uwagę:

– Dziecko–potwór.

Eliza tymczasem, gorączkowo mrugając, by pozbyć się łez zamieniających pole jej widzenia w rój kalejdoskopowych, załamujących światło odłamków, oglądała niespodziewanie wyłowioną z ciemności okolicę. Na razie nie interesowało jej to, co mówią czy robią towarzyszące jej osoby – była zbyt oszołomiona, zarówno uświadomieniem sobie, że dla nich to ona jest krwiożerczym mutantem, o których mówili jej koledzy z przedszkola, jak i wszystkim innym, co dzisiaj zobaczyła.

Źródłem oślepiającego światła był niewielki, ale – jak się okazało – bardzo mocny reflektor umieszczony w rogu pomieszczenia i połączony z włącznikiem ciemnym, słabo widocznym kablem. Dziewczynka znajdowała się właściwie nie – jak początkowo myślała – w czyimś pokoju, lecz obszernym, w niczym nieprzypominającym klaustrofobicznych przesmyków ze schronu, korytarzu. Ustawione po bokach rzędy drzwi, z których płatami odpadały namalowane starą farbą numery, prowadziły zapewne do pomieszczeń mieszkalnych. I wszystko to wyglądałoby w miarę normalnie, gdyby nie ściana – przypominająca nieco kamień – i fakt, że prawdopodobnie znajdowało się pod ziemią.

Kiedy jej oczy nasyciły się widokiem przerobionej na osiedle piwnicy, wzrok spoczął na tajemniczej nieznajomej, która przed chwilą dołączyła do Elizy, prowadzącego ją mężczyzny i dwójki bawiących się na środku dzieci. Mina kobiety w niczym nie przypominała tego ciepłego, budzącego zaufanie uśmiechu, którym dziewczynkę raczył jej przewodnik. Wyglądała raczej jak stalowa, nałożona na twarz maska, starannie ukrywająca wszystkie emocje, a mimo to budząca niechęć. Spojrzenie zaś było najbardziej lodowatym spojrzeniem, jakie mała mieszkanka schronu kiedykolwiek w życiu widziała. Wydawało się, że było w stanie zamrozić całe niebo – a niebo, wciąż widoczne w wyobraźni, nie przestawało zadziwiać jej swoim ogromem.

– Jak masz na imię? – rzuciła nieznajoma.

– Eliza – posłusznie odpowiedziała dziewczynka, bardziej z przyzwyczajenia niż faktycznej chęci podzielenia się tą informacją.

– Co z nią zrobimy? – spytał mężczyzna, posyłając Elizie spojrzenie pełne otuchy i tego dziwnego, subtelnego ciepła, które doskonale koiło zmrożone przez kobietę fragmenty psychiki.

– Nic. Ktoś ją adoptuje i wszystko będzie jak dawniej – mruknęła dorosła, a po chwili, widząc, że jej wspólnik nie jest zachwycony odpowiedzią, dodała: – może być

cennym źródłem informacji. Weź Alka i odprowadź go do rodziców, a ja z nią porozmawiam.

– Dziecko–potwór! – wrzasnął chłopiec z oburzeniem, na co nieznajoma zareagowała jak na ugryzienie przez pszczołę, po czym powiedziała:

– I opieprz jego rodziców za to, że pozwolili mu wyjść. Nie możemy sobie pozwolić, żeby jakieś bachory biegały po ulicach. Jeszcze nie.

– Czyli chcesz uwięzić tę dziewczynkę? – spytał mężczyzna.

– A po co? Po prostu znajdziemy jej nowych opiekunów i będzie tu mieszkać jak każde inne dziecko. Ale najpierw powie nam, co chcemy wiedzieć – usłyszał w odpowiedzi.

– Naprawdę myślisz, że ci powie?

– To dzieciak – prychnęła z lekceważącą miną – czemu miałaby milczeć?

Przewodnik Elizy tylko pokręcił głową i posłał dziewczynce smutne, będące – zdaje się – pożegnaniem, spojrzenie, po czym odwrócił się do bawiących się chłopców. W świetle reflektora widać było wyraźnie, że Alek, bo tak miał pewne na imię, ściska dokładnie ten sam, ubrudzony czarnym smarem, samochodzik, który trzymał wcześniej.

– Chodź, idziemy, mama na ciebie czeka – powiedział mężczyzna.

Jego wspólniczka tymczasem spojrzała wymownie na dziewczynkę, po czym, nie czekając na jej reakcję, ruszyła w kierunku najbliższych drzwi, dokładnie tych, przez które wyszła na korytarz.

– Mówili wam w szkole czy gdziekolwiek indziej, jak to się wszystko zaczęło? – spytała, nie odwracając głowy.

– Nie – oznajmiła dziewczynka ruszając za nią. Kobieta szła szybko, nie przejmując się tym, czy dziecko nadąża za jej krokami, jakby przez cały czas się gdzieś spieszyła. W ogóle sprawiała wrażenie jakby ani Eliza, ani nieznajomy, który właśnie odprowadzał gdzieś dwóch chłopców, ani cała ta piwnica i, być może, reszta świata, w ogóle jej nie obchodziły, jakby jej osoba i jakieś enigmatyczne, znane tylko jej sprawy były znacznie ważniejsze od wszystkiego, co ją otaczało. Wydawało się wręcz, że jest poirytowana tym, iż musi zajmować się wszystkim innym.

– A wiesz chociaż, co to za państwo? W ogóle mówili wam, że istnieje coś takiego jak państwa? – dopytywała nieznajoma.

– Państwo? – zdziwiła się dziewczynka.

To było kolejne słowo, którego nie znała. Kolejne zjawisko, o jakim nie miała pojęcia. Cały wszechświat, dotąd ograniczony przez ściany schronu, nagle nie tylko uległ rozszerzeniu do nieskończoności, ale też stał się niesamowicie obcym i nieprzyjaznym miejscem. Wszystko, co dotąd było doskonale poukładane, wepchnięte wręcz w swoje miejsce, teraz powypadało, zawieruszyło się gdzieś pośród wszechobecnego chaosu. Ucieczka ze schronu, spotkanie przezywającego ją chłopca, a potem tego miłego mężczyzny, a wreszcie nieprzyjemnej, zniecierpliwionej kobiety – każdy z tych czynników wystarczyłby, żeby przewrócić życie dziecka do góry nogami. Kiedy wszystkie zebrały się w grupie, nie było już czego przewracać. Poczucie bezpieczeństwa zostało zdezintegrowane.

A najgorszym było przeczucie, że ten spokojny, posegregowany świat nigdy nie wróci. Bo przecież nawet jeśli dziewczynka znów znajdzie się w bunkrze, kiedy na nowo będą się nią opiekować mądrzy dorośli ludzie, którzy wiedzą jak wszystko uporządkować i jak ochronić ją przed całym tym bałaganem, nadal będzie miała świadomość, że gdzieś tam, za oknem albo po drugiej stronie drzwi, istnieje nieskończoność, nieskończoność wypełniona setkami, jeśli nie milionami, nieznanych, może przerażających, albo nawet niebezpiecznych rzeczy.

– Państwo to taki duży teren, na którym mieszkają ludzie. – Głos idącej przed nią kobiety zadziałał jak kubeł zimnej wody, natychmiast przywracając Elizę do rzeczywistości. – To ważne, bo świat wygląda tak właśnie dlatego, że ludzie mieszkający w wielu różnych państwach zaczęli ze sobą walczyć.

– Może mi pani o tym opowiedzieć? – spytała dziewczynka, mając nadzieję, że ktoś wreszcie chociaż trochę rozwieje tę gigantyczną chmurę informacyjnego smogu.

Jej rozmówczyni westchnęła. Odwróciła głowę w jej stronę i cisnęła w nią skumulowaną w spojrzeniu bryłą lodu. Dziewczynka, niedoświadczona jeszcze w potyczkach tego rodzaju, nie uchyliła się odpowiednio szybko i cała jej pewność siebie została w jednym momencie zmieciona z powierzchni ziemi. Wszystko zaś co chroniła stało teraz bezbronne, zupełnie nie osłonięte przed atakami groźnie wyglądającej kobiety.

– Miałam nadzieję, że o to nie poprosisz.

– Czemu? – spytała Eliza, rozglądając się dookoła.

Właśnie weszły do małego, ładnie urządzonego pokoiku. Oświetlała go dokładnie taka sama lampka jak te niedające sobie rady z rozsiewaniem blasku na korytarzu, tutaj jednak trzeba było o wiele mniej mocy, więc pomieszczenie wypełniał nie półmrok, a migocząca, niezbyt wyraźna poświata. To już coś lepszego.

Kobieta, znów nie oglądając się na swoją małą towarzyszkę, usiadła na ustawionym pod ścianą łóżku. Nie było ono szczególnie wielkie, ale w groteskowo małym pokoju sprawiało wrażenie ogromnego łoża godnego królów albo wyjątkowo otyłych małżeństw.

– Bo muszę ci to powiedzieć, żebyś chciała z nami współpracować – stwierdziła nieznajoma z kwaśną miną. Wyraźnie widać było, że bardzo nie chce robić tego, co właśnie zacznie. – Zacznijmy od tego, że państwo, w którym żyjemy, nazywa się Polska. Nie wiemy czy obecnie istnieją jakieś inne, są nikłe informacje, że ktoś przeżył na Ukrainie, ale sama rozumiesz, mamy teraz na głowie ważniejsze sprawy niż robienie spisów ludności.

– Spisów ludności? – spytała dziewczynka, ale kobieta zupełnie ją zignorowała i opowiadała dalej:

– Twoich odrobinę starszych kolegów pewnie uczą w szkołach, że ta nasza piękna Polska została napadnięta przez bandyckich najeźdźców, zbombardowana i spalona. – Po jej twarzy przebiegł groźnie wyglądający, wykrzywiony uśmiech, który na pewno nie miał nic wspólnego z wesołością. – Jakież to typowe… Zawsze zrobimy z siebie ofiary. Ale nie, tym razem było zupełnie odwrotnie. To my rozpoczęliśmy ten cały cyrk.

– Jak to? – dopytywała Eliza.

Wszystko, co do tej pory było w jej mniemaniu krystalicznie czyste i śnieżnobiałe, uległo zepsuciu. Na przepięknej tkaninie schronu, który był dotychczas symbolem resztek ludzkości, które ocalały, wykwitły brudne, zakrywające nici wyjątkowości plamy. To jeszcze byłaby w stanie znieść – w końcu trzeba się tylko cieszyć, że więcej osób przetrwało katastrofę. Jednak fakt, że kraj, którego obywatelką była jest odpowiedzialny za rozpętanie atomowego piekła, które pogrzebało świat pod toksycznym pyłem, była zbyt niestrawna, by dziewczynka natychmiast jej nie zwróciła.

Umysł po prostu odrzucił zmielony już nieco próbą zrozumienia fakt, wydalił go z siebie, jakby zupełnie nie istniał, albo jakby był odpadkiem, czymś nie tylko niepotrzebnym, ale też szkodliwym. I tak mogłoby się to skończyć, gdyby nieznajoma nie kontynuowała:

– Przez lata nie mieliśmy broni atomowej, z biologiczną i chemiczną też był problem. I to jest fakt, to ktoś inny zamienił Ziemię w śmierdzące radioaktywną spalenizną gówno, ale gdyby nie my, nigdy by do tego nie doszło. A właściwie gdyby nie jedna osoba.

– Prezydent? – spytała Eliza, przypominając sobie enigmatyczne słowo, które poznała kilkadziesiąt minut temu.

– Nie. – Nagle wzrok kobiety stał się jeszcze bardziej lodowaty. Jakby chciała pokroić nim swoją rozmówczynię na kilkadziesiąt skurczonych, zamarzniętych kawałków. – Prezydentem jestem ja. Jasne, dopiero teraz, kiedy to wszystko się działo, był nim ktoś inny, ale to nie zmienia faktu, że prezydent nie miał z tym nic wspólnego. – Zamilkła, a po kilku sekundach, jakby potrzebnych na przemyślenie wszystkiego, podjęła urwany wątek: – To była pani minister. Nasza zasrana pani minister, nieważne czego, i tak nie zrozumiesz, to coś związanego z wojskiem. Zaczęła od bardzo udanego dowodzenia armią i przeprowadzenia kilku spektakularnych akcji. Z uwagi na swoje zasługi, albo fakt, że jej ministerstwo czekało na kogoś innego, została awansowana. Nie musisz wiedzieć gdzie, na jakąś teoretycznie ważniejszą, ale dającą mniej władzy funkcję. Tylko że ona i tak stała się do tego czasu tak cholernie wpływowa, że bez problemu manipulowała zarówno wojskiem jak i całym rządem. Pewnie dziwi cię, jak jeden człowiek może zyskać tak wielką potęgę?

– Właściwie… nie – powiedziała zupełnie zdezorientowana dziewczynka kiedy cisza zaczęła się przedłużać i zrozumiała, że kobieta czeka na odpowiedź.

– Nieważne. O drugiej wojnie światowej i tym, jak na szczyty dostawali się dyktatorzy pewnie też was nie uczą, a już na pewno nie takich kilkulatków jak ciebie, więc i tak byś nie zrozumiała, o czym mówię. W każdym razie, tamta kobieta wspinała się coraz wyżej. A jej cholerne poglądy, że powinniśmy być silni, podporządkowywać sobie coraz większe obszary gospodarczo i politycznie doprowadziły do coraz większej niechęci innych krajów. Chyba wszystkie organizacje międzynarodowe nałożyły na nią jakieś sankcję, ale nic sobie z tego nie robiła. W końcu doprowadziła do wybuchu wojny. Wojny, z której Polska miała wyjść odnowiona i potężna, rządząca całą Europą

i pewnie jeszcze kawałkiem Azji czy innej Afryki. I myślę, że chyba wtedy jej odpieprzyło. W którymś momencie po prostu nie wytrzymała presji i się załamała. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak – powiedziała Eliza, choć w rzeczywistości rozumiała niezbyt wiele, zaś to, co potrafiła pojąć, szczerze mówiąc niezbyt ją obchodziło.

Prezydent tej dziwnej społeczności jednak najwyraźniej w ogóle nie przejmowała się wielkimi oczami swojej słuchaczki i miną mówiącą, że nigdy w życiu nie była bardziej zagubiona. Po prostu tłumaczyła dalej:

– Kiedy zorientowała się, że jednak nie jesteśmy aż tak mocni, żeby brać się za bary z całym światem, kompletnie zwariowała. Większość osób rządzących państwem, w tym ja, bo byłam jedną z posłanek, zdecydowały przejąć władzę i postarać się zminimalizować straty wojenne. Wiadomo, że gdyby ta idiotka nadal wszystkim dowodziła, mielibyśmy kompletnie przechlapane. Ona, kiedy w jakiś sposób dowiedziała się, że chcemy ją odsunąć od władzy i wsadzić do paki, zrobiła coś, czego nikt się nie spodziewał. Zebrała grupę bliskich sobie ludzi i ogłosiła, że są miejsca w zbudowanym niedawno schronie przeciwatomowym. Większość ludzi, oczywiście, zignorowała ten fakt, bo nic nie zapowiadało, że będzie potrzebny. Owszem, wojna była okrutna i krwawa, ale jak na razie nikt nie skorzystał z broni masowego rażenia. Ale było nas wtedy trzydzieści milionów, znalazło się sporo osób chętnych na te miejscówki. W ten sposób zapełniła cały bunkier, a potem sama do niego uciekła. Wcześniej jednak wysłała wszystkie siły wojskowe, i nie żartuję tutaj, wszystkie, jakie miała, każdego pieprzonego żołnierza, do ataku na irańskie elektrownie jądrowe. Co było wbrew wszystkim zasadom, bo Iran nawet nie uczestniczył w wojnie.

– I co? – dopytywała Eliza próbując ustawić sobie w głowie fakty, unikając ich jeszcze większego mieszania.

Na twarzy kobiety pojawiła się tymczasem wściekłość. Wściekłość osiadła na jej skórze, zagnieździła się w tęczówkach, a potem spłynęła też do jej głosu. Spojrzenie nie było już lodowate – teraz parzyło. Piekło nieskończoną furią, jak morze lawy albo płynnego metalu, a gdyby ono nie zadziałało, na pomoc przybywały słowa, słowa wyrzucane pojedynczo z jej ust, przepełnione taką ilością jadu, że wystarczyłaby do wytrucia średniej wielkości miasta.

– I nic. Iran, kiedy dyplomacja nie zadziałała, odpowiedział ogniem – wypluła z siebie. – A że było to państwo gospodarczo dosyć wyniszczone, nie mogło sobie pozwolić na armię, która powstrzymałaby naszych najeźdźców, więc odgrzebało zmontowane w zamierzchłych czasach bomby i posłało świat do grobu. Oni zrzucili bomby na nas, komuś się to nie spodobało, zaatakował ich i kaskada zdarzeń zmieniła Ziemię w wypaloną skorupę. Ci, którzy schowali się w schronach przeżyli, reszta miała umrzeć. Na szczęście skażenie nie okazało się aż tak zabójcze. Owszem, wymarła większość, według niektórych szacunków nawet siedemdziesiąt pięć procent, ale reszta całkiem nieźle sobie radzi. Oczywiście, liczebność następnych pokoleń jeszcze się zmniejszy, bo większość dzieci jest upośledzonych i najczęściej bezpłodnych, albo w ogóle rodzi się martwa. Ale jakoś sobie poradziliśmy, a te pieprzone tchórze za bardzo bały się wyściubić nosa ze swojej krypty, żeby się o tym dowiedzieć. I dlatego

musisz nam pomóc. Tam, w tym twoim bunkrze, są bardzo niebezpieczni ludzie. Kobieta, która poświęciła cały świat, żeby uratować swoją władzę! Nie możemy dopuścić do tego, żeby znowu dostała się na szczyt. Ani ona ani jej współpracownicy. Musisz powiedzieć nam wszystko, co wiesz!!!

Pani prezydent wrzeszczała. Prawdopodobnie sama o tym nie wiedziała, zbyt pochłonięta płonącą w niej złością, by zwrócić uwagę na taki detal. Jej twarz nie przypominała już oblicza człowieka, była bardziej jak owładnięty nienawiścią pysk demona, wyjąca bestia zdolna tylko i wyłącznie do tępienia swoich wrogów. A wrogiem tej tutaj okazała się społeczność, z której przybyła Eliza. Dziewczynka znów się bała. Teraz o wiele bardziej, widziała bowiem ogarniętą furią przywódczynię ludu dużo lepiej znającego życie na powierzchni i prawdopodobnie liczniejszego niż mieszkańcy schronu. Społeczności skrzywdzonej, doprowadzonej do ostatecznego upadku, przepojonej żalem i być może chęcią zemsty. Nic więc dziwnego, że Eliza nie chciała tutaj być. Zwłaszcza że zemsta mogła zostać dokonana na niej.

– Nie wierzę! Nie wierzę w ani jedno słowo! – wrzasnęła, choć wiedziała, że istniały poszlaki, które wskazywały na to, że kobieta jednak ma rację. Na przykład chłopiec, który nazwał ludzi żyjących w bunkrze złymi.

– To pokażę ci, że nie żartuję. Pokażę ci zdjęcie osoby, przez którą to wszystko się stało. Jestem pewna, że widziałaś ją już co najmniej kilka razy i ją rozpoznasz. Pewnie, to nie da ci pewności, że mówię prawdę, ale będziesz wiedzieć, że nie wyssałam tego z palca i że taka kobieta naprawdę istnieje! – przekrzyczała ją prezydent. – Przygotowałam je sobie specjalnie na taką okazję.

Wsunęła dłoń do kieszeni, po czym, groźnie łypiąc na dziewczynkę pałającymi nienawiścią oczami, wyjęła złożoną na pół starą, postrzępioną kartkę. Bezlitośnie szarpnęła za jedne z rogów, po czym papierowe więzienie nagłym ruchem ukazało dziewczynce to, co ukrywało.

Kiedy Eliza to zobaczyła, wszystko, co znajdowało się w jej żołądku, nagle ruszyło w stronę przełyku. Mdłościom towarzyszył nagły atak apatii. Apatii będącej jednak cisza przed burzą – stanem, w którym wszystkie nagromadzone przez dzień emocje zbijają się w jedną gęstniejącą kulę i czekają na moment, w którym będą mogły wybuchnąć. A moment ten zbliżał się niesamowicie szybko.

Dziewczynka była bowiem w stanie strawić, choć z trudem, zniszczenie wpajanej jej od urodzenia wizji całkowicie wymarłego świata, mogła też, nie bez niemożliwej do zagojenia rany na psychice, zrozumieć, że do tego wszystkiego doprowadzili jej rodacy, że duża część ludzi w schronie jest pośrednio lub bezpośrednio odpowiedzialna za cały ten bałagan. Nawet fakt, że codziennie mijała osoby, które wydały rozkazy skutkujące śmiercią tysięcy, a może nawet milionów, nie był zbyt okrutny. Że na rękach, które wpisywały do komputerów dane pozwalające na zarządzanie całym bunkrem jest ukrywana przed wszystkimi młodymi mieszkańcami krew. Wszystko to byłaby w stanie znieść, ale ten wstrząs okazał się za silny.

Nie zrozumiała zbyt wiele z tego, co mówiła jej prezydent. Słownictwo tej kobiety było zbyt dziwne i zbyt często odwoływało się do realiów zupełnie obcych Elizie, by mogło skutecznie do niej trafić. Udało się jednak wyłuskać z niego esencję,

kilka najważniejszych informacji, tego, co było potrzebne ogólnikowego pojęcia sytuacji. Dawno, dawno temu była jakaś wojna, do której doprowadziła zła kobieta. Kiedy ludzie się zbuntowali, uciekła do bunkra i sprawiła, że świat został zniszczony. Wszyscy jej przeciwnicy mieli umrzeć, ale okazali się zbyt twardzi i teraz to oni rządzą powierzchnią a mieszkańcy schronu nie mają o tym pojęcia. Tyle.

Osią całej opowieści była nienawiść prezydent do tej demonicznej przywódczyni armii. Słowa i ton, w jaki zostały wypowiedziane dawały jednoznacznie do zrozumienia, że ta kobieta jest zła, że jest odpowiedzialna za zagładę środowiska i wielu milionów ludzkich istnień. Dlatego też, kiedy dziewczynka oglądała pokazaną jej kartkę, kiedy wpatrywała się w widniejącą na niej osobę i lewitujące nad nią logo partii politycznej – widocznie był to plakat wyborczy – czuła, że coś w niej umiera. Że powoli ze szczelin roztrzaskanej psychiki ulatnia się śmiertelny gaz. Gaz, który zabije jej dzieciństwo i uśmierci wszystko, w co wierzyła.
Z plakatu bowiem patrzyła na nią jej mama.

ROZDZIAŁ 9
Michał ‘Veron’ Tusz – „Trzynastka, część 5”

Samochód podskakiwał na nierównej drodze, Ariel wsłuchiwał się we własny oddech, który z każdą minutą przyspieszał i stawał się niemal niezauważalnie płytszy. Zamknął oczy i zacisnął zęby, na poły próbując odnaleźć w sobie odrobinę spokoju i powstrzymując narastające mdłości. Niektóre z jadących z nimi dziewcząt nie wytrzymały i zwymiotowały. Czy to ze strachu, czy z powodu nieprzyjemnie bujającego auta? A czy to ważne? Odtąd bardziej istotny był unoszący się w ciasnym samochodzie, duszący i nieprzyjemny zapach.

Opowieść starego Mikołaja była poruszająca, ale niespecjalnie dodawała otuchy. Okazało się, że Mikołaj i Krzysztof znali się z córką niesławnej „Minister Wojny”, jak zwykło się dawno temu nazywać Arlettę Novac, lecz tak naprawdę nigdy nic między nią a tym drugim nie zaszło. Nie wiedzieli też, gdzie była teraz Eliza, co robiła, jak żyła. Była jednym z samotników przemierzających pustkowia postapokaliptycznej Polski, gdy któregoś razu wspomogła małą wioskę na zachodzie w odparciu ataku bandytów. Tak się złożyło, że zarówno Mikołaj jak i Krzysztof stamtąd pochodzili. Dziewczyna o dojmująco smutnych oczach, jak określił ją starzec, wykazała się nie lada odwagą i walecznością. Bandyci zostawili wioskę w spokoju, a Krzysztof i Mikołaj ruszyli z Elizą w Polskę. Kobieta porzuciła ich, gdy zdecydowali się dołączyć do Kiboli. Od tamtego czasu nie spotkali jej ani więcej o niej nie usłyszeli.

(Słuchając opowieści, Ariel zauważył też kilka nieścisłości z faktami historycznymi, o jakich uczyli ich w schronie. Zwalił to jednak na karb dezinformacji – zarówno współczesnej, jak i tej sprzed trzydziestolecia. Potężna to broń, z której wielu czyniło swój najważniejszy oręż.)

Praca dla Kiboli szybko okazała się dla Krzysztofa i Mikołaja rozczarowaniem, gdy na jaw wyszły ambicje ich dowódcy, Kajetana. Był on synem Włodzimierza Webera, legendarnego, przedwojennego dowódcy Kiboli, prowodyra ogólnokrajowych zamieszek tuż przed Dniem Załamania; znanego zwłaszcza z zamachu na papieża Jana XXIV; pierwszej i ostatniej ofiary wznowionej kary śmierci tuż przed wojną. Według Mikołaja i Krzysztofa w Kajetanie było tyle nienawiści, że mógłby nią podwójnie obdarzyć wszystkich ocalałych z wojny Polaków. Oni sami nie brali udziału w „akcjach”, czyli „pacyfikowaniu” pustkowi. Stanowili głębokie zaplecze gangu, który liczył ponad setkę ludzi, byli „chłopcami na posyłki” lub „od zamiatania”. Nie mogli, nie potrafili się wyrwać. Bali się zemsty.

Dłużący się czas wypełniała paplanina Mikołaja, która raczej nie niosła ze sobą nic wartościowego. Od czasu do czasu Krzysztof mruknął pod nosem coś w stylu „ucisz się wreszcie” albo „zamknij się, i tak nikt cię nie słucha”, ale na starca z brodą

to nie działało. Mamrotał, śmiał się, machał rękoma. I gadał. Bez przerwy gadał. Ariel szczerze kibicował Krzysztofowi, by jego wtrącenia wreszcie poskutkowały.

Temat żywego monologu Mikołaja ponownie zszedł na Kajetana Webera, przywódcę Kiboli.

– To bardzo osobliwy człowiek. Zły, to prawda, ale przynajmniej ma jakąś wizję. Za to należy mu się podziw. No, może nie podziw, ale szacunek. No… może nie szacunek, ale chociaż respekt…

– Respekt… – prychnął Krzysztof. – Jaką podstawę widzisz dla tego respektu? Broń przyłożoną do skroni?

Mikołaj nie odpowiedział od razu.

– Nie. Siłę przetrwania.

– Co? – Krzysztof spojrzał na niego z głębokim zdumieniem wymalowanym na twarzy.

– No, tak – odparł Mikołaj swoim beztroskim tonem. – Po wojnie przetrwanie stało się sensem życia. Nie ma już innego celu. Kajetan to z jednej strony zły człowiek, ale z drugiej – jednostka wybitna. Potrafił zastąpić wolę przetrwania innym celem. Wskażcie mi drugą osobę, która dokonała czegoś podobnego…

Arielowi stanął przed oczyma pokoik Ryszarda Milowicza i wpatrzone w niego bystre, lecz cierpiące oczy dawnego premiera Polski.

– …ja nie znam takiej – kontynuował Mikołaj. – Siła przetrwania jest zdumiewająco ogromna. On ją przezwyciężył. Z tego tylko powodu jego działanie – straszne, to prawda, ale w jakiś sposób niepozbawione wielkości – wzbudza we mnie coś na kształt szacunku. Takie jest moje zdanie.

Krzysztof spoglądał na niego z niesmakiem, kręcąc głową.

– Wiesz, co ja myślę? Że tobie faktycznie odbiło… Kajetan to wirus, rozumiesz? Wirus – powtórzył dobitnie. – Wiesz jak działa wirus? Wkracza na cudze terytorium, zabija wszystko, co żywe, i sam umiera. I wierzę, że taki właśnie czeka go koniec. Bo władza zabija – zwłaszcza tych, którym jej brak. A w obozie już zaczyna buzować…

– Skończy się tak jak za poprzednim razem – wszedł mu w słowo Mikołaj. – Kajetan nie jest głupi. Dobrze wie, co się dzieje. A jeśli nie wie, to wkrótce się dowie.

– Najciemniej pod latarnią – odparł Krzysztof.

– Nie pod tą.

– Zapamiętaj sobie – spadanie przypomina latanie. Ale do czasu. A on dźgnie się w kark swoim własnym żądłem jak skorpion, któremu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Fiu, fiu, ależ metafora – zagwizdał Mikołaj. – A coś ty taki pewien, że Kajetan straci władzę, hm? Wiesz coś, czego ja nie jestem świadom?

Krzysztof skinął nieznacznie głową, ni to zaprzeczając, ni potwierdzając.

– Czuję to.

– Więc podziel się swoimi przeczuciami, co? Zapoznaj nas z wizjami swego szóstego zmysłu.

– Cierpliwości. Sam się przekonasz, że mam rację. Kiedyś się przekonasz.

Nagle samochód gwałtownie zahamował. Siedzący wewnątrz poruszyli się niespokojnie. Usłyszeli głosy na zewnątrz. Tylne drzwi otwarły się z hukiem, światło oślepiło przymusowych pasażerów.

– Panienki wysiadać – zakomunikował znajomy Kibol w chustce. – No już! – powtórzył, unosząc broń, gdy żaden z więźniów nie poruszył się choćby o milimetr.

Dziewczęta zaczęły powoli dźwigać się na nogi i po kolei opuszczały pakę. Każdą lider bandytów odprowadzał wzrokiem z lubieżnym uśmiechem na mordzie, a na zewnątrz witały je gwizdy i wulgarne słowa.

– A dla panienki Katarzyny specjalne zaproszenie? – powiedział, gdy zauważył, że Oliwia nie ruszyła się z miejsca. Dziewczyna rozpaczliwie wszczepiła się w ramię Daniela, który wyprostował się i łypał groźnie na Kibola. Sama zaś ze łzami w oczach spoglądała na Ariela, kręcąc nieznacznie głową.

– Czy to konieczne?... – zaczął, ale bandyta przerwał, kierując na niego lufę broni:

– Ktoś cię pytał o zdanie?

Ariel zamilkł. Był bezradny.

– Zapraszam – wycedził, przenosząc wzrok na

Oliwię. Dziewczyna wstała, to samo zrobił Daniel.

– Siadaj, gruby – rozkazał Kibol w chustce.

Daniel ani myślał posłuchać. Bandyta nagle wycelował w jego nogi i strzelił. Ariel cofnął się odruchowo. Oliwia krzyknęła. Daniel osunął się na podłogę.

– A ty wyłaź! – warknął Kibol, brutalnie wyciągając Oliwię na zewnątrz. Dziewczyna potknęła się, ale szybko pozbierała i podbiegła do pozostałych przerażonych dziewcząt.

– Dosyć tych ciuciubabek! – krzyknął Kibol w chustce. – Kajetan czeka na dziewczyny i ja przy okazji też. Zabierać je! A my jedziemy. Po drodze zajrzymy jeszcze do Kluczborka...

Bandyci zatrzasnęli drzwi do auta. Dopiero wówczas Ariel pochylił się nad Danielem. Kapłan i Dziadek również przy nim kucnęli. Obejrzeli ranę. Daniel dostał dokładnie w kość piszczelową. Całe szczęście nie krwawił mocno, ale z pewnością ból był nie do zniesienia. Choć i tak po tym potężnym chłopisku niewiele widać było cierpienia. Gdy pomagali mu usiąść prosto i zakładali prowizoryczny opatrunek, zaledwie drobny grymas wykrzywił mu twarz. Z pewnością napędzana wściekłością adrenalina jeszcze zbyt silnie buzowała mu w żyłach.

Ariel czuł się podobnie. Niemoc, z jaką przypatrywał się porywaniu jego przyjaciółki była jednym z najgorszych doświadczeń, jakie dotąd przeżył. Czuł, że byłby zdolny zabić Kibola w chustce. Nie przestraszył się tej myśli. Był gotów na wszystko.

Samochód ponownie ruszył. Tym razem Mikołaj miał na tyle taktu, że siedział w milczeniu. Pozostali ze Schronu Numer Dziewięć byli przygnębieni.

Jazda trwała, a pasażerowie furgonetki Kiboli popadli w dziwną apatię. Ogarnęło ich męczące znużenie. Monotonia wżynała im się w głowy. Ariel wsłuchiwał

się w własne myśli, lecz nie mówiły nic konkretnego. Pojedyncze obrazki pojawiały mu się przed oczyma. Wydarzenia ostatnich tygodni.

Nie był na to przygotowany. Szybka śmierć połowy ekspedycji wstrząsnęła nim. Jeszcze bardziej utrata przyjaciół – Rudego, Davida. Spotkanie z Andrzejem Niewolskim i Ryszardem Milowiczem. I Oliwka. Poczuł wszechogarniające zmęczenie. Odpływał. Chciał, żeby to wszystko już się skończyło. Chciał wrócić do domu. Ale gdzie ten dom? Nieważne. Chciał spać, tylko tego tak naprawdę pragnął...

Samochód znowu gwałtownie się zatrzymał. Znowu kogoś zabierają? Usłyszeli strzały. Kilka kul przebiło ścianę auta tuż pod sufitem. Bez słowa, odruchowo padli na ziemię. Na zewnątrz rozległa się wymiana ognia. Serie z broni maszynowej padały gęsto. Pociski dziurawiły samochód, przelatując centymetry nad ich głowami. Jak to się stało, że żaden w czyjejś nie utkwił? Nagle wszystko ucichło. Leżeli w bezruchu, w groteskowych pozach, bojąc się unieść choćby na cal.

Usłyszeli kroki krążące wokół samochodu. Nieznajome głosy. Drzwi zostały energicznie otwarte.

Mikołaja, Krzysztofa i czwórkę ze Schronu Numer Dziewięć mierzyło wzrokiem i bronią automatyczną kilkoro ubranych na czarno ludzi. Ich wygląd wzbudzał respekt. Potężnie zbudowani, odziani w przylegające do ciała, elastyczne kombinezony sprawiali wrażenie ludzi, którzy wiedzą, do czego zostali powołani. Profesjonaliści.

– Rozbroić się w tej chwili – odezwał się mężczyzna stojący pośrodku grupy.

Odpowiedziała mu cisza. Przeładował broń. Ariel poczuł przypływ adrenaliny.

– Nie mamy broni, jesteśmy...

– Którzy z was to Kibole? – przerwał mu mężczyzna – Słyszeliście, co przed chwilą działo się na zewnątrz, więc bez kłamstw. I tak to z was wyciągniemy.

Ariel zawahał się. Mikołaj i Krzysztof w końcu pracowali dla gangu, ale wydawali się niegroźni. Postanowił, że jeśli sami się nie odezwą, on też będzie milczał.

– Ostatnia szansa. Którzy z was to Kibole? – Mówiąc to sięgnął za siebie, po chwili w dłoni błysnął mu granat.

– Nie jesteśmy Kibolami – odrzekł Ariel. – Jesteśmy ich więźniami. Zakładnikami.

– Skąd was wiozą?

– Z Częstochowy. Znaczy się... spod Częstochowy – poprawił się szybko.

– I tam zostaliście porwani?

– Tak.

– Gdzie dokładnie?

– W Kościelcu...? Chyba tak nazywa się ta wieś. A raczej osada...

– Co tam robiliście?

– Byliśmy gośćmi dawnego zakonnika, brata Sergiusza. On chyba... współpracuje z Kibolami...

– To znaczy?

– Podsłuchaliśmy jak… w jakiś sposób skontaktował się z nimi. To się stało wczoraj w nocy, a rano już tam byli. Zabili naszego przyjaciela… a nas porwali. Była jeszcze z nami Oliwia… i kilka innych dziewczyn. Jakąś godzinę temu zatrzymali się i zabrali je… mówili, że… są dla Kajetana.

Grupa uzbrojonych ludzi spojrzała po sobie, wymienili cicho uwagi. Ariel nie dosłyszał, co mówili.

– Dobra. Wyłazić z samochodu. Pojedynczo i powoli.

Po chwili, widząc, że nie ma chętnych, Ariel uniósł się na łokciach. Przyciśnięta ciężarem ciała noga zdążyła mu już zdrętwieć, więc wydostawał się dość ślamazarnie, ale w końcu stanął przed ludźmi w czerni.

– Błażej – rzekł krótko zdaje się lider grupy, z którym Ariel przeprowadził rozmowę.

Błażej opuścił broń i szybko obszukał Ariela.

– Okej.

– Na bok. Następny.

Wychodzili z samochodu po kolei, a każdego z nich dokładnie przeszukano. Nie znaleziono broni. Podczas gdy pozostali zakładnicy gramolili się na zewnątrz, Ariel rozglądał się wokoło. Znajdowali się pośrodku rzadkiego lasu. Jezdnia była niemal kompletnie zniszczona, wszędzie pełno piasku. Ariel zauważył ciało jednego z Kiboli bezwładnie zwisające na uchylonych drzwiach szoferki samochodu od strony pasażera. Po dłoni skapywała mu krew. Nieco dalej Ariel dostrzegł przewrócony motocykl, a przy nim nogę innego bandyty. Przez chwilę zdawało mu się, że lekko się poruszyła. Nie zdążył jednak przyjrzeć się dłużej, gdyż grupa uzbrojonych ludzi w czarnych kombinezonach zakończyła przeszukiwanie porwanych pasażerów z ciężarówki Kiboli. Spore wrażenie zrobiła na nich postura Daniela.

– Dobra, nie stanowicie zagrożenia, więc puszczamy was wolno. Nimi też już nie musicie się martwić. – Lider grupy skinął głową w kierunku podziurawionej furgonetki.

– Dziękujemy – odrzekł Ariel.

– Zbieramy się – zakomenderował dowódca, podlegli mu ludzie skierowali się w stronę, z której prawdopodobnie nadjeżdżało auto Kiboli.

– Przepraszam… czy można wiedzieć dokąd jedziecie?

– Na Wieluń. Czas Kiboli właśnie dobiega końca – rzucił dowódca, ruszywszy za resztą swoich żołnierzy.

– Możemy się z wami zabrać?

Lider zatrzymał się.

– Przykro mi. Nie jesteśmy karawaną.

– Bardzo pana proszę. Kibole porwali naszą przyjaciółkę, Oliwię. Musimy ją odnaleźć i uwolnić.

Dowódca pokręcił lekko głową.

– Niestety. Poza tym teraz nie będzie tam zbyt przyjemnie. Zwłaszcza, że załatwiliśmy Borysa. Powodzenia.

Ariel opuścił ręce w geście bezradności. Głośno wypuścił powietrze i spojrzał na Kapłana.

– I co teraz?...

Jego wzrok powędrował do powalonego nieopodal motocykla. Ale... gdzie się podziały nogi jego właściciela?

Opadła go fala gorąca. Wybiegł za samochód z jego lewej strony.

– Co ty...? – zaczął Dziadek, ale Ariel go nie słuchał.

Dostrzegł Kibola w chustce, który czołgał się po piaszczystej drodze. W dłoni trzymał karabin.

– Hej!

Lider grupy odwrócił się zdziwiony. Ariel dobiegł go i zwalił z nóg w chwili, dokładnie w chwili, gdy Kibol strzelił. Spudłował. Pozostali wojacy w czerni natychmiast odpowiedzieli ogniem. Kibol po chwili przestał się ruszać. Całkowicie.

Ariel wstał i pomógł podnieść się dowódcy. Wokół nich zgromadzili się pozostali, a także reszta byłych zakładników.

– Błażej, Julka, sprawdźcie, czy nie ma jeszcze jakichś niespodzianek. Wywołani z uniesioną bronią zbliżyli się do wraku auta i dokładnie sprawdzili, przede wszystkim Kibola w chustce. Minutę później Błażej uniósł kciuk w górę. Dowódca odetchnął.

– Teraz już chyba nie mamy innego wyjścia, jak zabrać was ze sobą – rzekł po chwili, wpatrując się w Ariela.

Ten wzruszył ramionami.

– Dzięki – wyciągnął dłoń.

Ariel uścisnął ją.

– Jestem Robert.

– Ariel. To jest Daniel, Dziadek i Kapłan. Aha i... Mikołaj i Krzysztof – wskazał po kolei na wszystkich wymienionych.

– My jesteśmy Reformatorzy – odrzekł Robert. – Walczymy o faktyczne zmiany na powojennych ziemiach. Nie o takie, jakie proponują Kibole. A już zwłaszcza Kajetan Weber.

– Co zamierzacie? – zapytał Kapłan.

– Obalić go.

Krzysztof prychnął. Zwróciło to uwagę Roberta.

– Ciekawe – mruknął Krzysztof z wyraźną pogardą w głosie.

– Słucham?

– Chcecie ot tak po prostu wkroczyć sobie do Twierdzy pod Wieluniem i obalić Kajetana Webera? Po prostu ciekawi mnie, jak tego dokonacie. Tylko tyle.

Robert zmrużył oczy.

– Jesteśmy przygotowani. Więcej nie musisz wiedzieć.

– Wątpię...

– Co?

– Powiedziałem: wątpię. Nie dacie rady, baza Kiboli jest zbyt silnie strzeżona.

– A skąd ty niby wiesz, jakimi dysponują zabezpieczeniami, hm?

– A wiem, bo spędziłem tam prawie półtora roku. I sporo udało mi się zobaczyć.

Robert znieruchomiał. Ariel wyczuł, że Krzysztof powiedział o słowo za dużo.

– Spokojnie, panowie, bez nerwów. – Wkroczył między mierzących się wzrokiem mężczyzn. – Chyba czas, żebyśmy wyjaśnili sobie do końca, kim jesteśmy. My – zatoczył ręką łuk wokół mieszkańców Dziewiątki – pochodzimy ze schronu. Zostaliśmy wysłani na misję ratunkową. Poznaliśmy Mikołaja i Krzysztofa dopiero dzisiaj. Oni pracowali dla Kiboli…

– Tak, tak! Przyznaję się. Proszę mnie nie zabijać. – Mikołaj padł na kolana. Robert spojrzał na niego ze zdumieniem. Ariel kontynuował:

– Rozmawialiśmy z nimi. Chcieli się od nich wyrwać…

– Tak! Tak… – Mikołaj rozpłakał się.

– …i udało się dzięki wam. Nie ma powodu do nerwów ani drwin – zerknął i na Roberta, i na Krzysztofa. – Może zamiast tego wy wykorzystacie jakoś ich wiedzę o Kibolach.

Robert analizował słowa Ariela, stojąc w bezruchu i gładząc broń wskazującym palcem. Krzysztof za to wyraźnie się zmieszał. Wykonał jakiś niekontrolowany ruch ręką, po czym wyciągnął dłoń w kierunku lidera grupy Reformatorów.

– Przepraszam, nie chciałem być nieuprzejmy. I dziękuję za uwolnienie.

Robert skinął głową i wymienił z nim uścisk dłoni.

– Możesz mieć rację – zwrócił się do Ariela. – Zbierajmy się. Szkoda czasu.

– O, matulu, jak ja kocham szczęśliwe zakończenia! – krzyknął uradowany Mikołaj i serdecznie wyściskał Krzysztofa.

Reformatorzy, oprócz kilku własnych motocykli, dysponowali podobną ciężarówką, co Kibole. By jednak zrobić miejsce dla nowych podróżników – zwłaszcza Daniela – przywłaszczyli sobie motor Kibola w chustce, któremu na imię było Borys. Bus Kiboli został niemal kompletnie zniszczony podczas wymiany ognia, więc nawet nie rozważali jego wykorzystania.

W trakcie jazdy nie mieli okazji na dłuższą rozmowę. Samochód Reformatorów pracował bardzo głośno, do tego musieli przebijać się przez spore wertepy. Jedna z dwóch pań w drużynie Reformatorów, Julka, opatrzyła Danielowi nogę, zakładając mu świeży opatrunek. Ariel, Kapłan i Dziadek zamienili słowo z Robertem.

Okazało się, że zabity Borys był jednym z najbliższych współpracowników przywódcy Kiboli, Kajetana. Robert zdradził im, że Reformatorzy mają bardzo konkretny plan, co do ataku na siedzibę Kiboli, jednak nie chciał na razie zdradzać szczegółów. Rozbicie grupy Kiboli i śmierć Borysa nie była przypadkowa. Przygotowywana od dawna akcja dywersyjna powiodła się, choć nie w pełni. Gdyby Reformatorzy zaatakowali godzinę wcześniej, może udałoby się uratować Oliwię i resztę dziewcząt. Trudno jednak byłoby mieć o to do nich pretensje. Musieli wyczekać najbardziej odpowiedniej chwili.

Teraz zmierzali do ich kryjówki w lasach pod Działoszynem, około trzydziestu kilometrów od Wielunia. Według słów Roberta Kibole nie mieli o niej pojęcia. Ariel

powiedział Robertowi, że Borys wspominał o wizycie w Kluczborku. Robert uśmiechnął się.

– Gdyby dzisiaj nam się nie powiodło, nasi ludzie dorwaliby go tam. Mają tam zapasowy magazyn broni i żywności. Tydzień temu udało nam się odnaleźć go i dostać się do środka. Oczywiście zostawiliśmy czujki i kilku ludzi. W pojedynku z taką grupą nie mieliby szans na przeżycie. Ale wyeliminowanie Borysa było kluczowe, dlatego musieliśmy to zrobić jak najprędzej. Śledziliśmy ich. Co jakiś czas organizują – nazwijmy to – obchód po terenach, którymi, w swoim mniemaniu, „władają". Kilka grup, podobnych do tej Borysa, w jednym czasie rozjeżdża się po pustkowiach i przez kilka dni baza w Wieluniu jest mocno osłabiona. Mieliśmy trochę szczęścia, że wsiedliśmy na grupę Borysa. I już, po kłopocie. Teraz jest mniej więcej powoła tego czasu, który zwykle Kibole spędzają w drodze. To jest nasza wielka szansa.

Ariel zauważył, że Krzysztof kiwa głową z uznaniem. Wszystko musiało się zgadzać.

– Jak duże są wasze siły? – zapytał Kapłan.

– Ponad pięćdziesiąt ludzi. Ale ci najważniejsi nie są z nami, tylko… – wykonał gest ręką ze znaczącym uśmiechem na twarzy.

– Wśród Kiboli?

Robert skinął głową i wyszczerzył zęby.

– Roberto, nie za dużo im mówisz? – zapytał Reformator Błażej.

– Mają prawo wiedzieć. Zwłaszcza Ariel. Uratował mi życie. – Spojrzał na niego z wdzięcznością.

– Okej, wiesz, co robisz – odparł Błażej.

– Wy, zdaje się, nie byliście regularnymi żołnierzami – spytał Robert Krzysztofa.

Ten pokręcił przecząco głową.

– Od zamiatania – odparł krótko.

– Znacie jakieś wejścia na ich teren?

– Może coś się znajdzie.

– Omówimy wszystko w Działoszynie.

Do końca drogi więcej nie rozmawiali, hałas był coraz większy. Ariel myślał o Oliwii. Ukradkiem spoglądał na Daniela, który przez cały czas wpatrywał się pustym wzrokiem w punkt przed sobą. Zrobiło mu się żal wielkoluda, w którym biło szalenie wrażliwe serce. Poprzysiągł sobie za wszelką cenę odzyskać dziewczynę. Oby tylko nic jej się nie stało do czasu ataku Reformatorów na bazę Kiboli.

Słońce już zachodziło za horyzont, gdy dotarli na miejsce. W półmroku gasnącego dnia Ariel zauważył, że znaleźli się w dość gęstym lesie. Kryjówka Reformatorów musiała być dobrze ukryta, bo nie dojrzał niczego podejrzanie wyglądającego. Podczas gdy pozostali z grupy Roberta kamuflowali pojazdy pośród gęstwiny, on poprowadził ich kawałek ścieżką i wskazał ukryte wejście do podziemnego bunkra.

Znaleźli się w zaciemnionym, niskim tunelu. Przez chwilę musieli iść po omacku, jednak po chwili słabe żarówki nieco rozświetliły – jak się okazało – ceglany

korytarz. Po krótkim marszu Robert zastukał określoną ilość razy w masywne, metalowe drzwi, które po chwili otworzył mężczyzna z ciasno upiętymi w kucyk, przetłuszczonymi włosami i groźnym spojrzeniem.

– Się masz, Paweł. Jesteśmy.

Paweł zmierzył wzrokiem nieznajomych.

– Przyjaciele. Zwołaj naradę. – Robert klepnął go w ramię i przeszedł przez próg. Ariel i reszta podążyli za nim.

Zgromadzeni w bunkrze Reformatorzy z zainteresowaniem przyglądali się przybyszom. Ariel nie dostrzegał w ich spojrzeniach wrogości, raczej zdziwienie i zaciekawienie. Mimowolnie przypomniał sobie pierwszy spacer alejką w Kościelcu.

Robert zaprowadził ich do obszernego pomieszczenia z ustawionymi w prostokąt stołami i szeregiem swobodnie stojących krzesełek. Nakazał się rozgościć, po czym zajął miejsce pośrodku blatu vis a vis drzwi wejściowych i zaczął przeglądać jakieś papiery. Za nim widniały poprzypinane do korkowej tablicy mapy, schematy, notatki. Mieszkańcy Dziewiątki, Krzysztof i Mikołaj zajęli miejsca. Po kilku minutach w sali narad zaczęli zbierać się ludzie. Zwyczajowy w takich sytuacjach gwar stopniowo narastał.

Robert podniósł wzrok i – najwyraźniej stwierdziwszy, iż w pomieszczeniu znajdują się osoby, których potrzebował – zaczął:

– Dobra wiadomość – dorwaliśmy Borysa.

Reformatorzy ożywili się.

– Rozbiliśmy jego konwój i razem z nim zlikwidowaliśmy jeszcze dwóch Kiboli. Od naszych nowych przyjaciół dowiedzieliśmy się, że zmierzał do Kluczborka. To znaczy, że i tak byśmy go dostali. Więc jesteśmy na plus. Kajetan stracił ważnego człowieka. Nie będziemy dłużej czekać i zaatakujemy ich jutro.

Wybuchł gwar. Reformatorzy byli podekscytowani.

– Czy są jakieś wieści od naszych?

– Ostatni raport od Łysego i Idy mówił, że żadna z grup jeszcze nie wróciła – odpowiedziała niska dziewczyna z wygolonymi bokami głowy.

– Z kiedy?

– Wczoraj w południe.

– Więc jest szansa. A Kibole wewnątrz?

– Po naszej stronie powinno stanąć już trzydziestu – rzekł Reformator Paweł, którego spotkali przy wejściu. – Damian robi dobrą robotę.

– Okej, niech zostaną liderzy drużyn. Skontaktujcie się z ludźmi w Kluczborku. Reszta – pełna mobilizacja. Wyruszamy o świcie.

Większa część Reformatorów opuściła pomieszczenie, zostało ich sześcioro plus Robert oraz grupa Ariela.

– Więc tak – to jest Ariel i jego przyjaciele, a od dzisiaj także nasi – powiedział Robert. – Ariel uratował mi życie, a do tego poszukuje swojej przyjaciółki, którą porwali Kibole. Nie widzę przeszkód, żeby on i pozostali uczestniczyli w naradzie. Jesteście po naszej stronie, nie? – uśmiechnął się.

Ariel odpowiedział tym samym.

– Poza tym… – wskazał na Krzysztofa – ee… wyleciało mi z głowy…

– Krzysztof – odparł wywołany.

– Krzysztof i jego kolega z brodą…

– Mikołaj, miło mi – wszedł mu w słowo stary.

– Tak… Pracowali dla Kiboli. Drugoligowcy, ale przez jakiś czas mieszkali pod Wieluniem. Zgadza się?

Krzysztof przytaknął skinieniem głowy.

– Podejdźcie. – Robert rozłożył na stole odręcznie naszkicowany plan. – To jest orientacyjna baza Kiboli pod Wieluniem. Krzysztof, czy możesz potwierdzić, że mniej więcej tak to wygląda w rzeczywistości?

Krzysztof uważnie przypatrzył się mapie.

– Tak, świetny plan.

– Ciężka robota naszych ludzi w szeregach Kiboli. Narysowaliśmy to tylko na podstawie ustnych relacji. A w zasadzie narysowała Emilka. – Robert strzelił uśmiech do dziewczyny o krótko przystrzyżonych, jasnych włosach.

– W jaki sposób umieściliście tam swoich ludzi? – zapytał Ariel z uznaniem przypatrując się mapie.

– To trwało mnóstwo czasu, za długo by opowiadać. W skrócie – upozorowaliśmy wszystko, gdy odkryliśmy, że Kibole regularnie przeczesują pustkowia. Udało nam się wprowadzić w ich szeregi Łysego i Idę. Z czasem stali się żołnierzami, byli aktywni, zdobyli ich zaufanie. No i, na nasze szczęście, poznali tam Damiana.

Robert usiadł.

– Dzięki niemu udało nam się odkryć, jak Kajetan kontroluje swoich ludzi. – Nabrał powietrza. – Damian zachorował. Ludzka rzecz. Jednak na tyle poważnie, że przez jakiś czas pił tylko wodę. Wtedy zauważył, że słowa Kajetana… nie oddziałują na niego… Trudno mi to opisać. Kajetan… dziwnie to zabrzmi… nie kontrolował jego umysłu. Damian przez swoją chorobę nie mógł normalnie jeść i pić tego, co reszta Kiboli. Gdy trochę poszperał, okazało się, że Kajetan i jego najbliżsi ludzie dodają czegoś do jedzenia. I dzięki temu są w stanie dosłownie zapanować nad wszystkimi Kibolami.

Robert westchnął.

– Wiem, że to brzmi jak… jakaś bajka, albo coś, ale… wychodzi na to, że tak to wszystko u nich działa. Damian przez to, że nie jadł ich żarcia… „wyleczył się” z tego. W tym czasie szczęśliwie poznał się z Idą i podzielił z nim swoim sekretem. A później dowiedzieliśmy się my.

Ariel słuchał tego z otwartymi ustami.

– Wszystko się zgadza – wychrypiał.

Reformatorzy spojrzeli na niego.

– Pamiętacie, jak słowa tego braciszka działały na Davida? Ja nic tam nie zjadłem, Oliwia tak samo.

– Ja też nie – dodał Kapłan.

– Ale David pił to cholerstwo w pokoju. I zjadł całą tę śmierdzącą kolację. A ci ludzie…

– Jak zaczarowani – dodał Dziadek. – To prawda, dziwnie się po tym czułem. I jeszcze ta msza…

– A jak nas zabierali, ten Kibol… Borys… rozkazał, żeby zanieśli… specyfik bratu Sergiuszowi…

– O czym wy mówicie? – zapytał Robert.

Ariel z pomocą przyjaciół opowiedział o całej ich wizycie w Kościelcu. Reformatorzy słuchali uważnie. Robert był poruszony.

– Wychodzi na to, że to jest coś w rodzaju… ich filii, czy jak to, cholera, określić. Raz na jakiś czas przyjeżdżają sobie po Bogu ducha winne dzieciaki. I ten cały brat. Kontroluje tych biednych ludzi w ten sam sposób… Obrzydliwe.

Ariel nagle sobie o czymś przypomniał.

– Oni chyba mają ze sobą jakąś łączność. Podsłuchaliśmy – wskazał głową Kapłana – jak braciszek komunikował się w swoim gabinecie, prawdopodobnie z Borysem, bo już na drugi dzień z rana byli w Kościelcu.

– Wiemy o tym – odparł Robert. – Łysy pracował przy ich samochodach. Na szczęście tylko w jednym zainstalowali radio – tym, którym jeździł Borys. Pewnie nie posiadają więcej. A że został zniszczony – cóż… jeden problem mniej. Ale ja mam pytanie do ciebie – zwrócił się do Krzysztofa – znasz jakieś wejścia do Twierdzy oprócz tych, które znaleźli Łysy i Ida?

Krzysztof zerknął na mapę. Po chwili pokręcił głową.

– Nie przypominam sobie. Twoi ludzie wykonali naprawdę dobry rekonesans.

Z twarzy Roberta dało się wyczytać zawód.

– Ależ, ależ! – krzyknął nagle Mikołaj. – Krzysiu, jak mogłeś zapomnieć, no! A to łatane przejście od Pysznej? Byś się wstydził!…

Twarz Krzysztofa rozjaśniła się.

– Ano tak… Wzdłuż rzeki ciągnie się las – wskazał na mapie – jest bardzo gęsty i pełen dzikiej jeżyny, ale do przejścia. Nie ustawiają tam straży, bo uznali, że skoro zwierzęta się tam nie zapuszczają, to i człowiek nie da rady.

– My daliśmy! – dodał z dumą Mikołaj.

– Rozrysujesz to nam? – zapytał Robert.

Krzysztof przytaknął.

– Emilka, zajmij się tym, dobrze? Idziemy coś zjeść i przygotować się do wymarszu. Nie mamy wiele czasu.

Po pół godzinie mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć spożywali razem z Robertem i kilkoma innymi Reformatorami smaczny posiłek w równie obszernej, co sala narad, schludnej i czystej jadalni. Wkrótce dołączyli do nich Krzysztof i Mikołaj, a w międzyczasie urodziwa Reformatorka opatrzyła nogę Daniela.

– Skąd wy się w ogóle wzięliście? – rzekł Dziadek w trakcie kolacji.

– Mogę was zapytać o to samo – odparł Robert z uśmiechem.

– My ze schronu, Ariel już mówił.

– No, ja mogę powiedzieć tak samo.

Siedzący przy stole roześmieli się.

– Poważnie? Jesteście ze schronu? – zapytał Ariel.

Robert przytaknął bez słowa, pałaszując posiłek.

– Z którego?

– Z Czwórki, z Kielc – odrzekła Julka, którą poznali jako jedną z pierwszych. – A wy?

– Z Dziewiątki.

– To znaczy... w górach? Ariel

skinął twierdząco głową.

– W jaki sposób dotarliście aż tutaj? – zapytała Anka, ta z wygolonymi bokami głowy.

Ariel uśmiechnął się blado.

– Na nogach.

– Od kiedy wędrujecie? – rzekł Robert.

– Wyruszyliśmy na początku marca – odparł Dziadek. – Było nas trzynaścioro.

– I zostało tylko czterech? – powiedziała z niedowierzaniem i smutkiem Emilka, która wraz z Krzysztofem i Mikołajem przed chwilą dołączyła do jedzących.

– Pięcioro – poprawił ją Ariel. – Jest jeszcze Oliwia.

Chwila milczenia. Nieruchomy dotąd Daniel poruszył się nieznacznie.

– A czego szukacie? Chyba musicie czegoś szukać, skoro wasz schron funkcjonuje do tej pory? – rzekł Błażej, przyjaciel Roberta.

– Funkcjonuje, ale jest już na wyczerpaniu – odparł Ariel. – Szukamy Schronu Numer Trzynaście. Rada naszego Schronu wysłała nas na ekspedycję ratunkową. Naszym zadaniem jest dostarczenie technologii naprawczej.

– Pierwsza grupa nie powróciła w ogóle, mamy nadzieję, że nam się uda – dodał Dziadek.

– Trzynaście? – zastanowił się Robert. – Myślałem, że było ich tylko dwanaście?

Błażej wzruszył ramionami.

– Pewnie o wszystkim nie wiedzieliśmy. Tak jak i nasi rodzice. Przecież dla rządu wszyscy byli tam zbędni.

– Mówiliście, że pochodzicie ze Schronu Numer Cztery, tak? – zapytał milczący dotąd Kapłan. – Mieliście problemy z Chińczykami?

– Gdyby nie oni, możliwe, że do tej pory siedzielibyśmy pod ziemią – odparł Robert. – Mieliśmy kupę szczęścia, że nas nie zaszlachtowali. Któregoś dnia po prostu weszli na teren schronu i oznajmili, że albo się stąd natychmiast wynosimy, albo zabiją każdego obywatela. Nie było wyjścia, zabraliśmy dupy w troki i jazda. Całe szczęście, że promieniowanie wokół Kielc było na normalnym poziomie.

– Rzecz jasna byli i tacy, którzy chcieli walczyć – dodała Julka. – Zgadnijcie kto...

– Kibole?!

– No, tak można to w skrócie ująć – odparł Robert. – Kajetan Weber mieszkał w schronie i udało mu się zarazić swoimi zwyrodniałymi poglądami kilka osób...

– Zastanawiające jest, jak w ogóle tam się znalazł, mając na uwadze przeszłość jego tatusia – rzuciła Emilka.

– Może właśnie ze względu na nią. A może Weber dokładnie poinstruował swoją rodzinę. Mniejsza z tym. W każdym razie, tak, on chciał stanąć do bitki z Chińczykami. Na szczęście rozsądniejszych od niego było więcej.

– A co się stało z Chińczykami? – zapytał Kapłan. – Gdy dotarliśmy w okolice Czwórki ich przednia straż skutecznie nas przepędziła.

– Co masz na myśli?

Mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć opowiedzieli o wizycie na Kielecczyźnie.

– Spryciarze – rzekł Robert z krzywym uśmiechem. – Paweł opowiadał to samo.

– Sądzicie, że wciąż siedzą pod ziemią? – zapytał Kapłan.

– Ciężko powiedzieć. – Robert zmarszczył czoło. – Kibole rozpowszechniają wszem i wobec, że ich przepędzili. Jakiś czas temu kilku z nas weszło dość daleko w głąb starej ziemi świętokrzyskiej. Paweł mógłby powiedzieć wam więcej. Wokół Ostrowca zbudowali mur. A w zasadzie coś na zasadzie wałów z gruzu. Biorąc pod uwagę to, że nasi ludzie natrafili na mnóstwo zrównanych z ziemią wiosek i miasteczek, nietrudno się domyślić skąd go wzięli. A do samej Wisły poustawiali zasieki, ostrokoły. Nie odważyliśmy się ich przekroczyć. Ale z drugiej strony – nigdzie na nich nie natrafiliśmy. Być może siedzą w schronie. Może sami się stamtąd wynieśli. A może i faktycznie Kibole mają w ich zniknięciu jakiś udział. Hej, może wy wiecie coś więcej? – zwrócił się nagle do Krzysztofa i Mikołaja.

Krzysztof pokręcił głową.

– No cóż, jeśli ich przepędzili...

– Jeśli tak, byłaby to chyba jedyna pozytywna rzecz, jaką zrobili – zakończyła z niesmakiem wygolona Anka.

– Tak... – westchnął Robert. – W głowie mi się nie mieści, że można być tak do szpiku złym.

– Czy to prawda, że... – Dziadek rzucił szybkie spojrzenie Krzysztofowi – ...on chce stworzyć... swój ród?

Robert skrzywił się.

– Kajetan? Wszystko możliwe. To tyran, do tego chory na umyśle. Mając ten specyfik kontrolujący ludzi jest w stanie zrobić praktycznie wszystko. Sami wiecie, że podporządkował sobie całą osadę. Napaści na ocalałych po wojnie ludzi to dla niego norma. Uważa się za pana pustkowi. „Dzieci Wojny", cholera jasna... To nie jest normalne i trzeba to zakończyć.

Robert zerknął na wysłużony, nakręcany zegarek na nadgarstku.

– Już późno. Odpocznijcie trochę, my musimy jeszcze raz omówić plan działania. Emilko, znasz już szczegóły?

Dziewczyna wyprostowała się i skinęła energicznie głową.

– Do roboty.

Mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć i dawni Kibole zostali w jadalni sami. Długą chwilę milczenia przerwał Kapłan.

– Myślicie, że im się uda?

Ariel westchnął.
– Musi. Bo jeśli nie, to i my nie damy rady.
Daniel opuścił głowę na piersi.
– Oliwka… – szepnął.
Po policzkach ściekały mu łzy.

Wyruszyli o świcie. Na niebie błyszczały jeszcze ostatnie gwiazdy, przepędzane powoli przez bledniejący wschód firmamentu. W drogę ruszyli niemal wszyscy Reformatorzy. W swojej kryjówce w działoszyńskich lasach pozostawili niezbędnych wartowników, dołączyć mieli do nich wojacy wracający z Kluczborka.

Grupa Roberta posiadała cztery sporych rozmiarów pojazdy, w których zmieścili się w większości jego żołnierze. Każdy samochód przewoził jedną drużynę szturmową, którym dowodzili Robert, Błażej, Paweł, strażnik z kucykiem, oraz wygolona Anka. Do pokonania mieli nieco ponad dziesięć kilometrów, więc podróż nie trwała długo, choć gdy w oddali zamajaczył kontur masywnego muru, okalającego obóz Kiboli, blade słońce nieśmiało przebijało się zza horyzontu. Pojazdy pozostawili w gotowości do natychmiastowego odjazdu, kamuflując je w miarę możliwości. Resztę drogi – około dwóch kilometrów – pokonali pieszo.

Reformatorzy podzieleni na grupy od dziesięciu do dwunastu osób każda szybko przystąpili do działania. Wedle słów Roberta tylko atak z zaskoczenia i z wielu stron naraz mógł odnieść skutek. Drużyny jego oraz Błażeja zakradły się od frontu. Teren był lesisty, więc dawało to pole manewru i zwiększało szansę, że wróg ich nie dostrzeże. Ariel, który wraz z resztą kompanów dołączył do grupy lidera Reformatorów, nie zauważył, żeby Kibole z jakimś specjalnym pietyzmem pilnowali swoich włości. Wczorajsze słowa Krzysztofa, że każdy z nich nie znosi stać warcie zdawały się znajdywać potwierdzenie. Dawny Kibol udał się natomiast z grupą Pawła od strony północnej, tej, którą zaledwie wczoraj przedstawił Reformatorom. Drużyna wygolonej Anki miała wedrzeć się do obozu Kiboli – teoretycznie sekretnym – wejściem wschodnim. Mikołaj pozostał w bazie pod Działoszynem.

Nadspodziewanie łatwo drużyny Reformatorów zbliżyły się do wysokich, utworzonych z gigantycznych stert złomu murów Twierdzy. Każdy lider dzierżył w dłoni walkie–talkie. Atak miał się rozpocząć, gdy wszystkie grupy potwierdziły gotowość do działania. Po niecałym kwadransie od wywołania odezwał się Łysy, Reformator w szeregach Kiboli, oznajmiając, że ponad trzydziestoosobowa grupa zbuntowanych popleczników Kajetana Webera jest gotowa do działania. Z niecierpliwością oczekiwali sygnału od grupy Anki. Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Robert coraz bardziej się niepokoił. Ariel zaczął nawet podejrzewać, że w Krzysztofie obudziła się lojalność do starego pracodawcy i cała akcja okaże się zasadzką, ale na Reformatorów.

Wreszcie po niemal pół godzinie komunikator zasyczał zniekształconym głosem Anki, iż znaleźli się na terenie Twierdzy. Robert wydał rozkaz szturmu.

Uzbrojeni po zęby Reformatorzy cichcem wdarli się do obozu Kiboli. Ci ostatni byli na tyle zaskoczeni, że bez słowa padali na kolana z rękami uniesionymi w górę. Reformatorzy błyskawicznie rozbrajali i obezwładniali przeciwników, wywlekając ich na środek rozległego, piaszczystego placu. Nieliczne okrzyki były natychmiastowo tłumione.

Pierwsze kilka minut przebiegło nadzwyczaj sprawnie, ale Ariel czuł, że to nie może pójść tak łatwo. I nie przeliczył się. Nagle gdzieś z góry usłyszeli głośny dzwonek i wrzask jednego z Kiboli: „Alarm! Alarm!" Po chwili ich uszu doszły odgłosy pierwszych strzałów. Reformatorzy ukryli się pod zadaszeniami budynków, odtąd bez skrupułów eliminując każdego stawiającego opór Kibola. A tych jakby przybywało. Wychodzili zewsząd, zaskakiwani jednakże przez niezwykłą sprawność Reformatorów często nie byli przygotowani do odparcia ataków.

Po kilku minutach coraz bardziej krwawej jatki dobiegł ich tubalny, jadowity głos. Ariel zauważył, że dochodził on z rozmieszczonych w różnych punktach obozu głośników.

– Kibole! Na tradycję i pamięć Pierwszego Kibola, wielkiego Włodzimierza, stańcie do walki i walczcie za swoje ideały! Tylko walka przyniesie wyzwolenie! Tylko odwet da ukojenie! Walczcie za siebie! Walczcie za mnie! Walczcie dla Kajetana!

W Kiboli wstąpiły nowe siły. Ci, którzy obezwładnieni leżeli z głowami w piachu pośrodku areny wstawali i z gołymi pięściami ruszali na Reformatorów. Wspomagani stałym nawoływaniem swojego przywódcy stawali do zaciekłej walki. Robert szybko zauważył, że może to przechylić szalę zwycięstwa na ich stronę. Przekrzykując ogólny rumor, wydarł się do komunikatora:

– Łysy, nie ma czasu, teraz! Teraz!

Kilka chwil później z budynków w zachodnim skrzydle obozu wypadła kolejna grupa Kiboli. Ci jednak nie stanęli do pojedynku z Reformatorami, lecz rzucili się na swoich pobratymców. Kajetan musiał to chyba oglądać, gdyż głos mu zadrżał, ale po chwili zaczął mówić z jeszcze większą mocą. Wydawało się, że z ubywającym stanem liczebnym Kibolom przybywa sił. Reformatorzy – choć w większości – wciąż nie mieli wyraźnej przewagi.

Ariel patrzył na wszystko z rosnącym niepokojem. Grupa jego nowych przyjaciół wcale nie wygrywała. Nagle przypomniała mu się niedawna wizyta w Kościelcu.

– Nie mogą go słuchać! – wrzasnął do pozostałych mieszkańców Dziewiątki, wskazując palcem na głośnik wiszący na podtrzymującej zadaszenie, drewnianej kolumnie. – Musimy wyłączyć to cholerstwo!

– Ale przecież nie znajdziemy centrum dowodzenia! – odparł Kapłan.

Ariel rozejrzał się wokoło.

– A po co!? – odrzekł nagle i chwycił leżący na wysłużonej komodzie, pordzewiały, ale ostry nóż.

– Kable! – wrzasnął Dziadek i na czworakach wszedł do pomieszczenia służącego zapewne za kuchnię. Po chwili wrócił z kilkoma nożami i parą nożyczek.

Ariel szybko poinformował Roberta o ich zamiarach i mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć rozpierzchli się po obozie. Kryjąc się przed wzrokiem Kiboli i chyląc

przed kulami podchodzili do szybko lokalizowanych głośników i po chwili mocowania z kablami odcinali je od zasilania. Głos Kajetana powoli milknął aż wreszcie nie słyszeli go w ogóle.

Kibole wyraźnie tracili impet. Reformatorzy i zbuntowani Kibole zyskiwali przewagę. Ariel i pozostali ze Schronu Numer Dziewięć zebrali się nieopodal miejsca, z którego ruszyli. Kucając naradzali się.

– Wszyscy cali?

– Chyba tak...

– Musimy odnaleźć Oliwię. Ludzie Roberta mają wystarczająco dużo na głowie.

– Tylko gdzie ona może być? – zastanowił się Dziadek.

– Wydaje mi się, że Weber trzyma dziewczyny gdzieś blisko. Myślę, że powinniśmy poszukać tam – wskazał na najokazalszy budynek w Twierdzy, jedyny z balkonem.

– Słusznie – rzekł Kapłan.

– No to jazda!

W momencie, gdy wstawali Ariel usłyszał cichy jęk. Daniel dostał w bark. Krwawił.

– Zostań tu.

– Nie!

– Daniel, proszę cię...

– Nie!!!

Nie było sensu się spierać. Chyłkiem podbiegli do prawdopodobnej siedziby Kajetana. Drzwi okazały się zamknięte. Spojrzeli po sobie. Wtem Daniel z całej siły łupnął zdrowym barkiem w drzwi. Po drugim razie ustąpiły – a raczej wpadły wraz z futryną do środka.

Wewnątrz było pusto. Pośrodku holu ustawione były wąskie schody. Dziadek stanął przy drzwiach z nożyczkami w jednej dłoni i nożem w drugiej. Pozostali sprawdzili wszystkie pomieszczenia i już mieli wchodzić na górę, gdy zza schodów dobiegł ich jakiś odgłos. Po chwili mierzyła już do nich wygolona Anka i jej poplecznicy.

– Uff, to wy... Już myślałam...

– Słuchajcie, nie ma czasu – przerwał jej Ariel. – To jest chyba siedziba Kajetana. Musimy odszukać Oliwię...

– Na dole są więzione dziewczyny – weszła mu w słowo Anka – ale nie wiem...

– Nie ma tam waszej przyjaciółki – powiedział Krzysztof.

– Więc musi być na górze. Proponuję, żeby kilku z was poszło z nami, macie broń. A reszta niech pomoże waszym kolegom na zewnątrz.

Anka szybko rozejrzała się i skinęła głową. Ona i jeszcze dwóch Reformatorów oraz Krzysztof zostali. Zaczęli wspinać się po stromych schodach. Minęli półpiętro i dotarli na szczyt. Szeroki, jasny korytarz, po bokach kilkoro drzwi. Daniel z zaciętą miną ruszył do pierwszych z prawej, po chwili już wyważał kolejne. Ariel i reszta zaglądali do pomieszczeń. W każdym było po kilkanaście młodych dziewczyn. Nagle zauważył, że Daniel zbliża się do szczytowych drzwi naprzeciw schodów.

– Zaczekaj!...

Ale Daniel nie słuchał. Wyczerpany tłukł w drzwi zakrwawionym ramieniem. Pozostali już do niego dobiegali, gdy te ustąpiły. Olbrzym zamarł w bezruchu. Ariel dostrzegł pod jego ogromnym ramieniem jakiś ruch. Stanęli twarzą w twarz z Kajetanem Weberem. Z dzikim uśmiechem na wykrzywionej okropnym grymasem twarzy i obłędem w oczach stał w pozycji bojowej – pochylony z rękoma luźno opuszczonymi wzdłuż ciała. Jego mina wystarczała, żeby przerazić, co dopiero to, co czynił.

– Dzień dobry – wycedził. – To zaskakujące, że dotarliście aż tutaj.

– Zamknij się, Weber! – krzyknęła Anka, mierząc do niego z broni automatycznej. – Rzuć broń!

– Czy widzisz tu gdzieś jakiś oręż, ślicznotko?

– Zamknij się i rzuć broń!

– Oliwka... – stęknął nagle Daniel.

Oliwia istotnie znajdowała się w urządzonym z przytłaczającym przepychem pomieszczeniu. Stała z kilkoma innymi dziewczynami z lewej strony pod regałem zastawionym zaśniedziałymi kielichami czy też pucharami. Miała na sobie tylko bieliznę. Jako jedyna, pozostałe były nagie.

Kajetan szybko zorientował się, w czym rzecz. Jednym susem znalazł się przy dziewczętach. Oliwia jęknęła, próbując uciec. Dopadł jej i przyłożył do głowy pistolet, który znikąd zjawił się w jego dłoni.

– Spokojnie... – szepnęła Anka.

– Proszę, proszę, panno Kasiu, narzeczony się zjawił – wydyszał Weber, spoglądając z dziką złośliwością na Daniela. – Nie za wielki dla takiej drobnej kobietki?

Lufą pistoletu zaczął jeździć jej wokół ucha.

– No, dlaczegóż to stoi pan tak bezradnie, panie... jak ci na imię? Chyba się nie przedstawiłeś. Niegrzecznie.

Daniel ruszył w jego kierunku, ale Kajetan szybko uspokoił jego zapędy ponownie przystawiając broń do skroni Oliwii. Uśmiechał się jadowicie.

– Ach, cóż za miłość, gotów jest poświęcić życie, żeby cię ratować, widzisz? Nawet twoje życie. Nie mogę sobie odmówić...

Przejechał językiem po jej policzku. Wtedy Oliwia nagle pochyliła się i uderzyła go łokciem w brzuch. Nim zdążył się wyprostować Daniel już trzymał ją przed sobą. Lecz Kajetan szybko się pozbierał i zaczął strzelać. Reformatorzy odpowiedzieli ogniem. Weber skierował się ku wyjściu na balkon, ciągle strzelając. Wypadł na zewnątrz. Anka i pozostali z jej grupy wybiegli za nim. Jeszcze kilka strzałów. Dobiegł ich krzyk Webera i głuchy łoskot. Reformatorzy wybiegli z pomieszczenia. Kapłan i Dziadek wyjrzeli na balkon.

– Spadł!

– Jeszcze żyje...

– Już go...

– Daniel!!!

Wrzask Oliwii zawrócił ich z powrotem. Olbrzym osunął się na kolana, wciąż tuląc do siebie Oliwię. Ariel dostrzegł na wielkich plecach mnóstwo obficie krwawiących śladów. Kajetan nie strzelał na ślepo. Wszystkie jego kule trafiły w Daniela.

Wielkolud o gołębim sercu patrzył na nią szklanymi oczyma.

– Oliwka… – wyszeptał.

– Cii, nic nie mów – powtarzała, gładząc go po policzku.

– Oliwka…

Daniel uśmiechnął się, po czym przewrócił oczami i runął na podłogę. Oliwia nie była w stanie go utrzymać, upadła razem z nim. Ariel podszedł do niej, ściągnął kurtkę i założył jej na ramiona. Przytulił ją mocno, szlochając razem z nią. Kapłan i Dziadek podeszli i objęli ich ramionami.

Tak odszedł kolejny z nich.

W międzyczasie na dole następowała rozprawa z Kajetanem Weberem. Lider rozbitych Kiboli z połamanymi nogami leżał na środku areny, gdzie został wywleczony chwilę wcześniej przez kilku tych swoich podwładnych, którzy przeszli na stronę Reformatorów. Ostatni wierni, rozbrojeni i obezwładnieni żołnierze bezradnie patrzyli na swego przywódcę. Wokół walało się pełno ciężko rannych lub martwych Kiboli.

Weber nienawistnym wzrokiem spoglądał z parteru na stojących w szeregu Roberta, Łysego, zgodnie z przydomkiem pozbawionego włosów, Idę, z irokezem na głowie, i chudego, niepozornego Damiana. Wszystko rozgryzł w mig.

– Tu kończy się twoje panowanie, Weber – powiedział spokojnie Robert.

Kajetan prychnął.

– Kończy się twoja władza, twoje manipulacje i najbardziej niemoralne ze wszystkiego, co zrobiłeś – kontrolowanie tych ludzi.

– Daruj sobie, Roberto – syknął z pogardą. – Sądzisz, że z pomocą zgrai tych nieudaczników uda ci się wyplenić to, co zasiałem?…

– Zamilcz – przerwał mu Robert. – Co masz do powiedzenia przed śmiercią?

Kajetan roześmiał się. Złowrogim, potwornym chichotem. Śmiał się długo, a jego rechot przeszywał ich uszy. Głowy. Dusze.

– Zabijcie mnie, proszę bardzo – wycedził. – To nic nie zmieni. Nie macie bladego pojęcia, jak wiele uczyniłem, żeby pozostać na pustkowiach, gdy już mnie nie będzie. Jak wiele kobiet nosi w sobie moje dzieci? Jak wiele osad jest mi bezwzględnie podległych?…

– Częstochowa też? – przerwał mu Damian.

– To tylko jedna wiocha – wydyszał. – Nie jesteście sobie w stanie wyobrazić, jak wielu ludzi pójdzie na jedno moje zawołanie…

– Zwłaszcza wtedy, gdy już cię nie będzie – ponownie wszedł mu w słowo Damian.

Kajetan ponownie prychnął z niechęcią.

– Niewiele się nauczyłeś, choć miałeś okazję. Miałeś szansę oddać hołd wielkiemu Włodzimierzowi Weberowi swoim oddaniem mnie. Ale najpierw trzeba w to wierzyć. Jesteś jedynym błędem, jaki popełniłem.

– Nie zapominaj o moich ludziach, Weber – rzekł Robert. – Poległeś na całej linii. Twoje zadufanie doprowadziło cię do klęski…

– Moje zwycięstwo dopełni ta egzekucja – przerwał mu Kajetan. – Wasza nędzna partyzantka nie zlikwiduje wielkiego rodu Weberów, który zapoczątkował mój ojciec, a ja tak świetnie rozprzestrzeniłem po całych pustkowiach! – Jego głos nabierał mocy. – Nic nie osiągnęliście i nic nie zdołacie osiągnąć, bo zapewniłem sobie nieśmiertelność! Ja, Kajetan Weber, syn…!

Monolog przerwał wystrzał, który wstrząsnął niemal wszystkimi zebranymi pośrodku Twierdzy Kiboli. To Oliwia, która wraz z przyjaciółmi ze Schronu Numer Dziewięć zdążyła zejść na dół z apartamentu Webera. Stała z wyciągniętą ręką, w której trzymała drżący lekko pistolet. Kajetanem wstrząsnęły jeszcze ostatnie drgawki, po czym przestał oddychać. Niewidzące oczy skierowane były ku niebu.

Wszyscy odwrócili się w stronę Oliwii. Dziewczyna opuściła rękę i odrzuciła pistolet. Odwróciła się i podeszła do pozostałych mieszkańców Dziewiątki. Ariel położył jej rękę na ramieniu i lekko skinął głową. Dziewczyna zdawała się być nieobecna.

Robert spojrzał na martwe ciało Kajetana Webera i zwrócił się do Kiboli:

– Słuchajcie. Wasz… przywódca – oszukiwał was. Sprawował nad wami całkowitą kontrolę. Za pomocą specjalnej substancji, którą dodawał do posiłków, miał nad wami władzę. Kontrolę absolutną. Dzięki Damianowi – wskazał na byłego Kibola – odkryliśmy prawdę i wielu z was udało się otworzyć oczy. Mogą potwierdzić, że tak właśnie było. Zapewne wielu z was nam wierzy, dlatego powiem wam, co się teraz stanie. Przez najbliższe dni przejdziecie detoks, przekonacie się, że to, co mówię jest prawdą. Potem – wybór należy do was. Możecie dołączyć do nas i… odtruć pustkowia z działań Kajetana Webera. Albo możecie odejść. Zważcie jednak na to, że jeśli którykolwiek z was podąży śladem swojego dowódcy – zginie. Każdy – podkreślił. – Bezwzględnie. Podobnie będzie z tymi, którzy stawią opór teraz. Działalność Kiboli kończy się. Reformatorzy przejmują dowodzenie.

Po tych słowach wojacy Roberta zagonili pozostałych przy życiu Kiboli do cel. Lider Reformatorów zamienił słowo z Łysym, Idą i Damianem, którego serdecznie wyściskał. Podszedł do grupy Ariela. Spojrzał z troską na Oliwię.

– Nic jej nie jest – powiedział Ariel. – Zginął nasz przyjaciel.

– Przykro mi – odparł cicho Robert. – Sześciu moich ludzi też poległo w walce. Kilkunastu jest rannych. Ale…

– Warto było… – bardziej dopowiedziała niż zapytała Oliwia, tonem niepokojąco karcącym, a jednocześnie pewnym.

Robert miał nieodgadniony wyraz twarzy.

– Dziękuję wam. – Spojrzał każdemu z nich w oczy. Na dłużej zatrzymał się przy Oliwii, jeszcze dłużej – przy Arielu.

– Co zamierzacie?

– Idziemy w stronę Wrocławia – rzekł Ariel. – Może uda nam się znaleźć tamtejszy schron. Ale najpierw pochowamy Daniela.

Robert skinął głową.

– Nie chcielibyście dołączyć do nas?

– To bardzo miłe, ale... nie. Mamy już swoją misję.

Zrozumiał. Było mu jednak wyraźnie przykro. Wciąż spoglądał na Ariela.

– A wy? – zapytał ten ostatni.

Robert westchnął.

– No, cóż. Posprzątamy i w drogę. Weber solidnie narozrabiał.

– Osiądziecie tutaj? – zapytał Kapłan.

– O, nie. – Robert uśmiechnął się. – Zbyt wiele złego się tu wydarzyło. Pogrzebiemy Kiboli pośrodku tego... Koloseum, a później je zawalimy. Ku przestrodze.

Chwilę milczenia przerwał Ariel.

– Dobrze, a więc... gratulujemy zwycięstwa i... powodzenia... dowódco. – Uśmiechając się wyciągnął rękę, którą Robert uścisnął. Nie potrzeba było więcej słów.

Pochowali Daniela wraz z poległymi Reformatorami pod lasem opodal Twierdzy Kiboli. Kilkudziesięciu zabitych Kiboli pogrzebano, zgodnie ze słowami Roberta, w centrum areny. Uwolniono wszystkie przetrzymywane kobiety. Ariel i pozostali mieszkańcy Dziewiątki przyglądali się temu bez słowa.

Noc spędzili w bazie pod Działoszynem, gdzie wrócili pojedynczym samochodem wraz z kilkuosobową grupą Reformatorów pod przewodnictwem jasnowłosej, ściętej „na jeża" Emilki wraz z dawnym Kibolem, Krzysztofem. Mikołaj, który pozostał w bazie, oczekiwał relacji przyjaciela.

Nazajutrz po krótkim pożegnaniu czworo mieszkańców Schronu Numer Dziewięć ruszyło w dalszą drogę.

Intensywność wydarzeń ostatnich dni musiała dać o sobie znać. Byli wyczerpani, tak fizycznie jak i psychicznie. Zmęczenie ogarnęło ich ciała i umysły. Przez dwa dni wędrówki prawie nie rozmawiali. Przeszli zaledwie trzydzieści kilometrów, nie wychodząc nawet z lasów dawnego parku krajobrazowego, w których gdzieś na wschód od nich mieściła się baza Reformatorów. Doszli do zrujnowanej miejscowości Rudniki i tam coś w nich pękło.

Płakali. Całą noc i cały następny dzień. Niebo szlochało razem z nimi.

A przez następne dwa dni spali. Jak zabici. Jedyne domostwo z zachowanym dachem stało się centrum ich katharsis.

Dopiero po tym czasie przeprowadzili długą, szczerą rozmowę, której ze względu na szacunek dla nich nie będziemy tutaj przytaczać, i ruszyli dalej. Odtąd już kroczyli pewnie, pokonując pustkowia i swoje słabości. Nigdy nie czuli się tak silni. Minęli osławiony Kluczbork i skierowali się w stronę Wrocławia.

W okolicach Namysłowa natknęli się na kilkoro nieznanych im ludzi. Przez cały dzień obserwowali ich i podążali za nimi. Wysłużona mapa otrzymana od

Reformatorów miała braki, między innymi w miejscu, gdzie właśnie się znajdowali. Mieli nadzieję, że nieznajomi okażą się na tyle uczynni, że wskażą im prawidłową drogę do Wrocławia. Lecz dopiero dwa dni później zdecydowali się z nimi porozmawiać. Na wszelki wypadek Ariel i Dziadek trzymali w pogotowiu dwa równie wyeksploatowane, co mapa pistolety, które dostali od grupy Roberta.

Nieznajomi okazali się nieszkodliwi, a wręcz bojaźliwi. Wyglądali na rodzinę. Mężczyzna i kobieta, oboje w wieku Dziadka lub nawet starsi, podobna do starszej pani młoda dziewczyna i dziecko, kilkuletnia dziewczynka.

– Proszę, nie róbcie nam krzywdy. – Staruszek, dojrzawszy broń w dłoniach mieszkańców Dziewiątki, osłonił ciałem resztę rodziny. Kobiety skuliły się za wątłymi plecami jej głowy. Ariel zauważył, że mężczyzna nie ma całej dłoni.

– Nie zrobimy – uspokoił ich. – Kim jesteście?

– My tylko spokojnie wędrujemy. Nikomu nie wadzimy. Proszę, zostawcie nas w spokoju.

– Dobrze, chcemy tylko wiedzieć, jak dotrzeć do Wrocławia. Możecie nam…

– My nic nie wiemy, naprawdę. Nic nie wiemy i nie chcemy żadnych kłopotów.

Ariel spojrzał bezradnie po towarzyszach.

– No, dobrze… w takim razie idziemy… Do widzenia.

– Bóg z wami – rzekł Kapłan.

I już skierowali się w stronę, z której przybyli, gdy niespodziewanie odezwała się staruszka:

– Nie odchodźcie!…

– Co ty wyprawiasz? – skarcił ją szeptem starzec.

– Czy słyszałeś, co powiedział? Słyszałeś?

– No, słyszałem. I co?

– To nie mogą być źli ludzie, jeśli pozdrawiają imieniem Bożym.

Starzec przygryzł dolną wargę. Spojrzał na mieszkańców Dziewiątki.

– Czy na pewno nie zrobicie nic złego mojej rodzinie?

– Oczywiście, że nie – odparł Ariel. – My także wędrujemy i to od wielu dni. Nie jesteśmy Kibolami. Nic nam po waszej krzywdzie.

Na wspomnienie o Kibolach rodzina zadrżała jak jeden mąż.

– Co się stało?

– Znamy tych… Kiboli – odrzekł staruszek, drżąc ze strachu. Ukradkiem spojrzał na córkę.

– Czy… – zaczęła Oliwia – to jego dziecko?

Dziewczyna nieznacznie przytaknęła.

– Nie musicie się ich więcej obawiać – powiedział Ariel. – Kibole zostali rozbici, a ich dowódca nie żyje.

Rodzina spoglądała na niego w niemym zdumieniu.

– Naprawdę? – wyszeptała dziewczyna.

– Naprawdę – tak samo odrzekła jej Oliwia.

Ariel zauważył, że obie mają łzy w oczach.

– Jestem Ariel, to Dziadek, Oliwia i Kapłan – przedstawił wszystkich.

– Kapłan… – powtórzyła cicho babcia.

Ariel uśmiechnął się.

– Później to wyjaśnisz. A więc… wiecie jak dojść do Wrocławia?

– Wiemy – odparł starzec wyraźnie uspokojony. – Pomożemy wam, ale pod jednym warunkiem.

– Tak?

– Musicie nam powiedzieć, co wiecie o Kibolach i… śmierci tego… Webera.

Ariel skinął głową.

Nieznajomi przedstawili się jako Krajanie. Ariel nie był przekonany, czy to prawdziwe nazwisko, ale nie dociekał. Wraz ze swoimi towarzyszami opowiedział, co wydarzyło się w Twierdzy pod Wieluniem. Rodzina Krajanów słuchała uważnie, chciwie łapiąc każde słowo. Najstarszy z nich dopytywał. W końcu po niemal dwóch godzinach mówienia mieszkańcy Dziewiątki dotarli do końca relacji.

Siedzieli teraz wokół ogniska spoglądając na siebie z zainteresowaniem. Do chwili dotarcia do Koniecpola mieszkańcy schronu przez długie tygodnie nie mieli okazji spotkać żywej duszy w szczerym pustkowiu. Z pewnością podobnie było z rodziną Krajanów.

– Dokąd podążacie? – zapytał Dziadek.

– Przed siebie – odparł pan Krajan. – Straciliśmy dom, straciliśmy… synów. – Na te słowa córka mężczyzny stężała na moment, po czym zaczęła bawić córeczkę. Ta jednak bardziej zajęta była wpatrywaniem się w trzaskający ogień watry, toteż kobieta spoczęła na przytuleniu jej. – Nie chcieliśmy… nie mogliśmy być dłużej tam, gdzie spotkało nas tyle nieszczęścia.

– Czy to Kibole przyczynili się do tego? – rzekł Ariel.

– Po części tak. Mnie pozbawili ręki. Zabili Romana, męża Natalki – wskazał głową córkę – gdy stanął w jej obronie. Potem…

Zatrzymał się. Ból odebrał mu głos.

– Rozumiemy – powiedziała Oliwia. – A drugi syn?

– Ten właściwy syn. – Pan Krajan otarł szybko oczy. – To znaczy, kochaliśmy Romana jak własnego, ale był naszym zięciem. Artur dołączył do grupy Regulskiego. Nie mieliśmy prawa go zatrzymywać, choć nie było nam to na rękę. Chcąc przeżyć potrzebowaliśmy rąk do pracy. Potem od mojego przyjaciela dowiedziałem się, że zaginął gdzieś pod Częstochową. Myślę, że mogła to być sprawka Zakonu, ale nie mam dowodów…

– Stasiek, jak możesz tak bluźnić! – skarciła go małżonka.

– Zamilcz. Oni wcale nie są tacy wspaniali. Nie wiesz o wielu rzeczach.

– Kim jest ten Regulski? – Ariel zmarszczył czoło. – I co to za Zakon?

– W Częstochowie ktoś mieszka? – dodał Kapłan.

Pan Krajan westchnął.

– Opowiem wam, co wiem. Ale już nie dziś. Jestem zmęczony…

– Proszę nam tylko powiedzieć – Zakon przebywa w Częstochowie? – Kapłan nie dawał za wygraną.

– Tak.

– Czy to paulini?

– Nie wiem. Ale wątpię. Raczej nie mają na celu szerzenia Słowa Bożego.

Pani Krajan przeżegnała się. Jej mąż zbył to milczeniem.

– Dlaczego tak was to interesuje? – zapytał po chwili.

– Banda Kiboli nie mogła osiąść w Częstochowie – powiedział Ariel.

– Wiem o tym. Zakon zdołał ich przepędzić. Nie zapuszczali się tam więcej ani na zachód od Częstochowy. Aż do Opola. Wiem też, że chcieli wejść do Wrocławia, ale nie starczyło im sił.

– Weber sporo powymyślał – skonstatował Kapłan.

– Ale swoje zrobił – dodał Ariel, spoglądając na Natalię Krajan. Ta odwzajemniła jego spojrzenie, ściskając córeczkę i uśmiechając się blado.

Wtem dziewczynka – jak to dziecko – podskoczyła i wierzgnęła nogami. Najwyraźniej jej się nudziło. Matka pomachała jej przed oczyma rękoma, wykonując rozmaite gesty. Mieszkańcy Dziewiątki patrzyli na tę scenę z cichym zdumieniem.

– Czy ona...? – zaczął Dziadek.

– Nie słyszy – potwierdził ich przypuszczenia pan Krajan. – Ani nie mówi. Nagle uświadomili sobie, że dziewczynka przez cały ten czas zachowywała się nad wyraz cicho.

– Z takiego nasienia... – zaczął Krajan, ale urwał. Zamyślił się. – Dopadli nas jeszcze w naszym domu pod Lublińcem, na dzień przed tym, jak ruszaliśmy w drogę – wychrypiał po dłuższej chwili. – Ten jeden raz udało im się tam dotrzeć i... Zaledwie kilka dni wcześniej dowiedziałem się o Arturze.

Głęboko westchnął. Spojrzał na żywo gestykulującą dziewczynkę. Uśmiechnął się słabo.

– Jedyny język, jaki pozostał po wojnie, którego nie splamiła nienawiść.

– Jak ma na imię? – zapytała wyraźnie wzruszona Oliwia.

– Beatka – odparła szeptem Natalia Krajan.

Zapadło milczenie. Każdy zajął się swoimi myślami.

– Dlaczego Bóg na to pozwala? – powiedział nagle Stanisław Krajan. – Panie Kapłanie... tak na pana wołają, prawda?

Kapłan przytaknął.

– Chyba nie bez powodu otrzymał pan takie imię. Może mi to pan wyjaśnić?

– Nie mogę – odparł Kapłan. – Bo nie potrafię.

– Próbuje nas? Chce nas sprawdzić zanim zabierze nas do swojego Domu?

– Znasz miejsce, gdzie Bóg czułby się dzisiaj jak w domu? – odpowiedział pytaniem na pytanie Kapłan.

– Słusznie. „Dom jest tam, gdzie chcę, żeby był."

– Myślę, że Bóg ma podobne zdanie – odparł Kapłan. – Jest, ale szuka swojego miejsca. Po wojnie jeszcze nie nauczył się osiąść gdzieś na dłużej. Ale gdy to się stanie, świat stanie się lepszy.

– A ja mam wrażenie, że gdy Bóg chce cię ukarać, wysłucha twoich modlitw. – Pan Krajan zapatrzył się w upstrzone gwiazdami niebo. – Pamiętam te miejsca sprzed wojny. Gdzie Boga już nie było. Licheń. Świebodzin.

– Teraz to cała Polska – rzekł Kapłan. – Cmentarze autorytetów. Ateiści pochowani pod krzyżami. Życie po wojnie.

Później długo jeszcze rozmawiali aż położyli się spać.

W nocy Ariel przebudził się na skutek czyjegoś ruchu. Nie podniósł głowy, wsłuchując się w ciszę i wpatrując w mrok. Po chwili poczuł skradającą się obok niego osobę. Poczuł przypływ strachu i już myślał o szukaniu broni, gdy usłyszał stłumiony szept.

– Proszę pani… proszę pani…

To była Natalia Krajan. Najwyraźniej budziła Oliwię.

– Tak?…

– Chcę się o coś spytać.

– Co się stało?

– Nie tutaj. Ktoś może usłyszeć.

Po chwili Ariel usłyszał, jak Oliwia dźwiga się z ziemi. Obie oddaliły się nieco. Po chwili Ariel pozostał sam. Nikt więcej nie został wyrwany ze snu. Najciszej jak potrafił wstał i chyłkiem podążył za obiema kobietami. Podkradł się do nich, siedzących na trawie, i słuchał.

– Proszę pani…

– Mów mi Oliwia.

– Dobrze. Chciałam się o coś… to bardzo dla mnie ważne.

– Mów.

– Czy… Kajetan… czy on to z tobą zrobił?

– Co? – zdziwiła się Oliwia.

– Czy… kochał się z panią… z tobą?

Oliwia odpowiedziała dopiero po chwili.

– Nie. Nie dotknął mnie.

Natalia zwlekała, ale w końcu się przemogła.

– Aha… bo ja… ja…

– Spokojnie – powiedziała łagodnie Oliwia. – Ten człowiek już nie żyje. Nie zrobi ci więcej nic złego.

– Ale… on mi nie zrobił…

– Słucham?

Natalia była wyraźnie zażenowana. Ariel słyszał swoje galopujące tętno.

– On… ja… mi nigdy z nikim nie było tak dobrze… nawet z Romkiem…

Oliwia musiała być zszokowana. Ariel był.

– Wiem, że to złe… że… powinnam trafić do piekła… albo nie żyć…

Natalia słyszalnie połykała łzy. Oliwia nie odpowiadała.

– Bardzo kochałam Romka. Teraz kocham Beatkę. Oddałabym za nią życie. Ale nie potrafię o nim zapomnieć. On jest zły… był zły. Był bardzo złym człowiekiem. Wyrządził wiele krzywdy wielu ludziom. Ale dał mi moje największe szczęście. I chcę… chcę się zapytać…

Oliwia nadal milczała.

– Czy… dlatego, że było mi z nim dobrze… i że to jego dziecko kocham… to ja też jestem zła?

Oliwia długo nie odpowiadała. Lecz w końcu wyszeptała:

– Nie jesteś.

Ariel usłyszał charakterystyczny szmer, gdy dwie osoby tulą się do siebie. Dosłyszał także, że obie dziewczyny płaczą. Sam, połykając łzy, udał się z powrotem do ogniska, gdzie spali pozostali. Po chwili wpadł w objęcia Morfeusza.

Rankiem, gdy wszyscy już wstali, Ariel rzucał ukradkowe spojrzenia Oliwii i Natalii. Ale te dzielnie zachowywały pozory. Stanisław Krajan tłumaczył im na swojej mapie, jak najprościej dojść do Wrocławia.

– Droga przez Oleśnicę jest kompletnie zniszczona. Tamtędy nie uda wam się przejść. Udajcie się na południe aż do starej trakcji kolejowej. Następnie na zachód aż do Czernicy. Tam miniecie Odrę i dojdziecie aż do dawnej autostrady. Obejdziecie Wrocław i wejdziecie do niego od strony lotniska i laboratorium w Złotnikach. Możecie wziąć moją mapę. Znam te tereny.

– Co będzie z wami? – zapytał Kapłan.

– Poradzimy sobie.

– Może pójdziecie razem z nami? – zaproponował Ariel.

– Nie chcemy być wam ciężarem. Zamierzamy wrócić w okolice Częstochowy. Wciąż wierzę, że Artur żyje…

Ariel kiwnął głową. Pan Krajan głęboko odetchnął.

– Dobrze, teraz chciałbym wam opowiedzieć, czego dowiedziałem się o grupie Regulskiego. Mój przyjaciel też był jej członkiem…

ROZDZIAŁ 10
Dariusz Sidor – „Pewnego razu”

Rozpoczął się kolejny ponury i tchnący beznadzieją ranek. Krokodyl obudził się na skutek ssania w żołądku. Czuł jak przykleił się do kręgosłupa i domaga się jedzenia. Te, niestety, od jakiegoś czasu było racjonowane. Konwoje od kilku tygodni nie przyjeżdżały, nie docierały dyspozycje o kolejnym uboju, a zima przedłużała się. Tak naprawdę, to wcale nie minęła. Ludzie znosili to z milczącą rezygnacją, skrycie pielęgnując nadzieję na słoneczne ciepło i zapominaną z każdym dniem soczystą zieleń.

Wiecznie trwająca szarówka jakoś niezbyt mocno dawała się we znaki zwierzom, za to rośliny hodowlane, w przeciwieństwie do tych rosnących dziko, nie bardzo chciały się dostosować. Usiłowali uprawiać jakieś zboża, buraki, ziemniaki, cebulę, ale plony były chaotycznie przypadkowe. Oprócz wyznaczonych dla nich dyń i kukurydzy. Dyń uprawianych hydroponicznie w produkcyjnej części hali zwanej Szklarnią i kukurydzy uprawianej wokół wypalonych kół na zewnątrz. Czemu właśnie te przetrwały i dojrzewały nieczułe na środowisko, a nie inne? Nie miał pojęcia. Nie tylko zresztą on.

Był jeszcze w oparach snu, którego wspomnienie było przyjemne, a którego już nie pamiętał. Liczyło się tylko, że było miło i ciepło, i miał trochę żalu do samego siebie, że trzeba było się obudzić. Wyrwać z błogostanu do codziennych obowiązków. Przez jakiś czas wpatrywał się w odległy sufit w kolorze szarym, z pęknięciami i załatataną dziurą, w których widział lecącego ptaka patrzącego na niego jednym okiem. Poranne odnalezienie tego skojarzenia było codzienną rutyną, przypominającą mu, gdzie się znajduje.

Wygramolił się ze śpiwora. Zajmował górną pryczę na sali ogólnej. Nie mając rodziny, nie będąc uprzywilejowanym członkiem społeczności, nie miał prawa ani do namiotu, ani do własnego pomieszczenia za ścianami z dykty. O czymś takim jak własna narzędziownia mógł tylko pomarzyć. Rozejrzał się. Na sali kilka łóżek było pustych, na innych leżeli okutani kocami głównie jego koledzy i nieliczne koleżanki izolując dla siebie każdą odrobinę ciepła. Wspólna sala nie miała ogrzewania, nie to co „domki”, pobudowane z odzyskanych materiałów znoszonych z wypraw po okolicznych wioskach, które zajmowały piętrowo większą część jednej ze ścian cementowni. Spojrzał w stronę, gdzie leżała Ruda, obiekt nie tylko jego westchnień. Zacisnął dłoń na stwardniałym członku i boczną śluzą wyszedł z hali.

Na dworze było szaro i chłodno. W takie poranki wydawało się, że zima ustępuje, po czym zazwyczaj po kilku godzinach spadał śnieg zmieszany z popiołem, robiło się chłodno i porządek rzeczy, w którym zimno dyktowało warunki przetrwania wracał na swoje ustalone miejsce.

Nie korzystał rano z ubikacji. Nie lubił kolejek z atmosferą milczącego wyczekiwania i gotowości. Wysikał się wytapiając płat brudnego śniegu i rozcierając ramiona wrócił do środka. Mieszkańcy hali powoli budzili się. Wstawali, kręcili się, stawali za potrzebą, odbierali wrzątek. Gwar narastał.

Podszedł do swojego łóżka, zwinął śpiwór i wrzucił do skrzyni stojącej w nogach pryczy. Wyciągnął z niej dodatkową bluzę i plecak z różnymi rzeczami. Dzisiaj przypadała jego kolej na parodniowe doglądanie zwierzy. Popatrzył w stronę skleconych „domków", jedynych ogrzewanych pomieszczeń w hali. W jednym z nich była kobieta, którą kiedyś nazywał swoją mamą, a teraz Aneczką, jak i pozostali. Była jedną z nielicznych kobiet w ich zbiorowości i, jak to ujęto, musi dostosować się do nowych warunków. Stare więzi i zasady zostały zmienione i wtłoczone w nowe realia. Przynajmniej miała ciepło. Zastanawiał się przez chwilę jak to będzie, gdy wyciągnie los Aneczki, ale odpędził tę myśl. Pewnie przehandluje za coś wartościowego, na przykład dobre ogniwo. Miał co prawda jeszcze kilka nowych i ukrytych w skrzyni, o których nikomu nie mówił, ale kilka więcej mieć nie zaszkodzi. Były bardzo dobrą, uniwersalną walutą. Wyżej ceniono tylko broń i amunicję do niej.

– Idziesz na pole? – stłumiony głos z dolnego łóżka spod koca zadał pytanie, co pewnie miało być porannym powitaniem.

– No, a co? – odparł zaczepnie czując, że już jest podirytowany.

– Nic. – Łysa głowa wychynęła spod koca. – Mógłbyś mi zostawić śpiwór. Dzisiaj mam wolne za wartę.

Krokodyl spojrzał na sąsiada na dole wzrokiem pełnym pogardy. Dwa koce może i wydawały się zbyt małym zabezpieczeniem przed zimnem, ale jego puchowy śpiwór był zbyt cenną rzeczą, by powierzać go komukolwiek. Nawet sąsiadowi z jednej pryczy, od którego się go wygrało.

– Nie – uciął krótko.

– Nie to nie. – Łysa głowa ziewnęła głośno i zanurzyła się pod koc. – Zapamiętam to sobie.

– Zapamiętuj, łysielcu – mruknął do siebie i poszedł w stronę narzędziowni Szefa.

Przechodząc obok łóżka Rudej, mimo obietnic dawanych samemu sobie, że już nigdy w życiu nie popatrzy na nią, zwolnił i kolejny raz spojrzał w jej stronę. Wygrzebała się spod kaptura śpiwora, omiatając halę jeszcze wzrokiem rozespanym, nieostrym, bez uczuć i bez uśmiechu, którego najbardziej pragnął. Nie widziała go. Znowu westchnął. Był dla niej jednym z wielu i, wiedząc, jaka będzie jej rola, pewnie wcale nie było jej z tym lekko. Kim jednak był żeby zmienić zasady? Pamiętał jak jakiś czas temu, by przyciągnąć jej wzrok, zwrócić na siebie uwagę, wyjął z plecaka prawie nowe ogniwo i rzucił Trzeciemu, przybłędzie, którego znaleźli na autostradzie. Twierdził, że uciekał z KoGu, a przecież cały Konglomerat Górnośląski był wypaloną dziurą. Nikt tam nie mógł przeżyć. Zresztą, co go to obchodziło. Może i tak było jak szczeniak mówił. Był zdrowy, tylko chudy i wynędzniały. Chodził wiecznie smętny i przestraszony po hali ciągnąc przy sobie zabawkę – starego mecha, jeszcze nie tak

dopracowanego jak następna seria, ale całkiem sprawnego z pokaźnym zasobem gier i sporą biblioteką. Niestety, panele miał stłuczone i potrzebował wspomagania z ogniw. Pamiętał, jak upewniwszy się, że Ruda jest w pobliżu, rzucił małemu jedno całkiem sprawne ogniwo. Dzieciak złapał ogniwo i tylko rozdziawił usta ze zdziwienia, nawet nie krzyknął w zachwycie, a właśnie ten radosny okrzyk miał zwrócić uwagę Rudej. Miał pokazać jaki jest szczodry i wspaniałomyślny. Jaki bogaty i gardzący pożądanymi błahostkami. Nie zwrócił, nawet nie spojrzała. Zmarnował ogniwo dla ulotnej chwili dziewczęcej aprobaty. Jakim był głupcem!

– Ej, Kroko, chcesz herbatki? – To ojciec Smutnego kiwając dłonią przywoływał go do siebie. Herbatkę robili z rozrosłych ponad miarę wiecznie zielonych iglaków, których igły były twarde i niesmaczne, ale napary były nadzwyczaj odżywcze. Robili z nich tylko wywar, cierpki i gorzki, i udający herbatę; herbatkę, jak ją zwali. Na szczęście od czasu do czasu docierali do nich konwojowani handlarze z ziołami od innych grup. Wtedy był czas na rozkoszowanie się aromatycznymi napojami, skręcaniem na zapas papierosów i odstawianiem w ciemny kąt puszek z suszonymi i prażonymi igłami.

– Nie dzięki. Idę na patrol – wyjaśnił.

– Radiowy? Wartowniczy? – I widząc, że Krokodyl kręci głową, zaniechał dalszych pytań. Bo po co pytać, skoro zostawał tylko patrol pasterski, którego, mimo ważności dla ich wspólnoty, nikt nie lubił ze względu na przydarzające się „zaplatanie ogrodzenia". – Nie napijesz się? Jak wrócisz, to zrobię ci taką ekstra, dobra? – I zrobił znaczący gest dłonią. Nie chciał głośno mówić o swoich zapasach, gdyż wtedy jakimś dziwnym zrządzeniem losu zawsze zbierało się wielu chętnych na kilka dodatkowych, suchych grudek lub na dodatkowy łyk naparu i dla siebie samego niewiele zostawało.

– Dobra. Na razie.

– Na razie. Trzymaj się i pomachaj młodemu, ma wartę na dachu.

Fajnego ojca ma Smutny. On nie miał i trochę zazdrościł tym, którzy mogli wesprzeć się na rodzinie, na ojcu, bo matek i żon nie mieli. Szczęściarze mieli rodzeństwo, braci.

Doszedł do wartowni. Już na niego czekali. Zyga, niegdyś Valdemar Suchy, zwany za swoimi plecami Pryszczatym, od wyglądu twarzy; Hrabia, profesor Jan Czekalski, a raczej były profesor, bodajże tak mało użytecznego teraz przedmiotu jak pedagogika; Kufel, dawny bezdomny, który i wcześniej zwany był Kuflem i był bezdomnym na utrzymaniu państwa; oraz Pakistan, wnuk emigrantów, z czasów, gdy emigracja była dozwolona i miała jakiś sens, a którego nazwiska ze względu na trudną wymowę zapomnieli, przy okazji zapominając imienia. W ogóle zaczynali znać siebie pod przybranymi przezwiskami, które zacierały wspomnienie o dawnym życiu. Odrzucili nazwiska jak przeszłość. Tylko mama, Aneczka, powtarzała mu w wolnych chwilach, gdy nikt ich nie podsłuchiwał, że ma przechować w swojej pamięci nazwiska przynajmniej większości żyjących w ich zbiorowości. Mówiła mu też wiele innych rzeczy, które miał zachować tylko dla siebie.

Szef, dawniej Sanders Regulski, na jego widok tylko mlasnął głośno, co było wyrażeniem niesprecyzowanego niezadowolenia. Nie wiedział, czy to jego wygląd, czy jakaś była sprawa. Szef już od dłuższego czasu mlaskał z dezaprobatą na jego widok, aż wszyscy przestali na to zwracać uwagę, oprócz niego samego. Irytowało go to za każdym razem i za każdym razem tłumił w sobie wściekłość, i ciągle sobie powtarzał, że kiedyś nie wytrzyma i zbije Szefa, a może nawet zabije, a potem zajmie jego miejsce. Zamiast tego wysłuchał, gdzie powinni pójść, zaznaczył miejsce na swojej przerysowanej mapie i schował do kieszeni. Poszedł do przebieralni, założył swoje rzeczy. Od stróża pobrał maczetę. Własne były tylko noże i to te nie za długie. Te większe zostały zdeponowane jako wspólna broń w zbrojowni. Jedyną strzelbę dostał Pakistan wraz z czterema nabojami. Pozostałe strzelby i karabiny mieli strażnicy ich hali i zarazem ich życia, a jedyny pistolet Szef.

Często zastanawiał się, do czego doprowadziło bezwzględne rozbrojenie społeczeństwa w ich obecnej sytuacji. Wcześniej ponoć mieli wojsko z niewiarygodnym sprzętem mechatronicznym, a teraz pozostało im kilka strzelb wyciągniętych z pobliskiej leśniczówki i kończąca się amunicja. Jeszcze kilka miesięcy i będą stanowiły odstraszające atrapy. I co wtedy? Jak dadzą sobie radę? Co prawda utworzyła się pod przywództwem Hrabiego grupka entuzjastów posługiwania się łukiem i włócznią, ale co zrobią tymi patykami, gdy nadejdzie uzbrojona grupa? Popatrzył w stronę starego profesora. Ciekawe czy zabrał swoją procę? Ciekawe co zrobi, gdy w odpowiedzi na ciskane kamienie przyleci granat?

Wyszli z hali. Zrobiło się jaśniej, ale i zarazem zimniej. Chuchnęli w dłonie poprzez rękawice, chwilę potupali w miejscu i ruszyli szybkim krokiem, by się rozgrzać. Najpierw szli uprzątniętą drogą, aż do samotnie stojącej szopy, którą wybudowali nad jedyną studnią zapewniającą im wydłużanie szarej jak padający popiół egzystencji. Nie pamiętał tej budowy, choć w niej uczestniczył. Nie pamiętał jak pod dach wcisnęli pompy, położyli rury i całość skwapliwie zabezpieczyli. Wykonana praca dawała im coś, czego nie mogli uzyskać w inny sposób i w innym miejscu – wodę z jakiś podziemnych źródeł i choć miała dziwny posmak można ją było pić.

Potem poszli zniszczonym asfaltem aż do głównej drogi. W jedną stronę było do ich miasteczka, ale tam już dawno przestali chodzić. Co można było zabrać – zabrali, a co zniszczyć – zniszczyli inni. Rzadko tam się zapuszczali, by przy rozbiórce odzyskać jakieś materiały budowlane. Tak jak niegdyś kochali to miasteczko, tak teraz zdawali się go nie dostrzegać, zapomnieć, wymazać z pamięci. Gdyby nie obawa, że dym przyciągnie niepożądanych gości, to pewnie spaliliby je całe, do fundamentów.

Poza tym domy i mieszkania ich rozpraszały. Nie w znaczeniu skupienia myśli, ale rozpraszały fizycznie, jako gromadę. Nie stanowili w nich wspólnoty, a mieszkając w hali byli silną, zwartą grupą gotową odeprzeć każdy atak i wzajemnie się wspierać. Pamiętał, jak rodzina Nowaków uparła się, by zostać u siebie. Nawet dość długo im się to udawało, na tyle długo, że już szykowały się inne rodziny do powrotu, aż któregoś

dnia Nowaków już nie było. Nie pokazali się. Po kilku dniach zdecydowali się ich poszukać. Szukali prawie cały dzień, aż znaleźli. Ogryzionych. Oczywiście tych, których znaleźli, gdyż nie doliczyli się dwójki dzieci. A przy okazji stoczyli potyczkę z jakimiś przerośniętymi i wyleniałymi psami. To w niej sklepikarz Tomasz stracił stopę, odgryzioną przez jednego z nich. To ich jeszcze bardziej utwierdziło w postanowieniu trzymania się razem i mieszkaniu w hali cementowni.

Minęli ostatni posterunek. Wartujący Kulejący Kuter podniósł rękę na pożegnanie. Odpowiedzieli mu tym samym gestem i milcząco podążyli w dalszą drogę. Utarło się, jakoś tak nie wiedzieć z czego, że mijając ostatni posterunek nie wypowiadało się ani jednego słowa. Nawet jak szło się kilkanaście metrów dalej. Tylko gest dłonią. Można było się wylewnie i głośno żegnać w hali, ale na zewnątrz obowiązywała cisza. Kufel kiedyś opowiadał, że hałas pożegnania przyciąga. Nie powiedział co przyciąga lub kogo, ale jego opowieść, pełna zaklinania się na życie własne i wszelkich świętych, o znikających ludziach, sąsiadach, których jeszcze pamiętali, o krzykach, świstach, rzężeniach, dziwnych śladach i plamach krwi, które przecież widzieli każdego dnia wokół cementowni, wzbudziły wtedy taki popłoch u wielu młodziaków, łaknących tego typu opowieści, a potem przeniosła się na starych, którzy niejedno widzieli i w swoich umysłach doskonale dopasowali słowa do zdarzeń, że potem przez kilka dni nikt nie chciał wychodzić nie tylko na poszukiwania czegokolwiek, ale nawet na posterunki. Na dodatek w przeddzień zniknął cały patrol pasterski ze stadem i warta z wysuniętego posterunku. Znaleźli tylko ślady krwi, strzępki odzieży, trochę sierści, a w nocy coś kołatało się w „ich lesie" i parę razy ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk przechodzący w świdrujący wizg. Nikt nie spał. Zbijali się w gromadki i patrzyli tylko przerażeni po sobie. Wtedy to właśnie Kufel rozpoczął szeptać swoją opowieść. Po kilku dniach, gdy się uspokoili, Szef chciał go zastrzelić, ale jakoś skończyło się na przekleństwach i rutynowej chłoście wymierzonej osobiście i z takim zacietrzewieniem, że dwa razy złamała się rączka bata. Kufel to przeżył i gdy się wylizał z ran, to wydawało się, że nie pamięta tamtej nocy, opowieści i kary za nią.

Weszli w las. Ten „ich" – znany i oswojony, nie tak jak te inne, przy autostradzie, w których coś się tłamsiło, jadziło i wykwitało dziwnymi formami życia. Lisia była tego dobrym przykładem, ale też i płożąca się parzyca. Przeszli przecinką leśną, okrążyli zdewastowaną stację energetyczną i polami ruszyli w stronę jeziora. Żaden z nich nie był zadowolony z przydziału do patrolu i w grupie wyczuwało się rosnące napięcie.

– A pan, panie Kufel, uważa, że zrobi się cieplej? – Profesor do wszystkich zwracał się „per pan", co dało mu przydomek Hrabia. – Że zima ustąpi? Bo coś mi się wydaje, że nie przystosujemy się. Nie damy rady. Za mało czasu. Ja jakoś nie mogę się przyzwyczaić do tego chłodu. Dobrze, że jeszcze nie pada.

– E tam, damy radę. Przecież jakoś się ociepla – splunął. – Ja to niejedną zimę przetrzymałem na działkach. Dało się wytrzymać, choć zgadzam się, że czasami mogło być ciężko, ale jak był rozweselacz, a teraz nie ma i pewnie nie będzie, to największe mrozy nie były straszne. Teraz to nie zima. Kiedyś to skuwało nawet całą Odrę.

– Tak, ma pan rację, ale wtedy było normalnie. Można było się zagrzać w domu, w pracy, na uczelni, w sklepie, a i lato było gorące. Nie mi nie o to chodzi. Mi chodzi o człowieka. O kondycje człowieczeństwa. Ponoć tylko szczury i karaluchy…

– Jakiego człowieczeństwa? Jakiego człowieczeństwa?! – do dyskusji gwałtownie włączył się Pryszczaty. – Szczury? Karaluchy?! Kurde, ciągle się użeramy z jakimś gównem. Jakieś mutanty. Pokręcone, pokrzywione, wyją, nie gadają i tylko by żarły. To są ludzie?! Aż dziw, że żyją. Że ich ziemia nosi.

– Ty to byś się pewnie ich pozbył, co?

– A pewnie?! Ty co?! Żalić się będziesz nad nimi? Działki, psia mać! Altanki rozkradzione, popalone, zarzygane…

– Panie Valdemarze, panie Valdemarze. No, nie ma potrzeby się tak unosić. Wiadomo, że każde społeczeństwo ma jednostki mało produktywne, ale jako całość ludzkość cały czas parła ku rozwojowi, ku sztuce, ku gwiazdom.

– Właśnie, ku gwiazdom. I co z tego wynikło?

– Ależ to nie znaczy, że należy obwiniać człowieka.

– A kto to zrobił? Zwierza?!

– No, ja bym postawił na zwierza.

– Kufel, wiesz co? Ty jak coś powiesz, to nie wiadomo czy się śmiać, czy płakać. Zwierza?

– Zyga, ty jesteś młody i głupi, i jeszcze niewiele wiesz o życiu, a ja ci mówię, że nie zawsze ludzie przychodzą pod cementownię.

– Panie Kufel, ja bardzo proszę nie poruszać takich tematów. Mało było panu ostatnio.

– No, niby racja. Ej, Pakistan, rozglądasz się dokoła, czy jest okej? – I nie czekając na odpowiedź, choćby kiwnięcie głową, kontynuował: – Bo ja sobie myślę, za co takie coś nam zafundowali. Takie życie, jak nie do wiary. Źle było? Każdy miał tak, jak chciał. No, może nie wszyscy, ale państwo dbało, dawało jeść, dawało rozweselacz, no, troszczyło się. Więc żeby to tak, sru i poszło?! Ja nie wiem. No, profesorze, no jak to było?

– A czy ja, proszę pana, wiem? Tak to nas wychowywano. Ścierały się koncepcje ateńskie ze spartańskimi, postawy użyteczności jednostki dla ogółu i ogółu dla jednostki, a gdy wypracowaliśmy koncepcję wychowania i dobrobytu, to się okazało, że trzeba ideały zapożyczać. Te się ciężko przenosiły, ale co zrobić, technologie ich, siła ich, pieniądze ich, no i dyktat też był ich.

– I mamy, to co mamy. – Nie wiadomo było czy Pryszczaty komentuje ostatnie słowa, czy otaczającą rzeczywistość. – Nie jesteśmy dostosowani do jakiegoś szmatactwa.

– Tak, a najbardziej to było dziwne jak żeśmy nasze euro na yuany zmieniali.

– I wtedy trzeba się było postawić. Nie pozwolić. Żadne tam jeny. Tylko nasza kasa – oponował Kufel.

– Ta, jasne. Już to widzę. Jak się stawiasz.

– A co może nie, może nie?! A kto blokował urząd w Opolu? Kto?

– Pan?

– Ty?

– A niby kto?!

– Ale pan to chyba jeszcze w wózku, jak mama może zabrała pod urząd na spacer, o ile się nie bała – Hrabia się roześmiał. Inni też parsknęli. Nawet głosiciel tych słów też.

– Ale nieważne czy byłem oseskiem, czy nie. Blokowałem? Blokowałem! I to się liczy. Jestem jakimś tam bohaterem, nie? Nawet jakoś tak mnie zarejestrowali.

– Jako jakiegoś tam bohatera, to na pewno – z przekąsem stwierdził Zyga.

– No, toś mnie pan ubawił. I powiem tak, od razu lżej mi się idzie. Pan to potrafisz ulżyć człowiekowi na doli. Oj, dziękuję, dziękuję bardzo.

Parę metrów za nimi Krokodyl usiłował wydębić od Pakistana jego upragniony obiekt uwielbienia, strzelbę, do potrzymania lub poniesienia rzecz jasna.

– Ty, no daj.

– Nie.

– Ale co ci szkodzi. Poniosę chociaż trochę. Możesz naboje wyjąć jak się boisz, że wystrzelę.

– Nie. Ja ją dostałem i ja ją będę miał.

– Ale co ci z tego przyjdzie, że ją będziesz nosił. I tak ją będziesz miał, stojąc na warcie i pilnując stada. Poniosę, będzie ci lżej, odciążę cię na chwilkę.

– Nie. Daj mi spokój.

– Ale czemu.

– Bo nie. Kroko, czy ty jesteś jakiś nienormalny. Mówię nie, to nie! Nie rozumiesz?!

– Rozumiem, ale wiesz… – Ręka wyciągnięta złapała za kolbę.

Pakistan obrócił się gwałtownie wyszarpując broń.

– Zaraz ci w dupę strzelę, tumanie!

– Ej, dzieci, bo zaraz ja wam strzelę po dupach. – Zyga na moment odwrócił się i pogroził pięścią. – Spokój ma być na patrolu. Masz Krokodyl problem? Coś ci się zwidziało? Coś się nie podoba? To maszeruj grzecznie i nie jęcz. Przyjdzie czas to będziesz tachał giwerę aż ci to obrzydnie.

Chwilę maszerowali w milczeniu, po czym Hrabia znowu wdał się w rozmowę z Pryszczatym i Kuflem dotyczącą zmieniającego się klimatu. Krokodyl przez chwilę się przysłuchiwał, ale w końcu znudziło mu się to. Usiłował jeszcze raz pogadać z Pakistanem i jakoś go uładzić, bo nie chciał, żeby ten się na niego złościł, ale on nie chciał z nim gadać. Zarozumialec, raptem o rok starszy. Nie to nie. Pomyślał sobie, że mógłby stąd uciec, choćby zaraz. Zostawić ten niesprawiedliwy świat. Co go tu trzyma? Obowiązki, przepisy, groźba nieznanego, brak żarcia? Może być gorzej? Pójdzie do Częstochowy, pójdzie do bogini, poprosi o pozwolenie pozostania, przecież będzie przydatny. Ponoć tak się dzieje i nie trzeba mieć dokumentów, paszportu, zaproszenia. I nie słyszał, żeby kogokolwiek wyrzucili, a opowieści Kufla, że rozstrzeliwują, to już kompletne brednie, bo skąd on może o tym wiedzieć.

Tak sobie rozmyślając doszedł z grupą do pastwiska. Z daleka dostrzegli krzątających się ludzi, rozklekotaną szopę, w której powinien być piecyk i zwierza stłoczone w jednym końcu pastwiska. Krokodyl jęknął – więc nie zmienili ogrodzenia. Znowu będą się męczyć. Chyba niczego innego od kilku patroli nie robił. To już piąta zmiana pastwiska pod rząd, która jemu przypada. Szef to chyba specjalnie układa.

Doglądanie zwierzy na pastwisku było zajęciem nudnym lub ekscytującym, co w głównej mierze zależało tylko od stanu ducha i kaprysu doglądającego, no i od składu patrolu. Mimo różnorakich preferencji, było to zajęcie ważne. Utrzymywali się przede wszystkim z hodowli zwierza. Kiedyś to były krowy i świnie, teraz jakieś ich pokrzywione odmiany. Krokodyl zastanawiał się, czy też się zmienią jedząc ich mięso, ale Smutny zapewniał go, że tak nie będzie. Wierzył mu, bo Smutny był przecież najlepszym ratingowym uczniem. Mimo tego wolał jeść kukurydzę, której ziarna wielkości końcówki małego palca, były słodkawe, nawet na surowo.

Poprzednia grupa, którą zmieniali była jego zdaniem fajniejsza niż ta, z którą chodził. Co prawda był w niej Mareczek, który cwaniakował i kiedy tylko mógł każdemu, bez wyjątku, coś podkradał, ale akurat szefem był Gruby i przy nim zawsze było miło i wesoło, i chyba się nawet trochę lubili. Przynajmniej miał taką skrywaną nadzieję. To jakoś poprawiło mu humor i nawet, gdy dowiedział się, że będą musieli przesunąć zagrodę, co i tak wiedzieli, bo zwierza już tłoczyły się przy jednym końcu i żałośnie porykiwały, chrząkały i pomlaskiwały, nie zmieniało to jego nastawienia.

Ich poprzednicy mogli co prawda to zrobić, ale wiadomym było, że każda zmiana czeka z tym do nieodwołalnego końca. Po zwierzach było widać, że nie uda się przeczekać kolejnej doby. Trzeba było zabrać się do pracy, wyznaczyć nowy teren przylegający bokiem do poprzedniego, wbić paliki, rozciągnąć drut, przygotować ogniwa do podłączenia, odłączyć te ze starego ogrodzenia, rozewrzeć drut, przepędzić stado, zamknąć, podłączyć. Banał. Tylko, że jeden z nieregularnych boków tego pastwiska był zawsze oparty o wypalony obszar, gdzie nic nie rosło, nic tamtędy nie łaziło i wejście na niego zawsze kończyło się gorączką, czerwienieniem skóry, bąblami (i co z tego, że znikały po tygodniu) i kilkoma bezsennymi nocami, podczas których bolało całe ciało, kości, zęby, a nawet włosy. Za to na styku wypalonej i zmrożonej ziemi zawsze coś w ziemi rosło, co tylko zwierza sobie wygrzebywały i jadły, a one stanowiły podstawę ich pożywienia i utrzymania, więc były ważniejsze od nich samych.

I co z tego? Trzeba było podejść bardzo blisko i jak najdalej rzucić drut w wypaloną ziemię, inaczej zwierza przełaziły i rozbiegały się po okolicy, co najczęściej oznaczało ich całkowity przepadek. Czasami rzut trzeba było powtórzyć, a czasami wejść na parę kroków, by być pewnym zaczepienia i ktoś to musiał zrobić. Gówniane zaplatanie ogrodzenia.

Na razie Zyga wyznaczył Pakistana – co jest zrozumiałe, bo miał strzelbę – i Hrabiego do obserwacji okolicy, a z pozostałymi zaczął wbijać paliki. Zwierza zaczęły

podekscytowane przytupywać i pochrumkiwać. Wiedziały, że za jakiś czas wedrą się na nowy kawałek ziemi i zaczną ją ryć w poszukiwaniu czegoś do jedzenia.

Przez kilka godzin pracowali w milczeniu, bo o czym tu gadać. Kiedyś w jakimś patrolu było kilku starszych i wzięło ich na politykę. Dyskusja zrazu spokojna stała się gwałtowna, gdy zaczęła dotyczyć frakcji politycznych wyłanianych dawno temu do parlamentu. Kłótnia była na tyle burzliwa, że mało się wtedy nie pozabijali. Postanowiono ich rozdzielić i w ten sposób Hrabia trafił do jego grupy zamiast Smutnego. To powodowało, że Krokodyl nie bardzo lubił starego profesora.

Z polityki, którą utożsamiał z ostatnimi wydarzeniami, pamiętał tyle, że na początku było coś o inwazji obcych na ich kraj, pojawiły się jakieś napięcia na rynkach energii odnawialnej, gdzieś skoczyły ceny plonów, nie wiadomo skąd nagle wszystko podrożało. Jego wiekowy pradziadek z mundurową przeszłością narzekał, że znowu będą kartki i że przydałby się drugi Jaruzel, który by opanował sytuację. Wyjaśniał, że Jaruzel to był wielki wódz i generał, i ocalił kraj przed Rosją, której też już teraz nie ma. Krokodyl pamiętał jego monologi i cotygodniowe zakupy nieodmiennie złożone z tych samych produktów. Skończyły się one pewnego dnia, gdy pradziadek Stefan poszedł do supermagu po wódkę, cukier i papierosy (płacił za nie krocie, ale podatek od nich ignorował i nie obchodziło go, że to rodzina musi go spłacać za niego), i więcej nie wrócił.

Aż w końcu komuś nie wytrzymały nerwy i... jakoś się zmieniło całe życie. Zamarły transmisje fonowe, przestały działać tapy, szeptano o ruchach wojsk, aż nagle coś rozbłysło, huknęło i dotychczasowe życie zamarło. Biolampy świeciły się co prawda jak dawniej, ale miało się wrażenie, że ich blask nieco przygasł.

Potem ludzie zamknęli się w domach, potem przejeżdżały jakieś grupy strzelające gdzie popadnie i rabujące co się dało, potem większość ludzi wyruszyła w podróż każdym dostępnym środkiem lokomocji, a potem zaczął padać ten brudny śnieg z deszczem, wiać wiatr i nastały ciemności przerywane hukiem i rozbłyskami. Gdy po kilku dniach, czy tygodniach, to minęło, zaczęli wychodzić z domów ci, którzy przeżyli i dziwić się skąd ten szary śnieg. Nawet nie mieli na czym wyjechać z tego miejsca. Wszystkie pojazdy pokradzione, poniszczone, unieruchomione. Ogrom zniszczeń nie przerażał tak bardzo, jak ich wybiórczość. Do któregoś miejsca ziemi wypalona, czarna, metal poskręcany, kompozyt potopiony, plastik w ogóle na pył popalony, a metr dalej samochód nietknięty. No i tak dziwnie swędziała skóra koło takich miejsc, aż nauczyli się utrzymywać bezpieczny dystans. Zaczęli życie od początku. Najpierw pod przewodnictwem byłego kandydata na burmistrza, ale szybko okazało się, że jego ambicje nijak się mają do zastanej rzeczywistości, potem wikarego, którego ksiądz nie zabrał do samochodu. Chcieli na początku schronić się w kopalniach KoGu, ale przerażała ich podróż i niepewność drogi. A po Sądnych Dniach, jak je zwykli nazywać, okazało się, że jakoś sobie dają radę. To dzięki takim, którzy nie chcieli wątpić i skazywać siebie na powolną zagładę, a potem przyszedł Szef i wprowadził ich w nowe życie.

Szef nie był nikim wyjątkowym, żadnym szlachetnym wędrowcem znikąd wcielającym nowe ideały i rozsiewającym ziarna spokoju, dostatku i nowego życia. Był to mieszkający nieopodal ich miasteczka jakiś administracyjny urzędnik, który biorąc łapówki za wydawanie pozwolenia budowy, obietnice odrolnienia gruntów i inne jakieś szemrane interesy, których, mimo ciągle ponawianych obietnic, przez kilkadziesiąt lat nie potrafiono wyplenić i usunąć z urzędów. Przyszedł po kilku tygodniach ich rozpaczliwej samotności, zadowolony, przyjazny i z wieloma pomysłami. Pewnie wygłaszał różne opinie, z każdym rozmawiał, aż w końcu zaczął forsować swoje zdanie. Mimowolnie, ale za milczącym przyzwoleniem ich społeczności, został Szefem. I jeżeli kiedyś był kanalią, to teraz stał się przywódcą ich stadła, nade wszystko dbający o nich, potem o siebie, choć co do tego były podzielone zdania. Szeptali, że się zmienił. Szeptali, bo po co głośno mówić.

Nielicznym udawało się dołączyć do ich społeczności. Tak dołączył do nich Mareczek, Szalona Zocha, Stachu i chyba jeszcze kilku. Jakby chciał, to by sobie przypomniał jak na nich wołają, ale po co? Jeszcze rzadziej udawało im się kogokolwiek znaleźć. Za to potem znalazł ich Zakon i przyłączył, i narzucił swoje prawa, i tak już zostało.

Zatracony w pracy Krokodyl nie zauważył, a właściwie to dopiero wtedy zauważył, że był ostatnim wykonującym jakąkolwiek czynność, gdy inni przestali pracować, że ciężkie, wiszące nisko obłoki zaczęły się nieco przerzedzać. Mieli niebywałe szczęście. Robiło się coraz jaśniej i jaśniej, aż przez zwały chmur na moment wyszło słońce. Rozświetlając okolicę i wlewając w serca chwilową nadzieję – nie, że kiedyś przyjdzie wiosna, a po niej lato, ale że ociepli się i będą mogli zrzucić kolejne warstwy ubrań, że na hali zrobi się ciepło, że zazielenią się łąki i lasy. Krokodyl tęsknił także za mieniącymi się w blasku słońca jeziorami. Miał kiedyś bardzo dużą ochotę na kąpiel, nawet mimo ostrzeżeń, że obłazi po tym skóra. Pamiętał jak pływał w basenie, w jeziorze dawno temu i jaką czerpał z tego przyjemność – ujarzmienia obcego środowiska. Często wracał w marzeniach do tego momentu dzieciństwa, gdy wyprostowane ramię cięło wodę w rytmicznymi ruchami. Namacalnie czuł, że wtedy był wolny i zależny tylko od siebie, i czasami za tym tęsknił. Tym silniej, im bardziej zdawał sobie sprawę z tego, że jest to i długo będzie niemożliwe. Pamiętał, że kiedyś postanowił mimo wszystko wejść do wody. Nie obchodziła go niska temperatura, ani mroźne powietrze, ani konsekwencje schodzącej płatami skóry. Ale odkąd zobaczył parę czegoś, co wydawało mu się krokodylami wynurzonymi do połowy na brzegu pobliskiego jeziora, to przeszła mu na kąpiel ochota. Nie widział ich co prawda dokładnie. Nawet nie był pewien czy w ogóle coś widział, ale porozmawiał o tym z Szefem, który najpierw go wyśmiał, ale zwołał grupę i poszli sprawdzić tamto miejsce. Pamięta tamtą wyprawę. Pełną napięcia, wzajemnego ubezpieczania się, ostrożności i płochliwości. Niczego nie znaleźli, choć parę razy nad czymś się zastanawiali, grzebali w plecakach, coś wyciągnęli, coś montowali. Na pamiątkę tamtej wyprawy zaczęli wołać go Krokodyl.

Przestali pracować i wystawili blade twarze w atawistycznym odruchu do słońca. Będą o tym opowiadać przez kilka tygodni, aż inni przestaną im wierzyć. Jednak po chwili znowu zaczęło się ściemniać i jakby wetując ten przypływ nadziei zaczął padać drobny, mokry śnieg wymieszany z popiołem. Nie cierpiał tego. Tłusty i szary, przyklejał się do ubrania, a przy strzepywaniu rozmazywał się w smugi, które zostawały na odzieży już na zawsze. Dużo czasu tracił na usuwaniu go ze swoich ubrań. Ku ucieszy innych, gdyż w którymś momencie zaczęło to stanowić o znaczeniu posiadacza takiej wymazanej kurtki, płaszcza, czy kombinezonu. Im bardziej brudna, tym jej posiadacz więcej czasu spędził na zewnątrz, co dawało mu pewien mir u pozostałych. Co dziwne, było to związane z odzieżą, nie z osobą. Więc najbardziej wytrawny skaut w czystym płaszczu był mniej poważany, niż zestrachany młodzik w tłusto–brudnym płaszczu.

Zabrakło drutu. Zyga oczywiście powiedział, co o tym myśli i czyja jest to wina, choć nie wskazał żadnego winnego w swojej tyradzie. Skończyło się to, jak zawsze się kończyło – to właśnie Krokodyl miał wrócić i, w te pędy, przytachać z powrotem jeden zwój. On sam, czyli Zyga, oczywiście nie mógł tego zrobić, bo musiał czuwać nad zwierzami będąc dowódcą tego patrolu pasterskiego, Kufel nie mógł iść, bo miał mu pomagać, Hrabia był zbyt stary i pewnie by nie uciągnął całego zwoju, a Pakistan z bronią musiał tu być, bo miał broń. Jakież to było proste.

Na nieszczęście opad brudnego śniegu się nasilił. Jego koledzy schronili się w szopie, którą postawili zanim jeszcze urządzili pastwisko. Spojrzał jak z wystawionej rury wydobywa się dym i myśl o ognisku spowodowała, że mimowolnie skulił się i przeszedł go zimny dreszcz. Nie lubią go, dobra, on ich też nienawidzi. Siedzą przy ognisku i snują te swoje dziwne opowieści o tym co było. Nie znosił tych wspominków. Było, minęło, nie ma czego rozpamiętywać. Zwłaszcza teraz, po niedawnym najeździe jakiejś wygłodniałej bandy. Udało się ich odeprzeć, ale znacznie uszczuplili zasoby amunicji, ranili Małego i zabili dwa zwierza. Połowa mięsa wtedy się zmarnowała. Szkoda. Od tamtej pory przestali się czuć bezpieczni. I nie było to wcale radosne uczucie, za którym by tęsknili. Powiadomiony Zakon wykonał kilka patroli, posiedział parę dni u nich, ale na tym się skończyło. Co ich obchodziła jakaś rolnicza osada? Liczyli się tak długo, jak długo utrzymywali kontyngent dostarczanej żywności. Taka była prawda ich życia – przygotować w terminie kontyngent mięsa.

Pociemniało i zrobiło się nieprzyjemnie. Widoczność się zmniejszyła, a wiatr dodatkowo wyciskał łzy. Założył gogle, włączył noktowizor. Sprawdził stan baterii. Na wyświetlaczu widniało „76%”. Przez ostatni miesiąc ubyło ledwo dwa. Dobry, porządny, indyjski wyrób. Całą paczkę baterii znalazł w nielegalnej wyprawie do miasteczka i był z tego bardzo zadowolony i dumny. Wszyscy mu zazdrościli i to pewnie ta zawiść spowodowała, że ktoś doniósł. Wcześniej liczył nawet na możliwość wymiany na posiadanie strzelby, ale zamiast tego dostał dwadzieścia batów za niesubordynację, a na drugi dzień następnych dwadzieścia, za to, że nie podzielił się znaleziskiem. O dziwo nie odebrano mu baterii, które stały się pogardzanym przedmiotem, przywołującym fantomowe bóle pleców.

Przeszedł przez Spalony Las, a właściwie zagajnik. Same kikuty. Tylko w jednym miejscu jakieś lekko fosforyzujące zielsko. Kiedyś poszedł w tamtą stronę zbadać co to, ale im głębiej wchodził w Spalony Las, tym bardziej swędziała skóra. Nie doszedł. Stwierdził, że poczeka aż zielsko się rozrośnie, wtedy weźmie je do domu. Bezpłatne światło w nocy. Niezależne od biolamp. Uśmiechnął się do siebie na wyobrażenie cementowni oświetlonej przez całą noc oplatającymi pnączami.

Wszedł na most nad autostradą i jak zwykle zatrzymał się na środku patrząc na wszystkie cztery pasy – puste, martwe, gładkie. Przypomniał sobie, jak dziadek kłócił się z kimś na temat „gównianych i wąskich" dróg w tym kraju. A przecież nie były wcale takie wąskie. Wyobraził sobie jak mknie kompozytowym autostradą. Ech, w ogóle by się nie zatrzymywał. Nikt by go nie doścignął. Pędziłby przed siebie w stronę jasnego słońca. To będzie przyjemne uczucie. Zadumał się, zamyślił, zamknął oczy i całkowicie zatracił w wykreowanej wizji. Wyimaginowany wiatr z włosów rozwiał całkiem realny poszum silników. Momentalnie skulił się i przypadł do ziemi. Włączył okulary i rozejrzał się dookoła. Nic. Uniósł głowę i spojrzał na drogę. Nic. Odwrócił się i pochylony przebiegł na drugą stronę. Zobaczył światła. Zdjął okulary. Autostradą jechała kolumna wozów.

Dostrzegł powiewającą chorągiew Zakonu. Dlaczego jechali autostradą w stronę Opola? Dwa blaszaki na przedzie, potem ciężarówka, i jeszcze jedna z transporterem na lawecie. Kolumnę zamykał jeden kompozyt. Ciekawe, co się tam dzieje? Odczołgał się od krawędzi i spełzł środkiem drogi do filarów wiaduktu. Dalej zagłębił się w las. Czy będzie chciał o tym opowiedzieć Szefowi? Nieczęsto widywało się jakikolwiek pojazd, a co dopiero kolumnę pojazdów. Nawet jak dojeżdżał do nich konwój, to i tak to była tylko grupa maszerujących handlarzy z osłaniającymi ją dwoma kompozytami. Ta kolumna na drodze uwrażliwiła go na otoczenie. Jakby więcej naraz zaczął słyszeć i postrzegać. Skulił się w sobie i stał czujny.

Trzasnęła gałązka w lesie. Momentalnie się zatrzymał. Włączył gogle i przykucnąwszy przeglądał kawałek po kawałku miejsce skąd dobiegł go hałas. Potem jeszcze rozejrzał się dookoła i jeszcze raz wpatrywał się w miejsce skąd doszedł go niepokojący dźwięk. Jest. Zobaczył. W zastygłej pozie wpatrywała się w niego lisia. Jeszcze się nie zdarzyło, by kiedykolwiek lisia zaatakowała człowieka, ale po co sprawdzać, czy ten pierwszy raz nie nastąpi dzisiaj? Chrupnie szczęką i jesteś bez nogi, a złapie wpół, to przegryzie na dwoje. Wstał i ostrożnie wycofał się, cały czas obserwując zwierzaka. Dopiero po kilkunastu metrach odwrócił się i pobiegł do cementowni.

Minął posterunek. Kutra pewnie już nie było, a zmiennik jakoś nie kwapił się trzymać warty na zewnątrz. Zresztą w taką pogodę komu by się chciało chodzić. Sypie szarym i ci co mają odrobinę rozumu chowają się w zacisznych kątach.

Nie to co na dachu cementowni. Tam punkt obserwacyjny był zabezpieczony przed wiatrem, śniegiem i popiołem, a strażników było co najmniej trzech i jeden musiał cały czas pozostawać na zewnątrz. Pewnie któryś z jego ziomków ma teraz

wartę i spogląda na niego przez dalmierz. Podniósł rękę i pomachał. Głowę by dał, że tam, na górze obserwator zrobił to samo i poinformował już o jego nadejściu.

W hali szyby zastąpiono płytami lub zamurowano, wejście było dobudowanym korytarzem, przyklejonym z jednej strony do budynku i zakończonym śluzą. Wchodząc do korytarza pomachał jeszcze raz strażnikowi na dachu, bo ten akurat spoglądał na niego wychylony przez krawędź. Ten go pozdrowił, i w geście tym Krokodyl zobaczył, że to jego jedyny przyjaciel – Smutny. Nazwany tak przez przekorę. Jego twarz, policzek pocięty w jakiejś dawnej bójce sprawiał, że każdy, kto na niego patrzył miał wrażenie, że się uśmiecha.

Stanął przed śluzą, zadzwonił. Po chwili szczęknęła blokada i mógł otworzyć drzwi. Wszedł do środka pomieszczenia, stanął, wziął konewkę i spłukał z siebie popiół. Stał chwilę, a potem zdjął skórzany płaszcz, strzepnął i zawiesił na kołku. Wziął szmatkę i zaczął go przecierać i czyścić. Zdjął i odstawił buty, zmienił spodnie, ubrał resztę swoich ciuchów i wszedł na halę.

Pytania zawsze ciekawskiego wartownika o tym, co było na patrolu i czemu jest tak wcześnie, co się stało, zbył jakimiś westchnieniami i mruknięciami.

Najpierw obowiązki. Podszedł do tablicy i na arkuszu zaczął nanosić dane z pastwiska. Tak kiedyś uzgodnili, że jeśli ktokolwiek w jakimkolwiek celu będzie musiał choćby na moment wrócić z pastwiska, to będzie musiał złożyć dodatkowy raport. Zdziwił się, że nikt nie przybiegł popatrzeć na wpisywanie danych. Zawsze kilka par oczu śledziło dane i porównywało z poprzednimi, a im bardziej konwoje się opóźniały, tym natarczywiej i nerwowo było przy tablicy. Nie daj, by jakiemuś patrolowi nie zgadzała się choćby jedna sztuka. Zaczynały się wyzwiska, przeklinania, a nawet brano się za wymierzania dodatkowych kar, jakby nakazana chłosta poprzedzana krótkim zazwyczaj dochodzeniem była niewystarczająca.

Po wpisaniu danych na tablicy chciał pójść do Szefa podać powód powrotu i uzyskać pozwolenia na zabranie zwoju drutu. Przy okazji pewnie opowiedzieć o przejeżdżającej kolumnie, ale jego uwagę zwrócił dziwny bezruch w hali. Zaczął nasłuchiwać i zdawało mu się, że usłyszał pomruk tłumu dochodzący z części hodowlanej. Poszedł w tamtą stronę.

Na hali na łóżku siedział Dziadek, naprawdę wiekowy staruszek, trzymał laskę między nogami i oparłszy dłonie na niej kołysał się w przód i tył.

– A tak, a tak... poszli wszyscy, zabierają ich, zawsze naprzód zabierają... a tak, a tak...

– Wszystko w porządku, Dziadku? – rzucił Krokodyl, bojąc się, by Dziadek nie odpowiedział i nie zatrzymał go, starając wyjaśnić dawno wyjaśnione sprawy. Na szczęście ten pogrążony był w letargu i z otępieniem powtarzał swoje „a tak, zabrali, a tak...", co dodatkowo wzbudzało niepokój. Przyspieszył, przebiegł przez dziedziniec do sąsiedniej hali, która służyła im za ubojnię, kuchnię i świetlicę.

Stali tam wszyscy, którzy nie musieli dzisiaj wychodzić na patrole. Tłoczyli się obok dwóch ludzi: Szefa i skauta Zakonu.

– Przemyślcie to sobie dobrze – mówił skaut. – Nie będę od nikogo z was wymagał natychmiastowej decyzji, ale może tak być, że nastąpi taki moment, że potrzebne będzie wasze wsparcie i wtedy – rozłożył ręce – znajdziemy chyba jakieś wyjście...

Zakończył rozłożystym uśmiechem i popatrzył na Szefa, który z kwaśną miną zakomenderował koniec zebrania i zaczął zaganiać wszystkich z powrotem do hali, bo zimno i do pracy, bo robota sama się nie zrobi. Zobaczył Krokodyla, który akurat zmierzał w stronę Aneczki.

– Ej, ty! Co tu robisz?! – Widać było, że jest zły i szuka sposobu by rozładować na kimś gromadzoną agresję. – Co, za zimno się zrobiło? Parę batów na rozgrzewkę?

– Przyszedłem po drut. – Krokodyl szybko zaczął wyjaśniać sytuację. – Zabrakło drutu. Jednego zwoju. Przyszedłem po drut. Zyga mnie wysłał, po drut.

Szef jakby się trochę uspokoił. Machnął ręką, żeby za nim iść i już nie patrząc ruszył przed siebie. Przez moment Krokodyl zdążył wyłowić utkwione spojrzenie mamy. Uśmiechnął się. Odwzajemniła go. Kiwnęła głową w bok, by poszedł za Szefem. Mrugnął do niej i ruszył za grupą. Kątem oka zauważył, że skaut idzie obok niego.

– Jak tam, młody, podoba ci się tutaj? – Głos miał dźwięczny i melodyjny. Pewnie byłby doskonałym uwodzicielem kobiet, gdyby nie biegnąca przez całe czoło głęboka bruzda nad brwiami, która szpeciła twarz i stanowiła odpychający szczegół.

– Nnno...

– Nie musisz mówić. Widzę, że nie wiesz. Podoba ci się, bo nie znasz zbyt wiele świata. Może coś z dzieciństwa pamiętasz, może z jakiś działających zbiornic, jeśli działały i jeśli pozwolono ci do nich sięgnąć, może z opowieści rodziców.

Krokodyl skulił się na samo słowo przywołujące rodziców. Skaut chyba dojrzał ten gest.

– Mógłbym sprawić, że poznasz trochę tego świata – wrócił do poprzedniego wątku. – Nie wszystkie opowieści są wymyślone. Dzieje się dużo różnych i znaczących spraw. Byłeś w KoGu? – znienacka zadał pytanie.

Krokodyl wzruszył ramionami.

– Tam dziura. Nic nie ma.

Skaut tylko kiwał głową.

– A w Opolu? Pewnie chodziliście tam po różne rzeczy. – W głosie jakby pojawiła się nutka drwiny, ale Krokodyl zdawał się tego nie zauważyć.

– Chodziliśmy – przyznał z ociąganiem – ale większa część jest niedostępna. Parzy – wyjaśnił. – A poza tym jakieś bandy się potworzyły i pilnują dostępu. No i te psy, czy co to jest?

– A byłeś u nas? W Zakonie?

– W Zakonie? Czyli w Częstochowie?

– Dokładnie, na Jasnej Górze.

– Chciałbym, ale nie ma kto robić na miejscu. Szef nie puszcza.

– A jakby puścił? To pojechałbyś?

– No, nie wiem. Pewnie tak, ale nikt mi nie da papierów. Paszport, zgoda na wyjazd, zaproszenie z Częstochowy... – zwiesił głos. – I pewnie za młody jestem na obowiązkową pielgrzymkę. Nie uda się.

– To chodź, pogadam z twoim Szefem – uśmiechnął się.

Krokodyl zwolnił i spojrzał baczniej na skauta. Nagle dostrzegł możliwość wyrwania się choć na tydzień z cementowni, a jednocześnie dostrzegł jakiś niedostrzegalny blask władzy w twarzy skauta i poczuł niepokój, który szybko zdusił.

– Naprawdę?

– Tak. – Skaut szedł w stronę narzędziowni nie patrząc na rozmówcę. – Chcesz czy nie?

Krokodyl nerwowo przełknął ślinę i nagle poczuł jak otwierają się przed nim niedostrzegane wcześniej możliwości. Czuł ważkość chwili i wiedział, że musi podjąć decyzję nim postawi następny krok.

– Chcę.

– To ja idę do Szefa, a ty się pakuj – rzucił beznamiętnie skaut, nie zwalniając swego marszu i w dalszym ciągu nie patrząc na niego.

– Jak to: pakuj? – Przebierał nogami starając się dotrzymać kroku.

– Normalnie. Chcesz jechać, czy nie? Chcesz – odpowiedział sam sobie. – To idę załatwić twój wyjazd.

Krokodyl zwolnił i się zatrzymał.

– A drut na patrol?

Skaut przystanął i w końcu spojrzał na Krokodyla.

– Nie martw się drutem, pójdzie ktoś inny – żachnął się zniecierpliwiony. – No, ruchy.

– No, nie wiem...

Krokodyl wątpił, aby ktokolwiek zechciał go zastąpić na patrolu. To po pierwsze, a po drugie Szef nie wyznaczał żadnych zastępstw.

– Ale ja wiem. Idź się pakuj. Załatwię wszystko – podszedł do młodzieńca i położył mu rękę na ramieniu. – Nie martw się i przyjdź zaraz do Szefa. No... – uśmiechnął się, obrócił swoim silnym ramieniem i popchnął w stronę łóżek. – I mów do mnie Mucha.

Krokodyl zrobił kilka kroków, przystanął i odwrócił się. Skaut dużymi krokami oddalał się w stronę w stronę narzędziowni Szefa. Stał chwilę niezdecydowany co zrobić. Pakować się? Naprawdę, pakować się? Krokodyl ruszył za Muchą do Szefa.

Wchodząc do narzędziowni dostrzegł jak jeden z ochroniarzy Szefa tylko łypnął w jego stronę, ale nie kazał mu się opowiadać i czekać na wezwanie. Machnął tylko ręką, żeby wchodził do środka. Trochę go to zdziwiło, ale zmęczenie drogą i oszołomienie niedawną rozmową sprawiło, że przeszedł nad tym do porządku dziennego i, w ogóle się nie zastanawiając, wszedł do pomieszczenia. W środku zastał opartego o stół skauta Zakonu i krążącego jak zwierza po polu Szefa. A w pokoju wyczuwało się elektryzujące napięcie.

Chciał powiedzieć po co przyszedł, ale nie pozwolono mu mówić. Szef był poirytowany i chciał go wyrzucić, ale skaut kazał mu zostać. O dziwo, Szef szybko i

miękko przystał na to. W końcu, po wysłuchaniu prośby o drut, kiwnął głową. Krokodyl chwilę postał i nagle zdał sobie sprawę, że obaj mężczyźni wpatrują się w niego. Poczuł jak propozycja Muchy staje się całkowicie niedorzeczna. Zaczął się odwracać w stronę wyjścia.

– Czekaj – to na pewno było do niego. Stanął. – A ten chłopak? – To pytanie już na pewno nie było do niego.

– Ten chłopak... – Szef zawiesił głos, wzruszył ramionami. – Jest za młody. Mucha, zlituj się. Poza tym ktoś musi pilnować zwierzy. Czy wam w Zakonie coś się nie pomyliło? Czego znowu chcecie? Naprawdę myślisz... – Widać było, że zaczyna się rozkręcać i za chwilę z rozdrażnienia wpadnie w irytację i zacznie krzyczeć, ale jakoś dziwnie uspokoił się pod spojrzeniem skauta.

– Nikogo nie chcę, choć ten jest młody, silny. Wygląda na takiego, który da radę. Przynajmniej na takiego wygląda. Przestań biadolić, proszę cię, przestań. – Takie słowa trochę dziwiły Krokodyla, ale nie miał czasu się nad nimi zastanawiać i w ogóle nad tymi dwoma mężczyznami, którzy wydawali się sobie znajomymi. – Ej, dobrze się uczyłeś?

– Ja? No, chyba tak...

– Chyba?

– Osiemdziesiąt siedem z kawałkiem na ostatnim pełnym semestrze.

– Czyli całkiem nieźle, co nie? – mrugnął okiem. – Chciałbyś coś powiedzieć, o coś poprosić, o czym rozmawialiśmy niedawno?

– Zdążyłeś już z nim porozmawiać?! – wypalił Szef.

– Zdążyłem. Zawsze rozmawiam z ludźmi, co w tym dziwnego. – Skaut wzruszył ramionami, a Szef zamilkł, sapnął i podniósł głowę. Krokodyl wymienił z nim spojrzenie.

– A więc jednak – mruknął Szef. – Chcesz?

Krokodyl poczuł, że to jest ta chwila. Wyczekiwana i zarazem unikana.

– Chcę.

– Trzymaj.

Szef z szuflady biurka wyciągnął paszport i zgodę wyjazdu. Wbił pieczęć i złożył podpis na obu dokumentach.

– Rozumiem, że o zaproszenie chłopak nie musi się martwić.

– Nie musi. – Mucha płynnym ruchem schował dokumenty do kieszeni swojego płaszcza, a z drugiej kieszeni wyjął jakiś żeton lub monetę. Krokodyl nie miał szansy przyjrzeć się jej lepiej, bo Szef szybkim ruchem zsunął ją do szuflady. – To co młody, czas na nas. Bywaj Suchy. Chodź idziemy.

Szef szeptał coś do siebie kręcąc głową, a w tym czasie skaut podszedł do Krokodyla, oparł swoją zwalistą rękę na jego ramieniu.

– Widzisz, mówiłem ci, że nie będzie to trudne. Chodź młody, idziemy.

– Aaale... – Krokodylowi odebrało mowę.

– Masz zakaz wstępu na salę. Zabieram, to znaczy konfiskuję na rzecz społeczności twoją skrzynię i wszystko, co w niej jest. – Głos Szefa wbił się w plecy jak zimna, stalowa igła. Krokodyl przystanął. Śpiwór, ogniwa i parę innych rzeczy. Nagle

zrozumiał jak wiele traci i poczuł, że nie chce się z nimi rozstawać. – I mogę to zrobić, bo takie mamy prawo u nas – to ostatnie zdanie skierował do skauta.

– Oj, Suchy, Suchy... – Ten tylko pokręcił głową i popchnął Krokodyla do wyjścia. – Nie martw się, ktoś inny przyniesie drut za ciebie. O rzeczy też się nie martw. Dostaniesz nowe. – I skaut wypchnął nieco odrętwiałego po takiej nowinie Krokodyla z pomieszczenia. – Lepsze i więcej. Niczego ci nie zabraknie.

– Chciałbym się pożegnać – powiedział, gdy wyszli z narzędziowni patrząc na salę, która była jego domem, i która nagle stała się bardzo odległa. Obok nich przemknął umyślny z kartką, którą za chwilę przypnie do tablicy z dyrektywą Szefa i ogłosi ją na hali. Czy to koniec? Jeszcze nie do końca rozumiał, dlaczego tak wiele wydarzyło się w ostatnich minutach.

– Przykro mi, ktoś przekaże od ciebie wiadomość w stosownym czasie. Dziewczyna?

– Aneczka.

– Ładna?

– To moja mama.

– Aha. Nie martw się.

Gdy szli w stronę wyjścia nagle wszyscy zrobili się bardzo zajęci i unikali spojrzenia w oczy, odwracając głowę, gdy tylko na nich spojrzał. O co chodzi? Czyżby dopadł go werbunek? Przecież zwolnili ich osadę z tego obowiązku. To było jedno z gwarantowanych praw, jakie posiadali. Nie rozumiał. Nie pojmował i był zbyt przestraszony i zaskoczony, żeby zaprotestować. W końcu, gdy zakładał na siebie pod czujnym okiem strażnika buty, postanowił przerwać ciszę.

– Naprawdę zabierzesz mnie do Częstochowy? Zobaczę boginię?

– Pewnie. Tylko załatwimy jedną sprawę po drodze.

– Po drodze? Jeszcze gdzieś pójdziemy? Dokąd? Mucha, powiesz mi?

– Jedziemy do Opola.

– Jedziemy? Do Opola? – Był zdumiony. I nie wiedział czy bardziej tym, że uświadomił sobie, że pojedzie prawdziwym kompozytem, czy tym, że przypomniał mu się widziany konwój. – Ale co my tam będziemy robić?

Mucha wzruszył ramionami i przestał się odzywać. Wyszli na zewnątrz w lepką śnieżycę i ruszyli znaną drogą przez las. Wiatr przenikał przez poły płaszcza i powodował drżenie mięśni, a może to tylko nerwy po niedawnych wydarzeniach znajdowały ujście dla siebie. Mijając ostatni posterunek nawet nie popatrzył w tamtą stronę, nie podniósł ręki. Skulił się tylko i mocniej naciągnął kołnierz płaszcza. Szli w milczeniu. Powinien się cieszyć, a szedł jak na zatracenie. Przy wiadukcie czekała na nich ciężarówka. Mucha kazał mu wsiąść na pakę. Odchylił plandekę i podsadził go. Po czym wlazł do szoferki i pojechali. Krokodyl znalazł się w milczącej grupie kilkunastu młodzików i paru skautów Zakonu. Zbici w gromadkę, zmarznięci, przez moment wszyscy patrzyli na niego. Jeden wskazał mu miejsce. Ciężarówka ruszyła. Usiadł na wskazanej desce, by nie upaść i z tysiącem pytań kołaczących mu w głowie, tak jak pozostali, zaczął wpatrywać się tępo w podłogę.

ROZDZIAŁ 11
Michał ‘Veron’ Tusz – „Trzynastka, część 6”

Mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć pokonywali Namysłowskie Bory w typowym dla siebie milczeniu. W ciszy cieszyli się z pięknej, wiosennej pogody, tak samo przeżywali wszystko, co do tej pory przeżyli. A przeżyli przecież niemało, o czym dowiedziałeś się, drogi Czytelniku, na poprzednich stronach tej opowieści. Nie wiedzieli, jak długo będą musieli przemierzać polskie pustkowia. Nie wiedzieli dokąd dojdą; czy znajdą to, czego szukają. Zaczynali wątpić, czy wiedzą w ogóle, czego szukają. Czy to samo spotkało poprzednią ekspedycję?

Spotkanie z rodziną Krajanów było wyjątkowe. Każdy człowiek, którego spotkali na swojej drodze z góry Wolarz w Sudetach odcisnął na nich jakieś piętno. Podobnie było i z Krajanami. Doświadczyli tego przede wszystkim Ariel i Oliwia. Chłopak kilkukrotnie zabierał się do rozmowy z dziewczyną, jednak ostatecznie postanowił, że zachowa to co usłyszał dla siebie. Oliwia mogła poczuć się niezręcznie, a nawet oszukana i mieć do niego uraz. Nie chciał tego. Niech to pozostanie ich intymnym sekretem. Ich i Natalii Krajan.

Pod wieczór dotarli do starej trakcji kolejowej, tak jak instruował ich Stanisław Krajan. Przeszli wzdłuż niej jeszcze jakieś cztery kilometry, noc spędzili na opuszczonej stacji kolejowej. Owej nocy ich uszu dobiegło z oddali coś, czego nie słyszeli dotąd podczas swojej wędrówki – głosy zwierząt. Przypominało to szczekanie psów. Było ich raptem kilka, ale i tak spędziło im sen z powiek na długie godziny. Rankiem ruszyli dalej.

Następnego dnia po kilku godzinach marszu dotarli do obiecanej przez pana Krajana Czernicy, po drodze mijając całkowicie zrujnowane miasto Jelcz–Laskowice. Czernica nie prezentowała się lepiej. To odróżniało miejscowości z Dolnego Śląska od tych spod granicy – były niemal kompletnie zniszczone. Mogli się tylko domyślać z jakiego powodu.

Minęli dość leniwie płynącą Odrę, po raz drugi w trakcie wędrówki. Zatrzymali się na starym moście, który jakimś cudem ocalał z wojennej pożogi. Pomyśleli, że mają sporo szczęścia, w przeciwnym razie byłoby im bardzo trudno pokonać rzekę. Odra odzwierciedlała nastroje powojennego społeczeństwa. Żyła, bo musiała. W permanentnym smutku, lecz wciąż płynęła dalej. Następnego dnia dotarli do dawnej autostrady i skierowali się na północ, w stronę majaczącego w oddali Wrocławia.

W Bielanach natrafili na kolejny zablokowany wjazd do Wrocławia. Zauważyli, że na każda drodze prowadzącej do miasta prędzej czy później ustawiona była blokada z drutu kolczastego. Nie wyglądało to zachęcająco i choć nie napotkali na swojej drodze żadnych ludzi nie odważyli się przekroczyć zasieków. Autostrada kierowała ich na zachód. Postanowili z niej zejść i dalej okrążać miasto. W ten sposób dotarli do Smolca.

Wątpliwej jakości architektura, jeśli można tak określić walający się wszędzie gruz i niszczejące budynki ustawione wzdłuż szerokiej ulicy, biegnącej przez środek Smolca, nie odróżniała miasteczka od pozostałych, które zobaczyli przez ostatnie dni. Różnicę stanowili ludzie.

Tak, wreszcie dotarli do miejscowości, w której – zdawało się – żyli zwyczajni ludzie. Nie grupa wojowników, nie starcy pod dowództwem dawnego polityka, nie kontrolowani przez fanatyka pół–zombie. Od chwili wejścia mieszkańców Dziewiątki do Smolca towarzyszyły im spojrzenia wałęsających się tu i ówdzie mieszkańców miasteczka, starych, młodych, a nawet dzieci. Co więc było nie tak?

Ariel i pozostali powoli przechodzili przez wioskę, ostrożnie przypatrując się tubylcom. Każdy był w mniejszym lub większym stopniu zaintrygowany pojawieniem się nieznajomych, ale żaden nie kwapił się, by zapytać, kim są. Odprowadzali ich pustym wzrokiem, po czym przechodzili do codziennych spraw. Ktoś nieśmiało się uśmiechnął, ktoś inny zamienił słowo z sąsiadem. Ale... nikogo tak naprawdę nie obchodziło, że w ich domu zjawił się ktoś nieznany.

Mieszkańcy Dziewiątki postanowili się naradzić.

– Nie wiem, co jest z tymi ludźmi, ale... – Ariel zadrżał. – Ciarki mnie przechodzą, jak na nich patrzę.

– Fakt, dziwaczni są – dodał Dziadek.

– Ale skoro już tu jesteśmy, może warto się popytać? – zaproponował Kapłan.

– Masz rację – odparł Ariel i rozejrzał się wokoło. – Chyba mają tu jakiegoś lidera, nie?

– Trzeba się zapytać – powiedziała Oliwia i podeszła do najbliższego domostwa, przed którym z niczego niemówiącą miną stała kobieta w średnim wieku. – Przepraszam, czy mogłaby nam pani wskazać drogę do... kogoś kto... opiekuje się waszym miastem?

– To dobre pytanie – odparła kobieta, po czym weszła przez otwarte drzwi do domu.

Oliwię zamurowało. Odwróciła się kompletnie zbita z tropu i z otwartymi ustami patrzyła na przyjaciół.

– Co tu się wyprawia? – powiedział Ariel.

Dziadek zachichotał.

– Nie no, przecież... – Ariel pomaszerował do domu vis a vis. Dojrzał dwóch mężczyzn siedzących na resztkach werandy. – Przepraszam, panów, powiedzcie mi, kto tutaj dowodzi?

– Nie bądź taki szybki Bill – odparł starszy z nich, a młodszy dodał:

– Ładny dzień, prawda?

Dziadek nie wytrzymał i roześmiał się w głos.

– Chyba niewiele się od nich dowiemy – rzekł, ocierając łzy.

Tym razem Kapłan podszedł do drewnianego domku, z okna którego wyglądała starsza pani.

– Dzień dobry... – zaczął, ale ona przerwała mu:

– Komuno wróć!

Zatrzasnęła okno. Tymczasem do Ariela podbiegło troje dzieci, które zaczęły się przekrzykiwać.

– Cześć!

– Pobawisz się ze mną?

– Ona rzuciła we mnie kamieniem!...

– Wiedziałeś, że ktoś ukrył narzędzia pod głazem?

– Daj mi rękę!...

– Aua!

Jak szybko się zjawiły, tak prędko zniknęły. Mieszkańcy Dziewiątki byli zdezorientowani.

– I co robimy? To jakaś wioska szaleńców – rzekł Dziadek.

– Nic tu po nas – odparł Ariel. – Niczego konkretnego się od nich nie dowiemy. Kto to w ogóle jest?

– I co im się stało? – zastanawiała się Oliwia.

– Nie przypomniał się wam Kościelec? – zapytał nagle Kapłan.

Spojrzeli po sobie. Poczuli się nieswojo. Kibolów już nie było, ale...

– Wynośmy się stąd.

– Ariel?

Usłyszał swoje imię. Błyskawicznie odwrócił się. W ich kierunku szedł człowiek w jasnym kombinezonie. Skąd on znał ten głos?

– Ariel, jak mamusię kocham!

Ariel przypominał sobie.

– Niemożliwe...

– Jak to nie, stary!

– Albert?!

– No, jacha!

Zrobiło się małe zamieszanie. Ariel podbiegł do dawnego przyjaciela. Uścisnęli się. Znaleźli lidera pierwszej ekspedycji z Dziewiątki!

– Co ty tu robisz?!

– Wyruszyliśmy was szukać!

– Jak to?!

– No tak! Wysłali drugą ekspedycję!

– Cholera!...

– A mnie jeszcze pamiętasz? – dobiegł ich głos zza pleców.

– Oliwka! Przecież to Albert!

– Cholera!... Oliwka jest z wami!

Albert nie mógł uwierzyć. Spoglądał na nią szeroko otwartymi oczyma.

– Oliwka...

– No... cześć – powiedziała, uśmiechając się.

– Niesamowite. Jak tutaj trafiliście?

– Długo by opowiadać.

– A Dziadka i Kapłana pamiętasz?

Albert spojrzał na dawnych współlokatorów Schronu Numer Dziewięć. Ale zdecydowanie bardziej był zainteresowany dziewczyną.

– Pewnie. Nie znaliśmy się zbyt dobrze, ale... Nie wierzę!

– No to uwierz! – Ariel klepnął go mocno w plecy.

– Od kiedy tak idziecie?

– Będzie już trzeci miesiąc.

– Ale numer...

Usłyszeli kroki za sobą. Zbliżały się do nich trzy osoby w podobnych jak on białych strojach. Z zaciekawieniem spoglądali na siebie. Jeden z nich rozpoznał.

– Niech mnie...

– Benny...

– Jasny gwint w mordę kopany... Ariel – odparł wygolony niemal na łyso, ale z obfitym zarostem na twarzy, niski, barczysty mężczyzna.

Przywitali się. W międzyczasie zbliżyła się do nich jedyna spośród nieznajomych kobieta. Dziewczyna w ich wieku. Podeszła do niego i złapała go czule za ramię, przyglądając się nieznanym sobie osobom. Oliwia instynktownie odsunęła się o krok.

Ariel dopiero po chwili zauważył niezręczność całej sytuacji. Spojrzał pytająco na Alberta. Ten zmieszał się.

– To jest Marta. Martusiu, to są moi przyjaciele ze schronu, z którego pochodzę.

Dziewczyna uśmiechnęła się. Oliwia wbiła wzrok w ziemię.

– Słuchajcie, zapraszam was do mojego domu. Naszego domu – poprawił się, spoglądając z uśmiechem na Martę. – Mamy sobie tyle do powiedzenia.

Ariel zawahał się. Oliwia szybko odpowiedziała:

– Oczywiście, bardzo chętnie.

Albert przedstawił jeszcze jednego ubranego na biało mężczyznę, który jednak szybko ich opuścił. Skierowali się za Albertem i Martą, którzy obejmując się poszli przodem. Ariel położył dłoń na ramieniu Oliwii, ale ta tylko pokręciła smutno głową. Zostawił ją w spokoju. Radość ze spotkania ze starym znajomym uleciała tak szybko jak się pojawiła.

W domu Alberta i Marty wszyscy zasiedli do stołu. Gdy nowa partnerka Alberta krzątała się w kuchni, Ariel poprosił Alberta na stronę.

– Wyjaśnisz mi to?

– Nie ma czego wyjaśniać – odparł beznamiętnie. – Zostawiłem tamto życie. Zrezygnowałem z niego. Kiedy tylko zorientowałem się, że cała ta ekspedycja to lipa, nie chciałem już wracać.

– Jak to... „ekspedycja to lipa”?

– Jesteście potwierdzeniem moich słów. Nie zamierzam się przed nikim tłumaczyć.

Ariel rozzłościł się.

– Mógłbyś chociaż z nią porozmawiać – wycedził przez zęby. – To dla ciebie z nami poszła.

Albert nie odpowiadał. Unikał kontaktu wzrokowego z Arielem. Z opresji wybawiła go Marta, prosząc o pomoc w przygotowaniu kolacji. Odszedł, a Ariel usiadł za stołem. Co jakiś czas rzucał spojrzenia Oliwce – była nieobecna, jak wówczas, gdy zabijała Kajetana Webera.

– No to... opowiadajcie – rzekł Albert z uśmiechem, gdy przygotowano już posiłek i wszyscy siedzieli przy stole.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Co jest? – Roześmiał się. – Nie macie nic do powiedzenia po tak długiej podróży?

– Jak długo szliście, przypomnijcie mi? – zapytał Benny.

– Kilka tygodni – odrzekł Ariel. – Ruszyliśmy jakoś na początku marca.

– Was też wysłali do Czech? – powiedział Albert.

– Tak.

– No właśnie. Banda morderców...

– Co masz na myśli?

– Rada Schronu – wyjaśnił Albert. – Zrobili to celowo, bo wiedzieli o murze i aktywnych strażach.

– Celowo? Po co?

– Żeby się nas pozbyć – odparł Benny.

– Nie rozumiem... – Ariel zmarszczył czoło.

Albert westchnął.

– W schronie wszystko działa jak należy. Jest za dużo ludzi. To ich sposób na odchudzenie populacji.

Zapadła cisza. Nawet Oliwia podniosła wzrok i wpatrywała się w dawnego chłopaka.

– O czym ty mówisz? – szepnął Ariel.

– Głowiliśmy się nad tym kupę czasu – rzekł Albert. – Pomyśl sam, wszyscy pomyślcie – czy przedstawili realne dowody na to, że jakakolwiek maszyneria siadła? Wszystko było ukartowane.

– Ale przecież... zasilanie... oczyszczanie wody... – zaczął Dziadek.

Albert pokręcił głową.

– To można było zmanipulować.

– No i jest coś jeszcze – powiedział Benny. – Nie ma Schronu Numer Trzynaście.

– Co?! – krzyknęli wspólnie Ariel i Dziadek.

– Nie ma – potwierdził Albert. – Projekt „Przetrwanie” zakładał wybudowanie dwunastu schronów.

– Skąd to wiesz? – rzekł Kapłan.

– Byliśmy w Ósemce, tutaj we Wrocławiu. Odnaleźliśmy archiwa, dane... To wszystko ściema.

Ariel zapatrzył się w punkt na stole. Był w szoku.

– Nie wierzę ci – powiedział cicho i spojrzał na Alberta. Ten przypatrywał mu się ostrożnie. – Nie wierzę – powtórzył – to niemożliwe.

– Tak jest, Ariel. – Albert pochylił się ku niemu nad stołem. – I musisz się z tym pogodzić.

– Nie... to nie może być prawda!...

– To jest prawda...

– Kurwa, nie! – wybuchnął nagle, waląc dłonią w stół. – I na co to wszystko?! Za co zginęło dziewięciu z nas, co?! Za co, do ciężkiej cholery, pytam?!

Albert wytrzeszczył oczy.

– Dziewięciu?...

– A tak, właśnie dziewięciu! – Oddychał głęboko, próbując się opanować. – Pięciu ludzi z bloku południowego zastrzelili jeszcze po czeskiej stronie, jeden uciekł, ale wątpię, żeby przeżył. A z naszych najpierw był Rudy, potem David... A na końcu Daniel...

– Daniel nie żyje?!

– Nie żyje... Kazałeś mu opiekować się Oliwką. I zginął, ratując jej życie.

Oliwia spojrzała krótko na zbitego z tropu Alberta i spuściła wzrok.

– Skąd mogłem wiedzieć...

– No właśnie – rzucił Ariel wyzywająco, ale opamiętał się.

Chwila milczenia była trudna do zniesienia.

– Dziewięciu ludzi... – wyszeptał Benny. – A od nas nikt. Cała piątka przeżyła.

– Gdzie pozostali? – powiedział Kapłan.

– Rozpierzchli się. Poszli na północ. Gdy dotarliśmy tutaj, przyznali nam rację, pożegnali się i... poszli. Po prostu poszli...

Ariel kręcił głową.

– Mimo wszystko szybko z nas zrezygnowaliście.

Dawni mieszkańcy Dziewiątki milczeli.

– A jeśli to dalej trwa? – po raz pierwszy odezwała się Oliwia. – Jeśli cały czas wysyłają ludzi na pewną śmierć?

Albert rozłożył bezradnie ręce.

– Nic nie poradzimy. Nie mamy możliwości.

Ariel przymknął oczy. Nagle wstał energicznie.

– Nie mogę... – rzucił tylko i wybiegł z mieszkania. Albert po chwili wyszedł za nim.

Ariel z dłońmi schowanymi w kieszeniach szedł szybko przed siebie. Łzy cisnęły mu się do oczu, gardło ściskał bolesny skurcz drążącej jego serce beznadziei.

– Ariel! – usłyszał za sobą.

Nie odwrócił się. Szedł dalej.

– Stary, zaczekaj! – Albert dogonił go.

– Daj mi spokój...

– Ariel, posłuchaj mnie...

– Nie chcę!...

– Czekaj! – Zatrzymał go mocnym szarpnięciem za bark.

Stali naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy.

– O co masz do mnie pretensje? Zrozum mnie. Co innego miałem zrobić? Iść w góry tylko z Bennym i co – próbować wyważyć właz? Do cholery!

Ariel chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Machnął ręką i odszedł. Albert ponownie go dobiegł.

– Ariel, proszę cię... Głupio mi, że tak wyszło z Oliwią. Pogadam z nią...

– Daruj sobie. Nie jesteś wart, żeby nawet na ciebie spojrzała.

– Okej, okej... Tak właśnie jest. – Odetchnął i spojrzał w ciemniejące niebo. – Słuchaj, ja ułożyłem sobie tu życie, przecież wy też możecie. Nie macie po co wracać do schronu. Są gotowi was odstrzelić, gdybyście się tam zjawili.

– Nie masz dowodów, że było tak, jak sobie to wymyśliłeś.

– A wiesz chociaż, jak tam wrócić? Co? Pomyślałeś o tym?

Ariel nie odpowiedział.

– Ci ludzie sami spisali się na straty. Naprawdę, odpuść sobie. Zamieszkaj tutaj i żyj sobie spokojnie przez długie lata.

Ariel patrzył na niego beznamiętnym wzrokiem.

– Nie tego nauczyło mnie pustkowie, wiesz. Nie masz pojęcia, kogo spotkaliśmy, co przeżyliśmy. Ty szybko znalazłeś swoje miejsce. Nie musiałeś iść pod wiatr, nie patrzyłeś psu w oczy. My to przeżyliśmy, daliśmy radę. I damy radę wrócić i uratować pozostałych.

Albert westchnął.

– Proszę cię, wróć do nas. Marta... niewiele z tego rozumie, ale... nie powinna się denerwować.

Ariel zrozumiał.

– Nie traciłeś czasu – prychnął.

Albert unikał jego wzroku.

– Słuchaj, dotarliśmy tu po trzech tygodniach od wyjścia ze schronu. Ci ludzie pomogli nam. Potem poznałem Martę i...

– Jasne, jasne... Nie tłumacz się.

Albert patrzył na niego wyraźnie bolejącym wzrokiem.

– Chodźmy, stary... – powiedział łagodnie.

Ariel z oporami, ale skierował się z powrotem ku domowi Alberta. Gdy weszli do środka, zaskoczył go widok Oliwii rozmawiającej z Martą. Obie uśmiechały się. To dodało mu nieco otuchy. Usiedli do stołu. Atmosfera nieco się oczyściła.

– O co chodzi z tymi fartuchami? – zapytał Dziadek, wskazując na jasne kurtki Alberta, Marty i Benny'ego.

– To dla ochrony – odrzekł Albert. – Nasza wioska ma... no... mały problem.

– Z czym?

– Z laboratorium „Złotniki". Pamiętacie, co to było?

Kiwnęli głowami.

– No więc, to co znamy z lekcji historii to tylko wierzchołek góry. Wydaje nam się... w zasadzie mamy pewność, że przeprowadzali tam – a może nawet wciąż przeprowadzają – jakieś szatańskie eksperymenty.

– Na ludziach? – rzekł Ariel.

– No… I te… eksperymenty… mutanty… czasami nas nachodzą. Te kombinezony to pancerze biologiczne. Tu je znaleźliśmy, nie mam pojęcia skąd się wzięły. Ale wolimy je zakładać, gdy idziemy przepędzić te stwory.

– Stwory?

– No… w połowie ludzie, a w połowie… cholera wie… zwierzęta?

– Mieszkańcy wioski panicznie się ich boją – wyjaśnił Benny. – W podzięce za pomoc patrolujemy teren nad lotniskiem i przepędzamy je.

– Jak to robicie?

Albert uśmiechnął się lekko.

– Wystarczy trochę pokrzyczeć, pohałasować. I uciekają.

– Pohałasować? – skrzywił się Ariel.

– No… ale z drugiej strony boimy się, że jeśli jest ich więcej i jakby ruszyły większą chmarą, to… nie wiem… mogłoby być różnie. Na razie nie dają powodów do paniki, ale do niepokoju jak najbardziej.

Ariel strzelił brwiami. Brzmiało to co najmniej dość niewiarygodnie.

– Co zamierzacie? – zapytał Benny, spoglądając kolejno na mieszkańców Dziewiątki.

Ariel westchnął.

– Nie wiem. Musimy się zastanowić, pogadać…

– Jeśli chcecie, możecie spać u nas – rzekła Marta.

– Nie chcemy… być wam ciężarem – bezwiednie powtórzył słowa pana Krajana.

– Ale to żaden kłopot!…

Ariel spojrzał po towarzyszach, zatrzymał wzrok na Oliwii. Ta skinęła lekko głową.

– Dobrze, skoro tak…

– Ale najpierw musicie nam wszystko opowiedzieć – zakomenderował Albert.

Tak też zrobili.

Rozmawiali bardzo długo. Mieszkańcy Schronu Numer Dziewięć opowiedzieli ze szczegółami o całej swojej wyprawie. Nie raz wzruszyli swoich słuchaczy, sami także płakali. Konwersacja trwała do późnych godzin nocnych.

Przez resztę nocy Ariel nie spał dobrze. Co rusz budził się, przewracał na drugi bok. To, co zasugerowała Oliwia o działaniach Rady Schronu, domysły Alberta i słowa Benny'ego o Trzynastce nie dawały mu spokoju. Gdy przebudził się po raz kolejny, na dworze było już jasno. Nie budząc nikogo, wyszedł na zewnątrz.

Szedł pogrążony w myślach aż dotarł do starego lotniska Wrocław–Strachowice, jak poinformowała go wyblakła tablica informacyjna. W oddali dostrzegł wysokie, białe mury dawnego kompleksu laboratoryjnego „Złotniki”. Przeszedł przez dziurę w metalowym płocie i szedł dalej wokół portu lotniczego.

Rozpamiętywał wydarzenia, jakich był uczestnikiem, konfrontował swoje poglądy z tym, czego dowiedział się wczoraj. Był w kropce. Z jednej strony nie chciał już dłużej wędrować. Był zmęczony. Chciał odpocząć. Smolec temu sprzyjał. Ale z

drugiej – w schronie zostawił ludzi, których znał i którzy znali jego. Nie miał wielu przyjaciół, dwóch najbliższych stracił w trakcie wyprawy. Jednak poznał tamtych na tyle, że mógł stwierdzić, iż to po prostu dobrzy ludzie. Nie zasługiwali na wyrzucenie z domu, śmierć z żadnego powodu. Zwłaszcza urojonego.

Słońce było już wysoko. Szedł, sam nie wiedząc jak długo, aż dotarł do rzeczki już poza terenem lotniska. Nieopodal dostrzegł mały zagajnik. Usiadł na solidnym kamieniu tuż przy brzegu i zapatrzył się w leniwie płynącą wodę strumyka. Dumał.

Nagle z zamyślenia wyrwał go jakiś odgłos. Ktoś wyraźnie się zbliżał. Cofnął się pod niewielką skarpę z piaszczystej ziemi, z ponad której swobodnie opadały na dół obsypane świeżymi liśćmi wiotkie gałęzie pobliskiej wierzby.

Nieznajomy podszedł niemal do miejsca, w którym skulił się Ariel. Najwyraźniej stanął tuż nad nim, bowiem wierzbowe witki poruszyły się. Chwila milczenia.

– Pięknie tutaj, prawda? – usłyszał dość wysoki, ale z pewnością męski głos.

Odpowiedział mu zaś taki, który zmroził krew w żyłach Ariela. Dziwacznie zniekształcony, głęboki jak u mężczyzny i jednocześnie delikatny niczym kobiecy. Do tego towarzyszyły mu dziwne pomruki.

– Tak, lubię tu z tobą przychodzić.

Ariel zamarł w bezruchu z kolanami podkurczonymi pod samą brodę. Czy to był jeden z tych mutantów, o których mówił Albert?

Słuchał.

– Wiesz... – zaczął „ludzki" głos – tak sobie marzę, że jesteśmy... jak to mówił Profesor?... aha – w siódmym niebie...

Odpowiedział mu cichy pomruk.

– Że jesteśmy tam, bo nadszedł odpowiedni czas. I w sam raz razem tam trafiliśmy.

Kolejny pomruk.

– Też o tym marzysz?

– Tak – odparł „nieludzki" głos. Ariel usłyszał jednak przebijający zeń smutek. Mężczyzna chyba także, bo odparł, bardziej stwierdzając niż pytając:

– Nadal nie masz przekonania?...

Właściciel „nieludzkiego" głosu odrzekł dopiero po chwili:

– Ty chcesz więcej, chociaż to, co masz, jest w sam raz dla ciebie.

– Dlaczego tak mówisz? – podniósł głos mężczyzna. – Nie wierzysz w moje uczucie?

– To nie tak – zawył mutant żałośnie i westchnął. – Brak mi sił, żeby o to walczyć. Nikt tego nie popiera.

– I co z tego?!...

– To z tego, że płaci bardzo drogo każdy, kto wybrał, żeby nic nie tracić.

– Gadasz jak Profesor – odrzekł mężczyzna po chwili. – Nie rozumiem cię...

– Natan... – westchnął mutant... – dlaczego mnie nie zostawisz w spokoju...

– Bo sobie i jemu to udowodniliśmy. Ty udowodniłaś.

– Co takiego?

– Że stać nas na miłość dłuższą niż tydzień, Kleo. Twierdził, że to niemożliwe, a my to udowodniliśmy.

Kleo zamruczała niepewnie.

– To znaczy…

– To znaczy, że cię kocham, Kleo. Bez względu na wszystko.

– I chcesz tego?

– Tylko przez cały czas! – wykrzyknął Natan, śmiejąc się.

Prawa noga Ariela, która od jakiegoś czasu zaczęła drętwieć, nagle zsunęła się po piasku. Zapadła cisza. Czy stojący ponad nim to usłyszeli? Ariel zamarł w bezruchu. Usłyszał odgłos oddalających się kroków. Wreszcie po kilku niemiłosiernie wlekących się minutach postanowił wyjść z kryjówki. Ostrożnie wyjrzał ponad niewielką skarpę i rozejrzał się. Nikogo nie zauważył. Chyłkiem wygramolił się wyżej i już zmierzał w kierunku, z którego przyszedł, gdy nagle jego uszu dobiegły ciche, szybkie kroki. Nie zdążył się nawet obrócić, gdy ze złowrogim warknięciem skoczyło na niego i powaliło boleśnie na plecy budzące trwogę stworzenie. Postury człowieka, lecz o porośniętej grafitową sierścią twarzy, przypominającej nieco kocią, i długich pazurach wbijających mu się teraz w ramiona. Najprawdopodobniej Kleo wpatrywała się w niego żółtymi oczyma. Nie było w nich jednak złości, raczej dystans, przenikliwość i… zaciekawienie. Gdzieś poza nią Ariel dostrzegł zbliżającego się nikłej postury mężczyznę.

– Kleo?

Mutant zamruczał.

– Kim jesteś?

– Nie jestem wrogiem – odparł przygnieciony do ziemi obywatel Dziewiątki. – Mam na imię Ariel… Ja…

– Podsłuchiwałeś nas.

– Tak… ale nie chciałem tego. Byłem tam jeszcze zanim przyszliście.

– To cię nie usprawiedliwia.

– Tak, wiem… przepraszam. Przestraszyłem się…

Kleo ucisnęła go nieco mocniej.

– Nie!… Nie ciebie… Po prostu… Nie znam was.

Kleo zmarszczyła brwi. Ariel starał się unikać jej przeszywającego wzroku, ale było to trudne, gdyż trzymała swoją głowę jakieś dwadzieścia centymetrów nad jego. Mimo to dostrzegł, że posiada także czarny gruby ogon. Poza tym była bardzo ładna, jeśli można tak określić kogoś tak osobliwego.

– Mieszkasz w Smolcu?

Ariel nie od razu skojarzył.

– Co… ach, tak… To znaczy, jesteśmy tam od wczoraj, więc…

– Zabierzemy cię do Profesora.

– Gdzie?…

– Do kompleksu. Profesor się ucieszy.

– Ale…

– Spokojnie, nie stanie ci się krzywda.

Kleo nad wyraz sprawnie powróciła do pozycji stojącej. Wyciągnęła rękę. Ariel z wahaniem chwycił ją, dźwignął się na nogi. Dziwne uczucie.

– Ja... naprawdę przepraszam...

– Zapomnij – przerwał mu Natan. – Chyba nie muszę nas przedstawiać, co?

Ariel uśmiechnął się blado.

– Istotnie.

– A więc chodźmy.

Udali się w kierunku lotniska, po czym skręcili nieco w prawo, obchodząc stary port wzdłuż dziurawego ogrodzenia. Następnie skierowali się w stronę sukcesywnie powiększających się białych budynków laboratorium „Złotniki".

Przez drogę praktycznie nie rozmawiali, Ariel zauważył jednak, że Kleo i Natan wymieniają między sobą pełne uczucia spojrzenia. Poczuł się trochę nieswojo, poza tym nie opuszczały go – a wręcz wzmagały się – niepokój i trwoga. W końcu nie miał pojęcia, z czym przyjdzie mu się zmierzyć w dawnym kompleksie badawczym. A i na ucieczkę brakowało mu teraz odwagi.

Na miejsce dotarli po pół godzinie żwawego marszu. Laboratorium robiło wrażenie. Ogromne, wysokie na kilka metrów, białe ściany muru oślepiały w słońcu. Przeszli przez wejście, po tym jak Natan wprowadził odpowiedni kod na numerycznej klawiaturze tuż obok masywnych drzwi. Oczom Ariela ukazała się jasna przestrzeń wypełniona takimi budynkami. Było pusto. Chodnikiem wyłożonym beżową kostką brukową skierowali się najwyraźniej do centrum kompleksu, najwyższego ze wszystkich budynku, górującego nad wieloma mniejszymi. Mijając kolejne laboratoria, Ariel czuł się jak w labiryncie. Rozglądał się dookoła z najwyższym zaciekawieniem, które chwilowo wyparło strach. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Nie dostrzegał jednak innych ludzi ani podobnych Kleo mutantów.

Po chwili dotarli do miejsca docelowego i weszli do wewnątrz. Sterylnie czysty korytarz mógł ich powieść w trzy strony, Natan i Kleo wybrali tę na wprost. Dotarli do windy, która zawiozła ich na czwarty poziom pod ziemią. Gdy weszli do kolejnego przestronnego i bielutkiego pomieszczenia, Arielowi zaparło dech w piersiach. Wokół spacerował co najmniej tuzin podobnych Kleo stworzeń. Zajęte swoimi sprawami nawet nie dostrzegały pojawienia się pośród nich kogoś obcego. Pracowały przy komputerach, probówkach, różnorakich specjalistycznych sprzętach. Jak to w laboratorium.

Natan sam udał się do widniejącego z przodu, przeszklonego pomieszczenia, ustawionego nieco wyżej, jakby na katedrze. Ariel pozostał z Kleo, oczekując. Zaczął się denerwować. Po chwili z gabinetu naprzeciw wyszedł Natan w towarzystwie niskiego staruszka w kitlu i z białą brodą.

– Witaj, jakże mi miło! – Dziadek uścisnął dłoń Ariela. – Wszyscy nazywają mnie tutaj Profesorem, więc niech tak zostanie. Jak ciebie zwą?

– Ariel.

– Wspaniale, wspaniale. Zapraszam cię do mojego gabinetu. Ach, w końcu...

– Przepraszam, ale... ja nie bardzo rozumiem, dlaczego tu jestem.

Profesor zmarszczył czoło.

– Jak to? Sprowadziliście go tutaj wbrew woli? – zwrócił się do Natana i Kleo. Natan szybko wytłumaczył zajście znad rzeczki.

– Hm… – zastanowił się Profesor. – Niemniej… skoro już tu jesteś, Arielu… mieszkasz w Smolcu, prawda? – upewnił się.

– Można tak powiedzieć.

– Tak bardzo zależy mi na dotarciu do tych ludzi. Mógłbyś mi w tym pomóc…

– Przykro mi, ale nie zamierzam narażać moich przyjaciół na kłopoty.

– Kłopoty? Nie, nie… jeszcze nie rozumiesz, ale wszystko ci wyjaśnię. Czy zechcesz mnie wysłuchać?

Ariel zawahał się.

– Nie wiem, jak mogę panu pomóc.

– Zawsze warto spróbować.

– W porządku – odparł po chwili.

– Chodźmy zatem. Tak…

Udał się do windy. Ariel za nim, dopiero po chwili dostrzegł, że Kleo i Natan w międzyczasie gdzieś zniknęli. Profesor z uśmiechem na twarzy wywiózł go – tym razem w górę – na szóste piętro. Z oszklonej windy mógł teraz obserwować „Złotniki" w całej okazałości. I jeśli z poziomu zerowego robiły niemałe wrażenie, to z góry wręcz olśniewały. Industrialne dzieło sztuki sprzed wojny.

Profesor zaprowadził Ariela do – na pierwszy rzut oka zupełnie nieprzystającego do reszty kompleksu – niewielkiego pokoiku, wypełnionego książkami, kwiatami, z wysłużonym biurkiem pod oknem skierowanym na pobliskie lasy.

Profesor usiadł za biurkiem, wskazując Arielowi fotel. Był najwyraźniej tak zaaferowany, że nie zauważył, iż spoczywa na nim stos encyklopedii. Ariel grzecznie podziękował.

– Tak, tak, wspaniale… – Profesor, mamrotał pod nosem, wpatrując się w swoje splecione palce.

– Co jest takie wspaniałe? – zapytał Ariel po chwili przyglądania się naukowcowi.

– Wreszcie mogę porozmawiać z człowiekiem z zewnątrz. – Profesor podniósł wzrok.

– Do tej pory nie mógł pan?

– Nikt się tu nie zbliża. To cud, że w ogóle ktoś mieszka nieopodal… tuż za lotniskiem.

– Ze względu na…?

– Tak. Ze względu na rezultaty eksperymentów. Homo animalis. Musisz jednak wiedzieć, że to nie ja byłem ich prowodyrem. To bardzo ważne.

– Dlaczego?

– Ponieważ ja teraz próbuję zapewnić im godne życie.

– A kto za to odpowiada?

– Wielu. Zaczęło się od Steinmana i jego badań nad przeszczepem mózgu. Gdy zwerbowało go wojsko, strategia działań kompleksu zmieniła się. Początkowo zakładaliśmy absolutne oddanie sprawie ludzkiej. Udało nam się opracować w pełni

funkcjonalne substytuty narządów wewnętrznych. To było niespotykane… – Oczy Profesora zaiskrzyły się, ale mówił spokojnie. – Na początku wieku było to możliwe, ale nie na taką skalę. Mogliśmy zrobić wszystko, przeszczepy narządów nigdy nie były tak dostępne. Dla wszystkich. Ale stąd już niedaleka droga do kreacji. Aktu stworzenia.

– Stworzyliście… sztucznego człowieka? – Ariel nie potrafił objąć tego umysłem.

– Z początku było ciężko. Ale… tak, w końcu się udało. Choć nie do końca.

Ariel słuchał z otwartymi ustami.

– Oczywiście, mieliśmy wątpliwości natury etycznej, ale… tworzyliśmy historię. Zmienialiśmy świat! Chcieliśmy odrodzić polskie społeczeństwo. W zasadzie – otrzymaliśmy takie zadanie…

– Od rządu?

– Tak, od samej Arletty Novac. Myślę, że… jej celem w istocie było stworzenie superżołnierza, niemniej zadanie było też takie, żeby zwiększyć populacje rdzennych Polaków.

– Sztucznymi ludźmi?

– Już wtedy zacząłem mieć wątpliwości. Chodziło przecież o oszukanie natury. Zbudowanie wylęgarni ludzi? Hodowli dzieci?

Profesor wstał i podszedł do okna.

– Jak mówiłem, z początku było ciężko. Musieliśmy zmierzyć się i pokonać niemożliwe. Samą naturę. Badania trwały latami. Głównie ze względu na krew, a w zasadzie jej brak. Po latach badań opracowaliśmy sztuczną krew. Znaleźliśmy sposób.

Ariel był wstrząśnięty, ale z drugiej strony także zdumiony, że Profesor mówi o swoich niebotycznych dokonaniach tak beznamiętnie.

– Wówczas dowiedziałem się, że w innej części kompleksu przeprowadzane są eksperymenty na ludziach i zwierzętach. Naukowcy próbowali łączyć geny za pomocą radiacji. Opracowano odpowiednią metodę wykorzystywania promieniowania. To było dla mnie za wiele. Postanowiłem odejść. Ale akurat wtedy wybuchła wojna.

Profesor wrócił na miejsce.

– Laboratorium przetrwało wojnę, dzięki zaawansowanemu systemu obronnemu. Ja musiałem pozostać w kompleksie, ale odseparowano mnie od wszelkich badań. Pozostali naukowcy pracowali dalej. Udało im się stworzyć sztucznego człowieka. Lecz nie odnieśli sukcesu. Frankenstein nie myślał. Przez to był martwy.

Profesor zamyślił się na moment. Westchnął i kontynuował.

– Wciąż przeprowadzali też eksperymenty na ludziach i zwierzętach. Pochłonęły mnóstwo istnień. W podziemiach znajdowało się istne zoo ze wszelkimi możliwymi, dającymi się wykorzystać gatunkami zwierząt. Nawet słoniami.

Ariel przypomniał sobie nocną wizytę nieznajomego pod Kielcami.

– Trwało to latami. Naukowcy wykorzystywali wszystkich ludzi, których udało im się odnaleźć na zewnątrz, w końcu zaczęli sięgać po personel laboratorium. Czułem, że jestem następny w kolejce. Ale wówczas homo animalis zbuntowały się. A raczej… po prostu wykorzystały swoją wrodzoną niedoskonałość. Agresję.

Ariel zmarszczył brwi.

– Naukowcy nie potrafili jej okiełznać. Nie znaleźli sposobu. Dlatego polegli.

– A pan jak przeżył?

– Udało mi się przekonać homo animalis, że nie chcę ich krzywdy. Starałem się je zrozumieć. Dotrzeć do źródła gniewu, który w nich drzemał. Nadal drzemie. Po całym tym czasie doszedłem do wniosku, że to niezgoda na to, czym się stali jest podstawą ich agresji.

– Ale... ci homo...

– Homo animalis – pomógł mu Profesor.

– Tak. Ci, których widziałem na dole nie wydawali się groźni. Podobnie Kleo...

– Gdy pochłonięci są pracą, ich agresja maleje. Poza tym otrzymują codziennie dawkę specyfiku, który opracowano jeszcze przed wojną. Oczywiście do celów wojskowych. Jego działanie polega na kontrolowaniu stanu umysłowego i emocjonalnego. I jest jeszcze coś...

Ariela oblała fala gorąca.

– Profesorze – wszedł mu w słowo – czy... ten specyfik mógł się wydostać na zewnątrz laboratorium?

– Oczywiście. Osobiście przekazałem go grupie ludzi, którzy zjawili się tutaj jakiś czas temu. Młody człowiek... o takim niespotykanym imieniu...

– Kajetan?

– Tak! Właśnie tak!... A skąd ty to wiesz?

– Profesorze, to nie było rozsądne z pana strony...

Ariel opowiedział o Kibolach i Kościelcu pod Częstochową. Profesor był mocno poruszony.

– Nie wiedziałem... – powiedział cicho, gdy Ariel skończył. – Tak pięknie mówił o swojej misji, o odradzaniu pustkowi... przekonał mnie. Tak mi przykro...

Naukowiec zasępił się. Ariel przyglądał mu się badawczo.

– Profesorze... dlaczego Kleo nie przejawiła wobec mnie agresji? Nie była wtedy niczym zajęta, nie pracowała...

– Kleo... – Profesor był przez chwilę w innym świecie. – Kleo... ach, tak... już wiem. To jest właśnie ten trzeci aspekt, o którym nie zdążyłem ci powiedzieć, a który również działa uspokajająco na homo animalis. Hormon szczęścia.

– To znaczy, że... wystarczy, że będą szczęśliwi?

– Tak. – Profesor uśmiechnął się słabo. – Kleo... zakochała się w Natanie, moim asystencie. Dzięki temu jej agresja spadła prawie do minimum. Niestety, jest jeden szkopuł.

– Jaki?

– Według wszelkich statystyk, jakie udało mi się odnaleźć, okres zauroczenia na tyle silnego, by wyizolować odpowiednio trwały hormon szczęścia trwa za krótko w stosunku do czasu potrzebnego na jego ekstrakcję z organizmu. Brakuje mi czasu, by opracować dla nich lekarstwo. Dlatego też chciałbym przekonać ludzi mieszkających w Smolcu, by poznali i spróbowali zaakceptować homo animalis. Może któryś z nich...

może zbliżą się do siebie w takiej liczbie, że będę miał wystarczająco dużo czasu i obiektów do badań.

Ariel zmrużył oczy i przypatrzył się Profesorowi. Dziwny człowiek.

– Innymi słowy – miłość jest lekarstwem?

– Hormon szczęścia, uaktywniający się w organizmie na skutek intensywnych doznań emocjonalnych. Czyli… w zasadzie tak.

– A może po prostu pozwoli im pan kochać?

Profesor spojrzał na niego niepewnie.

– Co masz na myśli?

– Dokładnie to, co powiedziałem – odparł Ariel. – Wie pan, w trakcie swojej podróży nauczyłem się, że miłość to… kiedy jedno spada w dół, to drugie – ciągnie je w górę. Może po prostu dość eksperymentów, a więcej… życia.

Profesor milczał.

– A Kleo i Natan… wydaje mi się, że ich uczucie trwa więcej… niż tydzień.

Naukowiec zmrużył oczy.

– Proszę z nimi porozmawiać. Pójdziemy tam razem – dodał po chwili.

– Słucham?…

– Do Smolca. W przeciwnym razie nigdy tam pan nie dotrze. Razem przekonamy tamtejszych ludzi, że… homo animalis nie są groźni, jeśli tylko okaże im się serce, a oni będą mogli zrobić to samo.

Profesor patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma.

– Naprawdę zrobisz to dla mnie? Dla nas?

– Zrobię. Musimy sobie pomagać, prawda?

Profesor wstał i z szerokim uśmiechem uścisnął dłoń Ariela.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować.

– Nie musi pan. Trzeba się liczyć z tym, że mieszkańcy Smolca nie będą mieli ochoty nawiązywać tak… osobliwych znajomości.

– Słusznie, ale…

– …warto spróbować – dokończył Ariel, powtarzając słowa Profesora z początku ich rozmowy. – Mam jednak prośbę.

– Tak, oczywiście, cokolwiek…

– Zapewne macie tutaj ogromne bazy danych, także historyczne.

– Zgadza się.

– A rządowe?

– Niektóre. Czego potrzebujesz?

– Projekt „Przetrwanie”.

– Zapraszam. – Wskazał na drzwi.

Ruszyli ku wyjściu.

– Co konkretnie cię interesuje? – zapytał Profesor, gdy zbliżali się do windy.

– Sam pochodzę ze schronu. Wysłano mnie i moich przyjaciół w poszukiwaniu Schronu Numer Trzynaście. Ale wiem też, że może on wcale nie istnieć…

– Schron trzynasty? – Profesor zatrzymał się w pół kroku. – Zaczekaj – rzucił i podreptał z powrotem do swojego pokoiku. Po chwili był już powrotem.

Ariel spojrzał na niego pytająco.

– Jedźmy, musiałem coś sprawdzić.

Zjechali na pierwszy poziom podziemny. Po wyjściu z windy oczom Ariela ukazała się ogromna przestrzeń od góry do dołu wypełniona komputerami. Podeszli do konsolety, za którą usiadł Profesor. Naukowiec wystukał na klawiaturze odpowiednie polecenia. Ariel przypatrywał się pojawiającym się na ekranie informacjom.

Po kilku minutach poszukiwań, Profesor pokręcił głową.

– Niestety, muszę cię zmartwić. Projekt „Przetrwanie" zakładał wybudowanie tylko dwunastu schronów. W Warszawie, Gdańsku, Lublinie, Kielcach, Krakowie, w Tatrach, na Śląsku, we Wrocławiu, w Sudetach, w Łodzi, Poznaniu i Toruniu. – Przed oczyma Ariela pojawiła się mapa przedwojennej Polski z zaznaczonymi schronami. Zauważył też, że w Czechach nie ma polskich schronów. – Wspomina się o tajnym schronie rządowym, ale to zastrzeżona informacja. Nawet teraz nie mam do niej dostępu. Być może chodzi o bazę wojskową w Bornem Sulinowie? Niestety, nie potrafię ci pomóc.

Ariel pokiwał głową. Nie ucieszyły go te informacje.

– A czego konkretnie poszukujesz?

– Technologii naprawczej dla mojego schronu.

Profesor westchnął.

– Nie dysponujemy czymś takim. W Ósemce też raczej tego nie znajdziesz. Wiem, że gdy ludzie zaczęli z niego wychodzić, wszystko wywlekli na powierzchnię. Chcą odbudować Wrocław.

Ariel milczał. Cholera…

– Tuż przed wojną rząd miał mnóstwo tajemnic, które dopiero później dały skutek – mówił dalej Profesor. – Projekt „Atom" nigdy nie miał zostać ukończony w sposób, jaki przedstawiali. Elektrownie nigdy nie miały powstać, przynajmniej nie takie, by zasilały energią miasta. Od samego początku miały to być silosy z rakietami jądrowymi. W wielu miastach pod przykrywką potężnych zakładów pracy kryły się w istocie tarcze antyrakietowe. Wszystko dywersja, wszystko dla zmylenia przeciwników.

Profesor zadumał się.

– Wiesz, dlaczego nie chciałem dalej uczestniczyć w badaniach?

Ariel skierował na niego wzrok.

– Bo czułem smak krwi w ustach.

Profesor wymienił z nim spojrzenie.

– Bałem się. Ale nie o siebie. Bałem się samego siebie. Traktowałem życie jak obowiązek. Cudze życie. Nie zważałem na cierpienie. Nie słyszałem słowa „nie".

Westchnął. Wyciągnął coś z kieszeni. Zniszczoną książkę w ciemnej okładce. Wręczył ją Arielowi. Wyblakłe litery układały się w dwa słowa. Pismo Święte.

Ariel spojrzał pytająco na naukowca, ale ten mówił dalej o czym innym.

– Wiesz, że afrykańscy Masajowie, gdy trafiali do więzień państw próbujących ich podbić, umierali w nich, bo uważali, że nigdy już nie ujrzą słońca? Nie zabijali się. Umierali z rozpaczy. To okrutne, co powiem, ale...

– Niech pan tego nie mówi – przerwał mu Ariel. – Wiem, co chce pan powiedzieć. Ale każdy, kto się urodził ma prawo do życia. A miarą człowieczeństwa dzisiejszych ludzi okaże się stosunek do homo animalis.

– Masz rację – odrzekł Profesor po chwili. – Chcesz się dowiedzieć czegoś jeszcze?

Ariel spojrzał po ekranach przed sobą. Nagle gdzieś rzucił mu się w oczy charakterystyczny znak. Litera chińskiego alfabetu.

– Tak. Czy znajdują się tutaj jakieś informacje o Chińczykach?

– O... ach, już wiem. Masz na myśli „przesiedlenia"?

– Ciekawi mnie, co się z nimi stało. Wiem, że przetrwali wojnę, wiem też, że prawdopodobnie opuścili tereny, które im przydzielono.

Profesor uderzył w klawisze.

– To interesujące... – Zmrużył oczy. – Według tych danych niemal rok temu do jednego ze schronów dotarł sygnał... z Chin. Dziwne, myślałem, że łącza zostały zerwane. Laboratorium ma kontakt tylko z dwoma schronami – Czwartym i Ósmym.

– Czwarty to kielecki – powiedział Ariel. Coś się klarowało.

– Zgadza się. Do tej pory milczał, ale było pewne, że otrzymuje od nas przekazy. Spróbuję wysłać sygnał... Hm... Wygląda na to, że terminal odbiorczy został wyłączony. Schron Numer Cztery jest pusty.

Ariel zmarszczył brwi.

– Wynieśli się.

– Najwyraźniej.

– Idą do Chin?

Profesor wzruszył ramionami.

– Wcale bym się nie zdziwił.

– No, to wszystko jasne – odetchnął Ariel. – Dziękuję.

Skierowali się ku windzie.

– Na nas także pora – rzekł Ariel. – Ruszymy, kiedy tylko będziecie gotowi.

Profesor skinął głową. W jego oczach Ariel wyczytał słowo „dziękuję".

Udali się na podziemny poziom czwarty, gdzie w przeszklonym gabinecie Ariel oczekiwał na Profesora i jego podopiecznych. Trwały gorączkowe przygotowania.

Spojrzał na otrzymaną Biblię. Nie wierzył w Boga. Nie była mu potrzebna. Kapłan z pewnością zrobi z niej użytek.

Odruchowo przekartkował kilka stron. Dostrzegł odręczne pismo. Mimowolnie zaczął czytać. W niedługo potem pierwsze łzy zaczęły skapywać na cienkie kartki.

Odnalazł swój Schron Numer Trzynaście.

ROZDZIAŁ 12
Marek Dryjer – „Trzynasty schron”

Z pamiętnika.

Obsydianowy pył zgrzytał między zębami, a mordercze fale gamma pustoszyły ludzkie wnętrzności. Ogromna kula ognia niespodziewanie przetoczyła się przez siedemsettysięczne miasto.

Dzień pierwszy.

Pół dnia zajęło mi wyjście na powierzchnię, gdzie byłem tylko przez chwilę. Drugą połowę pochłonęło długie i nieskładne myślenie. To co tam zobaczyłem niepodobne było do niczego. Stosy antracytowego gruzu zalegały z każdej strony, burgundowe niebo spalało się od środka, a porywisty wiatr przewalał tumany radioaktywnego kurzu na boki. Oberwałem tym nieprzyjemnie po twarzy. Poczułem gorąco, a gorzki posmak nieznanego dostał mi się do ust. Natychmiast zawróciłem.

Drzwi od schronu były przysypane miałkim pyłem i ciężkim popiołem, który utrudniał ich otwieranie. Z trudem odgarnąłem go nogą, przylgnął wtedy do buta niczym rzep. Uderzyłem kilka razy zniszczoną podeszwą o metalowy próg, aby się go pozbyć, niewiele to jednak dało. Odpadła tylko odrobina, reszta z wielką siłą wżarła się w obuwie. Ostatkiem sił zamknąłem za sobą, te ciężkie i skrzypiące podwoje.

Usiadłem na twardych granitowych schodach w obszernym betonowym przedsionku i skryłem twarz między dłońmi. Poczułem zapach piachu wymieszanego z ziemią, od razu cofnąłem ręce, odgarnąłem też przykurzone włosy. Nie potrafiłem skupić myśli, które niczym robaki w akwarium, ciągle gdzieś uciekały. Szlag by to trafił, zakląłem. Co się do cholery stało? Były to jedyne słowa, które przyszły mi wtedy do głowy.

Pytania bez odpowiedzi, przywykłem już do tego, i do tych wszystkich niechętnych mi spojrzeń także. Już nigdy więcej tak dranie na mnie nie spojrzą, dobrze im tak, głośno się zaśmiałem. Nie… cholera, płacząc, wykrzywiłem twarz w grymasie bólu. Przecież tak nie można.

Co powinienem zrobić, co powiedzieć, albo o czym pomyśleć, tego nie wiedziałem. Całe życie szykowałem się na taki właśnie dzień, z trudem przygotowując to schronienie. Wiedziałem o tym niemal wszystko, a kiedy w końcu to się stało, od razu umknęły niczym szalejący na pustkowiu morderczy wiatr, zarówno wiedza jak i niezawodne dotąd przeczucie. Poczułem się tak jakby mnie ktoś rozebrał do naga, jakby zerwał ze mnie także i skórę, wszystko okropnie szczypało.

Ostrożnie się podniosłem i powoli ruszyłem wzdłuż długiej i chropowatej ściany, o którą się bez przerwy podpierałem, prosto do głównego holu. Nie zapaliłem po drodze ani latarki, ani zapałek, było więc niesamowicie ciemno. Dlaczego tego nie zrobiłem? Ta myśl nie dawała mi spokoju. Co rusz się uderzałem i potykałem. Może

bałem się tego, co zobaczę, a może oszczędność w tej sytuacji dosłownie wszystkiego, wydawała się być najsłuszniejszym rozwiązaniem?

Dotarłem do niedużego polowego łóżka, które chybotało się tuż nad parującą podłogą. Namacałem ręką śpiwór, do którego wsunąłem się po chwili. Przedtem niezwykle ostrożnie zdjąłem przyciężkie buty, nie chcąc roznieść po żelbetonowej posadzce tego, co na nich przyniosłem. Nie wiedziałem z czym mam do czynienia, najgorsze myśli przychodziły mi do głowy. Nawet nie wiem kiedy zasnąłem, tak ciężko mi się oddychało.

Nie pamiętam też snu, ale wiem, że był strasznie męczący, bo ciągle sapałem i podrywałem się do góry. Mokry od lepkiego potu i zrezygnowany, podniosłem się z niewygodnego posłania, po czym stanąłem na chwiejnych nogach. Natychmiast zakręciło mi się w głowie, a sufit jakby przy tym zamienił z podłożem. Nie upadłem jednak. Utrzymałem równowagę. Wstrzymując oddech, próbowałem nasłuchiwać. Wszędzie panowała głucha i złowroga cisza...

Dzień drugi.

Z trudem otworzyłem oczy. Nie potrafię stwierdzić, ile czasu spałem. Nie wiem, czy w ogóle zasnąłem? Nie umiem także określić, jaka była na powierzchni pora dnia. Czas, który niemal od zawsze wyznaczał ludzkie życie, teraz jakby nie istniał. Stanął na dobre, gwałtownie zatrzymując się w miejscu.

Nie miałem zegarka. Nigdy ich nie lubiłem, bo ciągle gdzieś wszystkich bezlitośnie poganiały. Tak czułem. Teraz żałuję, że chociaż jednego, ostatniego nie zachowałem. Na taką właśnie sytuację. Jak wyznaczyć kalendarz, określić godzinę, jak liczyć te beznamiętnie wlekące się chwile? Postanowiłem sumować doby, ale jak? Od snu do snu, był to chyba jedyny sensowny sposób.

Niewiele wczoraj wymyśliłem, nic mi się także nie przyśniło. Może poza głośnymi eksplozjami potężnych stożkowych głowic atomowych, które były wymierzone w Polskę. Włosy nadal jeżyły mi się na głowie, skóra cierpła na karku, a zęby bolały niczym wyrywane paznokcie. Stop, ledwo zachrzęściłem ochrypłym głosem.

Szukając odległego celu, nie chciałem marnować sił na bezproduktywne przekomarzanie się ze sobą. Postanowiłem sprawdzić zapasy. Tak naprawdę, to cały drugi dzień na tym mi właśnie upłynął. Liczyłem także na to, że po drodze wpadnę na jakiś genialny pomysł, który mnie z tego wyzwoli. Przecież i tak w końcu będę musiał stąd wyjść... a może to tylko niegroźnie wyglądający incydent, może nie jest aż tak źle? Ta myśl była ze mną od początku.

Zapaliłem kruchą drewnianą zapałkę, jej jasne światło paliło się teraz na niebiesko. Po krótkiej chwili, kiedy dogasała, odpaliłem od niej lekko wygiętą białą świecę, która od razu buchnęła pełnym czerwonym płomieniem. Jej knot był nasączony specjalnym woskiem, który sam wymyśliłem. Byłem z tego cholernie dumny. Pomieszczenie natychmiast rozświetliło się ciepłym jałowym światłem, które rzucało na poczerniałe ściany kubicznie porozciągane cienie.

Poczułem ostre ukłucie. Zabolały mnie załzawione oczy, które od wielu godzin widziały tylko ciemność. Przetarłem je, ale niczego to nie zmieniło. Ból również nie ustąpił. Zamknąłem je więc na dłuższą chwilę. Zobaczyłem wtedy niepokojące obrazy z przeszłości. Wysokie i wąskie świece, które płonęły na potężnym ceglanym ołtarzu w zabytkowej średniowiecznej Katedrze, i cudowny Ostrów Tumski, którego liczne i przepiękne zielone zakątki, odbijały się w krystalicznym lustrze przepływającej przez Wrocław kobaltowej rzeki. Odra była pełna śmiercionośnych wirów, a jej nurt pochłaniał wszystko, z czym tylko się zetknął. Na powierzchni była jednak niezwykle spokojna.

Nie mogłem złapać tchu... siedemnaście głębokich oddechów, po których nareszcie otworzyłem oczy. Wszystkie je liczyłem, zarówno wdechy, jak i wydechy. Trochę mnie to uspokoiło, a wzrok się unormował. Spojrzałem dyskretnie na boki. Pod wybielonymi ścianami stały metalowe regały, na których leżało rozliczne jedzenie, oraz inne niezbędne w takiej sytuacji rzeczy. Z drugiej strony sali zalegały dwudziestolitrowe baniaki z zimną wodą, duże puszki z wołowym mięsem, owalne konserwy z morskimi rybami, drobiowe pasztety, a także rozmaite warzywa konserwowe. Było tego wszystkiego niemal trzysta sztuk.

Powyżej w szczelnych opakowaniach spoczywał gruboziarnisty chleb, prostokątne i twarde niczym kamienie suchary, ciemna kasza, ryż w dużych pięciokilogramowych torebkach i różne makarony, których na oko było z pięćdziesiąt kilo. Na samym dole ustawiono wieloowocowe dżemy w podłużnych przeźroczystych słojach, przesłodzone do granic rozsądku, niemal czarne konfitury, cierpkie kompoty i miód lipowy, który łagodził ból gardła, wszystkiego jakieś sto słoików. Ziarnista kawa z młynkiem w komplecie, zielona herbata i brązowy cukier w żołnierskich opakowaniach, oraz trochę suszonych egzotycznych owoców, stało z tyłu.

Tuż obok, w czerwonym plastykowym koszu, leżały zupy w proszku, pikantne meksykańskie sosy, i inne nic nieważące sypkie przetwory, które ostatecznie mogły uratować życie. Skład wody zawierał: tysiąc litrów nadającej się do picia, oraz dziesięć tysięcy litrów, tej mniej czystej, do użytku codziennego. Miałem też trochę piwa w zielonych butelkach o krótkich zgarbionych szyjkach, czerwonego słodkiego wina, oraz słodyczy, a także amerykańskie papierosy z filtrem, i jedną butelkę mocnej polskiej wódki.

Od niej też zacząłem, golnąwszy dla kurażu sporą szklaneczkę, którą następnie przegryzłem podsuszaną i pachnącą kiełbasą jałowcową. Ogórki konserwowe oraz chleb ze smalcem i ze skwarkami, dopełniły posiłku. Jednego dziennie, żeby zaoszczędzić. Świński zapach wytopionego ze słoniny łoju, niebezpiecznie przyjemnie, stłoczył się ponad moją górną wargą. Sprośnie się wtedy oblizałem, jednocześnie przecierając brudnymi palcami te słonawe usta.

Doliczyłem się także fioletowej, poniemieckiej lampy naftowej z niewielkim zapasem paliwa, oraz stu wąskich wybielonych świec, i dziesięciu dużych pudełek zapałek. Trzy zapalniczki, które wcześniej znalazłem w kieszeni, były niemal pełne. Na jednej z nich widoczny był motyw z gołą, cycatą babką, która ujeżdżała skórzane siodełko od pełnego chromu motocykla. Uśmiech natychmiast pojawił się na mojej

wynędzniałej twarzy, a zwisające przy baku Harleya Davidsona skórzane frędzle z rzemyków, jakby przy tym lekko powiewały.

Wagon jankeskich szlugów leżał na najwyższej z półek, niczym śnieg na himalajskim Dachu Świata. Zerkałem na nie od dawna, ale ich nie ruszyłem. Silna wola, pomyślałem. Wściekły, odwróciłem głowę. Zobaczyłem grube wełniane koce, górskie śpiwory, a także kolorowe ręczniki, mosiężne garnki i srebrne sztućce. W kącie stała niewielka kuchenka gazowa z owalną czerwoną butlą, a niezwykle ostre noże spoczywały w szufladzie stołu, w wygrawerowanym matowym etui.

Cała masa środków czystości i odzieży ochronnej, wśród której były także specjalne, nieprzemakalne sztormowe płaszcze i przeciwpyłowe maski na twarz. Kilka par drogich firmowych butów z wysoką cholewą, i specjalne kalosze, które nie przepuszczały dosłownie niczego. Kosmiczna technologia, parsknąłem śmiechem. Opatentowane, a jeszcze niedawno, były zaledwie w fazie prototypu. Kiedy je zdobyłem, wydawało mi się, że złapałem Pana Boga za nogi…

Broń też tam była. Stara strzelba z drewnianą kolbą i kompletem naboi, oraz sześciostrzałowy rewolwer wraz z pudełkiem amunicji. Naładowałem go, zakręciłem bębenkiem, odciągnąłem kurek. Przecież to takie proste, pomyślałem, kiedy przystawiałem go sobie do głowy. W myślach usłyszałem wtedy niemy krzyk umierających ludzi, i zobaczyłem okrutną śmierć, która zabierała ich ze sobą. Potężne wybuchy zagłuszyły błagalne wołanie, a ich pełne strachu i łez rozpaczy oczy, w jednej chwili zwyczajnie wyparowały.

Ocknąłem się, także płakałem. Łzy spływając po brodzie, kapały na podłogę i na buty. Otarłem ręką twarz. Poczułem ukłucie, to zarost zahaczył o cienką skórę. Wielodniowy, zranił boleśnie. Jak to możliwe, żebym spędził tu tyle czasu? Zastanawiałem się jak głupi.

Zimna lufa ciężkiej spluwy jeszcze mocniej przylgnęła do mojej prawej skroni. Palec wskazujący także prawej dłoni, coraz bardziej naciskał na krótki cyngiel, który był niesamowicie wyczulony. Przez chwilę miałem w głowie wielką pustkę… a potem, dosłownie w sekundę, przeleciało mi przed oczami całe moje dotychczasowe życie. Nie zobaczyłem jednak swojej śmierci. Zmarszczyłem brwi, cofając obolałą rękę. Znowu zakręciło mi się w głowie. Nogi się ugięły. Runąłem. Rewolwer wypalił…

Dzień trzeci.

Tej nocy w ogóle nie spałem, na dobre też zatraciłem wyczucie czasu. Chodziłem od ściany do ściany, niczym obłąkany w zakładzie zamkniętym, w poszukiwaniu swojego miejsca, którego nie znalazłem. Zgasiłem ociekającą woskiem świecę. Czwarta, pomyślałem. Po trzech poprzednich od dawna nie było już śladu.

Ostrożnie usiadłem, dookoła panowały piekielne ciemności. Żadnych dźwięków, żadnego ruchu… nic, tylko potworna głusza. Słyszałem swój nierówny oddech, wyczułem także odór, który wydobywał mi się z ust. Zasłoniłem je ręką. Poczułem zapach ryby w puszce, i zaraz po tym, aromat świeżych polnych ziół. Prawdopodobnie była to kolendra albo nać pietruszki, dodatkowo skropiona sokiem ze świeżo

wyciśniętej cytryny. Przetarłem nasadą dłoni podrażnione usta. Ten dotyk… było to, jak powrót do dzieciństwa.

Zobaczyłem siebie dawno temu, na nieskończenie długiej i jasnej, piaszczystej plaży. Świeciło popołudniowe słońce, a zimna niebieska woda obmywała moje skostniałe stopy, niczym górska struga nogi, przechodzącego przez jej nurt pasterza owiec. Odgarnąłem długie i jasne włosy na bok. Gorący wiatr, który zaciągał od wschodu, od razu mi je poburzył. Zgarnąłem je z twarzy, delikatny chłopięcy uśmiech zagościł na wąskich ustach.

Widziałem jak rybacy wyciągali swój całodniowy połów z obłożonego rdzą, czerwono–stalowego kutra, jak sprawdzali jego doskonałą jakość. Jedną z oporządzonych na szybko, sporych rozmiarów ryb, podarowali mi bez żadnego nawet zapytania. Przyjąłem ten dar z wielką radością. Od razu też ją powąchałem… było to niesamowite uczucie. Było w tym też coś jeszcze, jakaś metafizyka, niczym złudzenie osiągania niedoścignionego celu. Szybko powróciłem jednak na ziemię, a miłe wspomnienia po chwili zniknęły.

Kiedy wypalił rewolwer, a kula trafiając w jedną ze ścian, rozbiła zawieszoną na niej, szklaną ozdobną ramę, pomyślałem o najgorszym. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, instynktownie masując podłużną czaszkę, że byłoby lepiej, gdybym nie spudłował…

Pozbierałem zniszczone wystrzałem szklane odpryski, i odłożyłem je w bezpiecznym miejscu. Pod spodem, był jeszcze duży marmurkowy plakat z wizerunkiem ulubionej wokalistki, na który nakleiłem kiedyś kilka swoich szałowych fotografii, oraz widokówek, ukazujących ciekawe zabytki dolnośląskiej stolicy. Nie mogłem teraz na to patrzeć. Krew mnie zalewała i trafiał szlag. Złe myśli w obolałym mózgowiu, ścierały się z umykającą w próżnię, podupadłą nadzieją. Dlaczego, do cholery! Wykrzyknąłem.

Odpowiedzi żadnej nie było, tak naprawdę, to nie spodziewałem jej się wcale. Postanowiłem, że znowu wyjdę na zewnątrz, że sprawdzę raz jeszcze, czy to już aby na pewno koniec… tak właśnie zdecydowałem. Co zobaczę na powierzchni i kogo tam spotkam? Boję się tego. Chyba wolałbym nie wpaść na nikogo, ale z drugiej strony, jeśli ktoś jeszcze ocalał, to tam będzie. Kim się okaże? Strasznie się denerwuję, ale muszę to wiedzieć na pewno. Drżą mi kolana, jak galareta podczas zrzucania z głębokiego półmiska na płaski porcelanowy talerz, od razu po wyjęciu z lodówki.

Wiele godzin straconych na nierówną walkę ze słabościami, i jeszcze więcej na zimną analizę własnego beznadziejnego położenia. I jeden najjaśniejszy cel, poszukiwanie planu ucieczki, drogi końcowego ocalenia. Co robić tam na górze, jak się zachować i dokąd iść? We łbie mam tylko całkowity brak pomysłów i kompletne zero myślowe. Oparłem się o ciepłe stalowe drzwi, których nieludzko wręcz wytrzymała stal, bez przerwy prężyła się i napinała, niczym żylasta cięciwa potężnego germańskiego łuku.

Kiedy stałem mocno pochylony, z uchem przyłożonym do tych hermetycznych wrót prawdy, czułem wciąż narastającą trwogę. Kiedy próbowałem przez nie nasłuchiwać, było jeszcze gorzej. Pusty, blaszany dźwięk, szybko ogarnął moje

poplątane zwoje myślowe. Poczułem się tak, jakby mnie ktoś zamknął w potężnej puszce grochu i nią potrząsnął. Kiedy wreszcie szeroko otworzyłem te podwoje, ku mojemu zdziwieniu, lęki jak ręką odjął naraz zniknęły, a zapalniki niepewności, odpaliły z podwójną wręcz siłą. Objawiła mi się prawda absolutna, która ostatecznie pogrzebała w zgliszczach śmiertelnego świata niemal całą ludzkość. Oszołomiony obrazem prostoty nicości, z trudem wygramoliłem się z tego metalicznego sześcianu...

Dzień czwarty.

Wciąż dyszę, nie mogąc złapać tchu. Mimo, że wróciłem już dawno temu, nadal nie potrafię opanować emocji. Cały się trzęsę. Drżą mi ręce i nogi niczym w delirium padaczkowym. Nie mogę nawet utrzymać w dłoni małego jaśminowego mydła, które co chwilę mi z niej wypada.

Nie było mnie dwanaście tysięcy kroków w obie strony, tak przeliczyłem upływający czas. Po sześć tysięcy w każdą z nich. Mniej więcej tyle, bo skrupulatnie starałem się je liczyć, ale mogłem się też przecież pomylić? To także dwa uciskające w podbrzusze głody, których doświadczyłem po drodze, dwie poskręcane fale świdrującego w brzuchu niedosytu, miażdżącego od środka łaknienia. Czy to tyle samo, co tuzin tysięcy drobnych i ostrożnych stąpnięć?

Cztery przestanki, by uzupełnić płyny. Szesnaście łyków, po cztery na każdym z nich. Jedna toaleta, z której i tak nie mogłem skorzystać, bo nie byłem w stanie rozpiąć niewygodnego kombinezonu. Nasikałem więc do niego, do środka sztywnej nogawki. Ciepły płyn spłynął po mojej owłosionej nodze prosto do uwierającego w kostkę buta. Teraz nareszcie mogłem go zdjąć, walił uryną, jak zasikany miejski szalet. Przyzwyczaiłem się już do takich zapachów, bo były też gorsze.

Odetchnąłem z ulgą, uspokoiłem oddech. Nareszcie, pomyślałem. Przez chwilę trzymałem jeszcze w płucach, to gęste podziemne powietrze. Boże, co to była za tragedia, która nawiedziła ten świat? Boże, dlaczego!? Cisza od razu spowiła moje chore uszy swoim tępym wyniszczającym brzmieniem. Udało mi się też zapalić kolejną świeczkę, kilkanaście cenniejszych od brylantów zapałek na to poszło. Cholera, co za marnotrawstwo, pomyślałem.

Schyliłem się i wziąłem do poparzonej ręki pogięty wyblakły plakat, który leżał w stercie śmieci na zapylonej podłodze po środku obszernego pomieszczenia. Wpatrywałem się w niego, w te zdjęcia, w nieprawdziwe obrazy magicznych miejsc, których tak naprawdę chyba nigdy nie było. Prawda... a czym, że ona teraz była?

Wrocław z lotu ptaka. Średniowieczny Rynek, gotycka Archikatedra czy też tajemniczy i tak samo piękny Ostrów Tumski, którego bogato zdobiona, licznymi klasycznymi rycinami architektura, odbijała się w pulsującym lustrze przepływającej przez miasto rzeki. Boże, kto to wszystko zniszczył, ponownie westchnąłem z żalu.

Kiedy wyszedłem na zewnątrz zobaczyłem ściśnięte, niczym w miłosnym uścisku, szaro–bure chmury, i zastygłe w matowym mroku atomowej zimy, napuszone zawiesiny z pyłu i popiołu. Wieczna noc spowiła wszystko wokół, a gęsta wyblakła poświata ni to słońca, ni księżyca, oblepiała każdy dosłownie centymetr

pełnego kaskadowych wyrw i ukrytych szczelin, niebezpiecznego podłoża, po którym cicho stąpałem.

Szarości wymieszały się z czernią, a pył z resztkami pozdzieranego asfaltu. Wszędzie zalegała szadź. Padał też czarny deszcz, który chłonął swoimi grubymi kroplami niczym skapująca z dachu gęsta smoła, wszelką niemal materię. Nie było jednak wiatru. Nawet najmniejszego podmuchu. Dopiero kiedy wracałem z powrotem, niespodziewanie się pojawił. Niewiadomo skąd się wziął. Był zabójczy. Ledwo udało mi się przed nim schronić. Przykucnąłem w jakiejś ziemskiej rozpadlinie, i wcisnąłem głowę pod metalową strzechę powyginanego dachu. Ukradkiem spoglądałem na boki.

Potężne drapacze chmur wyglądały teraz, jak prymitywne, zrujnowane budowle przeznaczone do wyburzenia. Ich obdarte z tynku i szkła żelbetonowe szkielety, ukruszone i powyginane w połowie, z wystającymi w próżnię przerdzewiałymi masztami nieczynnych anten, paraliżowały swym widokiem jak potrącony przez ciężarówkę na pasach wózek z małym dzieckiem.

Śledząc przez zaparowane osłony nisko osadzonych oczodołów otaczające mnie jałowe pustkowie, poszukiwałem drogi ucieczki. Po chwili delikatnie już stąpałem po tym niepewnym gruncie w kierunku ocalenia. Obszar ten wyglądał jak wielka pustynia w Newadzie, którą dodatkowo nawiedziło monumentalne trzęsienie ziemi, a wszystko przykryły jeszcze tysiące hektolitrów czarnej jak ropa naftowa wody. Okolicę zalegały resztki niedających się jednoznacznie zidentyfikować odpadów, które leżały w śmiercionośnej mazi i bezmiarze nicości, niczym porzucony nieboszczyk w złogach pulsującego błota.

Brodziłem przez to. Co kilka kroków zatrzymywały mnie liczne nierówne pęknięcia dymiącego zewsząd gruntu, niewidoczne na pozór o śliskich brzegach uskoki, czarne dziury, nierówne wyrwy, oraz potężne wielometrowe wodne spady, które spływały z wysoka w tajemniczą otchłań. Ciemność oblepiła mi oczy. Lornetka, którą miałem przy sobie, w tej sytuacji była nieprzydatna. Nie znalazłem po drodze niczego, i nie spotkałem też nikogo. Zobaczyłem zaś coś, czego nigdy nie potrafiłbym sobie wyobrazić. Ujrzałem prawdziwe piekło.

Kiedy wzmógł się morderczy wicher, zawróciłem. Dzięki pozostawionym wcześniej znakom, błyskającym w ciemnościach odblaskowym hologramom, porozwieszanym na obszernych czerwonych płachtach, które zatknąłem na długie i wytrzymałe chorągiewki, uniknąłem śmiertelnej pomyłki. Dotarłem do upragnionego schronu. Zanim do niego wszedłem, ponownie musiałem odgarnąć zalegające pod jego drzwiami odpady. Umęczyłem się tym straszliwie.

Szkarłatny pył ostro wirował w mętnym powietrzu, zataczając ogromne koła i tworząc prześmieszne elipsy, ciężko opadał na zbrukaną krwią ziemię. Przekroczyłem próg i resztką sił zatrzasnąłem za sobą te siermiężne drzwi. Zakręciłem też przymocowanym do nich, wciąż zacinającym się i skrzypiącym kołem. Padłem na twarz z wycieńczenia. Zerwałem maskę. Poczułem wilgoć i zimno na języku. Odór śmierci roznosił się po schronie.

Upadając, uderzyłem swoim ciałem o równą niczym stół bilardowy podłogę. Głowa odskoczyła od podłoża, jak bila od sukna po zepsutym uderzeniu; jak oderżnięty przez Talibów chrześcijański czerep, który niespodziewanie spadł z wysoka. Próbując się unieść, straciłem przytomność. Wody, zdążyłem jeszcze pomyśleć, potem film urwał mi się już na dobre...

Dzień piąty.

Kiedy się ocknąłem, na około mnie nadal panowały palisandrowe ciemności. Nie wiem ile czasu byłem nieprzytomny, ale myślę, że wystarczająco długo, bo we śnie narobiłem w portki. Luźny stolec zdążył już porządnie przyschnąć do obolałego przyrodzenia. Usunięcie nieczystości zajęło mi sześćset siedemdziesiąt trzy płytkie oddechy, które skrupulatnie liczyłem. Musiałem też zapalić aż dwie świece, jedną w przedsionku, a drugą w głównym pomieszczeniu. Była tam prowizoryczna toaleta, nieduży hermetyczny kontener na pół tony gówna.

Przebrałem się w bawełniany dres i założyłem góralskie skórzane kapcie z odkrytą piętą. Wcześniej opłukałem stopy w chłodnej wodzie, a resztę ciała przemyłem mocno zwilżonym ręcznikiem. Napiłem się też wreszcie, odetchnąłem z ulgą. Nie na długo jednak. Kończyny miałem w opłakanym stanie. Moje nogi były niczym napęczniałe odpustowe balony, i krwawiły paskudnie z pojedynczych ran. Bolało jak diabli.

Wciąż nie mogłem skupić myśli, krwawe wspomnienia bez przerwy powracały. Rwało mnie wszystko. Głowa, której mózgowie absorbował tępy ucisk na skronie, trawiący umysł niczym rak, który pożerał ludzkie komórki w stanie agonalnym. W bebechach rządziła zaś piszcząca i nadymająca wnętrzności, powszechna fala skażenia, która poniewierała schorowane trzewia. Miałem wrażenie, że skóra płatami schodziła mi z pleców, że wystawały spod niej mięśnie i ścięgna, że wreszcie kości pękały pod wpływem najdelikatniejszego nawet dotyku.

Zapaliłem fajkę, potem kolejną i następną; kiepy w dużej ilości zalegały w popielniku pod stolikiem. Dym nie złagodził bólu, wręcz przeciwnie, tylko go spotęgował. Zażyłem kolorowe pigułki, podobne do słodkich kulek dla dzieci z krótkim firmowym napisem. Było ich całkiem sporo. Nie zadziałały. Zebrało mi się na wymioty. Nie wytrzymałem, puściłem pawia, paskudząc otoczenie. Wytarłem usta, a potem podbródek miękkim rękawem. Wziąłem do ręki Biblię. Spojrzałem na nią z niedowierzaniem.

Poza plakatem Madonny, był to jedyny papier jaki miałem, jedyny zadrukowany tekst. Wsadziłem nos pomiędzy kartki, które pachniały świeżym drewnem. Od razu też wyobraziłem sobie ogromny tartak. Zacząłem je wertować. Nie modliłem się jednak. Nie raz o tym myślałem, ale teraz najzwyczajniej już nie potrafiłem. Nie miałem wyboru, z premedytacją i ze łzami w oczach sprofanowałem te święte zapisy własną krwią, którą wcześniej przelałem do archaicznego kałamarza. Odrzuciłem pióro, Pismo Święte pchnąłem po posadzce prosto w ciemność. Westchnąłem. Kolejny parszywy dzień, pomyślałem. Czy ktoś to w ogóle kiedyś przeczyta?

Wspomniałem rodziców, łza zakręciła mi się w oku. Matkę, która odeszła jak miałem osiem lat, i ojca, który zachlał się na śmierć dwa lata później. Byli mi bliscy, jednakowo dalecy. Wylądowałem w obskurnym sierocińcu, gdzie bito mnie i gwałcono. Piękne czasy... pani Krysia, okrutna baba, która po tym, zawsze mnie do siebie czule przytulała. Brakuje mi tego... jej nie! W zasadzie to dobrze, że ją później ukatrupiłem. Zadźgałem sukę kuchennym nożem z piłką do chleba w samoobronie. Przeszedłem badania, uznali to za chwilową niepoczytalność, oczyścili z zarzutów. Byłem wolny. Świat kopnął mnie w tyłek po raz kolejny, w końcu odegrałem się na nim z nawiązką.

Nie mogłem się pozbierać. Unikałem ludzi. Bojąc się ich, zamknąłem się w sobie ostatecznie. To wtedy wpadłem na pomysł, aby wybudować schron. Dziesięć lat później, byłem już po siedmiu kolejnych nieudanych próbach. Nikt nie wierzył w to, że świat chyli się ku upadkowi, i że ostateczną rozgrywkę przeżyją tylko nieliczni. Nie chcieli mnie słuchać, mieli za wariata. Blokowali starania, umiejętnie mamiąc i oszukując. Uprawiali na mnie politykę. Zaufałem im, jak się potem okazało niesłusznie. Upodlili mnie tym straszliwie.

Mając trzydzieści lat niemal osiągnąłem upragniony sukces, prawie skończyłem dwunasty projekt. Zabrakło niewiele. Tuzin podejść i znowu pudło, po raz kolejny wszystko poszło na marne. Było to jak cios poniżej pasa. Poddałem się wtedy ostatecznie. Wówczas spotkałem Janka, który w krótkim czasie naładował mnie pozytywną energią. Kiedy go lepiej poznałem, to zrozumiałem, czym tak naprawdę jest prawdziwa przyjaźń.

Nadal jest tu zemną, był od samego początku. Razem stworzyliśmy ten trzynasty schron. Stoi teraz obok, przez cały czas spogląda na mnie spod byka i nic nie mówi. Nie dziwię mu się, bo i mnie szczęka opadła. Patrzy na mnie tymi swoimi połyskującymi tuż nad podłogą hebanowymi ślepiami, które nie boją się nocy, tak jakby wszystko doskonale rozumiał. Kiedy go jednak wołam, to odwraca głowę. Dlaczego nie chce ze mną rozmawiać? Chociaż jedno słowo, poprosiłem. Podreptał w ciemność niemal bezszelestnie. Chciałem krzyknąć: „ty szczurze”, ale zabrakło mi odwagi. Zakląłem tylko pod nosem.

Wypiłem słodką marynatę po bakłażanach, zjadłem też zielonkawe korniszony i razowy chleb z pastą energetyczną, która była zrobiona z bóg wie czego, oraz cierpki wiśniowy drzem. Zapachniało mi ogromnym i kolorowym sadem owocowym, który rozchodził się aż pod widnokrąg, gdzie horyzont przedzielały na pół stogi równo ułożonego siana, a rozległe pszeniczne polany okalały je swoimi falującymi na wietrze otwartymi kłosami. Źdźbło trawy ugięło się pod ciężarem opadającego na nie dojrzałego jabłka. Oblizałem usta. Smak gorzkiej czekolady pojawił się na języku. Celebrowałem ten moment w nieskończoność. Ja pierdolę, co to były za doznania!, krzyknąłem podekscytowany.

Wiem, że tu zdechnę, właśnie to zrozumiałem. Ostatnia nadzieja w nadajniku, który schowałem. To nieduże CB radio, było teraz całym moim życiem. Golnąłem sporego łyka wódki, po czym się rozluźniłem. Smak żaru w ustach i trwogę ludzkości w sercu poczułem wtedy w jednej chwili...

Dzień szósty.

Nie spałem ani chwili… ciągle tylko myślę. Wszystko mi się plącze, to zmęczenie. Bank możliwych alternatyw od dawna już nie istnieje. Został rozbity, a ja zbankrutowałem. Muszę jednak coś postanowić. Długa posępna czerń, która zawisła nad moją głową niczym chmura gradowa nasączona ołowiem, mami mnie, zapraszając pod szarzejącą strzechę. Jestem tu, powiadam. Odpowiedzi brak, żadna nie pada. Nieruchomy cień, który przedzielił ten zatęchły schron na pół, daje mi chwilę wytchnienia, z której skrzętnie korzystam. Łapię też cenny oddech. Potem oddaje się już tylko mozolnej pracy nad nadajnikiem.

Kiedy go wyjmowałem z ukrycia, drżały mi ręce, kiedy stawiałem na okrągłym dębowym stoliku, trząsłem się już niemal cały. Wstrzymałem oddech, tak jakby miało to coś zmienić? Nie zmieniło. CB radio wyglądało tak niepozornie, było jednak wszystkim. Niosło ze sobą nadzieję. Ta odrobina metalu i plastiku, była teraz głosem całego świata. Odkurzyłem je, próbowałem zestroić. Milczało jak zaklęte. Przedmuchałem wszystkie jego pokryte kurzem wygięcia i szczeliny, ale bez rezultatu. Sprawdziłem zasilanie, awaryjny moduł z wymiennymi bateriami sprawował się bez zarzutu. Co u diabła, krzyknąłem!? Jeżeli nie zadziała, to tak jakby Bóg nigdy nie przemówił, pomyślałem. Ziemia do kurwy nędzy nie kończy się na tym pieprzonym klaustrofobicznym grajdołku!

Złapałem się za głowę. Mocno ją ścisnąłem, ból nie minął. Pocą mi się ręce. Nie mogę utrzymać w dłoni słuchawki nadajnika, to nerwy. Pomyślę o czymś miłym, może wtedy złość ustąpi? Na początek jednak uśmiech… delikatny, wymuszony! Działa! Potęga umysłu, który leczy i zabija jednocześnie.

Zdjęcie nagiej seniority, gdzie je zapodziałem? Jest, mam je, było blisko serca. Jakie ona ma piękne usta, i oczy… te jej krucze loki, które zwiewnie opadają na delikatnie opaloną nadmorskim słońcem buzię. Jest śliczna. Kiedyś nie zwracałem na to uwagi, patrząc na inne jej atrybuty. Te dwa duże okrągłe i lekko przy tym obwisłe dzwonki, które prężąc się pod wpływem subtelnego dotyku, rozkosznie bębniły swoim niemym tumultem w moje oklapnięte uszy. Kusiły i podniecały, drażniąc oczy. Poczułem gorąco, a fala pożądania szybko ogarnęła moje zmysły.

Kiedyś była to zaledwie pokusa, którą na dodatek szybko zaspokajałem. Teraz natomiast, było to już coś zgoła odmiennego. Poczułem nieukrywaną sympatię do tej dziarskiej laluni… a może to moja niespełniona miłość odezwała się w ten właśnie sposób? Nie mogę dogrzebać się do suwaka, cholera… i tak nie dam rady go postawić. Pieprzyć to, twoje zdrowie! Wzniosłem bezosobowy toast, po czym pociągnąłem z flaszki sporego łyka gorzały.

Zobaczyłem dno butelki, było przeźroczyste. Identyczne, jak moje wynędzniałe ciało, które wychudło w zastraszającym tempie. Wpatrywałem się w nie przez dłuższą chwilę. A może upłynęło już zacznie więcej czasu, niż dotąd sądziłem? Może to nie sześć dni minęło, a sześć tygodni? Ta przerażająca myśl przybiła mnie do przysłowiowego krzyża.

Usłyszałem szelest, a zaraz po nim zgrzyt pękającego na plecach pancerza, który natychmiast skruszał pod naciskiem mocnych szczęk. Ujrzałem Janka, jak w najdalszym kącie tego ponurego miejsca, pożerał brykające po podłodze obleśne czarne karaczany. Ich odnóża znikały w jego owłosionym pysku, od razu po wciąż poruszających się i ociekających białą substancją, głowotułowiach, które wcześniej rozrywał na strzępy. Gwizdnąłem na niego, ale odwrócił się do mnie tyłem. Idź w cholerę, pomyślałem. I poszedł sobie, jakby czytał w moich myślach. Więcej już go nie zobaczyłem. Ustało też chrzęszczenie i chrobotanie.

Byłem głodny, tak bardzo, że już nawet o tym nie rozmyślałem. Pragnienie zaś gasiłem tylko od czasu do czasu. Tyle zapasów, całe regały, a ja umierałem z głodu i odwodnienia. Wyrzuty sumienia, teraz? A idźcie precz, przegnałem je, przekląłem. Splunąłem też, ale gęsta i lepka ślina nie wyleciała ze spierzchniętych i popękanych ust. Potwornie zacharczałem, nie mogąc odkaszlnąć. Poczułem smak krwi na języku. Bez zastanowienia pokuśtykałem do radia, które zostawiłem na grubym wełnianym kocu pod stołem na podłodze. Wpatrywałem się w nie niczym w bogato zdobione prezbiterium, pośrodku którego spoczywało zrobione z kości słoniowej, i pochodzące z czternastego wieku tabernakulum z ukrytą wewnątrz błyszczącą kustodią…

Dzień siódmy, prawdopodobnie.

Całkowicie straciłem wyczucie czasu. Zapaliłem też większość świec, może nawet wszystkie, które mi jeszcze pozostały. Bałem się sprawdzać ile ich było, a co się stanie, kiedy wypali się ostatnia, wolałem nie wiedzieć. Żółto–niebieskie światło zalewało zewsząd schron, gdzieniegdzie paląc się jeszcze białym i pustym w środku płomieniem, który falował na boki w ekwilibrystyczny sposób. Było jasno jak cholera. Przymknąłem oczy, po chwili znowu je otworzyłem. Porażające niczym słoneczny blask światło, nadal nie ustępowało.

Od dawna nie jadłem. Chciało mi się pić. Czułem się jak żywy trup, o którym zapomnieli już nawet przybyli na pogrzeb żałobnicy. Zapach zabójczej sadzy, a potem aromat zatykającego nozdrza, antracytowego pyłu i popiołu poczułem w swoich poparzonych ustach. Zobaczyłem dantejskie sceny wyjęte z pijackich koszmarów najgorszych oprychów, a potem gwałtowny koniec wszystkiego. Zapłakałem, ale były to nie tylko moje łzy. Był to także niemy protest konającej w agonii ludzkości. Zasłoniłem spuchniętą dłonią wymęczone źrenice, spuściłem też obolałą głowę. Przekląłem swoje życie. Cały ten cholerny dzień poświęciłem na tylko jedną, niezwykle przy tym monotonną czynność. Ze wszystkich sił starałem się nawiązać łączność…

Dzień ósmy, ostatni.

Leżę na lodowatej podłodze bez ubrania i w kałuży krwi. Ból i przygnębienie rozrywają mi wnętrzności. Wysoka gorączka rozsadza głowę. Dokoła panują egipskie ciemności, które nie zanikają już ani na chwilę. Nic nie widzę, niczego także nie wyczuwam. Są za to niezmordowane wciąż myśli. Wiele, tysiące, które plączą się w głowie niczym plemniki w prezerwatywie. Jedynie to mi pozostało. Ta niema

świadomość, która pogrążyła już niemal całe moje ciało, topi się teraz w pustej niczym gliniany dzban głowie.

Radio nie zadziałało. Ostatnia deska ratunku, ostatni oddech nadziei, ostatnie westchnienie umęczenia. Potem już tylko pusty, przerażający odgłos człowieczego buntu, który nabierając mocy, zmienił się w katastrofalny szał i permanentną demolkę wszystkiego. Zniszczyłem swój dom. Zniszczyłem ten parszywy schron. Rozbiłem wszystko, co tylko wpadło mi w ręce. Giąłem i łamałem, rzucając tym o podłogę. Zniszczyłem też zdjęcia, które wisiały na ścianie. Te piękne wspomnienia w jednej dosłownie chwili podarłem na strzępy.

Podpaliłem też zapasy. Patrzyłem jak płoną. Nie miałem papieru. Ani gazet, ani zeszytów. Nie pomyślałem o tym wcześniej, jak mogłem zapomnieć? Cholera, jaki byłem głupi! Brakowało mi jego nieprawdopodobnego zapachu, tylko Pismo Święte uchowało się jeszcze przy mnie. Rozlałem całą wodę, która pochłonęła ogień. Jasne światełko niczym wiosenne południowe słońce, rozpaliło moje piwne oczy po raz ostatni. Potem zgasło ostatecznie, a ja wraz z nim. Ostatnie słowa, które napisałem w blasku siarkowo–rubinowego światła, zniknęły z pola widzenia wraz z nastaniem odcieni purpury i smolistej czerni. Odrzuciłem wtedy na dobre, to alabastrowe gołębie pióro, upadając wraz z nim na śliską niczym lodowa tafla podłogę.

Rany, które sobie wielokrotnie zadałem, i tylko po to, żeby zdobyć kolejne, pojedyncze krople krwistego atramentu, okazały się śmiertelne. Poprzecinałem wszystkie niezabliźnione i pełne strupów szramy na skórze, niemal jedną po drugiej. Zaczęło mi to nawet sprawiać przyjemność. Zobaczyłem oczyma wyobraźni uśmiechniętych ludzi, którzy mnie do siebie zapraszali. Było tam niezwykle jasno i ciepło, poddałem się temu z radością. Nie do wiary, pomyślałem. Oni mówią, że to nie koniec. Wierzę wam, odparłem, znikając w ich ramionach. Bełkotliwy zapis moich szyderczych zwierzeń dobiegł końca. Splamione nim kartki poświęconej przez matkę za życia Biblii, szeleszcząc niczym liście w jesiennym parku, spoczęły jedna na drugiej. Święta księga życia i śmierci zamknęła się wtedy po raz ostatni.

ROZDZIAŁ 13
Michał ‘Veron’ Tusz – „Trzynastka, epilog”

Ariel szedł w otoczeniu Profesora, Natana, Kleo i kilkunastu innych homo animalis. Zbliżali się do Smolca. Większość mutantów rozglądała się wokół siebie z najwyższym zainteresowaniem. Prawdopodobnie po raz pierwszy opuścili teren kompleksu laboratoryjnego „Złotniki”, teraz dosłownie chłonęli otoczenie.

Ariel ściskał przed sobą otrzymaną od Profesora Biblię. Lekki wiatr już dawno osuszył mu łzy, wciąż jednak czuł ich ślady na twarzy. Kroczył pewnie, bo wiedział. Nareszcie wiedział, co chce uczynić. I miał pewność, że znajdzie ku temu sprzymierzeńców.

Liche budynki podwrocławskiej miejscowości widzieli już bardzo dobrze. Po niebie szybko wędrowały pojedyncze chmury. Wiatr orzeźwiająco smagał im twarze. Słońce spoglądało na nich przyjaźnie. Piękny, wiosenny, majowy dzień.

Ariel dostrzegł ruch w oddali. Po chwili na ulice Smolca wylegli chyba wszyscy jego mieszkańcy. Już widział nieco zgarbioną sylwetkę Kapłana, Dziadka z wiecznie podpartymi na biodrach rękoma, kruchą postać Oliwki. Jego rodziny. Widział też dopinających białe kombinezony Alberta i Benny'ego i całą ciżbę mieszkańców Smolca.

Odetchnął głęboko.

Ariel i pozostali z laboratorium zbliżyli się na odległość kilkunastu metrów. Naprzeciw nich stali jego przyjaciele z niepewnymi minami.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– To my powinniśmy się o to zapytać – odrzekła Oliwia.

Ariel uśmiechnął się.

– To jest Profesor z laboratorium. – Wskazał na naukowca. – Możecie tak się do niego zwracać. Ma do was prośbę. To znaczy – do mieszkańców Smolca. Byłem tam i jak sami widzicie nic złego mi się nie stało. Profesor i jego podopieczni nie są groźni, a dzięki wam mogą odzyskać to, czego w brutalny i nieludzki sposób zostali pozbawieni. Godności i poczucia człowieczeństwa. Nie bójcie się ich, ale wysłuchajcie. Profesorze, proszę.

Wyraźnie zdenerwowany Profesor wystąpił o kilka kroków wraz z Natanem i Kleo. Zaczął mówić.

Ariel tymczasem skinął na pozostałą trójkę ze Schronu Numer Cztery. Wyszli z tłumu i razem skierowali się w głąb miasteczka. Usiadł na zniszczonym krawężniku. Oni uczynili tak samo.

Spojrzał na wszystkich i rzekł:

– Co chcecie teraz zrobić?

Nie odpowiedzieli od razu. Wahali się. Ariel spojrzał na Biblię, którą trzymał w dłoniach.

– Dowiedziałem się kilku rzeczy, gdy byłem w „Złotnikach". – Podniósł wzrok. – Nie ma Schronu Numer Trzynaście.

Kapłan zmarszczył brwi, Dziadek wypuścił głośno powietrze. Oliwka smutno na niego patrzyła.

– Z Ósemki wyszli ludzie i odbudowują miasto. Czwórka najprawdopodobniej też jest opuszczona i wyłączona. Komputery w laboratorium zarejestrowały sygnał z Chin. Uwierzycie?

Kapłan prychnął lekko.

– Kibole faktycznie się postarali.

Ariel przytaknął.

– Najbliższe są schrony w Poznaniu, Łodzi, Warszawie i Lublinie – mówił dalej. – W Czechach nie ma żadnego. Podobno istnieje tajny schron rządowy, ale niewiadomo, gdzie się znajduje. Jest jeszcze baza wojskowa w Bornem Sulinowie, daleko stąd. To potencjalne miejsca, gdzie moglibyśmy znaleźć technologie dla Dziewiątki.

Westchnął.

– Albo... możemy zostać tutaj i pomóc Profesorowi i Albertowi w budowaniu nowej społeczności. Społeczności na miarę nowych czasów.

Zacisnął dłonie na Piśmie Świętym.

– Ja podjąłem decyzję. Chciałbym wiedzieć, co wy chcecie zrobić.

Pierwszy odpowiedział Kapłan:

– Chciałbym wrócić do Kościelca.

Następnie Dziadek:

– A ja do Koniecpola.

Oliwka uśmiechnęła się:

– Ja pójdę za tobą.

Kapłan i Dziadek przytaknęli jej. Ariel wiedział, że nie zrobili tego tylko z grzeczności.

– Mam nadzieję, że znajdę w was popleczników. Chciałbym wiedzieć, co o tym myślicie. Ach... to dla ciebie. – Wręczył z uśmiechem Biblię Kapłanowi.

Westchnął i zaczął mówić. Starannie dobierał każde słowo, chcąc, by go dobrze zrozumieli. Choć i tak miał pewność, że tak będzie. W końcu przeżyli ze sobą więcej niż ktokolwiek inny.

No, i byli z jednego schronu...

TRZYNASTY SCHRON
TRZYNASTY-SCHRON.NET